



Jason Webster

duende

w poszukiwaniu flamenco

Jason Webster

duende

w poszukiwaniu flamenco

Z angielskiego przełożył

JAN JACKOWICZ



WARSZAWA 2006

Tytuł oryginału: DUENDE. A JOURNEY IN SEARCH OF FLAMENCO

Copyright © Jason Webster 2003 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2006

Copyright © for the Polish translation by Jan Jackowicz 2006

Cover painting *Flamenco on Gold* © Fletcher Sibthorp

Used by arrangement with Transworld Publishers, a division
of Random House Group Ltd.

Redakcja: Beata Słama Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 83-7359-326-8 / 978-83-7359-326-8

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-9155, (22)-535-0557

www.olesiejuk.pl/www.oramus.pl

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy

Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk tel. (58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Sprzedaż wysyłkowa

Internetowe księgarnie wysyłkowe:

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

adres dla korespondencji:

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Duende... Tajemnicza siła, którą odczuwają
wszyscy, ale nie wyjaśnił jej dotąd żaden filozof.*

Goethe

*Melancholijne, hiszpańskie lamenty podkreślane
grzechotaniem kastanietów i dźwięcznymi
harmoniami gitar.*

Aldous Huxley

Prawda nie żeni się z nikim.

Przysłowie hiszpańskie

Dla Rify
i przeżytych z nim chwil *duende*,
które mnie zainspirowały.

Aby chronić tożsamość osób występujących
w tej książce, niektóre nazwiska i nazwy
miejsc zostały zmienione.

Prolog

Często kończy się na tym, że robimy coś, czego pragniemy tylko pozornie, ponieważ brakuje nam odwagi, żeby robić to, co naprawdę chcemy. Spędziłem całe lata we Włoszech, ponieważ pragnąłem mieszkać w Hiszpanii.

Hiszpania oczarowała mnie, gdy byłem nastolatkiem. Przewodniki ukazywały w technikolorze kraj o błękitnym niebie, przywodzącym na myśl katedrę, smagłe kobiety o szczerych twarzach, z jasnoczerwonym goździkiem we włosach, delikatne kolumny i kontury Alhambry i wielkiego meczetu w Kordobie. Wydawała mi się starożytna, tajemnicza i egzotyczna, mityczny, szalony kraj, w którym mężczyźni w obcisłych spodniach walczyli na śmierć i życie z bestiami, a ludzie mówili przyziemnym, rynsztokowym językiem, który codziennym czynnościom, takim jak kupowanie mleka, nadawał głębokie filozoficzne znaczenie. Za moimi oknami rozciągała się we wszystkich kierunkach wieczna szarość bagnisk wschodniej Anglii, płaska, wilgotna pustynia blisko ze sobą spokrewnionych rolników i pulchnych dziewczyn na rowerach, gdzie jedyną podniętą była próba przekonania Ślepego Boba, barmana w knajpie Czerwony Lew, żeby podał mi drinka mimo mojego zbyt młodego wieku. Hiszpania z książek i jej mieszkańcy zawsze byli piękni, pełni ciepła i ognia. Wydawała mi się

utraconym domem. Byłem pewien, że któregoś dnia tam zamieszkać.

Sprawy ułożyły się jednak inaczej: trafiła mi się okazja wyjazdu do Włoch, gdzie wdałem się w destrukcyjny romans, zostałem studentem arabistyki, spędziłem rok w Egipcie, zajmując się jedzeniem fasoli i uciekaniem przed natrętnymi sprzedawcami papirusów. W mojej ignorancji uważałem, że odczuwam pociąg do regionu Morza Śródziemnego. Myliłem się. Nigdzie nie znalazłem ciepła i otwartości, jakie usiłowałem i spodziewałem się znaleźć – Włosi byli zbyt zajęci swoim wyglądem, Egipcjanie tym, co będą jedli na następny posiłek. Była tylko i zawsze Hiszpania.

Potem pojawiła się nieoczekiwana szansa naprawienia tego stanu rzeczy: po czterech jałowych, wypranych z wszelkich uczuć latach moja florencka dziewczyna rzuciła mnie w dniu, w którym zdałem ostatni egzamin. Idąc za głosem pociągających wyobrażeń o pierwszej miłości, zamierzałem po uzyskaniu dyplomu pojechać do Włoch, ponieważ po latach znajomości opierającej się na rozmowach telefonicznych i wspólnych wakacjach mogliśmy wreszcie być razem. Ale po tak długim czasie spędzonym na marzeniach o końcu naszej rozłąki, ich realizacja przekroczyła nasze możliwości, i autodestrukcyjna żyłka wzięła w dziewczynie górę dokładnie w momencie, gdy kończyłem studia. Koniec z dziewczyną, Włochami, uniwersytetem i Bliskim Wschodem.

Zawód miłosny nastąpił w dogodnej chwili, zdałem sobie sprawę, że nadszedł wreszcie czas na wypad do Hiszpanii. Z wolnym sercem i żadnym przygód, mogłem wreszcie uniknąć popełnianych wcześniej błędów i poświęcić się odkrywaniu pasjonującego świata, który tak mnie inspirował, gdy byłem nastolatkiem, i który zgodnie z moim głębokim przeświadczeniem powinien inspirować mnie już zawsze. Czuję, że Hiszpania mnie wzywa. Nie chciałem jednak tylko się po niej pokręcić. Chciałem tam coś zrobić.

– Wszystkie uniwersytety to gówno! Studia? Głupi kaprys! – tłumaczył mi w knajpie podpity uliczny grajek, po tym jak zaproponował mi,

że przerobi moje zapatrywania na przyszłość. – No co, kurwa, można zrobić z dyplomem, jak się siedzi w tej zasranej dziurze? Dyplomem się nie najesz. Ale jak zagram *Streets of London*, to przynajmniej zarobię te parę funciaków.

Uderzył w czułą strunę. Po czterech latach studiów wszystko, co mogłem zaoferować światu, sprowadzało się do czterech synonimów słowa „wielbłąd” i klasycznego arabskiego określenia masturbacji. Rozpaczliwie potrzebowałem jakiegoś zawodu, czegoś, co mógłbym robić własnymi rękami po latach ślęczenia w bibliotekach nad wymyślaniem nic nieznaczących tez, żeby zachwycić nimi moich uniwersyteckich opiekunów. Ale murarka i tynkowanie mnie nie pociągały. Chciałem zajmować się czymś bardziej twórczym.

Grajek zlitował się nade mną i poprosił, żebym postawił mu drinka.

– Coś ci powiem – zaczął znowu, kiedy włożyłem mu do ręki szklanke brandy z wodą sodową. – Powinieneś kupić gitarę i nauczyć się paru akordów, tak jak ja.

Nigdy nie byłem specjalnie muzykalny, chociaż gitara zawsze mnie pociągała. Ale kiedy miałem dziewięć lat, pod wpływem gościa w filcowym kapeluszu z podwiniętym rondem, który występował w telewizji z zespołem grającym ska, na jakiś czas porzuciłem większe ambicje i zacząłem grać na saksofonie. To był błąd od samego początku: instrument był większy ode mnie, a mój nauczyciel załamał się nerwowo i uciekł do wspólnoty hippisów w Szkocji. Na koniec złodziej w szkole ukradł mi saksofon. Po tym wypadku dałem sobie spokój z muzyką.

Jednak gra na jakimś instrumencie była dokładnie tą umiejętnością, którą zapragnąłem teraz osiąść. Uświadomiłem sobie, że za jednym zamachem mógłbym przekreślić wszystkie złe wybory, jakich dotąd dokonałem. Nic nie stało na przeszkodzie, żebym zamieszkał w Hiszpanii i wziął do ręki instrument, po który zawsze zamierzałem sięgnąć. Naraz wszystko

stało się jasne: powinienem nauczyć się grać na gitarze używanej we flamenco, które jest muzyczną istotą i esencją Hiszpanii. To muzyka barwna, podniecająca i dzika, a więc zawierająca wszystko to, czego brakowało mojemu życiu. Sama decyzja była podejrzenie prosta. Nie mając prawie pojęcia o muzyce flamenco ani nie wiedząc, dokąd mnie ona zaprowadzi, postanowiłem zacząć natychmiast.

Było w tym jednak coś przerażającego – miałem rzucić wszystko, uporządkowane życie, krąg przyjaciół i wygody środowiska, które dobrze znałem. Uniwersyteckie życie było łatwe i bezpieczne. Właśnie dlatego tak wielu pomarszczonych, pozornie mądrych, starych wykładowców wędrujących po uniwersyteckich dziedzińcach okazywało się tak dziecinnymi, kiedy zaczynało się z nimi rozmawiać. Przygadywali i dawali sobie prztyczki zupełnie jak małaolatki, których uczyli. Na uniwersytecie można było przeżyć wszelkie przygody, jakich się zapragnęło, siadając po prostu w bibliotece i czytając o egzotycznych miejscach, a jednocześnie uprzyjemniać sobie życie, pedałując z powiewającym szalikiem na rowerze, a zimą siadając z kuflem piwa w pubie przy ciepłym kominku. Opadły mnie wątpliwości.

– Powinien pan pomyśleć o tym, żeby poświęcić się jakimś badaniom – powiedział mój uniwersytecki opiekun, gdy spotkałem go na ulicy. – Cokolwiek będzie pan robił, niech pan tego nie porzuca. Myślał pan o pozostaniu na uczelni? Widzę pana jako wykładowcę.

Następnego dnia kupiłem bilet i gitarę i wsiadłem w samolot.

Przedemną była podróż i poszukiwania, które miały potrwać ładnych parę lat. To doświadczenie całkiem mnie odmieniło. Muzyka flamenco – i Hiszpania – kryły w sobie o wiele więcej, niż potrafiłem sobie wyobrazić.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Por Fandangos

*Yo como tú no encuentro ninguna,
mujer, con quien compararte;
sólo he visto, por fortuna,
a una en un estandarte
y a los pies lleva la luna.*

Nie znalazłem żadnej, którą
porównać mógłbym z tobą, kobieto;
na szczęście ujrzałem jeszcze jedną,
na kościelnej chorągwi,
a u jej stóp jaśniał księżyc.

W głębi sceny pojawia się korpulentna kobieta i przy dźwiękach gitar zbliża się do widowni. Unosi rękę nad głowę i mocno uderza stopą o ziemię, po czym nagłym ruchem opuszcza rękę i wbija w nas wyzywające spojrzenie. Muzyka milknie i wszyscy zamierają w ciszy.

Jej siła promieniuje na cały placyk. Oddycha ciężko, jej nogi zdają się wrastać w ziemię, nieruchomieje z wysuniętym podbródkiem, błyszczącymi oczami i wyrazem bólu na twarzy. Spojrzenia całej widowni skupiają się na niej, gdy tak stoi bez ruchu, lekko pochylona do przodu, z odrzuconą do tyłu głową i czarnymi włosami, spływającymi swobodnie na ciemnożółtą sukienkę. Z opuszczonymi rękami rozcapierza palce, jakby wchłaniała niewidzialną energię. Przez chwilę myślę, że więcej się nie poruszy, że nie będzie nawet musiała się ruszać, tak silny jest urok, jaki na nas rzuciła. Ale potem powoli opuszcza głowę.

Skądś zaczyna dobiegać dźwięk, głęboki i niski: ludzki głos dźwięczący złożonymi harmoniami, zamkniętymi w jednej nucie. Domyślam się, że dochodzi ze sceny, ale pieśń – jeśli to pieśń – płynie zewsząd, i niczym woda, bez wysiłku Wypełnia przestrzeń wokół nas. Wstrząsa mną, tak jakby śpiąca od dawna, pierwotna i niespokojna część mojej jaźni została

zmuszona do czuwania wbrew swojej woli. Nigdy dotąd nie odczuwałem niczego takiego i próbuję zrozumieć, w jaki sposób zaczynają odzywać się nieprzeżywane wcześniej albo zapomniane emocje, uwolnione przez tę muzykę. Nie odrywając od kobiety nieruchomych oczu, patrzę, jak podnosi głowę, z na pół otwartymi ustami i uświadamiam sobie, że ten dźwięk wychodzi z niej.

Śpiewa. Nie ma jednak słodkiego głosu, nie śpiewa przyjemnej melodii, nie jest to żaden rozpoznawalny motyw. To raczej płacz, albo krzyk. Tuż za nią gitarzysta zaczyna uderzać krótko i szybko w struny, a jego palce układają się w dziwne, orientalnie brzmiące akordy. Głos kobiety brzmi jak wezwanie muezina do modlitwy.

Muzyka wciąga mnie, jakby znikły wszelkie bariery między mną i rytmem. Gruba kobieta na scenie śpiewa i tańczy, niemal się nie poruszając, ale ja czuję, że wstępuje w środek czegoś i pociąga mnie za sobą. Dreszcz, podobny marszczącej się tafli jeziora, podchodzi aż do moich oczu. Zaczynają wypełniać się łzami, podczas gdy krzyk z jej płuc znajduje echo w moim wnętrzu i każe mi krzyczeć razem z nią. Włoski na mojej skórze jeżą się, krew odpływa do stóp. Wrosłem w ziemię, zawieszony między emocjami, jakie ten śpiew ze mnie wyrywa, a wstydem, że coś takiego czuję.

Pieśń płynie i zaczynam zdawać sobie sprawę, że inni widzowie doświadczają tego samego. Domyślam się tego z wyrazu ich twarzy, czytam w ich spojrzeniach, i czuję, że to ogarnia nas wszystkich błyskawicznie niczym trans. Gdy śpiew kobiety odbija się echem w naszych sercach, podnoszą się okrzyki: *ole, arsa, eso es*. Niektórzy mruczą pod nosem, inni krzyczą, na ich szyjach pulsują nabrzmiałe żyły. Kobieta wypełnia nas i wieczorne powietrze poczuciem innej przestrzeni.

Pieśń się kończy i widownia wybuchuje ekstatycznym aplauzem. Jest w tym emocjonalne wyładowanie, największe, jakie można sobie wyobrazić.

Pedro pochyla się w moją stronę.

– Czułeś to? – pyta.

Samolot leciał nad pokrytą żółtym kurzem krainą. Góry, podobne skalnym odłamkom do połowy zakopany w piasku, pięły się z ziemi, rzucając cienie, które wydłużały się, w miarę jak słońce opadało za naszymi plecami. Wpatrywałem się przez szybę w bezludną przestrzeń w dole; jałowa pustynna kraina sięgała błękitnego morza, obiecując balsamiczne, pachnące jaśminem noce.

Jedynym moim znajomym w Hiszpanii był Pedro, wydawało mi się więc, że będzie naturalnym punktem wyjścia mojej podróży. Kolega kolegi i uniwersytecki wykładowca na arabistyce, przywitał mnie na lotnisku jak utraconego syna, obejmując ciepło w hali przylotów, i prędko nadał mi przezwisko: *Mi querido Watson**. Oświadczył, że moje nazwisko przypominało mu stare filmy z Sherlockiem Holmesem i czasy młodości, które spędził przy Baker Street. Ja nie dostrzegałem tu żadnego podobieństwa.

* *Mi querido Watson* (hiszp.) – Mój drogi Watson.

– Nie przejmuj się. Be *khappy* – roześmiał się.

Zawiózł mnie do swojego domu na północnych obrzeżach Alicante. Jego ojciec wybudował go w latach pięćdziesiątych: biała prostokątna willa z jasnozielonymi okiennicami, werandami i balkonami. Oddano mi najwyższe piętro i powiedziano, że mogę tu zostać tak długo, jak zechcę. Z dachu widać było morze ciągnące się aż do Algierii. Wydawało się, że Afryka jest tuż-tuż.

Ogród wyglądał jak z baśni tysiąca i jednej nocy. Oprócz palm daktylowych i pachnących intensywnie krzewów rozmarynu ta oaza zieleni wypełniona była drzewami figowymi, jaśminem, delikatnymi czerwonymi i różowymi różami, a także rzędami pomarańczowych i cytrynowych drzew.

Jaśmin przycinany był przez lata tak, że tworzył teraz altanę, w której mogliśmy chować się przed żarem południowego słońca, na pół oszołomieni unoszącymi się wszędzie zapachami. Pedro nalegał, żebyśmy siadali tam razem i rozmawiali, pijąc herbatę w filiżankach z kostnej porcelany. Z początku takie bez troskie i spokojne aklimatyzowanie się sprawiało mi przyjemność. Jednak po kilku dniach poczułem frustrację. Chciałem się ruszyć, zacząć przygodę z flamenco, ale mój gospodarz był człowiekiem, który lubił działać bez pośpiechu, zawsze rozważny i ostrożny we wszystkim, co robił.

– Nie uciekniesz przed własnym cieniem – powiedział, zdecydowany zatrzymać mnie w tym ogrodzie, uchronić od biegania w kółko, zanim się dowiem, w którą stronę ruszyć.

Mówił bez przerwy, jedna opowieść płynęła za drugą, niekończący się strumień historyjek i anegdot. Nie mogłem wtrącić słowa, a gdy już mi na to pozwalał, robił to wyłącznie po to, żebym uzupełnił jakiś szczegół, przypomniał osobę czy nazwę miasta, które obaj znaleźliśmy. Z początku nasza rozmowa skupiała się na arabistyce, prędko jednak przeskoczyła na inne tematy. Mówił o swojej sympatii do Anglii, o folklorze Alicante, o astronomii, o przepisach na rosół z kurczaka. Powiedział mi wszystko, czego chciałem się dowiedzieć o starożytnym osadnictwie rzymskim wzdłuż nadmorskiej drogi, i jak to jeden z jego kuzynów był faszystą, a drugi republikaninem, ale żaden z nich nie pozwolił, żeby polityka wpłynęła na życie rodzinne. Mówił o uderzającej piękności starożytnej rzeźby głowy kobiety, którą znaleziono w pobliskim mieście Elche.

– Nie wiadomo, kto ją wyrzeźbił! Grecy? Fenicjanie? Iberowie? Zagadka.

No i oczywiście mówił o arabskiej poezji, cytując strofy Ibn Hazma, Al-Rusafiego i Abu-Haszasz al-Munsafiego. Zapadał zmierzch, zapach jaśminu ustępował woni *galán de noche*, „nocnego zalotnika”, jeszcze mocniejszej i bardziej przenikliwej, a my siedzieliśmy wciąż pośród unoszących

się w nocnym powietrzu opowieści o Alhambrze.

– Któregoś dnia tam pojedziesz – powiedział Pedro, przeskakując bezustannie z angielskiego na hiszpański i z powrotem, podczas gdy moje uszy coraz bardziej przyzwyczajały się do jego głosu. – Zobaczysz Grenadę, i to odmieni cię na zawsze. – Po czym zacisnął na chwilę ocienione wąsami usta, żeby dopić herbatę rumiankową.

– Nie przejmuj się niczym. Be *khappy*.

Pochodzenie pieśni i tańców flamenco jest niepewne. Często wymienia się wiek osiemnasty i dziewiętnasty jako okres, w którym styl ten zaczął nabierać kształtu, ale już rzymski poeta Juwenalis wspominał o dziewczętach z Kadyksu – *puellae gaditanae* – które za czasów cesarza Trajana tańczyły w Rzymie przy wtórze kastanietów z brązu. Tworzący w latach sześćdziesiątych poeta i znawca flamenco, Domingo Manfredi, uznał to za wystarczający dowód, aby szukać źródeł flamenco w starożytności. Inni sugerowali pochodzenie z wielu źródeł, wskazując na bogatą mieszaninę kultur – iberyjskiej, fenickiej, wizygockiej, greckiej, rzymskiej, arabskiej – które rozkwiły w Hiszpanii na przestrzeni wieków. Kompozytor Manuel de Falla wymieniał jako kluczowe czynniki w rozwoju flamenco mauretańską inwazję w roku 711, przyjęcie przez hiszpański kościół bizantyjskiego śpiewu liturgicznego oraz przybycie Cyganów, którzy przywieźli ze sobą wpływy hinduskich pieśni w postaci nietonalnych skal i subtelných odcieni harmoniczných.

Rola, jaką odegrali Cyganie, była decydująca, ale też prawdopodobnie najmniej zrozumiana. Po pierwsze, nie ma jednomyślności co do czasu ich rzeczywistego przybycia do Hiszpanii. Wydaje się, że były co najmniej dwie fale: jedna z Afryki Północnej w okresie wpływów islamu, druga z Francji, w latach nieznacznie wyprzedzających upadek Grenady w roku 1492. Nikt nie wątpi, że odegrali oni główną rolę w rozwoju flamenco,

pozostaje jednak pytanie, do jakiego stopnia? Czy są jedynymi twórcami tego stylu? Jeśli tak, to dlaczego nie ma wyraźniejszych jego ech w muzyce cygańskiej innych krajów? Czy przejęli po prostu istniejące pieśni ludowe i zmienili je poprzez własną interpretację i styl? Niektórzy próbowali podzielić *palos* – różne style i rodzaje pieśni w ramach flamenco – na pochodzące przypuszczalnie od Cyganów i z innych źródeł. Inni umieszczają jednak niektóre *palos* całkowicie poza flamenco. *Sevillanas*, które w oczach obcokrajowców stanowią esencję „typowo hiszpańskiego” stylu flamenco, z klekocącymi kastanietami i tancerkami w długich sukniach z falbanami, wielu miłośników zaklasyfikowałoby chętnie jako „folklor”, a nie flamenco.

Jednak jeśli większość *flamencos*, czyli miłośników i wykonawców tej muzyki, w ogóle myśli o tych sprawach, wyczuwają je oni intuicyjnie. Czy będą to pieśni mauretańskie czy żydowskie, cygańskie czy andaluzyjskie, istnieje instynktowne wyczucie muzyki flamenco, które ułatwia rozpoznanie. Jej część pozostaje na marginesie głównego nurtu, albo zupełnie poza nim. Przez co najmniej ostatnie dwa stulecia flamenco było muzyką i tańcem społecznych wyrzutków, ludzi z hiszpańskiego marginesu, a w szczególności społeczeństwa Andaluzji. Z okoliczności tych być może wyrastają naturalne związki z Cyganami, stąd też bierze się wielka liczba pieśni o niesprawiedliwości albo pobycie w więzieniu:

*A las rejas de la cárcel
no me vengas a llora.
Ya que no me quitas pena,
no me la vengas a da.*

Nie przychodź do więziennych krat
płakać nade mną.
Skoro nie możesz ulżyć mym cierpieniom,
nie przychodź, by mi je zadawać.

Pewne jest jedynie to, że flamenco powstało w Andaluzji i do dzisiejszego dnia pozostaje sztuką andaluzyjską, mimo rozprzestrzenienia się w Hiszpanii i na całym świecie. Ostatnio ośrodkiem flamenco stał się Madryt, i do pewnego stopnia także Barcelona, ale tylko dzięki importowi ludzi z południowych środowisk i ich kultury. Andaluzja, z jej ubóstwem, jałowym skwarem i bliskością Afryki, pozostaje wieczystym punktem odniesienia i prawdziwym źródłem.

– Wypij to, Watsonie. To cię oczyści od środka.

Ranki w domu Pedra spędzaliśmy na zbieraniu w ogrodzie dojrzałych fig, pomarańczy i granatów, żeby robić z nich egzotyczne soki na śniadanie.

Pedro stworzył w małej skali to, co przypominało moje wyobrażenia na temat wielkich arabskich ogrodów przeszłości. Mauretańscy zdobywcy charakteryzowali się naturalną u pustynnych ludów miłością do ogrodów, a ich systemy nawadniające zamieniły niektóre obszary wschodniego wybrzeża w jedne z najbardziej żyznych ziem Europy. Kiedy na początku siedemnastego stulecia Filip III w przystępie złości wyrzucił z Walencji resztę pozostałych jeszcze Maurów, miejscowa gospodarka upadła, jako że ostatni ludzie mający konieczną wiedzę o ogrodnictwie – gromadzoną przez ponad dziewięćset lat – zostali wypędzeni ze swoich domów i skazani na wygnanie. Niektórzy twierdzili, że wiedza ta nigdy nie została w pełni przywrócona, ale siedząc w ogrodzie Pedra, byłem gotów uwierzyć, że się mylili. Można tu było odpocząć, a odprężenie docierało do każdej komórki ciała. Powoli zaczynałem poddawać się urokowi tego miejsca, dni nie miały początku ani końca, zapomniałem niemal, po co tu przyjechałem.

Potem jednak przyszedł wstrząs, który przypomniał mi o tym, niczym ostre swędzenie. Poczulem, że muszę ruszyć w drogę. Chciałem rozpocząć naukę flamenco. Alicante, miasto mojego jedyne go znajomego, wydawało mi się oczywistym miejscem, z którego mogłem wystartować, ale w trakcie

nielicznych spacerów nie znalazłem tu żadnych barów z muzyką flamenco, żadnych gitarzystów próżniaczących się w cieniu ani tancerzy ćwiczących kroki na ulicy, nic. W tamtym okresie miałem mgliste pojęcie o tym, że muzyki tej należało szukać w Andaluzji, a gdy spoglądałem na mapę, wydawało mi się, że Alicante nie leży aż tak daleko. Czy dowodów na to nie powinienem znaleźć na każdym rogu? Ponieważ jednak moje ograniczone poszukiwania prowadziły donikąd, zacząłem rozumieć, jak źle się do tego przygotowałem. Nie miałem pojęcia, gdzie zacząć ani czego oczekiwać. Pedro będzie wiedział, co powinienem zrobić. Znalazłem go, podlewającego palmy daktylowe i karmiącego wspaniałego kota o białym futerku i imieniu TV. Natychmiast rozproszył moje skupienie kolejną opowiastką. Naszą rozmowę przerwał mały lokalny pociąg – *trenet* – który przejechał tuż koło ogrodu, dudniąc i buchając kłębami dymu z dieslowskiego silnika.

– Ach, *mi querido Watson* – westchnął Pedro, gdy spokój naszego próżniaczego popołudnia został zakłócony – *qu'est-ce qu'on peut fair?* – Po czym wzruszył ramionami i zrobił nadąsaną minę na francuską modłę, pozostałość po studenckich latach spędzonych we Francji. Lubił mi przypominać, że to właśnie w Paryżu dostał kiedyś rolę w filmie *Co nowego, koteczku?* – Hiszpana na przyjęciu kostiumowym.

– *Hombre*^{*}, oni chcieli, żebyśmy wzięli większą rolę, ale mnie to nie interesowało. Byłem zbyt zajęty podrywaniem dziewczyn na Sorbonie. – Jego oczy rozbłyły.

^{*} *Hombre* (hiszp.) – człowiek.

Pedro nie wyglądał raczej na byłego gwiazdora filmowego i podrywacza paryżanek. Lata zrobiły swoje. Gdyby odjąć mu brzuch i siwe włosy, to może... Wymagało to jednak pewnej dozy wyobraźni. Być może w tamtych latach dziewczyny leciały na hiszpańskie wąsiki.

Tak więc te pierwsze dni spędziłem u Pedra, aklimatyzując się najlepiej jak mogłem w nowym środowisku. Hiszpański był stosunkowo łatwy, a dla

kogoś, kto uczył się już włoskiego i arabskiego, wyglądało to raczej jak przypominanie go sobie, niż uczenie się od początku, toteż po tygodniu angielski zniknął niemal zupełnie. Nauczyłem się smażyć *tortilla de patatas* * i dusić *cosido*, pielilem ogród, kiedy Pedro miał zajęcia na uniwersytecie, chodziłem przez zakurzone pola na plażę i pływałem w słońcu późnego lata. Ale przez cały czas gdzieś w moim umyśle natrętny, niez mordowany głos naciskał, żebym rozpoczął poważne poszukiwania.

* *Tortilla de patatas* – rodzaj zapiekanki z ziemniaków, *cosido* – gotowana wołowina z kielbasą, salcesonem, kurą, soloną wieprzowiną, kapustą, ziemniakami, ryżem i białą fasolą.

– Chcesz więc dowiedzieć się czegoś o flamenco? – zapytał Pedro któregoś ranka przy śniadaniu. Wyrwało mi się ciężkie westchnienie ulgi. Pedro wzniósł oczy do nieba i zaczął recytować:

*Empieza el llanto
de la guitarra.
Se rompen las copas
de la madrugada.
Empieza el llanto
de la guitarra. Es inútil
callarla.*

Zaczyna płacz swój gitara
Pękają kielichy świtania.
Zaczyna płacz swój gitara.
Nie trzeba jej uspokajać**.

** Tłum. Zofia Szleyen, *Od pierwszych pieśni do słów ostatnich*. Wydawnictwo Literackie 1987.

Lorca, poeta *flamenco*. Wpatrzony w ciemniejące obłoki, oczy Pedra zaszyły łzami.

– Oczywiście, ja też jestem poetą. Jak my wszyscy – powiedział.

– Naprawdę? – zapytałem. – Chciałbym przeczytać jakieś twoje wiersze.

– *Hombre*, skąd ci przyszło do głowy, że cokolwiek napisałem? – Na jego twarzy pojawił się wyraz powagi. – Żeby nazwać siebie poetą, nie trzeba od razu pisać wierszy. To zupełnie różne sprawy.

– Rozumiem.

– Flamenco... – odezwał się po chwili. – Nikt nawet nie wie, jakie jest pochodzenie tego słowa. Niektórzy mówią, że był to termin używany przez hiszpańskich Żydów na określenie pieśni, które pozwolono śpiewać ich pobratymcom po przeniesieniu się do Flandrii, ale których śpiewania zabraniało im ich własne prawo. Lub może trzeba by raczej odwołać się do arabskiej wersji, według której wywodzi się ono od *felah manju*, czyli chłop-uciekinię. – Zmarszczył sceptycznie nos. – Ale jeśli *felah manju*, to dlaczego nie *felah manghum*, czyli chłop „melodyjny” albo „muzykalny”? Można tak spekulować bez końca.

Słuchałem go z ogromnym zainteresowaniem. W końcu zaczynałem się czegoś dowiadywać.

– Jeżeli chodzi o flamenco, *mi querido Watson*, to nie będę mógł zbytnio ci pomóc. Nic o nim nie wiem.

Zamarło mi serce. Liczyłem na niego. Jak mógł nic o tym nie wiedzieć? Byłem święcie przekonany, że skieruje mnie na właściwy trop. Robił wrażenie człowieka o ogromnej wiedzy. Zacząłem zastanawiać się gorączkowo, jakie mam możliwości i gdzie są w Hiszpanii miejsca, od których mógłbym zacząć. Może nawet udałoby mi się złapać autobus jeszcze dziś wieczorem. Nie było żadnego powodu, żeby tu siedzieć. Dam sobie radę. Może Grenada? Albo Sewilla? Jerez?

Moje gorączkowe plany przerwał głos Pedra:

– Nie martw się. Jestem pewien, że we właściwym momencie coś się nadarzy. – Po czym posłał mi ciepły i szczery, niemal dziecięcy uśmiech. Sam nie wiem dlaczego, ale mu uwierzyłem.

– Dziś wieczorem na głównym placu będą występy – poinformował mnie Pedro w trzy dni później. Jego mina powiedziała mi dokładnie, co ma na myśli.

– Tańce! Tańce! – zawołał i pobiegł do domu, strzelając palcami nad głową.

Kiedy tam dotarliśmy, była już północ. Bałem się, że nie zdążymy.

– Nie martw się – powiedział Pedro – na pewno jeszcze nawet nie zaczęli.

Poznałem Hiszpanów i ich dziwaczny stosunek do czasu na tyle dobrze, żeby mu uwierzyć. Mieli w sobie dość arabskich genów, żeby wszędzie się spóźniać, ale zarazem byli w takim stopniu Europejczykami, aby odczuwać poczucie winy, że nigdy nie zjawiają się na czas. Wynikiem tego była dziwna odmiana nerwicy.

Dotarliśmy na Plaza Mayor, stary rynek z eleganckim barokowym budynkiem magistratu po jednej i obrzydliwymi blokami z lat sześćdziesiątych po drugiej stronie. Scenę ustawiono na środku i plac był już zatłoczony. Żadnych ławek, żadnych biletów, wszyscy po prostu stali, czekając, aż się zacznie. Nasze spóźnienie oznaczało, że nie będziemy mieli dobrego widoku, a nie można było przepchać się choć trochę bliżej sceny. Stałem na palcach, wdzięczny losowi, że jestem wyższy od większości widzów.

Na scenie siedziało trzech mężczyzn, dwóch gitarzystów i jakiś starszy człowiek z laską, a obok nich trzy bardzo otyłe kobiety. Czyżby zamierzały tańczyć? Bez żadnej zapowiedzi zabrzmiała muzyka. Najpierw proste akordy, ledwo słyszalne, publiczność nie miała najmniejszej ochoty się

uciszyć. Kobiety gawędziły, dzieci biegały, niemowlęta płakały.

Jedna z grubych kobiet wstała, zabrzmiała pieśń przypominająca buczenie i publiczność umilkła.

– Czułeś to? – zapytał Pedro, kiedy kawałek się skończył.

– Tak.

– Nie, czy czułeś to naprawdę?

Nie mogłem mówić. To, co zobaczyłem, napełniło mnie nieznanymi do-
tąd emocjami i nie wiedziałem, jak to opisać.

– To było to, *duende* – wyjaśnił Pedro.

Słowo uchwycone przeze mnie tylko w połowie: *duende*. Brzmiało zna-
jomo. Być może gdzieś już je słyszałem.

Wydawało mi się, że koncert dobiega końca, i dałem Pedrowi znak, że
możemy iść.

– Zaczekaj – odparł, podchodząc bliżej sceny. – To jeszcze nie koniec.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem mężczyznę, który pomagał wejść na
scenę czwartej tancerce, młodszej, szczuplejszej kobiecie z falującymi
ciemnorudymi włosami. Z początku wydawało się, że z ociąganiem zabiera
się do tańca, jakby potrzebowała zachęty od swoich kolegów. Przygląda-
łem się, jak odchyła się do tyłu, zawisając całym ciężarem na ramionach i
rękach, które ciągnęły i popychały ją na scenę, a jej mina mówiła, że jest
zadowolona z tych zabiegów i że na nie czekała. W końcu uległa i
wdzięcznym krokiem, z rękami na biodrach, podeszła na środek sceny. Na
uniesione ramiona zarzucony miała czarny jedwabny szal z długimi frędz-
lami, krwistoczerwona sukienka falowała na boki przy każdym kroku. Pró-
bowałem dojrzeć jej twarz, ale opuściła głowę i jej oczy zasłoniły pasma
rudych włosów.

Zaczęła tańczyć, unosząc obie ręce zgięte w przegubach, a jej zakrzy-
wione palce przypominały języki ognia. Odezwała się gitara i stary męż-
czyzna zaczął śpiewać wysokim, dziwnie kobiecym głosem. Coś jednak
było nie tak. Tańczyła rytmicznie, jej ciało poruszało się w takt muzyki, ale

brakowało jej pewności siebie, jakby nie mogła znaleźć właściwego kroku, jakby czuła się tu obco. Inni tancerze za jej plecami zauważyli to i zaczęli pokrzykiwać, starając się ją zachęcić. Zaczęła mocniej uderzać obcasami w podłogę, a na jej czole załśniły krople potu. Ręce krążyły nad głową jak burzowe chmury, włosy uwolniły się z węzła na karku i rozsypały się wszystkie strony, biodra poruszały się kusząco.

Nagle kobieta pośliznęła się, nie była w stanie wyhamować na prowizorycznej scenie i omal nie runęła na twarz, zdołała jednak w ostatniej chwili uchronić się przed upadkiem. Gdy odzyskała równowagę, uniosła ręce wyzywającym, teatralnym gestem, jakby chciała dać wyraz swojemu obrzydzeniu. Gitarzyści pochylili się gorliwie, żeby zakończyć utwór, i koncert się urwał.

Na widowni odezwały się krzyki, oklaski i gwizdy. Wszyscy mieli zakłopotane miny. Zapanowało poczucie rozczarowania, w końcu jednak tłum zaczął się rozchodzić. Pedro i ja popatrzyliśmy na siebie, wzruszając ramionami. Czas było iść do domu.

– Pedro – zapytałem, kiedy szliśmy do samochodu wąską uliczką, unoszeni rzeką wychodzących ludzi – co to jest *duende*!

Nie odpowiedział od razu, ale zaczekał, aż wyjdziemy na esplanadę.

– *Duende? Duende to duende.* Więcej będziesz musiał dowiedzieć się sam, *mi querido Watson.* To jest właśnie powód, dla którego się tu znalazłeś.

Musiałem zarobić jakieś pieniądze, a jedynym prostym sposobem było uczenie angielskiego. W książce telefonicznej znajdowały się dziesiątki szkół językowych o górnolotnie brzmiących nazwach: Big Ben Academy albo Cambridge College for English. Po kilku telefonach ustaliłem, że większość z nich splajtowała albo, i tak było najczęściej, nigdy nie istniała, bądź miała wystarczającą liczbę nauczycieli, dziękujemy, zechce pan

zgłosić się na jesieni? Pedro próbował mi pomóc, ale jego znajomości w kręgu hiszpańskich oldboyów, czyli kolegów ze szkół prowadzonych przez augustianów, jezuitów czy franciszkanów, nie na wiele się zdały. Odechnąłem, ponieważ praca dla mnichów nie napawała mnie entuzjazmem. Wróciłem do książki telefonicznej i wykonałem jeszcze parę telefonów. Zaproszono mnie do kilku szkół, żebym się rozejrzał, ale niczego nie obiecywano.

Najpierw poszedłem do London School. Znajdowała się naprzeciwko starej wytwórni tytoniu – dziewiętnastowiecznej budowli podobnej do wojskowych koszar, z której unosił się przerażający, przenikający wszystko zapach cygar. Wszedłem po schodach. „Szkolą” był wydzielony pokój w mieszkaniu. Niski i gruby mężczyzna w średnim wieku z wysmarowanymi brylantyną siwiejącymi włosami i wąsami powitał mnie, ukazując w uśmiechu pożółkłe zęby. Czy zechcę usiąść? Papierosa? Usiadłem. Był to mały, niski pokój z kilkoma krzesłami i stolikami oraz tablicą na ścianie. Postanowiłem w duchu nie przyjmować tej pracy, czułem jednak, że powinienem zostać i wysłuchać go z czystej uprzejmości. On jednak milczał, patrząc na mnie nieprzyjemnym przenikliwym wzrokiem, z przyklepionym do twarzy, jakby wyciętym z kartonu uśmiechem. W końcu spuścił głowę i zaczął przeglądać moje CV.

– Oczywiście to zaszczyt przyjmować kogoś z Oksfordu. Ale wie pan, czasy są ciężkie. Ci politycy to zwyczajni złodzieje. Za czasów Franco takie rzeczy się nie zdarzały.

Zaskoczył mnie ten otwierający gambit, zaważałem się i przez chwilę próbowałem dociec, co zajęcie nauczyciela języka angielskiego może mieć wspólnego z tym dziwnym małym dyktatorem. Od jego śmierci w roku 1975 minęły prawie dwie dekady i kraj dokonał udanego przeskoku do demokracji, w dużej mierze dzięki królowi Juanowi Carlosowi. Ale nawet krótki pobyt w Hiszpanii wystarczył, abym nabrał głębokiego przekonania, że wystarczyłoby tylko poskrobać trochę powierzchnię, żeby znaleźć Franco gapiącego ci się w twarz. Największą nostalgię za dawnymi dobrymi

czasami pod faszystowskim rządem zdawali się odczuwać mężczyźni po pięćdziesiątce.

– Co się nie zdarzało? – spytałem, próbując zrozumieć, o co mu chodzi.

– To wszystko! Korupcja! Ci socjaliści doją miliardy! Miliardy! Hiszpania mogłaby być wielkim mocarstwem, przy całym swoim bogactwie, jak Wielka Brytania czy Francja. – W jego głosie pobrzmiwała histeria. – Ale te łotry ciągną nas w dół, do Trzeciego Świata. Potrzebujemy nowego Franco. Silnego człowieka, który przywróciłby nam wielkość. A nie bandy kryminalistów, którzy są teraz u władzy. Ale niech pan zaczeka. Nasz czas nadejdzie.

Popatrzyłem na siedzącego przede mną człowieka: cienki wąsik, krępa sylwetka, małe, złe oczka. Nie różnił się zbytnio od samego generalissimusa. Prawdopodobnie powodziłoby mu się nieźle jako niższemu urzędnikowi w czasach dyktatury, siedziałby przy za dużym biurku, mając pod krzesłem krótkimi nóżkami.

– Za jego czasów nie było na ulicach żadnych żebraków... – Znowu dał się ponieść, ale uświadomił sobie, że traci słuchacza. – A więc, jak pan widzi, sytuacja jest napięta – zakończył.

Zaczynałem się irytować. Czyżbym szedł taki kawał po to, żeby słuchać wykładu o prawicowej polityce z ust człowieka, który próbował obniżyć mi wynagrodzenie, zanim jeszcze poprowadziłem pierwsze zajęcia?

– Oczywiście zawsze możemy dojść do porozumienia – dodał pośpiesznie.

Byłem zmieszany. Pstryknął palcami, jak postać z filmu z Bondem. Drzwi za jego plecami otworzyły się i ukazała się w nich kobieta z tlenionymi włosami, ubrana w sukienkę z odsłaniającym piersi dekoltem. Podeszła i stanęła obok uśmiechniętego mężczyzny, kołysząc sugestywnie biodrami i spoglądając na mnie ze słodkim, mdłym uśmiechem.

– Jeśli pan pomoże nam – powiedział mężczyzna – my pomożemy panu. Rozumie pan? – Rzuciłem mu zdziwione spojrzenie. Kobieta uniosła do przesadnie umalowanych ust wskazujący palec, zakończony sztucznym czerwonym paznokciem i zaczęła go ssać i ogryzać. Ściągnąłem brwi, kiedy zaczęła wodzić po mnie oczami w górę i w dół, zupełnie jak wąż. Znowu spojrzałem na mężczyznę. Nadal się uśmiechał.

Ja też się uśmiechnąłem, ale było mi niedobrze. W drugim końcu pokoju na szybko brzęczała mucha, próbując rozpaczliwie wydostać się na zewnątrz.

– Moja żona jest bardzo... hmm, wymagająca.

Podniosłem się prędko. Byłem pewien, że o jego żonie można by powiedzieć dużo rzeczy, ale nie chciałem dowiadywać się żadnej z nich.

– Wie pan, cieszę się, że mogłem tu przyjść i zobaczyć pana uroczą szkołę – wyjąkałem, cofając się do drzwi. – Mam nadzieję, że znajdzie pan takich nauczycieli, jakich pan potrzebuje. Ale nie wydaje mi się, żeby Alicante było miejscem dla mnie. Myślę, że tak naprawdę wolałbym zamieszkać w... no, w Grecji. Tak, w Grecji. – Wyciągnąłem do tyłu rękę i znalazłem klamkę.

– Ależ, *señor*... – przerwał mi mężczyzna. Przystał się uśmiechać, na jego twarzy zaczynał się pojawiać grymas rozczarowania.

– Przykro mi. Do widzenia – rzuciłem, znikając pospiesznie w drzwiach.

Zszedłem niepewnie po schodach i znalazłem się na przesyconej zapachem tytoniu ulicy. Cekał na mnie Pedro, który przeczuwał, co mi się przydarzyło.

– Chodź ze mną. – Złapał mnie za rękę i pociągnął prędko do kościoła po drugiej stronie ulicy. Usiedliśmy w ławce, po czym kazał mi powtarzać arabski wiersz.

– To ci dobrze zrobi. Oczyści cię – powiedział.

Kręciło mi się w głowie. Ostatecznie mógłbym spróbować w jakimś innym mieście. Bo jak dotąd, Alicante mogło mi zaferować jedynie

niezorganizowanych na nowo faszystów, którzy lubią patrzeć, jak cudzoziemcy zaspokajają ich żony, i romantyków, którzy polecali mi recytowanie islamskich modlitw w katolickich kościołach. Ale do odwiedzenia została mi jeszcze jedna szkoła, po drugiej stronie miasta.

Zaproponowali mi dwie lekcje na tydzień, począwszy od końca miesiąca. Nie wyglądało to dobrze. Kiedy wychodziłem, jedna z urzędniczek zasugerowała mi inną szkołę w centrum miasta, Escuela Uno. Powiedziała mi, że to najlepszy ośrodek nauki języków w mieście. Jej informacja mnie zniechęciła, ponieważ pewne było, że mają za dużo nauczycieli. Ale w tym momencie nie miałem nic do stracenia.

Szkoła położona była przy bocznej uliczce. Wszedłem na gołe, nijakie schody, jak to w biurowcu. Drzwi były otwarte, świeciło się światło, ale wydawało się, że w środku jest pusto. Zza wysokiego biurka w recepcji dobiegał jakiś szmer. Odwróciłem się i zobaczyłem kobietę, która właśnie wstawała. Miała ciemnorude włosy, ujmujące oczy i wyzywającą minę. Była to tancerka, która o mało nie spadła ze sceny podczas koncertu flamenco parę dni temu. W noc mojego pierwszego doświadczenia z *duende*.

Zauważyła moje wahanie.

– No tak – rzuciła ostro – przypuszczam, że przyszedł pan w sprawie pracy.

– Zgadza się – odparłem. – Rzeczywiście, szukam zajęcia.

– Och – powiedziała nieco łagodniej – cóż, w takim razie być może je pan znajdzie. Odeszła jedna z zatrudnionych u nas dziewczyn, więc jest wolne miejsce. Ale będzie pan musiał porozmawiać z Vicentem, moim mężem. – Mówiła szybko, wyrzucając gwałtownie słowa. – Ma pan CV?

Wręczyłem jej mój życiorys, a ona odrzuciła do tyłu głowę, rozděła nozdrza i wlepiła weń oczy, spoglądając wzdłuż długiego nosa.

Promieniowała z niej potężna energia, która wydawała się nie na miejscu w tym szkolnym otoczeniu. Ciszę przerwał odgłos kroków. Odwróciłem się i zobaczyłem mężczyznę, który z władczą miną kroczył w naszą stronę. Wyglądał jak tysiąc innych Hiszpanów po czterdziestce, którzy odnieśli umiarkowany sukces: starannie przystrzyżona bródka z paroma siwymi włoskami, zaczesane do tyłu proste, czarne włosy, orli nos, sportowa marynarka i czarne spodnie. Jediną różnicą było to, że zamiast hiszpańskich butów nosił wypolerowane, angielskie półbuty z dziurkowanym wzorem.

– Vicente, ten młody człowiek szuka pracy – powiedziała spokojnie kobieta. Mężczyzna uśmiechnął się i uściśnął mi rękę, a potem położył mi dłoń na plecach i popchnął w kierunku pustej klasy.

– Najwyraźniej przysłała tu pana opatrność. – Mówił po angielsku niskim, urywanym głosem. – Jedna z naszych nauczycielek nagle nas porzuciła. Jest w ciąży. – W jego niemal doskonałej angielszczyźnie był jedynie ślad hiszpańskiego akcentu. Gdy tylko otworzyłem usta, domyśliłem się z jego reakcji, że zrobiłem na nim wrażenie. Vicente zdawał się gustować w „staromodnej” Anglii, a mój akcent wystarczył, aby natychmiast wpasował mnie w swoje wyobrażenia. Z miejsca dał mi pracę.

– Witam – powiedział ciepło. – Cieszę się, że będzie pan u nas pracował. Moja żona Lola załatwi papierkowe sprawy. – Skierował mnie z powrotem do recepcji, lecz Loli już nie było. Na chwilę jego uprzejme zachowanie ustąpiło miejsca irytacji i rzucił jakieś ciche przekleństwo, ale zaraz odwrócił się do mnie z uśmiechem. Czy zechciałbym przyjść tu jutro?

Gdy dotarłem do domu, Pedra nie było, więc żeby zabić czas, poszedłem na plażę. W mieniącej się świetłem późnego popołudnia wodzie pluśkały się dzieci, mężczyźni w pilśniowych kapeluszach czytali gazety w cieniu palm. Brzegiem szły trzy starsze kobiety bez biustonoszy, a ich

obwisłe opalone piersi opierały się ciężko na wydatnych brzuchach. Żadnego samokrytycyzmu, żadnej próby, żeby zmienić albo ukryć swoje kształty. Ale też żadnej ostentacji w ich pokazywaniu. Zastanawiałem się, co pomyślałby o tym Franco.

W końcu przyszedł Pedro, skacząc po gorącym piasku jak mały chłopak, żeby nie poparzyć sobie stóp.

– Pedro, dostałem pracę! – krzyknąłem do niego. Zatrzymał się, uśmiechnął, a potem położył palec na zaciśniętych ustach i zniknął za skałkami. Po chwili ukazał się, ociekając wodą. W południowym upale potrzeba popływania była dla niego bez wątpienia najważniejszą rzeczą na świecie.

– Chodź, Watsonie – powiedział. – Trzeba to uczcić.

W niecały tydzień później przenieśliśmy się do pustego mieszkania Pedra w centrum miasta. Palmy muskały ukryte we wnękach okna, które spoglądały w dół na szeroką aleję. Drzwi wejściowe otwierało się za pomocą jednego z wymyślnych „wynalazków” Heatha Robinsona, składającego się z kombinacji sznurków i krążków, a opanowanie tej sztuki zajęło mi pół dnia. Zamieszkałem na pierwszym piętrze, nad pracownią fotograficzną prowadzoną przez chudego *pied noir*, urodzonego w Algierii Francuza, który miał ostrą egzemę, swarliwą żonę Włoszkę i dwóch wyrosniętych synów, pomagających mu w prowadzeniu firmy. Ich pracownia była mroczna i obskurna i wyglądało na to, że w ogóle nie mają klientów.

– Któregoś dnia otworzę tu włoską restaurację – powiedział mi. – W każdym razie to jest to, czego ona by chciała – dodał, wskazując żonę i uśmiechając się smutno.

Na dole znajdowała się też kawiarnia, oblegana przez robotników, którzy wpadali tu na potężne porcje wódki, a za nią główny punkt gier loteryjnych w mieście. Zawsze było tam tłoczno, przychodziły przeważnie gospodynie domowe w średnim wieku z nadzieją, że właśnie dziś los się do

nich uśmiechnie i pozwoli zapomnieć o przykrych wydarzeniach z przeszłości. Nad chodnikiem wisiał widoczny z okna, fluoryzujący termometr pracowni optycznej, który rzucał wzorki na ścianę mojego saloniku, chyba że zamókł od deszczu. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowała się trafiką, którą prowadziła stara kobieta, pozostałość z czasów, gdy Franco przydziałał takie zajęcia wdowom po ofiarach wojny domowej.

Wynagrodzenie, jakie otrzymywałem w szkole, najzupełniej wystarczało mi na życie. Okazało się, że jest to miłe i przyjazne miejsce, i jak podejrzewałem, było najlepszą i mającą najwięcej uczniów szkołą języka angielskiego w mieście. Zajęcia prowadziłem przeważnie późnym popołudniem i wieczorami, więc resztę dnia mogłem poświęcić na wędrówki. Rano szedłem przeważnie na bulwar, żeby zjeść śniadanie, przeczytać gazety i popatrzyć na łodzie wpływające do portu i wypływające w morze. Do zwiedzenia pozostawał zamek, stare miasto, wybrzeże, dzielnica czerwonych latarni, a także dzielnica Cyganów. Wciąż na próżno wypatrywałem jakichkolwiek śladów flamenco, jakiegoś baru, sali koncertowej czy choćby dźwięków tej muzyki płynących przez otwarte okno. Nie było nic.

Od tamtej nocy z koncertem na głównym rynku próbowałem rozwikłać zagadkę wielkiego wrażenia, jakiemu wtedy uległem. *Duende*. Słownik objaśniał tylko, że słowo to znaczy „duszek”, „duch ziemi”, „zjawa” lub też, w kontekście muzyki flamenco, „dusza”. Ale nie przypominało to niczego, co odczuwałem kiedykolwiek wcześniej, i było o wiele bardziej intensywne niż to, co czułem, słuchając jazzu czy bluesa. Kryła się w tym także jakaś tajemnica; niechęć Pedra do powiedzenia mi czegoś więcej tylko wzmogła moją ciekawość. Do tej pory nie poczyniłem jednak żadnych postępów. Najlepszym sposobem byłoby pogadanie z tancerką ze szkoły, Lolą, ale problem polegał na tym, jak ją podejść. Jej szorstki sposób bycia utrudniał rozpoczęcie rozmowy. Co miałbym jej powiedzieć? „Wspaniały występ. Czy pani kostka ma się lepiej?”. Prawdopodobnie nigdy więcej by się do mnie nie odezwała. Większość pracowników

odnosiła się do niej z niechęcią, nawet była przestraszona jej rzeczowym i oschłym sposobem bycia. Wydawało się, że do mnie odnosi się nieco mniej agresywnie, ale jeśli nawet, to jej zachowanie nie zachęcało do nawiązania pogawędki. Obmyślałem strategię, uważając, że nie wolno mi przepuścić takiej okazji, i czekałem na odpowiedni moment. Tak kombinując, zdałem sobie sprawę, że zaczynam patrzeć na tę jej kłującą rezerwę jak na coś pociągającego. Starąłem się wmówić sobie, że ma ognisty temperament, jest uczuciowa, no i bardzo *flamenca*. Miała silny charakter i wyglądało na to, że kipi w niej tłumiona energia. Dostrzegłem to w jej tańcu. Spojrzenia, jakie rzucała mężowi, słabszego mężczyznę na pewno by zdruzgotały. Musiałem z nią porozmawiać.

Spędziłem tydzień na odwlekaniu sprawy i obmyślaniu sposobów, jak doprowadzić do niewinnej wymiany zdań, w końcu jednak problem rozwiązał się sam. Było już późno, szkołę zamykano, i pozostali nauczyciele poszli do domu. Lola była w recepcji sama. Czując, że nadeszła właściwa chwila, złapałem moją szansę.

– Jesteś tancerką, prawda? Tańczysz flamenco?

Podniosła głowę i obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

– *¿Te gusta el flamenco?* Lubisz flamenco? – zapytała. W dziesięć minut potem siedzieliśmy w barze na parterze.

Powiedziałem jej o moim zainteresowaniu, o tym, że przyjechałem do Hiszpanii, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Słuchała bez słowa, spowita dymem z papierosa ducado, i po raz pierwszy zobaczyłem na jej twarzy cień uśmiechu.

– A jak się o tym dowiedziałeś? – spytała w końcu.

– Ale o czym?

– Jak dowiedziałeś się o mnie i o flamenco...

Chciałem móc powiedzieć, że zobaczyłem to w jej oczach, jej rękach, jej ciele, ale opuściła mnie odwaga.

– Widziałem, jak tańczyłaś na Plaza Mayor parę tygodni temu – odpowiedziałem nerwowo.

Otworzyła szeroko usta i wybuchnęła niskim, głębokim śmiechem.

– Więc musisz wiedzieć, jaka świetna ze mnie tancerka – powiedziała. Uśmiechała się, jej brązowe oczy jaśniały ciepłem. – Ale co takiemu *guiro* jak ty kazało jechać taki kawał drogi z Anglii? Tylko flamenco? Czy coś jeszcze? Założę się, że gdzieś czekała na pana jakaś miła mała Maria, co?

Znowu atakowała, a sposób, w jaki wymówiła słowo *guiro* – uwłaczające określenie obcokrajowca – zirykował mnie.

– Nie. Nie czekała. Przyjechałem tylko dla flamenco.

– W takim razie, na litość boską, dlaczego przyjechałeś właśnie tutaj? Do Alicante? To nie jest dobre miejsce. Powinieneś pojechać do Madrytu albo do Sewilli. Ale nie tu. Tu nic nie ma. Nic! – wypluła z siebie.

– Ty tu jesteś – stwierdziłem spokojnie.

Spojrzała na mnie ostro. Zorientowałem się, że popełniłem błąd.

– Mam na myśli to, że kochasz flamenco, i wygląda na to, że jakoś sobie z tym radzisz – powiedziałem.

– To co innego. Moja sytuacja jest inna. Ty jesteś wolnym człowiekiem.

– A jeśli chodzi o tamten występ – powiedziałem – był wspaniały. Jak możesz mówić, że...

– To było coś wyjątkowego. Nie sądzisz chyba, że mamy tu takie rzeczy co wieczór? Oni nie pochodzą z tej okolicy. To moi przyjaciele z Murcji. To pierwsze takie wydarzenie od lat. Miałeś szczęście, to wszystko.

– To była najlepsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

– Naprawdę? – Była szczerze zaskoczona. – Najlepsza? – Roześmiała się i spojrzała w bok. – Zobaczysz lepsze. To dopiero początek. Musisz poczekać. Zobaczysz największych, takich jak Cristina Hoyos, Paco de Lucía, Enrique Morente... – Jej głos zamarł.

– Myślę też, że tańczyłaś bardzo dobrze.

– Co?

– Naprawdę. Był w tym fantastyczny duch. Jak na nieszczęście...

– To był byle jaki występ. Na koszt magistratu. Czego można się spodziewać? Miałam pecha. Ale... dziękuję.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wydawało mi się, że przypomnienie upadku zdenerwowało ją. Żałowałem, że o tym wspomniałem.

– Posłuchaj! – odezwała się – tutaj nie znajdziesz żadnych wielkich przedstawień flamenco. To nie jest Andaluzja ani Madryt. Tutejsi ludzie nie lubią flamenco. To nie jest ich muzyka.

Spojrzałem w bok.

– Posłuchaj – zniżyła głos – mam małe grono przyjaciół, *aficionados**. Niektórzy z nich grają. Spotykamy się od czasu do czasu, żeby się razem pokręcić, ale to nie jest nic poważnego. To wszystko, co mogę ci zaproponować. Ale lepiej, żebyś wyjechał choćby jutro, pojechał gdzie indziej.

* *Aficionado* (hiszp.) – miłośnik, wielbiciel.

Miałem wrażenie, że chce, żebym wyjechał. Czułem jednak, że już trochę się tu zadomowiłem. Nie chciało mi się nigdzie ruszać. Nie teraz.

– Nie – odparłem. – Zostaję.

Uśmiechnęła się i położyła rękę na moim ramieniu.

– Zaczekaj na mnie jutro po zajęciach. Poznam cię z moją paczką.

Wyjechaliśmy z miasta w przygasającym świetle jesiennego dnia, kierując się w głąb łądu między wyrastającymi z czerwonej ziemi oliwkowymi gajami i wydzielającymi ostry, słodki aromat drzewami eukaliptusowymi. Krajobraz był tu zupełnie inny, bardziej zielony, bujniejszy, nie tak jałowy, jak wokół miasta. Pokryte niebieską dachówką kopuły kościołów odcinały się niczym kałuże wody w morzu ciemnej, soczystej zieleni.

Pięliśmy się krętą, pustą drogą, a potem skręciliśmy w pełną dróżkę, która zdawała się prowadzić w otwarte pole. Zapadł zmrok, a w oddali przed nami błyskały jakieś światełka. Dotarliśmy do budynku stojącego na pustkowiu, który wyglądał na niedużą stodołę. Kręciło się po niej kilkanaście osób, rozkładających jedzenie i szkło.

„Stodoła” okazała się rodzajem domu mieszkalnego, przypominającego pasterski szałas. Było tu chłodniej niż nad morzem, toteż w palenisku huczał ogień. Lolę powitały szczere okrzyki radości, ciepłe uściski i wewnątrz wypełniło się spontaniczną i przyjazną energią. Zostałem przedstawiony jako nowy członek klubu. Wszyscy podchodzili do mnie po kolei, żeby przywitać pocałunkami i uściśnięciem ręki. Wyglądali jak zwyczajni ludzie. Niewielu z nich było prawdziwymi *flamencos*, większość znalazła się tu po prostu dla towarzystwa, żeby zobaczyć występy tych, którzy umieli tańczyć albo grać na gitarze. Odciągnęła mnie na bok niska i energiczna, żyłasta kobieta z wylupiastymi oczami, o imieniu Pilar. Obejrzałem się i zobaczyłem, że przy ogniu otoczyła już Lolę grupka mężczyzn.

Pilar zasypała mnie gradem pytań, niczym ogniem zaporowym artylerii. Jak to się stało, że zainteresowałem się muzyką flamenco, skąd jestem, kiedy przyjechałem, jak poznałem Lolę, co robię w Alicante?

Powiedziałem jej, że rozglądam się za nauczycielem gry na gitarze.

– Och! W takim razie musisz pogadać z Juanem – powiedziała. – Juan! Juan! – krzyknęła przez całe pomieszczenie, ściskając mnie za ramię.

Siedzący przy stole mężczyzna podniósł głowę znad szklanki piwa.

– Juan, on chce się uczyć grać.

Juan podniósł rękę i strzelił palcami, przywołując mnie do siebie. Pilar ruszyła za mną.

– Juan – wysapała – powiedział, że lubi gitarę. Rozgląda się za nauczycielem. – Po czym zwróciła się do mnie: – Juan kiedyś uczył, ale od lat już się tym nie zajmuje. No nie, Juan?

Juan kiwnął głową i wskazał mi stojące obok niego puste krzesło. Dla Pilar nie było miejsca.

Spojrzałem na niego. Był niski, miał jasną cerę, czarne włosy i błyszczące jasnoniebieskie oczy. Emanowała z niego melancholia i powaga.

Zabrzmiała muzyka. Mężczyzna po drugiej stronie izby grał na gitarze, podczas gdy cztery czy pięć osób klaskało, wybijając skomplikowany rytm. Lola zaczęła tańczyć.

– Wiesz, co to jest? – zapytał Juan, odwracając się w moją stronę. Odniosłem wrażenie, że nie chce oglądać tańca.

– Nie, nie wiem.

– Nazywa się *bulerías*. Jest to jeden z najtrudniejszych *palos* we flamenco. Jest szybki i szalony. Mówią, że nikt się go nie nauczy, dopóki ktoś wszystkiego nie wytłumaczy. Kiedyś znali go tylko Cyganie. Teraz jest własnością wszystkich.

– Mam ochotę poklaskać razem z nimi – powiedziałem. – Ale nie wiem jak. Za każdym razem, gdy próbuję, myli mi się.

– To normalne... na początku.

– Nauczysz mnie?

Skrzywił się, po czym obrzucił mnie niechętnym, badawczym spojrzeniem.

– Nie uczę od lat.

– Wiem, ale... – Musiałem wymyślić coś na poczekaniu. – Wszyscy mówią, że jesteś wspaniałym gitarzystą.

– Naprawdę? – zapytał podejrzliwie. – Kto?

– Och, Pilar, Lola...

– Lola?

– Tak.

Przez chwilę siedział bez słowa, przyglądając się przyjaciółom. Lola tańczyła z jakimś mężczyzną pośród rosnącej wrzawy. Uniosła sukienkę, rzucając zalotne spojrzenia.

Juan wziął głęboki oddech, a potem, nie patrząc na mnie, dał mi znak, żebym naśladował jego klaskanie.

– To jest rytm na dwanaście – powiedział. – Wsłuchaj się w akcenty. Naśladuj mnie.

W jakiś czas potem podeszła Lola i pochyliła się nade mną, żebym usłyszał, co mówi. Miała skórę mokrą od potu, jej twarz promieniała.

– Podoba ci się tutaj, *guiiri*? – zapytała, dysząc.

Skinąłem głową.

– Widzę, że znalazłeś sobie nauczyciela. – Ruchem głowy wskazała Juana.

Juan nie odpowiedział.

– Przynajmniej taką mam nadzieję.

– To dobrze. Juan jest tu najlepszy.

Juan wstał i poszedł nalać sobie piwa. Obejrzałem się szybko. Pilar nigdzie nie było.

– Właściwie to nie miałem okazji z nim porozmawiać – powiedziałem. – Twoja koleżanka, Pilar...

– Ach, Pilar. Będziesz musiał na nią uważać. Nie wie, kiedy przestać.

Odeszła na środek izby, klaszcząc i wołając do jednego z tancerzy.

Muzyka rozbrzmiewała do późnego wieczoru. Juan wrócił i zaczął mi wyjaśniać różne *palos*: *tango*, *alegría*, *rumba*, każdy o odmiennym rytmie i charakterze. A później, wciąż popijając, także inne: *soleá i seguiriya*, z początku powolna, często ożywiająca się pod koniec w dramatycznej kulminacji.

– Najważniejszy jest *compás*, czyli rytm – mówił. – Od tego flamenco się zaczyna i na tym kończy. Przynajmniej większość tańców. To zależy.

Byłem skołowany.

– Jestem pewny, że świetnie ci pójdzie – powiedział. – Świetnie.

Znowu odezwała się gitara. Lola jeszcze raz znalazła się w środku. Pomyślałem, że jest piękna. Pochyliłem się do Juana.

– *Duende*. Co to jest *duende*? – zapytałem. Roześmiał się.

– Byłeś kiedyś zakochany? – odpowiedział pytaniem. Milczałem.

– *Duende* to miłość – wyjaśnił. – *Duende* znaczy być zakochanym. To przebywać z ludźmi, których kochasz i na których ci zależy. – Urwał na chwilę. – Tak jak w tej chwili.

ROZDZIAŁ DRUGI

Por Rumba

*No estamos locos,
que sabemos lo que queremos.
Vive la vida
igual que si fuera un sueño,
pero que nunca termina
que se pierde con el tiempo.
Y buscaré.*

Nie jesteśmy szaleni,
znamy nasze pragnienia.
Żyć tak
jakby się śniło sen,
który nie kończy się nigdy
i zatraca w czasie.
Będę za nim gonił.

– Flamenco jest organiczne. Jest żywą istotą, która zamieni się w siłę napędzającą twoje życie... jeżeli będziesz wystarczająco pilnie ćwiczył.

Było późne popołudnie, a ja siedziałem w urządzonej w czerwieni mieszkaniu Juana: czerwone ściany, czerwone podłogi, czerwone krzesła, czerwony stół, czerwone zasłony wiszące w oknach o czerwonych framugach.

– Czerwień to kolor flamenco – wyjaśnił Juan. – Kolor namiętności.

Z czerwonego dzbanka nalał do czerwonych filiżanek kawy, po czym wymieszałem ją łyżeczkami, które miały czerwone rączki. Wszystko, począwszy od przedpokoju, a skończywszy na sypialni i łazience, było czerwone. Ale papier toaletowy był różowy.

– No, tak – mruknął Juan, wyglądając na nieco zawiedzionego, kiedy zwróciłem mu na to uwagę.

Mieszkanie było świątynią flamenco. Ze ścian spoglądały na nas fotografie dawnych sław: była wśród nich pieśniarka La Niña de los Peines z wyskubanymi brwiami i posępnym, zagniewanym obliczem, tancerka La Argentinita, muza flamenco z lat dwudziestych i trzydziestych, która zainspirowała Manuela de Falle do napisania sławnego baletu *Czarodziejska miłość*, był Ramón Montoya, pierwszy *flamenco*, który podniósł gitarę

do roli instrumentu solowego – otyły i nieskazitelnie ubrany, jak wszyscy z poprzednich generacji mistrzów flamenco. Juan ustawił w kątach albo rozwiesił na ścianach stare gitary, zupełnie jakby potrzebował czegoś, co przypominałoby mu, kim jest. Nie miałem pewności, czy był to refleks światła, ale mógłbym przysiąc, że niektóre z nich pokryte były lakierem o czerwonym zabarwieniu.

Większą część pierwszych lekcji Juan przeznaczył na pokazanie mi eksponatów flamenco, rozrzuconych po jego mieszkaniu. Wydawało się, że goszczenie kogoś, komu mógł zademonstrować swoje pamiątki, sprawia mu przyjemność, a ja dałem się w to wciągnąć, szczęśliwy, że trudne sprawy związane z rozpoczęciem gry na serio nieco się odwołają. Powiedziałem mu, że miałbym kłopoty z zagranieniem właściwej nuty i że zabieram się do flamenco prawie bez żadnej muzycznej wiedzy. Przypuszczam, że nie chciałem, by spodziewał się po mnie zbyt wiele. Był przyjazny, lecz wyczuwałem w nim ognisty temperament i skłonność do popadania w ponury nastrój, do czego w żadnym razie nie chciałem go prowokować.

Przez cały czas rozbrzmiewała muzyka flamenco. Juan miał setki, a może tysiące nagrań i płyt CD, a cała jedna ściana zajęta była przez wymyślną aparaturę stereo, która była czarna, na szczęście w sprzedaży nie było czerwonych. Wydawało się, że większość czasu spędza na kupowaniu drogich urządzeń, żeby wciąż poprawiać jakość dźwięku. Nigdy nie mogłem dostrzec różnicy, ale on zawsze zachwalał swoje nowe gadżety. Kiedy nie grał na gitarze, przez cały czas z zadziwiającą zręcznością wystukiwał palcami skomplikowane rytmy. Kiedy przychodziłem na lekcję, zawsze ryczała na cały regulator jakaś nowa płyta, a on stukał kostkami palców w drewniany blat niczym maszynistka w biurze.

– Słyszałeś to?! – wołał z entuzjazmem, starając się przekrzyknąć muzykę. – To ostatnie nagranie Carmen Linares. Raz z nią rozmawiałem.

Miła kobieta. Uwielbiam jej śpiew. – W tym momencie odkładałem gitarę i szedłem do kuchni, żeby nalać sobie szklanek wody.

– Mam nowe kable do głośników, ze złota! – krzyczał za mną Juan. – Dają czystszy dźwięk. Więcej serca, więcej uczucia. – I uderzał się w pierś, spoglądając w górę, na czerwony sufit.

Muzyka cichła tylko na czas lekcji, kiedy moje niezdarne przebieranie palcami po strunach wymagało ciszy i jakiejś takiej uwagi Juana. Przy całej swojej miłości do flamenco Juan rzadko okazywał żywą chęć uczenia mnie. Wolał raczej spędzać ten czas na gadaniu – o takim czy innym gitarzyście albo pieśniarzu, a najczęściej o nowych, zbyt technicznych gadżetach do wieży stereo.

– Ej, popatrz tylko na ten elektroniczny wzmacniacz. Fantastyczny. Mówi ci dokładnie, czy wstrzelełeś się w melodię.

Za każdym razem rozpoczęcie lekcji było prawdziwym wyzwaniem. Juan tracił swój dziecienny entuzjazm i stawał się, jak się tego obawiałem, gburowaty i ponury.

– Popatrz, chłopcze, nawet nie trzymasz jej jak należy. Skup się.

Zaczęliśmy od podstaw. Gitarzyści z afiszów na ścianach siedzieli przeważnie w tradycyjnej pozycji, z gitarą opartą na lewej albo prawej nodze, skierowaną ukośnie ku górze, żeby ułatwić dostęp lewej dłoni. Według współczesnej mody należało założyć prawą nogę na lewą, przycisnąć gitarę do biodra, odchylając ją od ciała tak, że gryf był prawie niewidoczny i można było polegać tylko na dotyku i obyciu z instrumentem. Z początku powodowało to napięcie mięśni lewej ręki, którą trzeba było zmusić do przyjęcia dziwacznej pozycji, a prawa ręka wciąż o coś zahaczała, ponieważ opierała się zbyt ciężko na krawędzi pudła. Osiągnięcie doskonałości trwało całe miesiące.

– Pracuj nad tym. Źle to robisz – burczał Juan. A potem, w rzadkich przyływach współczucia, dodawał: – Warto się nad tym pomęczyć. To

daje bardziej swobodne uderzenie. A co ważniejsze – tu zniżał głos i pochylał się ku mnie, żebym lepiej zrozumiał jego mądre słowa – wyglądasz naprawdę super.

Ciężko było czuć się super, wyginając ciało w pozycji, która wydawała mi się zdecydowanie nienaturalna. Pozornie, kiedy spoglądałem w wysokie, oprawione w czerwoną ramę lustro na ścianie, nie wyglądało to tak trudno, ale napięcie rąk i przegubów było nie do wytrzymania. Przyszło mi do głowy, że ćwicząc w tym tempie ułożenie rąk, wkrótce zostanę kaleką. Moje ciało w trakcie gry było jak zmrożone, nawet poza lekcjami prawa ręka przyjmowała pozycję „telefoniczną”: mały palec wystawał dla równowagi, kciuk wyginał się, jakby chciał się oprzeć na najniższej strunie, a środkowe palce zginały się lekko ku środkowi dłoni. Nauczyłem się potrząsać nią jak kołatką, próbując rozluźnić mięśnie i ścięgna.

– Masz za sztywne ręce – jęczał Juan. – Za twarde. Rozluźnij przegub. Zobacz, pomacaj moją rękę.

Robiła wrażenie świeżo zabitego kurczaka; ciepła, miękka, zupełnie do niego niepasująca.

– Dzisiaj przyjrzymy się *bulerii* – oznajmił któregoś popołudnia, kiedy udało mi się w końcu przekonać go, żeby mnie czegoś nauczył. *Buleria*, pierwszy *palo*, który objaśnił mi w trakcie wieczoru w „stodole”. Zaczynałem zdawać sobie powoli sprawę, że flamenco to dużo poważniejsza sprawa niż energiczne wybijanie rytmu przez Gypsy Kings czy przeładowane zdobnikami śpiewanie i granie. Był to odrębny świat, posiadający własną terminologię i zasady. Istniały dziesiątki różnych *palos*, każdy o innym charakterze, wynikającym z odmiennego układu tonalnego, innego rytmu i kroku. Dodatkowy poziom komplikacji tworzyły regionalne style, a to z powodu istniejących między nimi różnic, takich jak, powiedzmy, między *fandango de Málaga* i *fandango de Huelva*.

– *Buleria*. Nazwa pochodzi od słowa *burlar*, co znaczy „dowcipkować”, „wyśmiewać się z kogoś”. Zamyka się w niej coś podstawowego,

esencja flamenco. Słuchając *bulerii*, człowiek czuje się tak, jakby nie bardzo wiedział, dokąd zmierza rytm – oni bawią się nim przez cały czas, ale zawsze pozostają całkowicie wierni regułom. Jest w tym rodzaj magii. Trzeba lat, żeby dojść do takiego mistrzostwa.

Przysłuchiwałem się, jak grał różne *bulerías* i fascynowały mnie one swoim gorączkowym, niezmordowanym rytmem, niemożliwym do naśladowania w tak wczesnym stadium nauki, chyba że Juan liczył głośno, pomagając mi zrozumieć skomplikowane rytmiczne struktury. Było w tym coś cygańskiego, jakaś anarchia, nieprzewidywalność, kluczenie tu i tam, coś nie do uchwycenia.

– To jest naprawdę coś, chłopcze, gramy je zawsze na *juergas*^{*}, czyli wieczorkach flamenco – mówił Juan. – Przypuszczam, że oczekiwałeś ode mnie, że będę cię uczył całego tego chlamu Gypsy Kings, no nie? Prosty *rumbas*, żebyś mógł się popisywać przed dziewczynami? Posłuchaj, jeżeli chcesz się uczyć u mnie, musimy zacząć od najtrudniejszych rzeczy. Łापiesz?

^{*} *Juerga* (hiszp.) – hulanka, pijatyka.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie w czerwonej poświacie. Juan przyglądał mi się – jak siedzę, jak trzymam gitarę. Miałem wrażenie, że chce coś powiedzieć, na jego twarzy malował się wyrzut, powstrzymał się jednak i popatrzył na swoją gitarę.

– Wiesz już, jaki jest rytm.

Zaczął grać, poruszając prędko palcami, i pokój wypełniły hipnotyczne dźwięki. Wydawało się, że robi to ot tak, bez wysiłku. Słuchałem w osłupieniu, błędząc wzrokiem i myślami po twarzach na afiszach. Wciąż jeszcze były chwile, kiedy nie mogłem uwierzyć, że jestem w Hiszpanii i biorę lekcje gry na gitarze u prawdziwego nauczyciela. Zaledwie kilka tygodni temu myślałem, że dokonałem fatalnego wyboru, przyjeżdżając do Alicante, żeby tu rozpocząć moje poszukiwania, lecz nagle wyłądownałem na

czterech łapach i wszystko zaczęło toczyć się prędzej, niż byłem w stanie to uchwycić.

Juan zakończył swój popis ozdobną kadencją. Wpatrywałem się w niego i nie miałem pojęcia, co właściwie przed chwilą zrobił.

– No, dalej! – mruknął, patrząc na mnie surowo. – Twoja kolej.

Poczułem ucisk w żołądku. Co dokładnie mam zrobić?

– Hmm... – zająknąłem się.

– Skoncentruj się, chłopcze. Powinieneś wziąć się do tego poważnie. Mam nadzieję, że przyglądałeś się jak sokół każdemu mojemu ruchowi. Ja gram, ty patrzysz i się uczysz. Tak to ma wyglądać.

Kiwnąłem głową, marząc, żeby znaleźć się gdzie indziej. Po szyi zaczął mi spływać pot.

– Popatrz teraz! Powtórzę to. Ale wiedz, że dziś jestem dla ciebie wyjątkowo miły. Nie spodziewaj się, że w przyszłości będę ci grał jakieś kawałki dwa razy.

Tym razem pochyliłem się nad gitarą, wyężając wzrok i próbując śledzić jego tańczące po strunach palce. Problem polegał na tym, jak podzielić uwagę; tyle samo rzeczy działo się z jego prawą ręką, co z lewą, starałem się więc jak mogłem, ale nie byłem w stanie obserwować obu jednocześnie. W końcu skoncentrowałem się na lewej, stwierdzając, że mógłbym przynajmniej nauczyć się chwytów. Na prawą rękę przyjdzie kolej później.

Juan skończył utwór i podniósł się.

– No dobra, chłopcze. Teraz ty.

Poszedł do kuchni, żeby zapalić papierosa – marlboro, bo jak mówił, miały najbardziej czerwone pudełko – i wstawić wodę na kawę.

– I pracuj nad prawą ręką. Lewa da sobie radę sama.

Znowu błąd. Skuliłem się rozpaczliwie nad gitarą. Moje palce ułożyły się w coś, co wyglądało w przybliżeniu jak to, co widziałem u niego. Wskazujący palec zgiął się dziwnie, żeby dotknąć dwóch strun

jednocześnie. Poczułem przeszywający ból, kiedy zmusiłem go do ułożenia się wbrew jego naturze, podczas gdy struny pod nim wrzynały się w skórę. Krzywiąc się, podniosłem wzrok. Juan stał plecami do mnie.

– Dalej! Nic nie słyszę.

Zacisnąłem zęby i zacząłem przebierać palcami prawej ręki. Rozległ się okropny, martwy dźwięk. Poprawiłem ułożenie palców na gryfie i ból przeszył mi rękę, kiedy struny zaczęły przecinać miękkie opuszki palców. Juan, który stał teraz w drzwiach, spoglądał na mnie surowo. Opanowałem przemożną chęć, żeby się poddać, i nie zwolniłem nacisku. Była mała poprawa – dźwięk wydawały teraz co najmniej trzy struny – ale moje palce były tak obolałe, że zdjąłem dłoń z gryfu i opuściłem ją swobodnie.

– Ejże! Co robisz? Dalej! Następny akord.

Położyłem ręce tam, gdzie były przedtem, mając nadzieję, że będą pamiętać, co dalej. Sprawily mi jednak zawód. Siedziałem zmieszany i bezradny, wzrok Juana palił czubek mojej głowy, kiedy tak nade mną stał. Wybijał stopą rytm, ale nie wiedziałem, czy robi to ze zniecierpliwienia, czy też pokazuje mi nowy rytm, który chodzi mu po głowie. Moja twarz zrobiła się czerwona, jak wszystko w mieszkaniu.

– Dalej, chłopcze.

Przesuwając palce po hebanowym gryfie, gorączkowo starałem się przypomnieć sobie, jak poruszała się jego ręka w czasie gry. Może tak? Nie, ten palec niżej. O jeden próg. O, właśnie. Przycisnąłem strunę palcem wskazującym, czekając na zgrzytliwą kakofonię i pomruk wymówki, która nieuchronnie musiała nastąpić. Moja głowa zawisła nad gitarą. Przez minuty panowało milczenie, wreszcie Juan się odezwał.

– A więc? – zapytał. Z ust zwisał mu papieros. – Na co czekasz? Powtórz to! Dalej. *Compás!* Rytm! Raz, dwa, TRZY, cztery, pięć...

Zacząłem przebierać palcami, żeby nadażyć za jego klaskaniem, i wtedy jakimś cudem załapałem. Podchwyciłem rytm, nawet jeśli dźwięk nadal

przypominał miauczenie kota, któremu wsadzono do tyłka pogrzebacz. Ale Juan ciągnął mnie do przodu i nie chciałem zostać w tyle.

Kiedy nie uczyłem angielskiego, ćwiczyłem na gitarze. Miałem szczęście, że w mieszkaniu pode mną nikt nie mieszkał, a dziewczyna z górnego piętra była albo w pracy, albo na mieście z przyjaciółmi, mogłem więc robić tyle hałasu, ile mi się podobało. A ponieważ hałas ten był zwykle dość nieharmonijny, sprawy ułożyły się niezłe. Za inspirację służyła mi pożyczona od Pedra, podrapana płyta, którą nagrała La Niña de los Peines. Jej śpiew pozwalał mi odtworzyć nastrój tamtej pierwszej nocy podczas koncertu na Plaza Mayor – miałem wrażenie otwarcia i emocjonalnej intensywności, która sprawiała, że wszystko stawało się bardziej szalone.

*Hasla los limones saben
que nos queremos los dos.*

Nawet cytryny wiedzą,
że się kochamy.

Pomrukiwałem razem z nią mauretańsko pobrzmiwające melodie, na próżno próbując ją naśladować. Ale po kilku dniach śpiewania jak zepsuta syrena mgłowa, poddałem się, doszedłszy do wniosku, że moje niehiszpańskie struny głosowe nie nadają się do śpiewania flamenco. Wziąłem gitarę i próbowałem naśladować przynajmniej rytm i akordy. Czy to była *soleá*? A może *tango*? Wciąż trudno mi było rozróżnić poszczególne *palos* i musiałem w tej kwestii polegać na Juanie.

– Jeżeli chodzi o ciebie, chłopcze, to jest to *buleria* – mawiał. – Natomiast dla tej pieśniarki jest to *lorqueña*, ona śpiewa wiersz Lorki. Ale ty nie musisz się tym martwić. *No te preocupes.*

Flamenco było jednym z tych tematów, o których im więcej się dowiadywałeś, tym jaśniej uświadamiałaś sobie, jak mało wiesz.

Tak więc siedziałem w domu, ćwicząc całymi godzinami, skóra na moich palcach powoli twardniała, w miarę jak przyzwyczajały się do naciskania strun.

– Musisz się czuć tak, jakby twoje palce przechodziły w struny i stawały się z nimi jednością – tłumaczył Juan. – Żadnego rozdźwięku między tobą i gitarą. Musisz kochać swoją gitarę.

Na razie wciąż był to obcy przedmiot, bez względu na to, ile czasu spędzała na moich kolanach. Palce Wysilały się, żeby znaleźć właściwe chwytty, i nigdy nie czuły się na właściwym miejscu. Obejrzałem filmy z zawodowymi gitarzystami – rockowymi, jazzowymi, klasycznymi i flamenco – i wszyscy wyglądali tak, jakby instrument był do nich przyspawany. Dałem sobie słowo, że kiedyś i ja będę tak wyglądał.

Nie robiłem systematycznych postępów i często myślałem, żeby się poddać. Starałem się jak mogłem odsunąć te myśli. Kluczowe znaczenie miała dyscyplina. Po to przyjechałem do Hiszpanii. W tamtym okresie nie istniało dla mnie nic innego. No i wciąż na nowo postanawiałem udowodnić samemu sobie, że mogę opanować coś trudnego i warte go wysiłku.

Jeśli miałem lekcję wieczorem, po jej zakończeniu często szliśmy z Juanem na drinka do pobliskiego baru. Był to obskurny lokal, w którym zapach taniego środka do odkażania mieszał się z kwaśną wonią potu i dezodorantu używanego przez Ginésa, właściciela z nadwagą. Juan zawsze zamawiał czerwone wino. Często zaglądała tu Pilar, kobieta z wyłupiastymi oczami z tamtego wieczorku, z jednym lub dwoma przyjaciółmi, których rozpoznawałem. Najczęstszym gościem był Rafael, bankier z Ciudad Real, który wnosił do naszych rozmów interesującą mentalność kolekcjonera znaczków pocztowych. Zwykle było nas troje albo czworo, spotykających się na drinku i pogawędce pod koniec dnia, przed pójściem spać. Co

jakiś czas przychodziła ze szkoły Lola, ale racjonowała swoje wizyty, jakby chciała nadać im większe znaczenie. Jak na spotkania przyjaciół, którzy chcieli pogadać o wspólnych zainteresowaniach, było to dziwnie dobrane miejsce. Żeby się słyszeć, musieliśmy krzyczeć, ponieważ lokal zapełniali mężczyźni grający w domino, którzy często się kłócili i w przystępie złości rzucali kostki na posypaną trocinami podłogę. Nieraz musiałem wydobywać z piwa drewniane opiłki.

Rozmawialiśmy o wszystkim, co tylko miało jakiś związek z flamenco: o najnowszych nagraniach, wspomnieniach wielkich koncertów, stylistycznych różnicach między regionami (jak się wydawało, szybko zanikających), możliwościach tego czy innego pieśniarza. Jednak głównym tematem, który odsuwał w cień wszystkie inne, były kwestie związane z samym flamenco – czym jest i dokąd zmierza.

Historia flamenco składała się z ciągu cykli rozwojowych, w których zbliżało się ono do kultury popularnej i stawało jej częścią, by następnie próbować odnaleźć się na nowo i uchronić od asymilacji i zniknięcia na dobre. Za każdym razem, gdy wydawało się, że flamenco bliskie jest pochłonięcia przez obcy żywioł, z jakiegoś zakątka wyłaniał się nowy ruch, lansujący odmienne brzmienie lub po prostu surową witalność, które łączyły je znowu z jego kontrkulturowymi źródłami. Tak było z dziewiętnastowiecznymi *cafés cantante*, które latami dawały wielu wykonawcom możliwości uprawiania ich sztuki. Jednak te popularne miejsca zaczęły ograniczać i narzucać artystyczną formę, gdyż słuchacze unikali ostrzejszego, bardziej wyzywającego brzmienia *cante jondo*^{*}, czyli głębokiej pieśni, która jest duszą flamenco.

^{*} *Cante jondo* lub *cante grande* (hiszp.) – pieśń głęboka lub wielka – grupa pieśni o poważnym i głębokim charakterze, do dziś uważanych przez wielu Andaluzyjczyków za prawdziwe flamenco. Są to drugie, melodyjne, pełne ozdobników frazy, wykonywane na jednym oddechu, często składające się z kilku wersów, które wielokrotnie powtarzane i przeciągane, mogą wypełnić kilkunastominutowy utwór.

– W tamtym okresie uratowali nas Lorca i de Falla – mówił autorytatywnym tonem bankier Rafael. – W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim zorganizowali oni *Concurso del Cante Jondo*. Ludzie przybywali z daleka, żeby wziąć w tym udział, niektórzy musieli iść tygodniami przez góry. To na nowo rozpałiło flamenco, przywróciło je do życia.

Następne pokolenie wydało kilku największych artystów flamenco wszystkich czasów – La Ninę de los Peines, tancerkę Carmen Amaya. Ale nawet one straciły nieco rozpęd, kiedy Hiszpania otworzyła się i coraz bardziej ulegała zachodnim wpływom. Zaczęły wtedy wykonywać łagodniejszą, rozwodnioną wersję flamenco, którą władze oceniały jako nadającą się dla turystów, zapełniających nadmorskie plaże.

Zbawienie po raz drugi nadeszło ze strony gitarzystów, którzy w końcu zaczęli domagać się należnego im uznania, przechodząc od roli zwykłych akompaniatorów do miejsca na środku sceny. Zaczęło się od Ramona Montoi, zanim Sábicas i El Niño Ricardo zrobili kolejny krok, czyniąc z gry na gitarze – *toque* – element tak samo ważny, jeśli nie ważniejszy niż śpiew, *cante*, i taniec, *baile*. Ludzie ci byli ojcami chrzestnymi nowego brzmienia – *nuevo flamenco* – jakiego słuchamy dziś wszędzie.

Nuevo flamenco było najczęstszym tematem rozmów w barze, podczas których wszyscy głośno wyrażali swoje opinie. Wszyscy z wyjątkiem Juana, który w tej kwestii milczał. Obserwując jego zachowanie na naszych lekcjach, stwierdziłem, że jest otwartym tradycjonalistą, z radością akceptującym nowe pomysły i zarazem przywiązany do tego, co uważał za najlepsze we własnej grze. Czasami pytałem go, dlaczego nie próbuje grać bardziej nowoczesnych rzeczy, ale on robił niechętną minę i unikał odpowiedzi.

Podejrzewałem, że ma po temu jakiś powód. Pewnego wieczoru, gdy Juan opuścił nas wcześniej, Pilar ściszyła głos i opowiedziała nam historię wielkiej miłości jego życia. Nikt nigdy nie dowiedział się, kim ona była,

ani tego, czy wciąż przebywa w Alicante, ale na jakiś czas Juan stał się zupełnie innym człowiekiem. Widzieli to wszyscy, wszyscy znali powód zmiany, lecz on zachowywał milczenie i nikt nigdy nie poruszał tego tematu. Kiedy romans się skończył, Juan zniknął na ponad rok, aż przypadkowe spotkanie na ulicy przyciągnęło go z powrotem do grupy.

– Jednak nie był taki jak przedtem – podsumowała Pilar. – Mówiłam: „Popatrzcie na tego gościa, to ruina człowieka”. To była prawda. Kimkolwiek była ta kobieta, musiała, naprawdę go zranić. A teraz on nie może się od tego uwolnić. Na wierzchu niby się uśmiecha, ale pod spodem... ooo!

Wyobrażałem sobie czasami, jak w emocjonalnym odrętwieniu godzinami słucha tej samej płyty, wciąż od nowa, nie mogąc od niej uciec. Z pewnością nic nie wskazywało na to, że w jego życiu ktoś jest. Nigdy z niczym się nie zdradzał, po prostu grał i mówił o miłości, bo flamenco było dla niego tym samym co miłość.

Mimo iż dostawałem powoli obsesji na punkcie gitary, wciąż znajdowałem czas, żeby zwiedzać Alicante. Znalazłem tu lekkość i radość, które wydobywały mnie z szarości życia, jakie zostawiłem za sobą.

Najbardziej interesująca wydawała mi się stara dzielnica – *barrio* – zbudowana na pozostałościach po arabskim mieście. Był to istny labirynt klasztorów, kościołów, klubów striptizowych, barów, zaniedbanych placzków i domów pomalowanych na jaskrawe niegdyś kolory, a wszystko to połączone brudnymi wąskimi zaułkami, w których unosił się zapach sików. Można było pospacerować starą aleją – teraz wybrukowaną – i zajrzeć do apteki z osiemnastowiecznymi aniołami wymalowanymi na suficie, albo do robotniczej knajpy ozdobionej akcesoriami z walki byków. Trochę dalej znajdował się magistrat z barokowymi spiralnymi kolumnami, a za nim maleńki placzek z nieczynną pompą i latarniami, na których nadal widniał

napis: „London, 1832”. Jeszcze dalej był kościół Marii Panny, wzniesiony na fundamentach dawnego meczetu, który przypominał teraz o sobie łukami w kształcie podkowy. Poniżej, w murach zwróconych ku morzu, nadal ziały dziury po pociskach z czasów wojny domowej. Alicante było jednym z ostatnich miast, które poddały się faszystom, a kiedy nie przyплыły wyczekiwane łodzie, które miały zabrać republikańskich uciekinierów, dziesiątki ludzi popełniły w porcie samobójstwo.

Nieco dalej, zwrócona w kierunku morskiego brzegu, znajdowała się „Twarz Maura”, naturalna formacja skalna przypominająca profil mężczyzny z haczykowatym nosem i w turbanie. Niektóre zakątki starego miasta wyglądały tak, jakby Arabowie nigdy się stąd nie wynieśli. Grupa białych domów, które jeden przy drugim przycupnęły tuż pod zamkiem, wąziutkie uliczki ozdobione tysiącem roślin we wspaniałych donicach z terakoty miały w sobie coś andaluzyjskiego. Widać stąd było większą część wybrzeża i resztę miasta, rozciągającego się we wszystkich kierunkach.

Przyciągało mnie jednak nie tyle samo miasto, ile raczej jego mieszkańcy. Odczuwało się tu prostą przyjemność płynącą z obcowania z innymi ludźmi, z rozmów, pogawędek, spędzania czasu na obserwowaniu przechodniów. Przyglądanie się ludziom było w Hiszpanii dość łatwe – robili to wszyscy, więc rzadko można było się spotkać z gwałtowną reakcją, tak powszechną w Anglii. Hiszpanie odwzajemniali spojrzenie i szli dalej, świadomi tego, że gdy tylko cię miną, twoja uwaga przeniesie się na kogoś innego. Z początku było to niepokojące. Angielska ostrożność i podejrzliwość nakazywała mi wyostrzyć czujność: oni z pewnością czegoś chcą, zamierzają mnie oszukać, zdobyć nade mną nieuzasadnioną przewagę. Uwolniłem się jednak od tych warunkowych reakcji pręcej, niż się tego spodziewałem. Budzące obawę ataki, ostre reakcje czy napady po prostu się nie zdarzały, uczyłem się więc patrzeć na wszystko wokół mnie bez obawy. Nawiazywanie kontaktu z innymi było częścią życia, społeczną

potrzebą. A ponieważ była to potrzeba, musiałem się z nią uporać, zapominając o nieśmiałości.

Pewnego ranka szedłem sobie ulicą niedaleko plaży. Dzień był pogodny, wystarczająco ciepły, aby przyciągnąć parę osób na piasek. Naprzeciwko mnie stała beczynnienie w drzwiach domu potężnie zbudowana kobieta. Podeszedłszy bliżej, uśmiechnąłem się – wcześniej nie byłoby to dla mnie czymś normalnym, prędko jednak przyjąłem miejscowe zwyczaje. W odpowiedzi na mój uśmiech wyszła z drzwi, chwyciła mnie za ramiona i pocałowała w oba policzki, wprost promieniejąc z radości, a potem coś tam potrajkotała o moich jasnych włosach. Ja także się rozpromieniłem. Znowu ścisnęła moje ramię. Poszedłem dalej, a jej rozradowany głos wciąż dzwonił mi w uszach.

Uświadomiłem sobie, że przyjazne zachowanie jest tu najzwyczajszym sposobem nawiązywania kontaktów z innymi ludźmi, co oznaczało, że cokolwiek, od kupienia bochenka chleba do wystania listu, mogło stać się wydarzeniem towarzyskim. Prędko zawarłem znajomość z kasjerem w banku i kiedy wypłacałem pieniądze, on wypytywał mnie, jak mi idzie zadomawianie się w jego pięknym mieście, albo odpowiadał na moje pytania o jakieś gramatyczne szczegóły, których jeszcze nie opanowałem. Człowiek ze stoiska z mięsem w hali targowej opowiadał mi o domu, który budował dla swojej rodziny i siebie na wybrzeżu w San Juan, po czym przechodził do najlepszego sposobu przyrządzania piersi kurczaka z odrobiną oleju i cytryny. Kobieta ze stoiska z kwiatami wyjaśniała, jak najlepiej zabezpieczyć skórę przed słońcem: „Widzi pan, mam kuzyna z północy, który jak pan ma białą cerę...”.

Pewnego ranka poznałem w pobliżu plaży Eduarda. Odznaczał się ufnością i poczuciem humoru, które natychmiast mnie oczarowały. Wyglądał jak uliczny cwaniaczek – *chulo* – miał naturalny dar natychmiastowego rozpoznawania wszelkich ludzi i miejsc, jakie mogły mu się przydać. Nie wielu zdawało sobie sprawę, że, jak to odkryłem później, w rzeczywistości

brakowało mu pewności siebie, że był człowiekiem nerwowym i się jąkał – ta ostatnia cecha dawała o sobie znać wtedy, gdy nad sobą nie panował – a jego urok był maską z trudem wypracowaną przez lata walki z samym sobą. Dał się jednak poznać jako doskonały dziennikarz, przyjazny, niezwykle bystry człowiek, który potrafił wycisnąć prawdziwą historyjkę, z faktów, które chcieli ukryć namierzeni przez niego aferzyści. Nie było miesiąca, żeby w lokalnej gazecie nie ukazał się artykuł podpisany jego nazwiskiem, opowiadający o skorumpowaniu miejscowych władz.

Poznaliśmy się w środku zimy, w momencie gdy zaczynałem czuć, że wszystko ogarnia marazm. Lekcje z Juanem trwały nadal, lecz ja utknąłem w martwym punkcie. Nie robiłem większych postępów, jeśli chodzi o technikę, jak to się zdarzało na początku. Ćwiczyłem godzinami i czułem, że się cofam. Trudniej było mi też znieść lekcje. Teraz, kiedy wiedziałem, jak trzymać gitarę, była to po prostu kwestia wbijania sobie do głowy jednego *palo* po drugim, tydzień za tygodniem, ale nigdy nie udawało mi się wydobyć cudownego brzmienia, które tworzył Juan, kiedy pokazywał mi, co mam robić.

– *Por Dios* – mruczał, gdy tylko zaczynałem grać. – Po kiego diabła przerwałem zasłużony odpoczynek dla takiego głupiego *guiri*?

Grałem dalej, pochylając się w skupieniu nad gitarą, i tylko od czasu do czasu rzucałem mu wściekłe spojrzenia. Aluzje do mojego obcego pochodzenia dopiekały mi do żywego.

„Ja mu pokażę. Ja mu pokażę. Drań”.

Nie udawało mi się też zaprzyjaźnić z Lolą. Całymi miesiącami nie zamienialiśmy prawie słowa. Przez długi czas nie pojawiła się w barze, a w szkole tak często miewała zły humor, że nawet patrząc na nią, czułem się nieswojo.

Za to jeśli idzie o Eduarda, szybko się z nim zaprzyjaźniłem i czułem, że jest on właściwą osobą, która pojawiła się we właściwym miejscu i czasie. Pasjonował się *nuevo flamenco* i przysięgał, że ma wszystkie nagrania

od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego, z pietyzmem skatalogowane w jego komputerze, wraz z uwagami i obserwacjami.

– Wszystko zaczęło się oczywiście w momencie, gdy pojawił się Paco i *Almoraima* – powiedział któregoś wieczoru, kiedy siedzieliśmy pod palmami, popijając na wietrznym bulwarze *horchata* – napój z utartych migdałów z cukrem. Będąc człowiekiem jak najdalszym od niedoceniaenia różnych spraw, poczułem, że chce przekazać mi jakąś ważną informację.

– Co się zaczęło? – zapytałem ostrożnie.

– Paco de Lucia, rok siedemdziesiąty szósty.

Byłem zaintrygowany.

– W siedemdziesiątym szóstym nagrał *Almoraima* i to było to. Łup! On wynalazł flamenco na nowo. Przedtem umierało, było już całkiem nieżywe.

Paco to było wielkie nazwisko, ojciec nowego brzmienia. Pomysł zaczerpnął od muzyków poprzedniej generacji – Sábicasa i El Niña Ricarda – i przekształcił je, wprowadzając elementy jazzu i rocka. Prawdopodobnie najlepiej znany muzyk *flamenco* na planecie, miał coraz szerszą grupę naśladowców poza Hiszpanią, po okresie współpracy z Johnem McLaughlinem i Alem di Meolą w latach osiemdziesiątych. Prawie wszyscy współczesni gitarzyści flamenco mają mu coś do zawdzięczenia, tak wielka była waga przewrotu, jaki zapoczątkował w poprzednich dwóch dekadach. Miał też krytyków – ludzi, którzy uważali, że muzyka została poświęcona dla techniki – ale byli oni w mniejszości. Większość miłośników czciła go i zawsze niecierpliwie oczekiwała jego nowych nagrań, żeby zobaczyć, czy wielki mistrz nie wskaże całej reszcie nowego kierunku.

– Co miałeś na myśli, mówiąc: nieżywe? – zapytałem. – A co z tymi wszystkimi, którzy byli przed nim? Carlos Montoya...

– Carlos Montoya? Nie rozśmieszaj mnie. Czy ty kiedykolwiek słyszałeś Carlosa Montoyę?

– Tak...

– *¡Ese no vale una mierda!* To zwykłe gówno. Nie przeżyłby w naszych czasach. Posłuchaj, jaki on ma *compás*, to się nie trzyma kupy. Nie pilnuje rytmu. Mówię ci, gdyby grał dzisiaj, wygwizdaliby go.

– Och, daj spokój ! Chcesz powiedzieć, że wszyscy, którzy grają dziś, są od niego lepsi?

– Tak. – Jego odpowiedź była tak ostra i pewna, że nie sposób było się z nim spierać.

– Musisz słuchać dużo więcej, synku, jeżeli ciągle jesteś na etapie Carlosa Montoyi. Tomatito, Gerardo Núñez, Pedro Habichuela, to są chłopaki, których powinieneś się trzymać.

Musiałem ustąpić. Wciąż jeszcze za mało wiedziałem o tych sprawach, żeby wszczynać dyskusję z prawdziwym *aficionado*. Poza tym, byłaby to oznaka jeszcze większej słabości, gdybym przyznał, że nie potrafię wyłapać domniemyanych usterek.

– Posłuchaj, synku, jeżeli jesteś zainteresowany muzyką flamenco tak, jak mówisz, musisz dowiedzieć się o niej wszystkiego. Stać się ekspertem. Nie możesz być przez całe życie ignorantem.

Kiwnąłem głową.

– W każdym razie – zakończył – dowiesz się tego dość prędko, flamenco wywiera na ciebie dziwny wpływ.

W ciągu najbliższych tygodni nauczyłem się, ile tylko mogłem, od mojego nowego guru. Juan uczył mnie, jak grać, ale to Eduardo był tym, który miał mi powiedzieć wszystko, co należało wiedzieć o współczesnej scenie: kogo słuchać, kogo unikać, dlaczego ten czy inny muzyk jest taki ważny, kim byli mniej znani gitarzyści, od których wielcy przejmowali niekiedy pomysły. Od tego zaczął się mój kurs wiedzy o flamenco. Dzień wypełniało mi granie na gitarze z Juanem, przegrywanie taśm pożyczonych mi przez Eduarda i słuchanie, do białego rana, jak opowiadał o muzyce. Często przychodził do mnie niezapowiedziany, żeby zrobić mi wykład w drodze

na wywiad z jakimś urzędnikiem, albo spotykaliśmy się w kawiarni nad morzem, a potem siadaliśmy w którymś z nocnych barów w dzielnicy *barrio*. Jego pasja graniczyła niemal z obsesją. Prędko sobie uświadomiłem, że w porównaniu z nim przyjaciele Loli byli zwykłymi amatorami. Eduardo mógł mówić bezustannie i niczego nie lubił bardziej, niż mieć mnie za ucznia, nowo nawróconego na wiarę w świecie, który w jego oczach wciąż coraz mniej doceniał prawdziwe flamenco.

– Być może Paco jest liderem tej całej paczki, ale nie umywa się do swojego ojca. On miał plan zdominowania flamenco; starał się wykształcić wszystkie pięcioro dzieci na profesjonalnych *flamencos*. I prawie mu się udało. Poniósł porażkę przy drugim synu, który skończył, pracując w hotelu w Madrycie czy gdzieś tam. – Zamówił dwa następne piwa. – Nie zrozum mnie źle: Paco jest geniuszem, największym muzykiem swoich czasów, czy aby jednak nie posunął się za daleko? Oto jest pytanie.

– Za daleko w czym? – zapytałem.

– Za bardzo jazzowy, synku, za bardzo jazzowy. Powiedz mi, jak dużo słuchasz tej muzyki?

– Hmm...

– Chodzi o to, że jego ostatnie rzeczy błędzą jakby trochę za daleko, jak na mój gust. Niektórzy to lubią. Ja też. Kocham to. Ale czy to jeszcze jest flamenco? Nie wiem. Dla mnie, no cóż... jego wczesne rzeczy są po prostu fantastyczne, tak, fantastyczne. Oczywiście, niektórzy powiedzą, że zwędził wszystkie swoje pomysły innym, takim jak El Niño Miguel. Ale gdy posłuchasz ich gry, to od razu wiesz, możesz z miejsca powiedzieć, że Paco idzie jak burza, jest niesamowity.

– Potrafisz ich odróżnić, tych dwóch? – wciąż pogrążony w ignorancji, zahaczyłem o coś, co wyglądało mi na bardziej fachową kwestię.

– Pewnie, synku. *Por supuesto*. Dużo bardziej przyziemne brzmienie, nie wszystko na miejscu. Ale El Niño nie miał kontaktów. Nie tak jak Paco.

Nic dziwnego, że nigdy nie stał się wielki. Teraz jest biedny i zapomniany.

Był jednak w nowoczesnym flamenco jeszcze jeden „wielki” i Eduardo czcił go nawet bardziej niż Paca.

– Camarón de la Isla. – Jego głos łagodniał i drżał, gdy wymawiał to nazwisko. Przyszło mi do głowy, że trudno jest odnosić się z entuzjazmem do kogoś, kogo nazywano „Krewetką z Wyspy”.

– To największy pieśniarz, jaki kiedykolwiek żył. I gdziekolwiek. Innym śpiewakom czasami się to udawało, ale on, on... – Jego oczy nabrały dziwnego wyrazu, było w nich szaleństwo i zdumienie.

– Ale co?

– To. *Duende*.

Wyprostowałem się. No właśnie, czym było dla Eduarda *duende*? Co to takiego?

Rzucił mi spojrzenie, które mówiło, że mogłem równie dobrze zapytać go, czy nie cierpi na hemoroidy. Powoli wyciągnął z kieszeni kasetę i podał mi ją.

– Idź do domu i posłuchaj tego.

Wróciwszy do domu, puściłem taśmę. Camarón miał dużo wyższy głos, niż się spodziewałem, sądząc po zdjęciu na okładce: jasnowłosa mężczyzna o jaszczurczej twarzy i promiennych żywych oczach. Ale gdy tylko zabrzmiała muzyka, zrozumiałem podziw Eduarda. Miał jedyny w swoim rodzaju głos, w którym brzmiał poruszający do trzewi bezgraniczny smutek. Nawet kiedy śpiewał weselsze utwory, na przykład *Alegría*, w jego głosie była melancholia i ból. Z tego, co powiedział mi Eduardo, wynikało, że miał wybuchowy charakter, był Cyganem i trudnym człowiekiem, a jego życie odzwierciedlało namiętność jego sztuki. Podejrzewano, że był alkoholikiem i narkomanem. I co nietrudno przewidzieć, umarł młodo na jakąś tajemniczą chorobę. Ludzie podejrzewali, że może na AIDS, ale nikt nie

miął pewności, wiedzieli tylko, że stracili największego *flamenco* swojej generacji, człowieka, który zyskał nieśmiertelność.

– Taki gość jak on rodzi się raz na sto lat – powiedział Eduardo, kiedy zwracałem mu kasetę. – Może już nigdy nie będzie drugiego takiego. To jest Złoty Wiek, Złoty Wiek, mówię ci. Łap go, bo wkrótce się skończy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Por Sevillanas

*Me dió unos zapatitos
del ala de mi sombrero.
Muy fino y muy flamenquito,
que es muy flamenco,
mi zapatero.*

Zrobił mi buciki
z ronda mojego kapelusza.
To zmyślny chłop i chwyt nad chwaty,
jednym słowem bardzo *flamenco*,
ten mój szewc.

Camarón de la Isla

– To gazeta z klasą. Cholerna biblia dla większości miejscowych.

Redakcja „Costa Gazette” usadowiła się na wybrzeżu, mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Alicante, w turystycznej mekce Benidorm, które to miasteczko było wcześniej urokliwą wioską rybacką, ale prędko utraciło pierwotny charakter, gdy odkrycie jego szczególnie „mikroklimatu” zapoczątkowało turystyczny boom. Z nastaniem lat pięćdziesiątych zjawili się tu miejscy planiści i trzy eleganckie zatoki zamknięto w betonie i poprzecinano prostymi jak strzała ulicami.

W Alicante było niewielu obcokrajowców, cieszyłem się więc prawdziwym hiszpańskim życiem. Gdybym przeniósł się do Benidormu, oznaczałoby to, że zdradziłem Hiszpanię, prawie jakbym wrócił do Anglii. Ale Eduardo nalegał, żebym spróbował sił w dziennikarstwie. Mówił mi, że potrzebuję czegoś więcej, poszerzenia horyzontów. Samo uczenie się gry na gitarze nie wystarcza.

Eduardo parę razy spotkał się z Barrym, redaktorem „Costa Gazette”. Gazeta często przedrukowywała materiały z lokalnych hiszpańskojęzycznych dzienników, tłumacząc i streszczając artykuły, żeby zapełnić strony, istniało więc coś w rodzaju długu wdzięczności. Zamierzaliśmy po prostu

pokazać się tam i zaproponować współpracę. Jednak kiedy kupiłem w kiosku egzemplarz gazety, zacząłem się zastanawiać, czy to rzeczywiście taki dobry pomysł. Była to dziwaczna mieszanka lokalnych doniesień, wyników amatorskich rozgrywek kręglarzy i łagodnej pornografii. Nie przypuszczałem, żebym mógł się tu łatwo dopasować. Ale zaczynałem po trochu rozumieć, co miał na myśli Eduardo. W jego oczach być człowiekiem typu *flamenco* oznaczało, z grubsza biorąc, że jest się zdolnym, jeśli to możliwe, do wpasowania się w każde środowisko i w każdym momencie. Praca w charakterze dziennikarza byłaby etapem na obranej przeze mnie drodze.

– Każdy *palo* jest inny, ma odmienny charakter – powiedział – i za każdym razem, gdy go grasz, wychodzi inaczej. Jako gitarzysta będziesz musiał umieć się dopasować, wnosząc to, co konieczne w danym momencie, żeby tancerki i pieśniarki, którym będziesz akompaniował, mogły się jak najlepiej zaprezentować. Ty sam też możesz się podciągnąć.

Wydawało mi się dziwne, że praca w lokalnym szmatławcu przeznaczonym dla moich krajanów miała mi pomóc stać się człowiekiem *flamenco*, ale tak powiedział mój guru, więc posłuchałem go posłusznie, choć kierowała mną także ciekawość.

Postanowiliśmy urządzić sobie całodniową wycieczkę. Wyruszyliśmy starym dymiącym *trenetem*, który sapał, jadąc w górę i w dół wzdłuż wybrzeża, telepiąc się tak powoli, że zakrawało na cud, iż zdołał dojechać gdziekolwiek. Otaczali nas Niemcy, Szwedzi, Holendrzy i Anglicy, pławiący się w tak bardzo pożądanym zimowym promieniach. Wiszące nisko blade słońce mocno świeciło nam w oczy, odbijając się w połyskującym dole morzu, w miarę jak brnęliśmy powoli skalistym wybrzeżem. Naprzeciwko nas siedziała przebywająca tu dłuższy czas Angielka i jej przyjaciel, który przyjechał do niej mniej więcej na tydzień. Nie zauważyłem Pulpety

cienia angielskiej rezerwy: żadnego szeptania, by nie przeszkadzać innym pasażerom i zachować prywatność; podnosiła nieświadomie głos, starając się przekrzyczeć warkot silnika i tuzin innych głosów, wypełniających wagon. Hiszpania, jak się wydawało, miała na cudzoziemców niemały wpływ.

Pociąg trząsał się, mijając zabudowane obszary Alicante, dom Pedra, San Juan i dalej, wzdłuż klifów górujących nad przejrzystymi wodami Morza Śródziemnego. Wyglądając przez okno, miałem wrażenie, że aż do tej chwili nie rozumiałem określenia „morski błękit”. Przed oczami miałem nieskończoną rozmaitość barw, rozkoszne, zmienne odcienie turkus i purpury, kontrastujące ostro z żółcią, bielą i zielenią skał i drzew.

Tuż przed dotarciem do celu wsałaty konduktor, w czapce z daszkiem i koszuli, przy której brakowało guzika, przyszedł, żeby sprzedać nam bilety. Eduardo i ja zapłaciliśmy bardzo niechętnie, poirytowani, że mało brakowało, a mielibyśmy jazdę za darmo. Szkot mruknął coś pod nosem, wręczając banknot o dużym nominale, który jego zdaniem powinien wystarczyć. Angielka naprzeciwko nas wysilała się za pomocą gestykulacji, łamanej hiszpańszczyzny i wyraźnego, głośnego wymawiania angielskich słów, żeby wyjaśnić, o jakie bilety jej chodzi. Konduktor nie mógł zrozumieć jej paplaniny, a przynajmniej nie dawał po sobie poznać, że coś pojmuje. Wtrąciliśmy się z Eduardem i przetłumaczyliśmy wszystko. Kiedy zaafekowany konduktor poszedł dalej, kobieta pochyliła się w naszą stronę.

– Wiecie, mieszkam tu od dwudziestu lat, lecz wciąż nie jestem w stanie wydukać słowa.

Nic dziwnego, że mieszkający tu Anglicy potrzebowali własnej gazety.

Redakcja „Costa Gazette” znajdowała się przy wąskiej uliczce, odległej nie więcej niż o sto metrów od morskiego brzegu, w niskim budynku, wciśniętym między strzeliste wieżowce, przy których trzepotały na wietrze

pomarańczowe i zielone markizy. Wspięliśmy się po ciemnych schodach, wchodząc do czegoś, co wyglądało na pensjonat wybudowany tanim kosztem i sprawiający wrażenie, że w każdej chwili może się zawalić. Zupełnie jakbyśmy wchodzili do domku z kart.

Redakcyjne pokoje były obskurne. W recepcji, za poobijanym, starym biurkiem siedziała kilkunastoletnia dziewczyna i z nadąsaną miną pakowała gazety. Nie powiedziała ani słowa, wskazała tylko kciukiem, żebyśmy weszli do głównego pokoju. O mało nie upadłem w wejściu, zaczepiwszy nogami o dziury w brudnym brązowym dywanie. We wszystkich możliwych miejscach leżały sterty papierów, wycinków z gazet i negatywów. Pokój był mały i ciasny, ściany odrapane. Wszystko miało mdły, niemożliwy do określenia kolor. Kilka osób podniosło wzrok, sprawdzając, co zakłóciło panującą tu monotonię, i stwierdziwszy z ulgą, że nie stanowimy żadnego zagrożenia, wróciło do swoich zajęć.

W chwilę potem podeszła do nas uśmiechnięta kobieta w okularach o grubych szklach i z północnoangielskim akcentem zapytała, czym może służyć. Eduardo wyjaśnił, że chcemy porozmawiać z redaktorem naczelnym. Spodziewaliśmy się, że każe nam wrócić później – redaktorzy to w końcu bardzo zajęci ludzie – ale ku naszemu zaskoczeniu zostaliśmy od razu poprowadzeni do boks, przypominającego drewnianą oszkloną klatkę w kącie głównego pomieszczenia. Ściany ozdabiały fotografie biuściastych kobiet. Odniosłem wrażenie, że niektóre z nich widziałem w egzemplarzach gazety, które przeglądałem przed przyjściem tutaj. Powitał nas mężczyzna w średnim wieku, w jasnożółtej jedwabnej koszuli i o zaspanych znudzonych oczach.

- Eduardo, mój chłopcze, zawsze oglądam cię z przyjemnością. Uścisnąłem mu rękę.
- Barry – mruknął pod nosem.
- Usiedliśmy, tonąc w kącie niskiej sofy.
- Czym mogę szanownym panom służyć?

Eduardo wziął sprawy w swoje ręce, mówiąc szybko, dosadną hiszpańszczyzną, co w jakiś sposób wyrównywało siły. Wyjaśnił, że wpadł tu, żeby przedstawić znajomego, dziennikarza o długim stażu, który rozgląda się za pracą w Hiszpanii. Siedziałem spokojnie, starając się robić budzącą zaufanie minę, podczas gdy moja uwaga, przenosząc się z dolnych wypukłości na górne, skupiona była na pięknościach z fotosów.

– A więc jakie ma pan doświadczenie zawodowe?

Próbowałem coś powiedzieć, ale Eduardo przerwał mi, pospiesznie angażując swój niezrównany dar przekonywania. Wyjechał z dopracowaną listą nieprawdziwych danych, wymieniając szczegółowo moje osiągnięcia zawodowe – redaktora uniwersyteckiej gazety, kontakty na Fleet Street. Zatkąło mnie, kiedy usłyszałem, że jestem mężem jednej z jego koleżanek po fachu.

– Och, to wspaniale! – W zaspanych oczach Barry'ego pojawił się błysk radości.

– No dobra, Jason. Będę szczęśliwy, jeżeli wpadnie pan tu za parę dni albo za tydzień na okres próbny – wycedził powoli. – Ale mogę płacić tylko zwyczajną stawkę: pięć peset za wiersz.

Znowu o mało się nie zakrztusiłem. Czy on żartuje? Dwa pensy za wiersz? Do porządku przywołał mnie Eduardo kuksańcem pod żebra. Grzecznie kiwnąłem głową i rozmowa dobiegła końca. Uścisnęliśmy sobie ręce i wyszliśmy.

Byłem zadowolony, że stamtąd wyszedłem. Niepokoiło mnie dziwne spojrzenie Barry'ego, podczas gdy moja uwaga oscylowała między rozmową i niewiarygodnych rozmiarów biustem kobiety na fotosie i jej cytrynowo-zielonymi stringami. Eduardo próbował przekonać mnie do nowej pracy.

– Nie martw się, synku. Wkrótce zaczną cię prosić o jeszcze i jeszcze. I stawka pójdzie w górę. Za parę miesięcy poczujesz się tu jak u siebie w domu.

Tydzień potem wróciłem, żeby przepracować mój pierwszy dzień.

Przedstawiono mnie Jonathanowi, jedynemu dziennikarzowi, który miał tu cały etat. Ten szczupły mężczyzna o wąskich ramionach, miłym sposobie bycia i trudnym do ukrycia strachu w oczach, zastępował też w redakcji chłopca na posyłki, zapewniając stały dopływ piwa San Miguel. Wypalał osiemdziesiąt papierosów dziennie. Jego nikotynowy nałóg był tak silny, że cała jego rodzina poleciała kiedyś na wakacje na Florydzie przez Islandię, żeby mógł puszczać swobodnie dymka na środkowym Atlantyku.

Jonathan był jednak dobrym dziennikarzem. Pracował przedtem w różnych lokalnych pismach w Anglii i pewnego razu zdobył sławę, odkrywając powiązania policji z bandą przemytników w Gibraltarze. Zdjęcia, które zrobił, omal nie kosztowały go życia, a uciekając przed gangsterami, zgubił notatnik, który z czasem zyskał mityczną sławę. Powiadano, że „gdyby tylko Jonathan nie zgubił notatnika”, można by było dzwonić bezpośrednio do wszystkich osobistości, od króla Juana Carlosa do burmistrza Marbelli. Obowiązki rodzinne zmusiły go do znalezienia stałego zajęcia, toteż skończył jako kierownik działu wiadomości w „Costa Gazette”. W ciągu najbliższych miesięcy wtajemniczył mnie w arkana zawodu.

– A więc, chłopcze, pokaż mi swoje paznokcie.

Nie była to dobra lekcja. Odwołałem jedną sesję z powodu zajęć w gazecie i Juan nie zdziwił się zbytnio, kiedy podałem mu przyczynę.

– Och, rozumiem. Latasz po okolicy jak głupi *guiro*, podczas gdy ja próbuję nauczyć cię czegoś poważnego? No więc?

Chyba nie myślisz, że zrezygnowałem z emeryturki, żeby zajmować się głupstwami?

Mimo że to Juan uczył mnie gry na gitarze, w moim pojęciu bliższy pozycji mojego prawdziwego nauczyciela flamenco był Eduardo, który zachęcał mnie do szybszego poznawania takich rzeczy, jak historia, regionalne odmiany i elementy filozofii, mówiące o tym, co to znaczy być

prawdziwym *flamenco*. Juan wprowadzał mnie w techniczne arkana gry, ale czułem, że to Eduardo potrafi pokazać mi, co to wszystko znaczy. Potrzebowałem ich obu i za wszelką cenę chciałem uniknąć konfliktu. Jednak teraz Juan zaczął być bardziej wymagający. Nie było już prostych *rumbas*, a *bulerías* ustąpiły miejsca bardziej „zabawnym” kawałkom. Juan spodziewał się teraz, że moje palce zdobędą się na wyczyny, które zawsze uważałem za niemożliwe. Na każdych zajęciach wyjeżdżał z garścią niewiarygodnie skomplikowanych chwytów, których miałem się nauczyć. Musiałem wyginać rękę w coraz to bardziej męczących pozycjach i byłem pewien, że ból, jaki odczuwam, sprawia mu radość.

– Dość już tych Gypsy Kings – powiedział. – Od dziś gramy poważne flamenco. Ponieważ zadałeś się z tymi *guiris* z Benidormu, będziesz pewnie chciał grać *verdiales* albo *sevillanas*, cały ten chłam dla turystów.

Podniosłem oczy. Pomimo miesięcy ćwiczenia ciągle wydawało mi się, że tak naprawdę nie potrafię zagrać niczego, czego ktokolwiek chciałby posłuchać – jeśli przedtem mu nie zapłacę albo nie podam silnych środków usypiających. Ale *verdiales* i *sevillanas* to były wspaniałe utwory na spotkania towarzyskie, takie, do których pewnie klaskano by u cioci na imieninach.

– Lepiej o nich zapomnij – powiedział. Jęknąłem. – Czas na *soleá*, Matkę Pieśni.

Nazwa *soleá* pochodzi prawdopodobnie od śpiewaczki wykonującej ludowe flamenco, nazywanej *soledad* (oba „d”, i tak zmiękczone w wymowie hiszpańskiej, znikają niemal całkowicie, kiedy wymawiają to słowo Andaluzyjczycy lub Cyganie). Powolny i emocjonalny utwór, który często opiewa samotność, od której wziął nazwę, stanowi wraz z innymi *palos*, takimi jak *seguiríya*, *polo* i *caña*, kręgosłup „głębokiej pieśni”, *cante jondo*. Najważniejsze we flamenco jest śpiewanie, i właśnie głęboka pieśń, jak

zapewni was każdy *aficionado*, jest istotą autentycznego flamenco; to serce, dusza i fundament całej tej sztuki, niedostępny niewtajemniczonym, styl, który bardziej niż inne wywoła *duende*. Ten śpiew zbliża słuchacza do owego intensywnego pierwotnego przeżycia, które wydaje się echem minionych, bezpowrotnie utraconych czasów.

„Głęboka pieśń jest nasycona tajemniczym kolorytem pierwotnych czasów”, stwierdził dobitnie Lorca podczas wykładu na festiwalu w Grenadzie w roku 1922. „Jego nuty niosą naga, budzącą dreszcz emocjonalność pierwszych orientalnych ras”.

Palos, które nie należą do kategorii „głębokiej pieśni”, często są określane lżejszymi terminami, jak *cante medio* (pieśń średnia) albo *cante chico* (pieśń dziecięca), a czasami nawet jako *cante flamenco*, tak jakby pieśń głęboka była czymś zupełnie odmiennym od flamenco. Wszystkie one mogą wytworzyć *duende* na swój własny sposób, ale w kołach wykonawców flamenco z głęboką pieśnią łączy się powszechne przeświadczenie, że *jon-dura* – głębia – szczególnie w *seguiriyi*, nadaje jej status arystokraty wśród wszystkich rodzajów pieśni.

Są śpiewacy specjalizujący się w pieśni głębokiej i tacy, którzy śpiewają głównie *tarantas* albo *tangos*. Jednak od gitarzysty oczekuje się, że z łatwością włączy się do każdego *palo*, że po minucie gry wolnej i przepęt-nionej emocjami przejdzie do szybkiej, rytmicznej i wesołej.

Juan zaczął grać posępnie, z wyrazem bólu na twarzy, odliczając głośno takt na dwanaście, w miarę jak melodia zrywami posuwała się do przodu.

Słuchałem w napięciu ze wzrokiem wbitym w gitarę, skupiając się na jego technice. Jednak inna częśćka mojej świadomości przeklinała go. Jego humorzastość zaczynała mnie irytować. W tym akurat momencie nie chcia-łem się uczyć *soleá*. Nie czułem się w tym dobrze i w duchu pragnąłem,

żebyśmy robili coś innego. Tak więc, gdy nadeszła moja kolej, żeby zagrać to, co właśnie usłyszałem, moje palce zaczęły niezdarnie trącać górne struny w skomplikowanym podwójnym arpeggio.

– No właśnie. Pokaż rękę.

Przestałem grać i niechętnie wyciągnąłem w jego stronę prawą dłoń.

– W porządku. Podejrzywałem, że problem polega właśnie na tym. Dobrze, odłóż gitarę.

Zakłopotany, zrobiłem, co kazał. Minęła dopiero połowa lekcji. Było to niezwykle zachowanie, nawet jak na niego. O co chodzi? Czyżby z moimi rękami działo się coś niedobrego? Może zamierzał mi powiedzieć, że mam poważny problem z palcami, co oznaczałoby, że nigdy nie nauczę się grać na gitarze. Z wahaniem włożyłem instrument do futerału i odwróciłem się.

– No dobra, chłopcze, reszta tej lekcji będzie poświęcona paznokciom; jak się nimi zajmować, jak je piłować, wzmacniać i tak dalej.

Roześmiałem się z ulgą.

– Hej! Z czego się śmiesz? Myślisz, że żartuję?

Pokręciłem głową z posłuszną miną.

– Niektórzy gitarzyści znani byli z tego, że wpadali w szal, gdy złamał im się paznokieć. Mojemu nauczycielowi ktoś obciął paznokieć podczas snu i ten omal nie zjarał temu gościowi chałupy. Policja zatrzymała go na ulicy z bombą zapalającą.

Znowu się roześmiałem.

– Mówię poważnie. O, popatrz na moje. – Wyciągnął przed siebie rękę. Była szczupła i muskularna, miała wypielęgnowane paznokcie, żaden z nich nie był zdeformowany, wszystkie błyszczały lakierem, a paznokieć kciuka spiłowany był pod kątem, który umożliwia lepsze oparcie na strunach. Skóra była miękka i biała, jakby nigdy nie dotykała strun: żadnych zadrapań, żadnych zgrubień.

– Teraz popatrz na swoje. – W odróżnieniu od jego rąk moje wyglądały jak ręce zamiataacza ulic. – No tak. Pozwól, że ci pokażę, co robić.

Przez następną godzinę piłowaliśmy, Majstrowaliśmy, lakierowaliśmy, znów opiłowywaliśmy, spryskiwaliśmy, chuchaliśmy i w ogóle folgowaliśmy sobie niczym dwie dziwki po wypłacie. Gdyby Juan kiedykolwiek potrzebował dodatkowego zajęcia, byłem pewien, że znalazłoby się dość ludzi, którzy wydaliby majątek na tego rodzaju zabiegi. Zamienił zwyczajną pielęgnację paznokci w rzemiosło, dorównujące konserwacji dzieł sztuki. W pewnej chwili myślałem, że nauczę się przyklejania do paznokci cienkich płatków jedwabiu, żeby je wzmocnić, i będę miał fach w ręku. Ale po wielokrotnym wyginaniu i stukaniu Juan doszedł do wniosku, że moje paznokcie są wystarczająco zdrowe.

– Bądź ostrożny, gdy otwierasz blaszane puszkę i tego rodzaju rzeczy – mówił. – Zacznij używać do zwykłych czynności lewej ręki. Prawa ręka jest święta.

Oszołomiony, kiwnąłem głową, choć ogarnęły mnie wątpliwości. Na liść boską, ja tylko chciałem grać na gitarze. Ale on jeszcze nie skończył. Do pełnej doskonałości brakowało kilku subtelnych szczegółów. Wszystko zależało od kształtu paznokcia i od tego, jak miał się do reszty palca. Każdy paznokieć mógł wyglądać inaczej, jak w przypadku mojej nieszczęsnej ręki. Juan piłował, ja układałem rękę w pozycji do gry na gitarze, on wołał: „Eee!”, piłował znowu, ja układałem rękę, znowu piłowanie – czasami tylko jedno pociągnięcie pilnikiem – potem znowu do gitary. I tak bez końca.

– Zawsze piłuj w tym samym kierunku. Inaczej, katastrofa! – W jego głosie nie było ironii. – I nigdy, przenigdy ich nie obcinaj, bo będzie źle.

Skończyliśmy wreszcie i, ku mojemu zaskoczeniu, arpeggia były teraz dużo łatwiejsze. Z miejsca uwierzyłem, że to ma sens.

- Dzięki, Juan – powiedziałem – nie miałem zielonego pojęcia...
- W porządku. Ale teraz musisz sam o nie dbać. Dobra? Musisz nauczyć się kochać swoją rękę, swoją prawą rękę. Lewą też. To są twoje narzędzia. Bez nich nie będziesz mógł grać naszej pięknej muzyki.

Telefon. Pożar w hotelu w Benidormie. Polecono mi udać się na miejsce i przeprowadzić rozpoznanie – miał to być mój pierwszy prawdziwy reportaż. Wziąłem notes i aparat, dotarłem do hotelu, minąłem ochroniarzy i zobaczyłem, że wszyscy goście leżą nad basenem, jakby nic się nie stało. Z pewnością nic nie świadczyło o tym, że wybuchł tu pożar. Parę osób powiedziało mi, że w jednym z pokoi zapalił się kosz na śmieci, więc ewakuowano wszystkich na kilka minut, i na tym się skończyło. Zrobiło mi się słabo. A miał być reportaż.

– Z jakiej jesteś gazety, kochasiu? – zapytała mnie starsza pani z Liverpoolu. Pomyślałem, że mam okazję zareklamować mojego chlebowodawcę. No i zdobyć nową czytelniczkę.

– Z „Costa Gazette”. Jest to...

– Nigdy o niej nie słyszałam. Powinieneś pracować dla porządnej gazety, takiej jak „Sun”.

Wróciłem do redakcji. Nie było mnie dwie godziny. Na Barrym nie zrobiło to wrażenia.

– Nie spieszyłeś się. Zrobiłeś sobie spacer po plaży, co? Ale nie mam o to pretensji. He, he. – Po czym lubieżnie zatarł ręce.

Wyjaśniłem, że miałem kłopoty, ale zrobiłem kilka świetnych wywiadów.

– Nie powinieneś zadawać sobie aż tyle trudu – powiedział Jonathan. – Zwykle sami przygotowujemy takie materiały.

W miarę upływu kolejnych tygodni stopniowo zapoznawałem się z mrocznym światkiem lokalnego dziennikarstwa i jeszcze bardziej mroczną społecznością moich rodaków. Powstawały tu całe subkultury, w ramach

których każda narodowość miała własne szkoły, księgarnie, gazety, biura podróży, lekarzy, prawników – wszystko, co pozwalało uniknąć zadawania się z miejscowymi. Jak mówił Barry, gazeta była dla czytelników biblią, absolutnie konieczną lekturą, żeby funkcjonować w środowisku, które odbierano jako wrogie. Był to rodzaj rasizmu, głęboko zakorzeniony przesąd, że w gruncie rzeczy wszyscy „południowcy”, Portugalczycy, Hiszpanie, Włosi, to przekupni, podejrzani łajdacy, gotowi naciągać Bogu ducha winnych cudzoziemców. Ci zaś nie przyjechali tu, żeby podziwiać miejscowych ludzi czy ich kulturę, ale ze względu na klimat – ciepłe, suche zimy – i robili, co mogli, żeby odtworzyć na tym wybrzeżu życie, jakie prowadzili we własnym kraju. Brytyjskie podziały na klasy społeczne obowiązywały i tutaj. Torrevieja, na południe od Alicante, i do pewnego stopnia także Benidorm, były gettami klasy pracującej, w których osiadali ludzie mający niewiele więcej od państwowej emerytury i szukali tu lepszego życia. Miasta na północ od Benidormu – Altea, Jávea i Moraira – były rezerwatem grającej w golfa klasy średniej i zawodowych elit. Ale nawet oni nie mogli rywalizować z krzykliwym bogactwem Costa del Sol...

Jednak Hiszpania przynajmniej pod jednym względem brała odwet na Anglikach, którzy posługiwali się slangiem, tworzonym z dobieranych najwyraźniej na chybił trafił, źle wymawianych hiszpańskich wyrazów. Spotkałem się z tym po raz pierwszy, kiedy zadzwoniłem do angielskiego właściciela baru w Benidormie, żeby poznać szczegóły włamania poprzedniej nocy.

– Nie ma wielkich szkód – powiedział. – Ale żeby się dostać do środka, musieli wyłamać rackersy.

– Rackersy?

– Tak, kolego. Porządnie je uszkodzili, tak, tak. Wstawienie nowych będzie mnie kosztować niezłą sumkę.

Usłyszałem zduszony chichot Jonathana, który siedział naprzeciwko

mnie. Nie miałem pojęcia, o czym mówi właściciel baru.

– No, a gdzie w takim razie były te rackersy? – zapytałem.

– Do cholery, tam gdzie zawsze! A gdzie miały być? – Po czym trzasnął słuchawką. Odwróciłem się do Jonathana, który konał ze śmiechu.

– Co to są te rackersy, do cholery? – prychnąłem.

– To *rejas* – odparł, ocierając łzy. – Miał na myśl *rejas*, kraty w oknach.

Zrozumiałem w ułamku sekundy. Hiszpańskie słowo, wymawiane „rekhas”, zostało zangielszczone na „rackers”. Przekonałem się, że znajomość angielskiego i hiszpańskiego może mi nie wystarczyć. Musiałem nauczyć się trzeciego języka, żargonu, którym posługiwali się przybysze z Anglii. Przez parę miesięcy podłapałem tyle, ile mogłem. Okazało się, że o domach mówi się tu zawsze „cazers” (*casas*), zwłaszcza o tych na wsi, które stawały się w ten sposób „cazers del campo”. Nie mieszkało się tu nigdy na osiedlu, czyli *estate*, ale w „urbanisation” (*urbanización*), skąd śmieciarze wywozili „bazura” (*basura* – śmieci), a co jakiś czas następowały odwiedziny „alcaldy” (*alcade* – burmistrz), który przychodził z „ayuntamiento” (*ayuntamiento* – magistrat). Jeśli miało się ochotę na drinka, największe skupisko angielskich barów w Benidormie znajdowało się na „Cally Londreez” (*Calle Londres*). To ostatnie kosztowało mnie wiele minut szukania na planie miasta, na którym usiłowałem znaleźć coś, co przypominałoby dźwięk wydawany przez kobietę po drugiej stronie słuchawki. W końcu Jonathan po raz kolejny zlitował się nade mną i skierował mnie na właściwy trop.

Przyszedłem sam do baru Ginésa. Juan nie mógł tu wstąpić tego wieczoru, a kiedy zobaczyłem, że nie ma nikogo z naszego małego kółka, stwierdziłem, że czeka mnie spokojny wieczór. Usiadłem przy barze i zamówiłem brandy. Gdyby w czasie potrzebnym na jej wypicie nikt się nie zjawił,

poszedłbym zwyczajnie do domu.

Starsi panowie grali jak zwykle w domino i szurali butami po posypanej trocinami podłodze, wierząc się na krzesłach. Ich głosy podnosiły się i opadały niczym krążące stado ptaków.

Opróżniłem kieliszek i odwróciłem się, by wyjść, ale w tym momencie ktoś trącił mnie w łokieć. Była to Lola.

– Co powiesz na drinka? – zagadnęła.

Uśmiechnąłem się i zamówiłem jeszcze dwie brandy. Ucieszyłem się, że ją tu widzę, z daleka od szkoły.

– Wolalabyś usiąść przy stoliku? – zapytałem.

– Nie, zostańmy tutaj. – Przyciągnęła barowy stołek i usiadła koło mnie. – Nudzi mnie robienie w kółko tych samych rzeczy.

Siedzieliśmy blisko siebie, popijając, a na jej ustach błąkał się niepewny uśmieшек.

– Twój mistrz nie mógł wpaść? – zapytała po chwili.

– Nie, Juan musiał...

– Jak ci idzie nauka? – przerwała mi.

– Sam nie wiem. Trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że Juan zdrowo mnie ciśnie.

– Myślałam, że może... – Urwała i wydawało się, że zapomniała, co chciała powiedzieć. Odgarnęła z oczu kosmyk ciemnorudych włosów.

– Zdaje się, że nikt inny dzisiaj nie przyjdzie – powiedziałem.

– Tak. Czasami się to zdarza. Chociaż to ja jestem zwykle osobą, która się spóźnia. Pilar tego nie lubi. Uważa, że powinnam bardziej się przykładać. Ale ona nie ma pojęcia, jak to jest.

Przyglądałem jej się, gdy mówiła: odrzuciła włosy do tyłu, na lekko zaokrąglone ramiona, odsłaniając duże, złote kolczyki, dotykała palcami wydatnego nosa, a jej głębokie, figlarne oczy niespokojnie błędziły po pomieszczeniu. Wyglądała na znudzoną albo pogrążoną w melancholii,

choć jednocześnie promieniowała energią niczym rozżarzony węgiel, czekający tylko, by wybuchnąć płomieniem.

– Nie ma pojęcia, jak co wygląda? – zapytałem.

Westchnęła, odczekała chwilkę, po czym spojrzała mi twardo w oczy.

– Ona nie ma pojęcia, jak to jest, kiedy w domu czeka mąż *antiflame-nquista*. – W jej głosie pobrzmiwał żal, że los jest tak nieuchronny, a ja miałem wrażenie, że oboje przekraczamy pewien próg.

– O czym ty mówisz?

– Chodzi o Vicentego. Twojego szefa, a mojego męża. – Czekałem. – Nienawidzi flamenco. Nie może go znieść. Zawsze tak było. – Urwała na chwilę. – I nie może ścierpieć, że ja mam z tym coś wspólnego. Mówi, że nie powinnam tańczyć, próbuje powstrzymać mnie od przychodzenia do tego baru i brania udziału w naszych małych wypadach na wieś. Nienawidzi tego.

Pochyliła twarz na kieliszkiem i włosy opadły jej na oczy. Nie byłem pewien, czy nie płacze.

– Nie rozumiem.

Prychnęła pogardliwie i podniosła głowę.

– Vicente... Vicente uważa się za intelektualistę. Mówi, że tradycyjna Hiszpania, folklor, tego rodzaju rzeczy, to barbarzyństwo. Ale oni wszyscy zapatrzeni są we Francję i Anglię – szczególnie w Anglię – jak w ucieleśnienie wszystkiego, co dobre. Hiszpania niedobra, Anglia dobra.

– Co takiego?

– Och, nie przejmuj się, *guiri*. On uważa, że jesteś fantastyczny. Prawdę mówiąc, jest trochę zakłopotany twoim zainteresowaniem flamenco, ale myśli, że to tylko przemijające oczarowanie Europejczyka z północy prymitywnymi południowymi kuzynami. Ma nadzieję, iż sam zorientujesz się, że zbłądziłeś, może przy jego pomocy. Ma wobec ciebie plany.

Docierała do mnie tylko połowa z tego, co mówiła. Byłem zaskoczony jej szczerością.

– Nie rozumiem... Jak to się stało, że ty i on... – Zawahałem się, czy dokończyć pytanie. Wydawało się, że wypytywanie o takie sprawy to zbytnia poufałość.

– Tak. Dobre pytanie. Sama się o to pytam. Znam oczywiście odpowiedź. Ale... – Dopija swoją brandy i zamówiła dwie następne.

– Masz jeszcze ochotę, prawda?

Skinąłem głową. Dwa kieliszki zadzwoniły na metalowym blacie baru. Lola pochyliła się, sięgając po serwetkę, i musnęła lekko ramieniem moją pierś. Otarła usta, po czym zgmiotła serwetkę w twardą kulkę i rzuciła na podłogę.

– Tańczyłam wcześniej, niż nauczyłam się chodzić – powiedziała, zapalając papierosa i zaciągając się dymem pełnymi wargami. – Miałam wtedy wszystko: ojca z jego starymi nagraniami, matkę, która uczyła mnie kroków w kuchni. Miałam być tancerką, dobrą tancerką. Wszyscy mówili, że mam to we krwi.

– Jesteś dobrą tancerką.

– Zaplanowali to tak: miałam pojechać do Madrytu, studiować, tańczyć, zostać profesjonalistką. – Wzruszyła ramionami.

– I co się stało?

– Poznałam Vicente'go. – Pociągnęła łyk z kieliszka. – Zaszłam w ciążę, gdy miałam siedemnaście lat. A to przeważnie oznacza dla tancerki koniec kariery. – Roześmiała się cicho. – Wciąż jednak mogłam dopiąć swego. Wciąż mogłam zostać tancerką, może nie zawodową, ale wiesz, tańczyć tu i tam. Ale on powiedział, że powinnam siedzieć w domu. Potem ta szkoła, i... cóż, jest jak jest. – Opuściła głowę. – Zażądałam rozwodu – powiedziała cicho.

Byłem zarazem zakłopotany i podniecony tym, że zdradza mi tak intymne szczegóły. Moje zakłopotanie ustąpiło jednak prędko zaskoczeniu, że jej obraz, jaki sobie zbudowałem, roztapia się i znika na moich oczach: ta silna, dumna kobieta, budząca strach we wszystkich, którzy ją otaczali, okazała się bezwolną istotą, złapaną w pułapkę.

– Muszę już iść. – Podniosła głowę i popatrzyła na mnie. – Jestem też matką, nie zapominaj o tym.

Zapłaciliśmy i wyszliśmy na dwór, w kałuże światła rzucanego przez uliczne latarnie, żeby pokonać razem wspólny odcinek drogi. Szliśmy w milczeniu, dotykając się ramionami. Kiedy dotarliśmy do rogu ulicy, odwróciła się w moją stronę, robiąc krok do tyłu, jakby zbliżanie się do mnie było niebezpieczne.

– Idę tam – powiedziała. Skinąłem głową. Kiedy rozchodziliśmy się po naszych towarzyskich spotkaniach, całowaliśmy się zwykle w policzek, ale tym razem zawahała się. Kołysała się do tyłu i do przodu, jakby nie mogła się zdecydować.

– Czy myślisz... – zacząłem.

– Zobaczmy się jutro w szkole – rzuciła, a potem odwróciła się i ruszyła w dół ulicą. Popatrzyłem za nią, jak szła, wdzięcznie kołysząc biodrami.

Było późno i bardzo spokojnie. Wtorek. Jeden z dwóch wieczorów, podczas których miejscowi imprezowicze odpoczywają. Przewodniki po Hiszpanii podają zawsze liczby pokazujące, że jest tu więcej barów na metr kwadratowy niż ludzi, a w Madrycie więcej kawiarni niż na całym świecie. Nie pamiętam tych liczb, ale wrażenie, jakie pozostawiają, jest ogólnie rzecz biorąc prawdziwe. Trudno znaleźć ulicę, przy której nie byłoby jakiejś dziury, gdzie można coś wypić, a zwykle jest ich kilka, i znajduje to odbicie w nocnym życiu. Zabawa zaczyna się w czwartek, ponieważ tak naprawdę piątkowy kac właściwie się nie liczy. Potem są oczywiście noce z piątku na sobotę i z soboty na niedzielę. Ta ostatnia przeciąga się zwykle do poniedziałku rano, ponieważ jak już się nabierze rozpędu, to czy warto zadawać sobie trud i wyhamowywać? W gruncie rzeczy poniedziałkowe kace też się nie liczą. Prawdziwy twardziel uważa, że można poimprezować także i w poniedziałkowy wieczór. Jednak Hiszpanie nie upijają się

jak Anglicy. Alkohol to tylko środek prowadzący do celu, jakim jest dobra zabawa. A dla tak gorącej i towarzyskiej rasy urasta ona do rangi religii, więc spędzanie nocy w łóżku uważa się tu za odszczepieństwo, i tylko wytrwali całonocni balangowicze mają zagwarantowane miejsce w Królestwie Niebieskim. Prawdziwy weekend w Hiszpanii to wtorek i środa – jedyne dni, podczas których można odpocząć, uchylanie się od religijnych obowiązków jest usprawiedliwione.

Wracając do domu pustą aleją wysadzaną palmami, słuchałem echa moich kroków, odbijających się od budynków po drugiej stronie. Dotarłszy do drzwi wejściowych, przystanąłem. Zza rogu wyszła jakaś kobieta, taszcząca materac. Zapytałem ją, dokąd idzie.

– Mój dom jest zaraz za rogiem – powiedziała z silnym francuskim akcentem. – Mógłby mi pan pomóc?

Złapałem za koniec materaca i ruszyliśmy. Zajmie mi to pięć minut, pomyślałem. Przed północą będę z powrotem.

Skierowaliśmy się w stronę rynku, maszerując w milczeniu i starając się utrzymać w rękach stary materac, który wciąż nam się wymykał. Czułem kurz, który unosił się z niego obłoczkami i łaskotał w nosie. Minęliśmy rynek, potem bank i weszliśmy na Rambla, szeroką ulicę prowadzącą ku plaży. Nie bardzo za rogiem, pomyślałem, ale pewnie już dochodzimy.

– Mieszkam tutaj, w *barrio* – powiedziała. Zagłębiliśmy się w uliczki starego miasta. Miałem zmęczone ręce, a pot sprawiał, że moje dłonie robiły się jeszcze bardziej śliskie. Miałem wrażenie, że niosę ogromną rybę. No i kim jest ta dziwna drobna Francuzka? Z pewnością nie jest zbyt rozmowna. Czułem się oszukany. Za cały ten wysiłek należy mi się chyba pogawędka.

– Stary ten materac, i ciężki – zauważyłem.

Kobieta nie odpowiedziała.

Szliśmy dalej wąskimi uliczkami, obok barów, małego kina, przez zniszczony placik. Dokąd zmierzaliśmy? Powiedziała przecież, że to blisko. Zacząłem żałować tego aktu miłosierdzia.

Weszliśmy na strome wzgórze, gdzie stała grupka białych domów u stóp zamku, i zagłębiliśmy się w rejony, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Na popękanych ścianach widać było w blasku księżyca rozmazane graffiti, napisane w języku, którego nie rozumiałem. Spociałem się z wysiłku, przeklinając w duchu kobietę, która wykorzystwała moją gotowość niesienia pomocy. Gdzie, u diabła, ona mieszka? Może w ogóle nie ma mieszkania i rozgląda się za miejscem, w którym mogłaby się rozłożyć na noc?

Doszliśmy wreszcie do rzędu małych domków na skraju starego miasta, na tyłach zamku.

– To tutaj – powiedziała. Jej dom był ostatni w rzędzie. Doszliśmy do drzwi, położyliśmy materac na ziemi, po czym kobieta weszła do środka, żeby zapalić światło.

– Dziękuję panu. Teraz dam już sobie radę. – Stałem bez ruchu. Wydawało mi się, że zachowałbym się dziwnie, gdybym po prostu odwrócił się na pięcie i odszedł. Czułem, że coś mnie z tą kobietą połączyło, jeśli nawet przeklinałem ją przez większą część drogi. Zauważyła moje wahanie.

– Chce pan wejść?

– Nie, myślę...

– O, proszę. Niech pan weźmie moją wizytówkę. Może pan tu przyjść, kiedy pan zechce. – Sięgnęła do kieszeni i wręczyła mi naddarty kawałek papieru, na którym było napisane: „Christine. Medium”.

Wróciłem tam pewnego popołudnia w następnym tygodniu, usprawiedliwiając moją wizytę myślą, że ta kobieta jest mi coś winna. Może przeopowie mi przyszłość?

Przywitała mnie obojętnie i gestem zaprosiła do środka.

Mieszkanie było małe, pomalowane na biało i ozdobione marokańskimi kilimami, hinduskimi szalami i słodko pachnącymi świecami. Na ścianach wisiały symboliczne przedmioty: egipskie krzyże, pentagramy, pacyfki.

Po jakimś czasie kobieta wyszła z kuchni, niosąc napar rumiankowy.

– Proszę – powiedziała. – Nie mam nic więcej.

Siedzieliśmy w milczeniu na jaskrawych poduszkach rozłożonych na podłodze. Przyszedłem tu, ale nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

– Materac się przydał? – zapytałem.

– Słucham? Och, tak. Materac jest świetny.

Patrzyła na mnie, a raczej intensywnie się we mnie wpatrywała. Próbowałem się skoncentrować na ozdobach na ścianach i książkach na półkach. Dzieła poświęcone uzdrawianiu, magii, mistycyzmowi.

– Mogę powróżyć panu z kart, jeśli pan chce – powiedziała nagle.

– Dobrze. Pewnie. – Z ulgą przyjąłem fakt, że coś zaczęło się dziać. Tak prędko piłem herbatę, że sparzyła mi gardło.

Wręczyła mi talię dużych kart i poprosiła, żebym je potasował.

– Zakładam, że jest pan heteroseksualny? – Z powodu jej niewyraźnej wymowy słowo to zabrzmiało dziwnie.

– Hmm, tego... tak – odpowiedziałem, trochę speszony.

– Wie pan, w tych czasach lepiej zapytać. Nigdy nie wiadomo, rozumie pan.

– Oczywiście.

– Mogłabym natrafić w kartach na pana partnerkę czy partnera, i nie wiedziałabym, czy to on czy ona.

– No nie, „ona”, oczywiście.

Rozłożyła karty na podłodze i zaczęła się koncentrować. Popatrzyłem na nie. Nie ma karty oznaczającej śmierć, co za ulga. Ale co oznaczają pozostałe? Ja widziałem tylko przypadkowy układ.

– To, co uderza – zaczęła – to to, że ma pan wiele dodatnich cech, ale tutaj – walnęła się mocno w pierś – tutaj jeszcze pan nie dorósł. Po względem emocjonalnym. – Urwała na chwilę, a potem dodała: – Jest pan niedojrzały uczuciowo.

Jej słowa zadudniły we mnie jak dzwon, zakłopotany, oparłem się wygodniej o poduszki. Jak można być niedojrzałym uczuciowo? Wydawało

mi się, że to dziwny pomysł. Z pewnością człowiek rośnie i się rozwija. Dzieje się to samo przez się, prawda? Może jednak nie? Gdzieś głębiej, jakaś część mojej świadomości zrozumiała, co miała na myśli ta kobieta. Czy nie był to w końcu jeden z powodów, dla których byłem w Hiszpanii, kraju, w którym uczucia były najważniejsze? Czy to nie ciepło, wylewność Hiszpanów były tym, co mnie tu trzymało, co w pierwszym rzędzie przyciągnęło mnie do flamenco i do tego kraju?

– Czuje się pan tak – ciągnęła Francuzka – jakby wszechświat popychał pana do związku z kobietą, kobietą, którą pan zna. Ale decyzja należy do pana. Dla wszechświata nie ma znaczenia, czy pan to zrobi, czy nie.

Skupiłem na niej całą moją uwagę.

– Być może będzie pan cierpiał, to też zależy od pana. Wkrótce przyjdzie rozpacz. W następnym roku. A także zmiana. Nie rozpoznaj pan swojej przyszłej osobowości.

Zebrała karty.

– Na razie to wszystko. Muszę pana poprosić, żeby pan już sobie poszedł.

Podniosłem się i wygładziłem ubranie, wciąż oszołomiony tym, co mi powiedziała. Kiedy wyszedłem z jej mieszkania przypominającego jaskinię, na chwilę oślepiło mnie słońce. Odwróciłem się, żeby powiedzieć „do widzenia”, ale drzwi już się za mną zamknęły.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Por Alegrías

*¡Ay Dolores,
como huele
tu cuerpo a flores!*

Ach, Dolores,
twoje ciało
pachniało jak kwiaty!

– Namiętności nie można rozkazywać. Musi przyjść sama we właściwym czasie.

Siedziałem w saloniku Juana na czerwonej sofie i stroiłem gitarę. W mieszkaniu unosił się stęchły zapach papierosowego dymu. Nie rozpoczęliśmy jeszcze lekcji i Juan ciągle był w dobrym nastroju.

Zaczynałem odkrywać, że w nastrój poszczególnych *palos* wczuwałem się w zależności od mojego własnego nastroju i stanu uczuć: w melancholijność *taranty*, w wesołość *alegrii*, seksualną energię *tanga*. Eduardo mówił mi już o tym, ale chciałem usłyszeć, co na ten temat sądzi Juan.

– Jak można wykonać *palo* na życzenie? Flamenco to sposób życia, a nie coś, co można stworzyć ot tak. Każdy, kto myśli inaczej, jest głupcem. Flamenco to miłość, namiętność. To nie jest coś, nad czym możemy zaplanować strzeleniem palcami.

Po miesiącach słuchania podobnych sentencji czułem, że jestem bliski zrozumienia, o co mu chodzi.

– Wszystko stanie się jasne, gdy zaczniesz lepiej grać – dodał.

Dość teorii, trzeba wrócić do grania. Popatrzyłem na gitarę. Nie robiłem postępów krok po kroku, jak tego oczekiwałem. Wydawało się, że następują skokowo, jeśli w ogóle...

– W końcu gitara stanie się twoją *novia*, narzeczoną – mówił Juan. – Będziesz ją kochał bardziej niż jakąkolwiek kobietę. Gitara jest bardziej wrażliwa i dopóki będziesz ją dobrze traktował, nigdy cię nie zdradzi.

Przez kilka pierwszych miesięcy robiła wrażenie obcego przedmiotu, dziwnego, zimnego, lakierowanego pudła, które było niewygodnie trzymać i które zawsze mnie odrzucało i odpychało. Byłem jednak uparty, zmuszając ją do zajęcia swojego miejsca, a moje ręce i palce błądziły po niej centymetr za centymetrem, szukając prawidłowej pozycji. Zaczęło to nabierać symbolicznego znaczenia: nachodziła mnie myśl, że zaakceptuje mnie tylko wtedy, gdy stanę się *flamenco*. Często godzinami trzymałem ją na kolanach, nie grając, tylko przyciskając do siebie, ogrzewając ją moim ciałem, opierając ręce na jej zakrzywieniach, patrząc przez okno albo przeglądając notatki do lekcji angielskiego, jaką miałem tego wieczoru. Mówiłem sobie, że to przyjdzie z czasem. Prawdziwe umiejętności wymagają poświęcenia i ciężkiej pracy. I tak to ciągnąłem, spędzając godzinę za godziną na powtarzaniu ćwiczeń, trenując ręce do wykonywania nowych i skomplikowanych zadań, aż powoli zacząłem czuć instrument.

Najtrudniejsza jest technika prawej ręki i współcześni gitarzyści flamenco są z niej dumni. Lewa ręka tworzy melodię, wydobywając akordy i pojedyncze dźwięki, ale prawa ręka jest ważniejsza, tworzy rytm, uderzając w struny i w korpus złożonymi zwinnymi ruchami. Gitary flamenco mają zwykle przytwierdzoną do płyty rezonansowej plastikową płytkę, która chroni drewno, kiedy grający wybija mocno rytm serdecznym palcem. Dawniej śpiewacy akompaniowali sobie sami, gitara stanowiła muzyczne i perkusyjne uzupełnienie śpiewu. Z czasem, w miarę jak rozwijał się zarówno śpiew, jak i gra, obie specjalności uległy rozdzieleniu, i obecnie bardzo rzadko można spotkać artystów, którzy robią obie te rzeczy.

Ćwiczyłem, siedząc w saloniku na białym, plastikowym, składanym krześle, a o wychodzące na morze okna ocierały się poruszane wiatrem

gałęzie palm, tworząc na zakurzonych szybach wirujące wzory. Zgięty nad gitarą, uderzałem struny szybko jedna po drugiej, ćwicząc akordy, *rasgueo*. Z początku kosztowało mnie to sporo wysiłku; moje palce nie były przyzwyczajone do niezależnego działania, ale stopniowo zaczęły się rozluźniać i wzmacniać, więc ból się zmniejszał. A ja odczuwałem satysfakcję, gdy po raz pierwszy w życiu, mając przed oczami swoje odbicie w szklanych drzwiach do sypialni, obserwowałem poszczególne mięśnie napinające się na przedramieniu. Każdego dnia próbowałem ćwiczyć różne techniki na przemian, spędzając dwie godziny lub więcej na poprawianiu *triple*, bocznego tremolanda z przegubu, z udziałem kciuka i środkowego palca, albo *picado*, szybkiego szarpania strun palcami wskazującym i środkowym. Nadchodziła noc i często wpadałem w rodzaj transu, tracąc poczucie czasu. W końcu rzucałem się na łóżko koło trzeciej, czwartej nad ranem.

Przez cały poprzedni tydzień ćwiczyłem *rondenę*. *Palo* ten został tak nazwany od Rondy, ładnego miasta usadowionego na krawędzi urwistego wąwozu w górach Andaluzji. Wymagał on przestrojenia gitary, polegającego na obniżeniu szóstej struny na D i trzeciej na Fis, żeby stworzyć głębokie, bogate, nastrojowe i natychmiast rozpoznawalne brzmienie. Tę *rondenę* skomponował Juan, kiedy mieszkał w Sewilli koło wieży Giralda.

– Był to wspólny okres w moim życiu – powiedział. – I tacy cudowni ludzie.

Grałem ją prawie bez przerwy, mając umysł zajęty spotkaniem z Lolą w barze. Nie byłem pewien, czy iskra, która przeskoczyła między nami tamtego wieczoru, była tylko wytworem mojej wyobraźni, bo kiedy spotkaliśmy się w szkole, nie miałem okazji z nią porozmawiać. Jej surowa, profesjonalna postawa sprawiała, że nawet gdy patrzyliśmy na siebie, co zdarzało się rzadko, nie było nic, żadnych oznak zbliżenia, żadnego przekraczania barier, które wcześniej, jeśli nawet tylko na chwilę, zdawały się znikać. Znajdowałem się w obcym kraju, tutaj ludzie inaczej traktowali pewne

sprawy. Być może w Hiszpanii mężczyzna i kobieta mogli doświadczać tego rodzaju intymności bez nadawania jej odmiennego – tego jedyne – znaczenia. Byłem młody, niedoświadczony i starałem się usilnie zrozumieć kwestie, z którymi nie miałem do czynienia w Anglii. W tym zakłopotaniu, a częściowo także po to, aby uciec od dręczących mnie niepokojów, rzuciłem się w muzykę i w utwór Juana. Siedziałem w domu, grałem godzinami na gitarze, próbowałem zatracić się w emocjonalnej warstwie utworu, a moje myśli skupiały się wyłącznie na Loli.

Rozpoczęliśmy lekcję i od niechcenia zagrałem pierwszy akord. Często na początku lekcji drżały mi palce. Juan nie wahał się nigdy przerwać mi niemal natychmiast pierwszą wymówką, jakby w proteście, że musi uczyć. Ale dzisiaj było inaczej. Przez następną minutę grałem w zupełnej ciszy, choć zwykle słyszałem jakieś chrząkanie, pomruki zniecierpliwienia lub po prostu polecenie, żeby przerwać i zacząć od nowa. Nie mogłem spojrzeć w górę, wciąż jeszcze musiałem koncentrować uwagę na strunach, ale coś mi mówiło, że po raz pierwszy moja muzyka płynie z wnętrza, nie tylko spod palców, jak to miało miejsce do tej pory, i że wciągnęło to także Juana.

Grając, nuciłem cicho melodię, ze wzrokiem utkwionym w strunach. Czułem, że moja gra poprawiła się w wyniku nieustannego ćwiczenia, i oczekiwałem jakichś oznak uznania ze strony Juana. Pomimo koncentracji uświadomiłem sobie mgliście, że skądś dobiega jakaś inna muzyka. W pierwszej chwili myślałem, że to może być sąsiad albo włączono głośniki w barze. Powoli sprawa się wyjaśniła: to była jeszcze jedna gitara, bardzo łagodna, niemal niesłyszalna. Rzuciłem szybko okiem – Juan zaczął mi towarzyszyć. Było to niezwykle, gdyż, jak wiedziałem, *rondeñas* to solówki. Grał czarodziejskie, fascynujące akordy, jakich nie słyszałem nigdy dotąd. Pasowały doskonale. Jego palce poruszały się bez wysiłku po gryfie, przesuwając się i rozciągając w niezrozumiałych kombinacjach

dźwięków, dopasowując się do mojej gry, bez prowadzącego rytmu. W normalnej sytuacji nie byłoby możliwe podążać za mną, doganiać mój rytm, wczuć się ze mną w utwór. Ale to był rodzaj komunii, intuicyjna więź, która pozwalała nam grać unisono i tworzyć coś większego niż nasze indywidualne partie. Kiedy utwór się skończył, spojrzeliśmy na siebie.

– *Ole* – powiedział powoli i cicho. Czuję, że jeżą mi się włosy na karku. Juan podniósł się i poszedł do kuchni zaparzyć kawę. Odłożyłem gitarę i stanąłem przy oknie, spoglądając w dół, na ulicę. *Ole*. Nigdy dotąd tak się do mnie nie odezwał. Było to coś bardzo bliskiego pochwały.

– Zdaje się, że lubisz czarną.

Zapalił gaz, żeby podgrzać dla siebie mleko. Ogień zaczął przypalać resztki jego obiadu i w mieszkaniu rozszedł się zapach smażonego czosnku.

We flamenco słowo *ole* wymawia się w szczególny sposób, zwykle z akcentem na pierwszą sylabę. Tylko na walkach byków słyszy się *ole*, z naciskiem na ostatnią literę. Wymagana jest tu zarówno techniczna znajomość muzyki, jak i intuicyjna. Wykrzyknijcie je, albo jego ekwiwalenty – *arsa*, *eso es* – w niewłaściwym momencie, a zostaniecie, w najlepszym wypadku, co najmniej przepędzeni śmiechem za drzwi. Istnieją nawet fani *flamenco*, którzy specjalizują się w precyzyjnym używaniu tych wykrzykników – nazywają się *jaleo*. Stoją albo siedzą z boku sceny, próbując pomóc śpiewakowi albo tancerzowi, by jego występ był jak najlepszy. *Vamos ya*, „no, śmiało”, służy jako zachęta. *Ole* zarezerwowane jest na tę szczególną emocjonalną kulminację, na moment *duende*.

– Chyba się zakochałeś – powiedział Juan, podając mi kawę. Zaczerwieniłem się i udałem, że nie dosłyszałem. Nie naciskał i usiedliśmy, żeby kontynuować lekcję.

Po jakichś dziesięciu minutach spędzonych na wygładzaniu paru miejsc i dyskusji nad tym, co moglibyśmy robić na następnej lekcji, rozległ się dzwonek do drzwi. Juan znikł w przedpokoju, żeby otworzyć.

– *Hombre!* – wydał zduszony okrzyk zaskoczenia.

– Cześć, Juan. – To była Lola. – Przepraszam, że cię nie uprzedziłam. Akurat byłam w pobliżu i chciałam pożyczyć od ciebie wideo z Belén Maya. – Mówiła ostrym głosem, takim samym, jakiego używała w szkole.

– Tak, tak, oczywiście – powiedział Juan. – Zaczekaj chwilę. – Pomknął do drugiego pokoju, tak samo jak ja zbity z tropu jej nagłym pojawieniem się. Siedziałem jak skamieniały z gitarą w rękach, nie wiedząc, co robić. Wydało mi się dziwne, że Juan nie zaprosił jej do środka. Dlaczego tu przyszła? Pożyczenie kasety nie było zbyt wiarygodnym pretekstem. Czy powinienem dać jej do zrozumienia, że tu jestem? Zastanawiałem się, jak zareaguje. To mogła być wielka szansa.

Nie musiałem jednak niczego robić. Zanim Juan wrócił, stanęła w drzwiach, posłała mi uśmiech obramowany rudymi lokami i pozdrowiła mnie milcząco. Odpowiedziałem uśmiechem zaskoczenia, szukając na jej twarzy jakiegoś znaku. Puściła do mnie oko i wróciła do drzwi wejściowych. Przez cały czas wiedziała, że tu jestem.

Juan przeszedł koło mnie z taśmą.

– Proszę – usłyszałem jego słowa. – Nie wiedziałem, że wciąż jeszcze się uczysz.

– Nigdy nie przestajemy się uczyć, Juan. *Adiós.*

W chwilę potem już jej nie było.

Podniosłem się najszybciej jak mogłem i schowałem gitarę do futerału. Pomyślałem, że jeśli się pospieszę, może ją dogonię, ale musiałem to zrobić ostrożnie, żeby sprawa nie wydała się zbyt oczywista. Zwłaszcza po jego wcześniejszej uwadze. Juan wrócił do pokoju, a z jego twarzy nie zniknął wyraz zakłopotania. Jej wizyta nie była czymś normalnym i wydawało się, że stara się domyślić, co mogła znaczyć. Korzystając z jego

rozkojarzenia, zapłaciłem za lekcję i zacząłem zbierać się do wyjścia. Zamieniliśmy kilka słów – dzięki za lekcję, o tej samej porze za tydzień, zadzwonię do ciebie – po czym ruszyłem do drzwi, przez cały czas walcząc z pokusą puszczenia się biegiem. Uścisnęliśmy sobie ręce na do widzenia i kiedy drzwi się zamknęły, rzuciłem się pędem po schodach, objając futerał gitary o wąskie ściany. Musiałem ją dopędzić. W którą stronę mogła pójść?

Dotarłem do holu i wyszedłem z mroku na jasną ulicę, przepełnioną zapachem gorącej smoły i pary unoszącej się w miejscu, w którym robotnicy kładli nowy asfalt. Lola stała z papierosem w ręku po drugiej stronie. Najwyraźniej na mnie czekała.

– Chodź – powiedziała, przechylając głowę. – Mam samochód tuż za rogiem.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, a ja za nią. Nawet tu, na ulicy, w jej sposobie poruszania się była wszechobecna taneczność. Oszołomiony, nadal próbując ukryć zaskoczenie, umieściłem gitarę w bagażniku i wsunąłem się cicho na siedzenie obok kierowcy, zapominając o wszystkim, co chciałem powiedzieć i o co chciałem zapytać.

Ruszyła ostro bez jednego słowa i po chwili opuściliśmy dzielnicę San Blas i jej ceglane bloki mieszkalne, jadąc w kierunku szerokich, ocienionych palmami alei bliżej morza. Był duży ruch, a ona zmieniała co chwila pasy, przejeżdżała na czerwonych światłach, naciskała na klakson, żeby utorować sobie drogę. Lekka poranna mgiełka ustąpiła przejrzystemu, pełnemu słońca powietrzu południa, które dało miastu Alicante nazwę Lucentum, miasto światła, i przez otwarte okna auta napływał gorącymi falami zapach chleba, przygotowywanego na obiad.

Przebijaliśmy się przez zatłoczone ulice, a jej szczupłe brązowe ramiona poruszały się nad kierownicą, gdy torowała sobie drogę do portu. Przez długi czas siedziałem, spoglądając przez okno i przed oczami migały mi zamazane kolory i kształty mijanych ludzi i samochodów. Z podniecenia

chciało mi się śmiać, chociaż ręce, którymi trzymałem się siedzenia, lekko drżały. Zaplanowała tę wizytę u Juana. Wiedziała, że tam jestem, i przyszła dla mnie. Po tak wielu dniach niepewności sytuacja się zmieniła. Teraz wyglądało na to, że jestem zdobyczą.

Zagłębiłem się w fotelu i powoli, z wahaniem uświadomiłem sobie, że ta kobieta, na punkcie której w ciągu ostatnich tygodni dostałem obsesji i której duże piwne oczy pojawiały się w mojej wyobraźni niczym lustrzane odbłaski słońca, właśnie mnie uwodzi. Z pewnością musiałem źle odczytać sygnały. Zacząłem wmawiać sobie, że ulegam złudzeniu, i że jest to z mojej strony przejaw zwykłej próżności.

Jechaliśmy aleją Alfonso El Sabio, potem bocznymi uliczkami, obok eleganckiego teatru z piaskowca, w kierunku Rambli. Jej zawzięta, milcząca koncentracja uniemożliwiała jakąkolwiek rozmowę. Popatrzyłem na nią: miała szczupłe dłonie o długich palcach, a cienkie złote bransoletki sprawiały, że na jej przegubach widniały paski nieopalonej skóry. Nie patrzyła na mnie, i w miarę jak nasze milczenie się przedłużało, moje podniecenie zaczęło zamieniać się w niepokój i zwątpienie. Może zmieniła zamiar?

Zaparkowaliśmy koło portu. Takielunek jachtów wibrował na wietrze, który pochylał maszty przy wtórze cichych wysokich dźwięków. Sięgnęła do torebki, wyjęła papierosa, włożyła go do ust i po raz pierwszy odwróciła się w moją stronę, wyłączając silnik.

– Przypalisz mi?

Kiedy uniosłem zapalniczkę, dotknęła pieszczotliwie mojej dłoni. Bezwiednie pochyliłem ku niej głowę.

– Zaczekaj – roześmiała się. – Najpierw zjemy obiad. Na Tabarce.

Prom odbił z bulgotaniem wody od nabrzeża, pozostawiając na przystani grupki Algierczyków, obładowanych walizkami pełnymi dywaników i płatków śniadaniowych, które zabierali do domu, wsiadając

na statek płynący do Oranu. Staliśmy na górnym pokładzie, na którym nie było nikogo prócz pary Niemców i wędkarza, zajętego wędziskami i drewnianą skrzynką z żywą przynętą. Alicante malało za naszymi plecami z chwili na chwilę, oddalały się wieże i hotele, pomniejszone przez wielki średniowieczny zamek, sterczący na gołym skalnym wzgórzu i spoglądający z wysoka na miasto.

– Nigdy nie byłem na Tabarce – powiedziałem, odwracając się i spoglądając w stronę wyspy na horyzoncie.

– To mały skrawek łądu, z latarnią morską i miasteczkiem, które ma jedną jedyną ulicę. Niespecjalnie ciekawe, ale dobrze tam gotują.

Zaczynałem rozpoznawać w niej tę cechę – trzymać fason. Zabranie mnie w jakieś specjalne miejsce oznaczałoby słabość.

– Jeden z moich znajomych mówił mi o tej wyspie – rzuciłem. Patrzyła w drugą stronę, odwracając ode mnie twarz. Ciągłe nie było jasne, dlaczego jesteśmy na tym statku i osłaniamy oczy przed gorącym wiosennym słońcem, oddalając się coraz bardziej od miasta. Pomyślałem, że mógłbym przynajmniej wciągnąć ją w rozmowę.

– Powiedział, że pierwszymi mieszkańcami byli Włosi, którzy osiedlili się tu przed setkami lat, po tym, jak zostali porwani przez mauretańskiego emira i wykupieni przez króla Hiszpanii. Nadali wyspie nazwę Tabarca, dziękując za błogosławieństwo uwolnienia.

– Błogosławieństwo?

– *Tabaraka*. Z arabskiego. To znaczy „błogosławieństwo Boga”.

Patrzyła na morze, trzymając dłonie na relingu i rozkoszując się ciepłą bryzą, a kosmyki włosów opadły jej na oczy. Tnący fale dziób promu rozpryskiwał wodę i nasze ubrania i skóra pokryły się słoną mgiełką. Zerknąłem na Lolę, próbując dojrzeć wyraz jej twarzy, ale ona odsunęła się i odwróciła ku miastu.

– Czego chcesz? – zapytała.

Pochyliłem się nad relingiem i popatrzyłem na białą pianę kipiącą w dole. Wielkie bąble powietrza wyskakiwały na powierzchnię wody jak

westchnienia. Co mogłem powiedzieć? Chciałem jej.

– Wiesz, ile mam... – Wyprostowała się i spojrzała na mnie. Stałem bez ruchu. – Nie, wolę ci nie mówić.

Wyspa powiększała się, w miarę jak się do niej przybliżaliśmy. Dwa długie, płaskie języki lądu, połączone w środku plażą. Port, z falochronem i niskimi budynkami, zaczynał rysować się coraz wyraźniej. Znowu się do niej odwróciłem. Odsunęła się szybko od relingu i uniosła ręce, strzelając palcami nad głową. Na jej twarzy malowało się napięcie, jak w tańcu.

– *¡Ole!* – krzyknęła, tupiąc, wyginając się i kołysząc. Ani na chwilę nie odwróciła ode mnie twarzy. – *¡Ole!*

Klasnąłem, śmiejąc się razem z nią, dopóki nie znieruchomiła. Uśmiechnęła się i dygnęła niczym balerina.

– Kobiety takiej jak ja? – spytała.

– Tak. Kobiety takiej jak ty.

Wyspa była żółta i zakurzona, słońce świeciło tak intensywnie, iż miałem wrażenie, że wypali nam oczy. Przeszliśmy dwieście metrów na drugą stronę i znaleźliśmy parterowy budynek ze stolikami pod gołym niebem i dziećmi, mającymi na sobie jednie różowe i zielone plastikowe sandałki. Wbiegały i wybiegały przez otwarte drzwi.

– Mari-Reme! – krzyknęła gruba kobieta w niebieskim fartuchu opinającym jej pełną talię i wybiegła z domu. Jednak mała dziewczynka znikła już za rogiem i pędziła z kolegami do wody.

– Teraz nie będzie jej przez całe popołudnie – westchnęła kobieta, odwracając się do nas. – Wejździe, wejździe.

Restauracja była pełna rybaków, którzy popijali zimne, mocne wino i zajadali kawałki ośmiornicy, nadziewając je na czubki wykałaczek. Podłogę zaśmiecały zużyte papierowe serwetki, a z kuchni dolatywał smakowity zapach smażonej ryby. Usiedliśmy przy małym stoliku przy oknie

wychodzącym na plażę i otwarte morze rozciągające się ku wschodowi. Lola wyjęła papierosa i uśmiechnęła się.

– W naszym regionie są setki różnych dań z ryżem – powiedziała. – Idź do jakiegokolwiek wioski na łądzie, każda ma własną specjalność. Czarny ryż z sosem z mątwy, zwykła paella z kurczakiem i królikiem, chrupiący ryż zapiekany w piekarniku. Zawsze przynoszą to owinięte w gazetę. Ale najlepsze, co tu robią, to *caldero tabarquí* z ryby złowionej przy brzegach wyspy. Ja jem to prosto z patelni.

Kobieta w fartuchu podeszła, żeby przyjąć zamówienie, a młoda kelnerka napełniła nam szklanki wodą.

– Złowiłam je sama dziś rano – oznajmiła kobieta. – Musiałam. Mój mąż się do tego nie nadaje.

– Powinniście państwo to zobaczyć – wtrąciła kelnerka. – Ryby ciągną do niej, jakby miała w sobie magnes. Słynie z tego. Wszyscy wracają z pustymi rękami, ale jej wystarczy gwizdnąć, i już je łowi. Czy nie tak?

Lola zamówiła wino.

– Rioja. Nie pij wina z Walencji, choćby nie wiem co – szepnęła do mnie przez stół. Uśmiechnąłem się porozumiewawczo. – Jest obrzydliwe. Robią je dla turystów i takich *guiros* jak ty. Tutaj wszyscy piją to – wskazała butelkę, która właśnie wjeżdżała na stół. – Ale nie mów o tym nikomu, jak wrócisz do miasta.

– Państwo przejazdem? – Magiczna rybaczką przyniosła nam zamówione danie.

– Tak, przyptłynęliśmy, żeby spędzić tu popołudnie – wyjaśniła Lola.

– W takim razie musicie się przejść po miasteczku. Na drugim końcu wyspy jest kościół, a potem, jeśli będziecie wracali wzdłuż drugiego brzegu, jest tam urocza ścieżka nad urwiskiem i stary fort.

– Dziękuję. Zrobimy tak.

Ryż został podany z bulionem, w którym go ugotowano; w ogromnych białych miskach pływały pachnące szafranem kawałki ryby. Smakowało wyśmienicie.

– Szafran to także arabskie słowo – powiedziałem. – Lola spojrzała znad zupy. – *Zafaran*.

– Tak, uczą nas o tych rzeczach w szkole – mruknęła bez zainteresowania. – Skąd tyle wiesz?

– Studiowałem na uniwersytecie.

– I umiesz już wszystko? – zaśmiała się Lola.

– Co masz na myśli?

Zawahała się.

– Mam na myśli to, *guiri*, że musisz nauczyć się jeszcze wielu rzeczy. – Nie przerywała jedzenia.

Nie odpowiedziałem. Było to zwykłe przekomarzanie się.

– Słowo *ole* też pochodzi z arabskiego – dodałem.

– Co? – Roześmiała się zaskoczona, aż jej łyżka zadzwoniła o miskę. – Co ty opowiadasz?

– *Ole*. Pochodzi od wyrazu Allah.

Usłyszałem, że mruczy oba wyrazy bez przekonania.

– Nie brzmią podobnie. Jesteś tego pewny?

– Zgadza się z tym nawet Królewska Akademia Hiszpańska. *Wallah* – dzięki niech będą Bogu. *Ole*. Czasem podczas recytacji Koranu można usłyszeć okrzyk „Allah!”. Zupełnie jak na koncertach flamenco, na których ludzie krzyczą *ole*.

– Jason, flamenco nie ma nic wspólnego z książkami.

Przypomniały mi się niekończące się godziny spędzone na studiowaniu średniowiecznej poezji arabskiej w bibliotekach Oksfordu, piękno opisów tańczących dziewcząt i kobiet z oczami jak u gazeli, niezauważane w napięciu narzuconym terminami pisemnych sprawdzianów i egzaminów. Teraz znajdowałem się na gorącej śródziemnomorskiej wyspie i uwodziła mnie tancerka flamenco.

– Tak, wiem. Dlatego tu jestem.

– Mam nadzieję, że niedługo znowu was zobaczę, gołąbeczki! – zawołała za nami właścicielka, kiedy wychodziliśmy. Uśmiechnąłem się.

Lola nie zareagowała.

Na wysokim stołku na zewnątrz siedział rybak i naprawiał sieci za pomocą noża i kawałków sznura owiniętych wokół nadgarstków. Kiedy go mijaliśmy, kiwnął nam głową.

– Miasteczko jest tam – powiedziała Lola, wskazując ręką kierunek. – Ale ja chciałabym iść tu, na górę. Jeżeli będziesz chciał, obejrzymy to wszystko później.

Odwróciła się plecami do prawie pustej plaży i ruszyła, trzymając za sobą dla zachęty wyciągniętą rękę, w kierunku zarośli, które nadawały charakter drugiej połowie wyspy. Poszedłem za nią. Zaczekałem, aż oddalimy się od restauracji i wejdziemy na zbocze, i dopiero wtedy łagodnie wsunąłem dłoń do jej dłoni, która zacisnęła się mocno.

Szliśmy wąską ścieżką przez gęstą, pożółkłą trawę, mając z trzech stron błękitne morze. Stara kamienna latarnia morska San José przycupnęła przed nami na szczycie, wznosząc się niczym pięść w bezchmurne niebo. Lola prowadziła, milcząca od chwili, gdy zaczęliśmy kroczyć ramię w ramię, trzymając się mocno za ręce. Poryw wiatru przyniósł zapach jej skóry, przypominający jaśmin i różę. Patrzyła przed siebie, nie zatrzymując się ani nie odwracając, jakby wystarczał jej sam dotyk. Może nawet i to było dla niej za dużo.

W miarę jak zmierzaliśmy do odległego końca pustej, porośniętej trawą równiny, reszta wyspy powoli ginęła w oddali. Przekroczyliśmy ostatnie krzaki janowca i zaczęliśmy schodzić kamienistym zboczem do widocznej niżej wody, ciągle trzymając się mocno za ręce z obawy przed poślizgnięciem się na kamieniach. Plaża była pusta, jeśli nie liczyć kilku mew, które siedziały na wystających nad wodę skałach. Słońce, wciąż wysoko na niebie, wydawało się wybielać wszystko, nigdzie śladu cienia. Doszliśmy do brzegu. Lola zrzuciła buty i nasze ręce w końcu się rozłączyły.

– Czas popływać – oznajmiła.

Przyglądałem się, jak zdejmuje bluzkę i spodnie, rzucając je na piasek

u moich stóp, aż w końcu stanęła przede mną naga. Rozejrzałem się. Nie było nikogo. – Chodź – zawołała, biegnąc do wody. – Czas, żeby żyć!

Kiedy obejmując się, szliśmy z powrotem przez morze traw, światło przybrało ciemniejsze, bogatsze odcienie. Od czasu do czasu Lola kładła głowę na moim ramieniu, przyciskając usta do mojej schnącej, pokrytej solą skóry. Długie cienie naszych sylwetek padały na zarośla i dalej, poza wyspę. Musieliśmy się spieszyć, żeby zdążyć na ostatni prom.

Czułem ciepło przepływające między naszymi ciałami, kiedy zbliżały się i oddalały od siebie. Odnosiłem wrażenie, że ogarniają ją wątpliwości, podczas gdy ja odczuwałem na zmianę niedowierzanie i gotowość. Była w końcu mężatką, chociaż dawała mi do zrozumienia, że jej związek z Vicentem jest bliski końca albo wręcz już się rozpadł. Jednak kobieta w średnim wieku romansująca z młodym mężczyzną – to nie było normalne; było tabu, które przyprawiało mnie o dreszcz podniecenia.

Ten pierwszy, potężny przypływ namiętności i poczucie, że żyję, jakiego mi dostarczył, rosły we mnie, kiedy powoli wracaliśmy do portu. Rudność jej włosów, łuk pleców, odsłonięte uszy, subtelna oryginalność jej prostego nosa, wszystko to uderzało mnie harmonijnością. Mało mnie obchodziło, czy nasz romans będzie miał dalszy ciąg, czy skończy się wraz z powrotem na stały ląd. W tym momencie nie chciałem niczego więcej prócz tego, żeby z nią być, a seks był bardziej realny niż wszystko, czego dotąd doświadczyłem.

Zanim wróciliśmy na nabrzeże, nasze usta spotkały się po raz ostatni, jakby na przypomnienie, że przekraczamy pewną linię, poza którą łączące nas więzy będą musiały się rozluźnić. Zostawiła mnie i zbiegła po zboczach na nadbrzeżny piasek. Przy stolikach siedziały grupki starsuszków, popijających wino. Gruba kobieta w fartuchu pochylała się nad nimi, opowiadając jakiś dowcip. Wszyscy się roześmiali, gdy dla podkreślenia puenty

uderzyła pięścią w stół. Ujrzawszy nas, pomachała nam ręką.

- Hej! Pani torebka!
- Co?

Ręka Loli powędrowała automatycznie do biodra, przy którym powinna znajdować się zawieszona na ramieniu torebka.

- *Ostias!* Zupełnie zapomniałam! Jezu!

Torebka przeleżała tam całe popołudnie. Lola spojrzała na mnie z wyrzutem, jakby to była moja wina, po czym pobiegła w kierunku restauracji. Kobieta ruszyła do środka, żeby przynieść zgubę. Lola znikła za jej potężną sylwetką, a ja wpatrywałem się w morze. Ponieważ Lola nie straciła torebki, nie widziałem żadnego problemu, ale coś między nami się zmieniło. Zaczęła wiać wieczorna bryza, słońce było już bardzo nisko i zrobiło się chłodniej. Skrzyżowałem ręce na piersi i potarłem ramiona, żeby się rozgrzać, wciąż czując chłód morskiej wody po wcześniejszym pływaniu. Nasz powrót był nieuchronny, ale dopóki nie opuściliśmy wyspy, chciałem, żeby trwało to jak najdłużej.

Obejrzałem się, ale nigdzie nie było śladu Loli. Pomyślałem, że pewnie rozmawia z właścicielką restauracji. Niedługo musieliśmy wejść na pokład promu. Ruszyłem plażą do drzwi restauracji. Mała dziewczynka w plastikowych sandałkach już wróciła. Siedziała na stopniu schodów w lekkiej bawełnianej sukience i czytała.

Nim zdążyłem wejść do środka, Lola wypadła na dwór, ściskając torebkę. Była blada z gniewu.

- Co się dzieje?
- Idziemy.

Gruba kobieta wyszła szybko za nią i stanęła nad swoją córką.

- Do widzenia, młody człowieku – rzuciła.

Uśmiechnąłem się.

- Do widzenia, madam.

Lola była już na nabrzeżu, zanim ją dogoniłem i ścisnąłem mocno jej lewą dłoń z pierścionkiem.

– A to suka! – prychnęła.

Dopływaliśmy prawie do miasta, zanim znowu się odezwała:

– Przepraszam.

Zeszliśmy na ląd i odprowadziłem ją do samochodu. Odjechała bulwarem, naciskając mocno na pedał gazu. Popatrzyłem za nią, a potem ruszyłem do domu.

Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewałem się od niej usłyszeć.

W moim mieszkaniu zadzwonił telefon. Z Anglii. Od miesiący nie dawałem znaku życia.

– Jak się miewasz? Co zamierzasz dalej robić?

Próbowałem wymyślić jakąś odpowiedź. Od południa na wyspie prawie nie odkładałem gitary, skóra na końcach palców schodziła i twardniała. Siedziałem na plastikowym krześle przez cały czas, jaki tylko mogłem na to przeznaczyć, metronom na stole tykał niezmordowanie, a ja zmuszałem się do ćwiczenia tego, czego uczył mnie Juan. Wszystko zaczynało się układać i po raz pierwszy mogłem sobie powiedzieć, że doświadczam czegoś realnego: rzeczywistej namiętności, prawdziwego życia, że uczę się czegoś konkretnego. *Duende*, powiedział Juan, oznaczało bycie zakochanym. Teraz i ja to wiedziałem.

– U mnie wszystko w porządku. A wam jak leci?

Plotki z miasteczka, nowe dachówki na dachu, pierwszy dzień w szkole mojej siostrzenicy. Słuchałem jednym uchem informacji, które przypominały mi o świecie, do którego wciąż należałem, ale od którego tak bardzo starałem się oddalić. Czułem przez chwilę, wsłuchując się w znajome głosy, że wślizguję się znowu w stare myśli i oczekiwania niczym w mentalną skórę. Wróciły wspomnienia domu, uniwersytetu i dziewczyny, z którą zamierzałem się ożenić. Ale teraz żyłem własnym życiem, starając się

rozwinąć moją nową, rodzącą się osobowość *flamenco*. Pomyślałem o dłoniach Loli na mojej skórze i o popołudniu na wyspie. Namiętność i miłość, których zawsze pragnąłem i nie mogłem znaleźć, były tutaj.

Głosy z tamtej strony nadal rozbrzmiewały. Przyszedł list od mojego opiekuna z Oksfordu. Chce, żebym wziął udział w sympozjum i przedstawił artykuł, oparty na moich badaniach sztuki ikonograficznej dwunastowiecznej Sycylii.

– Czy to nie jest dobra wiadomość? Tak się cieszymy.

Nie czułem niczego, żadnej radości, żadnego podniecenia. Nic. I w tym momencie uświadomiłem sobie, że jestem wolny. Kiedyś wszystko to znaczyłoby tak wiele: zdobywanie uznania w kręgach akademickich, szansę na materialną niezależność. Były to wielkie ambicje, które teraz wydawały mi się śmieszne. Znajdowałem się o tysiąc kilometrów od nich, zakochany w kobiecie, która miała dwoje dzieci niewiele młodszych ode mnie, w żonie mojego szefa, w tancerce flamenco rozpoznawanej w mieście, w którym wiele razy występowała. Była to sytuacja, w jakiej przedtem nie mógłbym się znaleźć, wciśnięty w chłód angielskich bibliotek i salonów, mając tylko marzenia ożywiające skarłowaciałą egzystencję. Czy to naprawdę byłem ja? Tak, to byłem ja. Ja prawdziwy. Nie tamten, skulony embrion przyszłego wykładowcy.

Kiedy czekałem w szkole na zajęcia z dziesięciolatkami, wsunąłem jej liścik. Była to naprędce napisana prośba, żeby po zajęciach spotkała się ze mną w barze. Potem moglibyśmy gdzieś pojechać. Nic nie powiedziała, miała kamienną twarz. Nauczyłem się już rozpoznawać tę jej profesjonalną maskę. Surowa, nieprzyjazna mina, jaką na ogół miała w pracy, była praktyczna, stanowiła jedyny sposób, żeby jakoś przeżyć. Ale wiedziałem, że się zgadza i że przyjdzie.

Poszedłem do naszego baru. Była dziesiąta trzydzieści. Ginés, spocony właściciel, siedział na stołku przy końcu lady, obracając w ustach wykałaczkę i czytając lokalną pravicową gazetą „Las Provincias”. Zastawione

butelkami półki za jego plecami zdobiły pocztówki z Ibizy i Minorki, z piersiastymi kobietami i gołymi mężczyznami na plaży. Zamówiłem brandy. Nie ruszył się. Mimo iż był barmanem, duma nie pozwalała mu słuchać jakichkolwiek poleceń. Traktował nas jak niepożądanym gości.

Przy stoliku koło okna siedzieli Pilar, Rafael i paru innych członków naszego kółka flamenco. Ale ku mojemu przerażeniu zobaczyłem też Juana. Był jedyną osobą, której się bałem: znał mnie lepiej niż ktokolwiek z pozostałych i wydawało się, że umie czytać w moich uczuciach. Gdy tylko nadejdzie Lola, Juan prawie na pewno zorientuje się, w czym rzecz. Usiadłem i zapaliłem papierosa, celowo unikając dwóch wolnych miejsc na drewnianej ławie koło Rafaela. Wcisnąłem się koło Pilar, z daleka od wzroku Juana.

Lola zjawiła się w parę chwil potem. Rozmowa zeszła na Vicentego Amiga, młodego gitarzystę z Kordoby. Był wschodzącą gwiazdą, nowym Paco de Lucią, i wszyscy chcieli z nim nagrywać. Pilar lubiła jego muzykę, zachwycała się nim.

– Jest cudowny. Będzie jednym z największych, mówię wam. Obserwujcie go. Taki przystojniak! Widzieliście, jak unosi głowę, gdy gra, o tak? ¡Ay!

– Jesteś pewna, Pilar, że to jego muzykę lubisz?

– Zamknij się, Rafa. Nie, naprawdę... oczywiście... tak, on sam jest fantastyczny, ale jego gra, naprawdę...

Nie wtrącałem się, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Ale Lola była innego zdania.

– Gadasz głupoty! – wykrzyknęła. Wszyscy aż podskoczyli. Znali ją, wiedzieli, że lubi walić prosto z mostu, ale to był szok. Wyłupiaste oczy Pilar jeszcze bardziej wyszły na wierzch.

– Vicente Amigo to kutas! Umie się tylko sprzedawać. Słuchaliście jego rzeczy? To czysty jazz.

– A... ale Vicente jest wielkim gitarzystą – protestowała nerwowo Pilar. – Co ty wygadujesz? Nawet Paco go lubi.

– Gówno! Paco, Paco. To przeszłość. Od lat nie stworzył nic przyzwoitego. – Było to bliskie bluźnierstwu. Przy stoliku rozległy się szepty oburzenia. Rafa wziął długi spokojny oddech. Czułem, że zbiera siły do obrony.

– A co powiesz o jego grze z Sanlúcar w *Tauromagii*? To jedno z najbardziej zdumiewających nagrań, jakie kiedykolwiek zrobiono – upierała się Pilar.

– Zdumiewające nagranie, tak. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego nigdy nie grali tego na żywo? Bo nie mogli. Zbyt skomplikowane. Mówię ci, temu Vicentemu poszło zbyt łatwo. Wielcy *flamencos* nie pojawiają się dzięki temu, że dostają co tydzień tłuste czekci. Jest za miękki. Nie ma charakteru.

Rafa postanowił wtrącić się jako rozjemca, w swoim logicznym, bankowo-urzędniczym stylu.

– No cóż, nie jestem pewien, czy rzeczywiście dostaje te tłuste czekci, jak mówisz. Teraz może i tak. Ale chyba nie zawsze tak było. Spotkałem w Barcelonie człowieka, który znał Vicentego i...

Wyjechał z całą listą faktów, umów, danych o sprzedaży... i klótnia straciła ostrość. Pilar jednak wciąż była podenerwowana. Wzięła ten atak do siebie. Lola siedziała naprzeciwko nas, wyzywająco zaciągając się papierosem. Rafa trajkotał dalej. Obejrzałem się na Juana, który przez cały czas siedział spokojnie, i zobaczyłem, że jego żywe niebieskie oczy spoglądają w moje. Wydawało się, że chcą powiedzieć: „Wiem, że na coś się tu zanosz. Nie jestem pewien na co, ale coś się dzieje z Lolą, i mam wrażenie, że ty jesteś w to wplątany”. Uśmiechnąłem się, a on uniósł pytająco brwi.

Rozmowa toczyła się dalej, ale teraz była pusta i bez życia. Ginés przyniósł nam w końcu drinki i wszyscy się uspokoili. Ja byłem jednak zły i zniecierpliwiony. Jak my się stąd urwiemy? Na razie dawałem sobie jakoś radę, ale co dalej?

W końcu okazało się to całkiem proste. Na jej bluzkę wylała się szklanka czegoś zimnego i mokrego. Zaskoczenie, konsternacja, podawanie serwetek. Nic nie pomogło. Lola wstała.

– Będę musiała pojechać do domu. Będzie plama. – Spojrzała w górę. Odczytałem sygnał. Wyprostowałem nogi, odsunąłem krzesło i wstałem. Zrobiłem to w dobrym momencie, no, może trochę za prędko.

– Ja też już lecę. Muszę jutro wcześniej wstać. – Kiwanie głowami na znak zrozumienia. Powiedzieliśmy „dobranoc” i razem przeszliśmy przez drzwi. Nie wydawało się, żeby ktoś zwrócił na to specjalną uwagę. Może z wyjątkiem Juana. Odepchnąłem tę myśl.

Ruszyliśmy aleją, byle dalej od tego miejsca.

– Chodź. – Złapałem ją za rękę. Ostrożność znikła wobec nagłego pragnienia, by dotknąć jej skóry. W tym wszystkim, w całej tej namiętności i podnieceniu, najbardziej liczyło się dla mnie nieznanne mi wcześniej wrażenie, jakiego doświadczałem, czując jej jedyny w swoim rodzaju, silny i czuły dotyk. – Chodźmy do mnie – powiedziałem.

– Oszalałeś? – Odskoczyła ode mnie. Zamrugałem zaskoczony. – Ktoś może nas zobaczyć. Nie mogę dopuścić do tego, żeby ktoś zobaczył, jak wchodzę do mieszkania mężczyzny o tej porze.

Para nastolatków obejmujących się, jakby byli do siebie przyspawani, wyszła zza rogu i przeszła między nami. Patrzyłem, jak znikają w drzwiach domu.

– Ale to jest miasto. Jest ciemno. Nikt nas nie zobaczy.

– Mówię ci – zniżyła głos – to mała dziura i ktoś może mnie zobaczyć.

– Urwała na chwilę. – Zobaczą także i ciebie.

Wzruszyłem ramionami. Czuję się niezniszczalny.

– Poza tym – ciągnęła Lola – ja zawsze natykam się na jakichś ludzi. Zawsze. Takiego już mam pecha.

Roześmiałem się z niedowierzaniem. – Posłuchaj, to prawda. Raz szłam we Włoszech wąską górską ścieżką i wpadłam na parę, która prowadziła sklep tuż za rogiem, koło mojego domu. To się zdarza za każdym razem.

Wzruszyłem ramionami. Była nieugięta. A noc uciekała.

– Dobrze, więc co robimy?

– Idź do siebie, weź gitarę i zaczekaj na mnie w bocznej uliczce. Też, gdzie jest kino.

W dziesięć minut potem siedzieliśmy w jej małym samochodzie, dym z papierosów uciekał przez uchylone okna, kiedy kierowaliśmy się za miasto w ostrym świetle ulicznych latarni i świateł mijanych samochodów. Jechaliśmy na północ, pod osłonę nadmorskich wzgórz. Było ciemno, więc prędko straciłem orientację, a bezksiężycowe niebo nie dawało żadnych wskazówek. Po dwudziestu minutach skręciliśmy z głównej drogi w połą dróżkę. W mroku majaczyły trzy albo cztery zwyczajne wiejskie domki, schowane między sosnami. Jechaliśmy jeszcze z kilometr, aż w końcu stanęliśmy. Panowała niczym niezmacona cisza. Wydawało się, że nawet świerszcze poszły spać.

– Chodź – pociągnęła mnie za sobą w ciemność. – Wołałabym nikogo nie obudzić.

Wziąłem gitarę i prawie po omacku doszliśmy do drzwi. Wyciągnęła stary, zardzewiały klucz i włożyła go do zamka.

W środku było zupełnie ciemno, unosił się gryzący zapach. Natknąłem się na coś, co wyglądało na krzesło. Lola wyjęła zapałki i zapaliła oliwną lampkę, potem jeszcze jedną i świecę. Rozejrzałem się. Znajdowaliśmy się w jednopokojowym domku z klepiskiem zamiast podłogi. Na środku stał drewniany stół z niebieskim plastikowym blatem, z boku widać było zlew, stało kilka krzeseł, zardzewiała lodówka, a przy jednej ze ścian piętrowe łóżko. Wszystko pokryte było grubą warstwą kurzu, który, jak się wydawało, mógł zadusić na śmierć przy najbliższym ruchu. Na ścianie w głębi wisiał brudny, bezbarwny obraz Madonny z Dzieciątkiem. Na podłodze leżał stoik z migdałami.

– Kupiłam to parę lat temu, kiedy umarła moja matka i zostawiła mi trochę pieniędzy. Pomyślałam, że któregoś dnia może mi się przydać. Każdy potrzebuje jakiejś kryjówki. – Uśmiechnęła się. Wytarłem krzesło i usiadłem, a Lola podała mi butelkę wina.

– Trzymaj, otwórz ją.

Położyłem gitarę, podczas gdy ona opłukała parę obtłuczonych kubków, stojących koło zlewu. Było to wino z Walencji, to samo, przed którym mnie ostrzegą. Powstrzymałem się od komentarza. Usiedliśmy i zaczęliśmy popijać w milczeniu, uspokojeni po napięciu i podnieceniu jazzu.

Kiedy wypiliśmy pół butelki, Lola zerwała się nagle.

– Wyciągaj gitarę, guiri! – Pochyliłem się, wyjąłem gitarę z futerału i oparłem na udzie. Czuję się z nią dobrze, dotykała mojego biodra, ręce obejmowały ją, gotowe do gry. Zaczynała być przedłużeniem mnie samego.

Lola skrzyżowała ramiona i ściągnęła bluzkę, zostając w cienkiej białej koszulce, wpuszczonej w liliowe sztruksowe spodnie. Stroiłem gitarę, podczas gdy ona rozluźniała mięśnie nóg.

– Zawsze tańczę w spódnicach albo w sukienkach, ale tym razem...

Odwrociła się plecami do mnie i zaczęła tańczyć, strzelając nad głową palcami. Tak, tak, tak. Taka, tak, tak. Obcasy jej butów uderzały rytmicznie w ziemię, najpierw powoli, potem żywiej, wzbijając coraz więcej kurzu w ledwo rozświetlonym mroku. Skłoniła głowę, wyciągnęła rękę w bok, a jej dłonie wirowały jak języki ognia. Jej twarz miała intensywny, niemal bolesny wyraz. Przymknęła oczy, ściągnęła brwi i rozchyliła lekko usta, oddychając płytko. Uświadomiłem sobie, że jest w niej coś, co wyraża się w pełni tylko w tańcu. W szkole była zimna i oficjalna. W barze lub gdy szła ulicą, można było dostrzec to „coś” w jej sposobie poruszania się. Ale było to subtelne, ukryte. Dopiero teraz, tańcząc, pozwalała sobie na odsłonięcie swej bezgranicznej zmysłowości. Byłem oczarowany.

Dała mi znak, żebym zaczął grać. Musiałem się domyślić, jaki *palo* właśnie wykonuje. Męczyłem się, patrząc uważnie na jej stopy, przerażony, że się nie dopasuję. Co ona tańczy? *Fandango*? *Sevillana*? Wsłuchiwałem się w rytm uważniej niż kiedykolwiek przedtem. Wreszcie coś w mojej głowie

zaskoczyło. To nie mogło być nic innego. *Tango*.

Zacząłem grać, najpierw z wahaniem, przez parę sekund nie łapiąc rytmu, aż w końcu zrównałem się z nią niczym teleskop wyostrzający się na odległym przedmiocie. Tok, takadan, taka-dan, dan dan. Tok, takadan dan-dan-dan. Lola kołysała się, tupała, wyginała, podczas gdy moje palce szarpały struny. Obserwując w napięciu pracę jej stóp, starałem się ze wszystkich sił utrzymać tempo. I przez moment, tylko moment, wydawało się, że jej taniec i moja gra stały się jednością. Dystans między nami znikł i poczułem, że moje ramiona i szyję opływa fala energii. Jednak w tej samej chwili, w której to sobie uświadomiłem, wrażenie znikło i zgubiłem rytm. Próbowałem jeszcze raz się do niej dopasować, zmusić gitarę do posłuszeństwa, ale mi się nie udało. Skończyła tańczyć i stanęła naprzeciwko mnie, ciężko dysząc. Nie podniosłem na nią oczu. Byłem wyczerpany i półżywy. Pochyliła się nade mną i pocałowała mnie w czubek głowy.

– Nie najgorzej jak na pierwszy raz, *guiri*. Nie najgorzej.

Wyszliśmy na dwór w cichą ciemność, pot wysychał na naszej skórze w ciepłym nocnym powietrzu. Zarysy okolicznych wzgórz były ledwo widoczne na tle rozgwieżdżonego nieba. Podeszedłem do samochodu, pod moimi butami trzeszczały kamienie i suche patyki. Czekałem, aż Lola zamknie drzwi. Wciąż żadnych odgłosów. Lola zbliżyła się i stanęła twarzą do mnie. Nastąpiła w niej jakaś zmiana. Mimo ciemności widziałem, że jest niespokojna.

– Nikt nie może cię zobaczyć w moim samochodzie. Nie o tej porze. – Intymność sprzed paru chwil znikła.

– Co?

– Nie możesz jechać ze mną.

– Co takiego?

– Posłuchaj, nikt nie może zobaczyć cię w moim samochodzie. Nikt, rozumiesz?

Trudno mi było uwierzyć, w to, co usłyszałem.

– Jest późno, wszyscy będą już w łózkach. Nikt nas nie zobaczy. A jeśli nawet, podwoziłaś mnie, to wszystko.

– Nie, to niemożliwe.

– Na litość boską, Lola, przecież to całe kilometry...

Była nieugięta.

– Nie wsiądziesz ze mną do samochodu!

Nasze głosy przeszły od szeptu do stłumionych ochryplych krzyków. Bałem się, że kogoś obudzimy, ale oboje się uparliśmy i żadne nie chciało ustąpić.

Zrobiła krok w stronę samochodu, rzuciłem się więc, żeby ją zatrzymać. Jeśli mnie tu zostawi, to nie wiem, co zrobię. Opierała się, kiedy próbowałem oderwać ją od drzwi auta, a potem odwróciła się i przeszła do czynnego oporu. Wpiła się paznokciami w moją koszulę, potrząsnęła głową i jej włosy zasłoniły mi oczy. Próbowałem ją unieruchomić, świadom, że jeżeli ją puszcze, podrapie mnie do krwi, a ona odpychała mnie od siebie. Zaczęliśmy ślizgać się na kamieniach, zataczając się, a jej paznokcie złobiły w moim ciele głębokie bruzdy. Odskoczyłem, zgięty w piekącym bólu, w koszulę wsiąkała ciepła krew. Wiedziała, że mnie zraniła, ale się nie poruszyła. Zmartwiona, nawet z poczuciem winy, nie zmieniłaby jednak zdania.

Było z tej sytuacji wyjście, z którego na pewno musiała zdawać sobie sprawę, ale w gniewie nie chciała się do tego przyznać. Zrobiłem krok w jej kierunku i wyszarpnąłem kluczyki z jej dłoni. Nie opierała się. Wziąłem gitarę, otworzyłem bagażnik i wgramoliłem się do środka, kuląc się w małej, brudnej przestrzeni, obok kanistrów z olejem i różnych kłopotów. Odczekała chwilę, potem podeszła, wzięła kluczyki z mojej wyciągniętej ręki, zatrzasnęła nade mną czarną pokrywę, wsiadła i ruszyła.

Otworzyła bagażnik na pomarańczowe światła miasta, a gorące, wilgotne powietrze było jak duszący koc. Staliśmy w bocznej uliczce, w

pobliżu esplanady. Nie chciała wysadzić mnie w pobliżu mojego domu. To by znaczyło, że się poddała. Wydostałem się, wycierając z twarzy oleiste plamy, próbując ukryć, że cały zeszywniałem i że czuję piekący ból w piersi, ale pragnąc też zapomnieć o naszych zmaganiach. Nawet na mnie nie spojrzała. Wyjąłem gitarę i odwróciłem się, żeby powiedzieć „do widzenia”, ale ona udała, że mnie nie widzi i odjechała bez słowa. Kręcąc głową, ruszyłem w stronę domu, niepewny, czy jeszcze się zobaczymy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Por Tangos

*El vecino del tercero
a mí me mira con seriedad,
porque dice que yo tengo
con la vecina amistad.*

Mój sąsiad z drugiego piętra
spogląda na mnie surowo
gdyż, jak mówi,
przyjaźnię się z moją sąsiadką.

– Oszalałeś.

Po raz pierwszy zobaczyłem niepokój na twarzy Eduarda.

– Mówisz, że ona jest mężatką?

Spuściłem wzrok. Roześmiał się i wznosił ręce do nieba.

– Mówię ci, że ona stara się o rozwód, ale to nie takie proste, kiedy są dzieci i wspólny biznes.

– Biznes? Westchnąłem.

– Vicente. Jest moim szefem. Na kursach językowych.

Eduardo skrzywił się, zaciągnął papierosem, po czym powoli i z rozmysłem pochylił się w moją stronę.

– Robi się z ciebie prawdziwy *flamenco*. Ale bądź ostrożny, synku. Bardzo ostrożny.

Robiło się coraz goręcej, w słonym, wilgotnym powietrzu ubranie zaczynało kleić się do skóry.

– Zobaczysz, co się będzie działo, gdy temperatura przekroczy trzydzieści siedem stopni. – *Pied noir* prowadzący zakład fotograficzny pod moim mieszkaniem wachlował się, stojąc w drzwiach, starym egzemplarzem „National Geographic”. – Kiedy w takim upale dmucha się na czubek nosa, wydaje się, że jest chłodniej. Tak się dzieje, gdy temperatura ciała

jest niższa niż ta na dworze.

Dusiłem się zarówno z powodu upału, jak i sytuacji z Lolą. Nie można było bawić się w kochanków, kiedy ona bała się, że wszystkie oczy na całym wybrzeżu zwrócone są na nas. Nasza kłótnia w jej wiejskiej kryjówce poszła w niepamięć, ale nie mogliśmy pojechać tam znowu. Wydawało się, że to miejsce przynosi pecha. Tak więc spędzałem większość czasu, obmyślając sposobności i tłumaczenia albo szukając miejsc, w których mogliśmy być razem, sami, bez obawy, że ktoś nas odkryje. Szkoła i bar, gdzie zwykle się spotykaliśmy, były niebezpieczne, ale lawirowaliśmy jakoś, przekazując sobie liściki, gdy tylko nadarzała się okazja – między lekcjami albo kiedy wymykałem się w środku zajęć do biura, licząc na to, że będzie sama. Raz przyszła do mojego mieszkania, ale to się nie sprawdziło – za dużo strachu, że ktoś nas zobaczy – i skończyło się kolejną kłótnią. „Nigdy więcej!”, wrzeszczała na klatce schodowej, pędząc w dół. Napiecie było czymś, co podsycalo naszą namiętność, ale czasami nas przytłaczało.

Pewnego wyjątkowo parnego dnia uciekłem z redakcji po tym, jak nawaliła klimatyzacja. Jadąc między pomarańczowymi i białymi blokami mieszkalnymi Benidormu w kierunku głównej drogi prowadzącej do Alicante, patrzyłem na ciągnące się wzdłuż morskiego brzegu góry, spowite mgiełką. Wydawało się, że są tak daleko. Przyzwyczailem się już do jazdy w górę i w dół nadmorską drogą i zapomniałem o tym zielonym, bujnym świecie, który był w zasięgu ręki. Wystarczyło tylko podnieść wzrok.

Skreśliłem i pomknąłem w górę zbocza. Pomyślałem, że na szczycie powinno być chłodniej. I nie tak parno, przy odrobinie szczęścia. Już po kilku minutach zauważyłem zdecydowaną zmianę. Światło stało się ostrzejsze, i na którymś zakręcie spojrzełem z ulgą na leżący w dole brzeg morza i wiszący nad nim wilgotny, ciężki opar. Parłem do przodu drogami wysadzonymi drzewami oliwnymi, przez La Nucie, gdzie Anglicy

nauczili Hiszpanów handlowania na wolnym powietrzu wprost z bagażnika samochodu, i przez Polop, słynący z gorących źródeł. W miarę jak piąłem się wyżej, szosa stawała się coraz węższa. Przede mną wyrósł Guadalest, starożytny arabski zamek, biała wieża górująca nad jasnoblękitnym jeziorem, lśniącym niczym lapis-lazuli w górskim stoku. Zobaczyłem kilka autokarów – zamek był popularnym celem jednodniowych wycieczek dla wszystkich, których zmęczyło plażowanie – ale ja byłem ciekaw rejonów znajdujących się za Guadalestem, w górnej części doliny. Chciałem dotrzeć aż tam, do miejsca, z którego nie widać już było wybrzeża.

Zacząłem robić plany. Znajdę wioskę z dala od drogi, pójdę do baru, wezmę brandy i zapytam barmana, czy w okolicy nie można czegoś wynająć, on powie, że tak, więc pójdę zobaczyć i od razu wynajmę. Ciche wiejskie ustronie, daleko od miasta i morza. W głębi lądu, gdzie nikt nas nie rozpozna.

Ominąłem słoniowate autokary zaparkowane rzędem na obrzeżach Guadalestu i skierowałem się w głąb doliny. Na niskich murkach wzdłuż drogi widniały napisy: „Niech żyje Cataluña!”, „Śmierć hiszpańskiemu imperiaлизmowi!”. Wpadające przez okno powietrze było chłodne, lżejsze i czystsze. Duch we mnie rósł. Teraz pozostała tylko kwestia, gdzie się zatrzymać, do której wioski się udać. Im dalej i wyżej się znajdowałem, tym swobodniejszy się czułem.

Moją uwagę zwróciła tabliczka na poboczu drogi, niedaleko wylotu doliny: „Vistacastell 2 km”. Wiedziałem, że to jest to. Droga zakręcała, prowadziła w dół zbocza, wzdłuż łąk i pod wysokimi drzewami, przez wąski most nad parowem, koło coraz liczniejszych gajów oliwnych i sadów pomarańczowych, prosto do wsi. Rzędy ciasno stojących białych domów, z których kilka było w budowie, jakaś nędzna psina. Ani żywej duszy.

Główny rynek był małym placykiem, wyłożonym kolorowymi płytami chodnikowymi, ze starą pompą i paroma psami leżącymi w cieniu i ciężko dyszącymi. Za rynkiem widać było małe wiejskie domki, potoki i

zagajniki, a w oddali stał biały arabski zamek w obramowaniu głębokiej, zielonej doliny. Przy jednej ze ścian rynku znajdował się bar. Zaparkowałem samochód, przeszedłem przez plac i wszedłem do środka. Bar był obszerny i pusty, ze stołem bilardowym, ceratowymi obrusami na stołach i wiszącymi na ścianach morskimi pamiątkami. U jasnowłosego barmana w średnim wieku zamówiłem brandy. Kiedy mi ją podawał, pochyliłem się i zapytałem, czy są w tej wiosce jakieś pokoje do wynajęcia.

– *Espera* – powiedział z niepewną miną. – Zaraz, zaraz. Myślę, że... Maria! – krzyknął w stronę kuchni. – Czy moja matka nie ma przypadkiem jakichś pokoiów do wynajęcia?

Miała. Poprowadzono mnie drogą i przedstawiono Amparo, starszej kobiecie z siwym wąsikiem, gderliwym mężem – inwalidą wojennym i dużym domem, którego górne piętro było akurat wolne. Oprowadziła mnie po nim.

– Dom jest o wiele za duży dla nas dwojga. – Mówiła z silnym akcentem z okolic Walencji. – Proszę nie otwierać tego kredensu. Mąż trzyma w nim sprzęt wędkarski. Oczywiście od lat nie chodzi na ryby.

Mieszkanie było zakurzone, a ściany wyklejone tapetą w mdłe szaropomarańczowe prążki, jak w burdelu z westernu. Ale było jasne i tanie, a co najważniejsze, z salonu otwierał się wspaniały widok na dolinę, zamek i lśniące błękitne jezioro.

– Biorę – powiedziałem.

Drugą pasją życiową Vicentego, oprócz Anglików, było polowanie.

– Polowanie na lisy. To dopiero szlachetny sport.

Przyglądałem się grupie dwunastolatków wychodzących z moich zajęć, po kolejnym wieczorze spędzonym na próbach zachęcenia ich, żeby skoncentrowali się na lekcji, a nie na kieszonkowych grach komputerowych. Czas było iść do domu.

– Musiałeś chyba robić podobne rzeczy, kiedy byłeś w Oksfordzie?

Spojrzałem na niego zdumiony. Znalazłem się w trudnej sytuacji: nie wiedziałem, czy opowiedzieć jakąś romantyczną historię, czy dać sobie spokój. To tak, jakby siedmioletnia siostrzenica zapytała, czy Święty Mikołaj naprawdę istnieje. Niełatwo jest odgrywać rolę burzyciela marzeń.

– Mój college był bardzo akademicki – wyjaśniłem. – Żadnych okazji, żeby robić coś poza nauką.

– Czytałeś Sassoon? Wspaniała, wspaniała książka. To byli dżentelmeni, prawdziwi dżentelmeni. Nie to co dzisiaj. Tak niewielu ich zostało.

Aluzja do Sassoon była dziwaczna, ale potraktowałem ją jako zachętę do rozmowy.

– Co masz na myśli? – zapytałem.

– W Hiszpanii nie mamy zbyt wielu przedstawicieli w pewnych, hmm, obszarach. Dżentelmenów na przykład.

– No a hiszpański *caballero*!

Vicente powstrzymał szyderczy uśmiezek.

– To prawda, istnieją pewne podobieństwa między angielskim szlachcicem i hiszpańskim *caballero*, ale jest też fundamentalna różnica. – Zawiesił na chwilę głos, jakby chciał nadać wagę temu, co zaraz powie.

– Pamiętaj, że przez osiem stuleci byli tu Maurowie. – Ostatnie słowo wymówił z pogardą. – Afryka, jeśli przypominasz sobie to powiedzenie, zaczyna się od Pirenejów. Taki *caballero* może być wspaniałym człowiekiem, ale nigdy, przenigdy nie może być czysty. – Rozejrzał się po korytarzu, żeby sprawdzić, czy ktoś nie słucha, a potem zniżył głos: – Jesteśmy nieczyści.

Pedro powiedział mi pewnego razu, że koncepcja „szlachcica” zrodziła się u Arabów. Przypominanie tego teraz byłoby jednak niemądre. W oczach Vicentego płonął niepokojący fanatyzm. Było jasne, że podchodzi do tego bardzo emocjonalnie.

Światła wokół nas pogasły, nauczyciele pozamykali na noc swoje klasy.

– Posłuchaj – powiedział Vicente – zapraszam cię na drinka. Chciałbym cię poznać z paroma moimi kolegami-myśliwymi. To paczka świętych chłopaków.

Gość był snobem i bigotem, a ja miałem romans z jego żoną, ale kiwnąłem niechętnie głową. Pomyślałem, że odrzucenie jego zaproszenia nie byłoby rozsądne. Przyjęcie go stanowiło najlepszy sposób na udawanie, że nic się nie dzieje.

Przy całej swojej anglofilii Vicente był bardzo hiszpański. Rytuał spotkania się wieczorem w barze i gadania z przyjaciółmi nad szklaneczkami *fino*, szynką i oliwkami był typowy dla mężczyzn z jego warstwy i w jego wieku. Ale on zrobił z „angielskości” etykietkę, z którą postanowił się obnosić, więc zabierał wszędzie specjalny ekwipunek, niczym wytarte rekwizyty: fajkę, tweedową marynarkę, jeśli było chłodno, i, jak zwykle, wypucowane półbuty z dziurkowanym wzorkiem.

Jeśli chciał zrobić wrażenie na kolegach, to działało. Ogólnie rzecz biorąc, nie wyróżniali się oni niczym szczególnym: trzech facetów z nadwagą, w średnim wieku, którzy ztratili styl w wygodnym, pogodnym życiu, jakie prowadzili. Źródłem ich najsilniejszych przeżyć były kace po nocnym pijaństwie.

Wydawało mi się, że stoimy tak godzinami, popijając, jedząc i rozmawiając – przeważnie o polowaniu. Sezon łowiecki dawno się skończył, można więc było powspominać, no i rozmawiać o przyszłej jesieni. Potem Vicente skorzystał z tego, że ktoś zapytał go o broń, i zaczął rozprawiać na jeden ze swoich ulubionych tematów.

– Najlepsze są oczywiście strzelby angielskie, Holland and Holland na przykład, albo Purdey, na zamówienie. Niektórzy wolą modele amerykańskie, jak Remington, ale ja nie cenię ich zbyt wysoko – powiedział.

– Robisz mu już pranie mózgu, Vicente? – wtrącił z uśmiechem niski, otyły mężczyzna z podkreconymi wąsami, po czym zwrócił się do mnie: –

Nie słuchaj go. On nie ma pojęcia o strzelbach. Interesuje go tylko jedna rzecz. Może nie? – Odwrócił się do Vicentego. – *El Killer*. – Ostatnie słowo wypowiedział z silnym hiszpańskim akcentem, więc zabrzmiało jak „keelerr”.

– *El Killer*? – zapytałem, co spowodowało dalsze wybuchy śmiechu.

– *El Killer* interesuje się tylko jednym. Zabijaniem. Nie obchodzi go czym. Byle tylko rozwalilo sukinsyna. Barn! Bam! – Gruby facet zaczął naśladować minę kogoś, kto strzela do nieruchomego celu. – Ten człowiek jest spragniony krwi.

Vicente wyglądał na zakłopotanego.

– Ale przecież wszyscy to robicie, polując. Przecież chodzi o to, żeby zabić – powiedziałem, próbując złagodzić napięcie.

Tłusty facet mruknął:

– Dla mnie to jest sport. Ale ten tutaj... wystarczy włożyć mu strzelbę do ręki, a robi się z niego istny szaleniec. – Postukał się palcem w czoło. – Krew. To jest to, czego pragnie, krwi. – Pochylił się do Vicentego i lekko poklepał go po policzku, uśmiechając się szeroko. – Hej, *el Killer*! Obudź się! Upiłeś się! – Twarde spojrzenie znikło i twarz Vicentego zmiękła w uśmiechu. Wszyscy zaczęli się śmiać, ale ja zdałem sobie sprawę, że ujrzałem inne oblicze tego człowieka, oblicze, którego wolałbym raczej nie poznać. Miałem spocone ręce, mój puls przyspieszył.

– Musisz znowu się z nami spotkać – powiedział podпиты Vicente, nie uchylając ani na milimetr maski pseudoangielskiego dżentelmena. Wzdrygnąłem się. Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, było powtórzenie tego wieczoru.

– W przyszły piątek? – wybąkałem.

– A więc do zobaczenia, drogi kolego.

Po raz pierwszy zawiozłem Lolę do Vistacastell. Kiedy przygotowywałem lunch, z właściwą sobie dumą zrobiła inspekcję, po czym uniosła wysoko głowę i zmarszczyła nos.

- I co o tym myślisz? – zapytałem.
- Tapety są obrzydliwe. Ale jak na takiego *guiri* jak ty, mogą być.

Podeszła do krzesła przy oknie i spojrzała na dolinę, po czym usiadła spokojnie plecami do mnie. Była to forma pochwały.

Kiedy wróciłem po chwili z jedzeniem, siedziała na tym samym miejscu i wyglądała przez okno, a jej ubranie leżało na podłodze. Pocałowałem ją w ramię i postawiłem talerze na stole.

– Ten widok po prostu mnie rozbiera – powiedziała dramatycznym tonem. – Dotyka mnie tu. – Uderzyła się w piersi, wpatrując się gdzieś poza mnie, w dolinę. – Jak mogłabym okryć się czymkolwiek w obliczu takiego piękna?

Wzruszyłem ramionami.

– Poza tym – dodała, odwracając do mnie promieniejącą twarz – zabawniej jeść na golasa.

Wyglądaliśmy się przez całe popołudnie, gdy tymczasem kolory na dworze przechodziły od ostrej, wyrazistej bieli w środku dnia do bardziej łagodnych, spokojnych żółcieni w godzinach południowych, a wreszcie nasyconych, krwisto-pomarańczowych barw o zachodzie słońca.

Nadszedł czas powrotu. Zeszliśmy cicho po schodach, ale ja wiedziałem, że nasza gospodyni, Amparo, tam będzie. Inna kobieta w jej domu! Musiała przecież odkryć, co się święci.

Stała przy drzwiach, udając, że zamiata. Tym razem Lola nie miała na palcu obrączki.

- Czy to, co pan grał, to było flamenco?
- Tak. – Bez wątpienia słyszała dużo, dużo więcej.

Lola się odwróciła.

- Gra pan?
- Tak – odparłem. – A ona tańczy – dodałem, wskazując za siebie.
- To dobrze. W takim razie wystąpicie na naszej fieście za dwa tygodnie. Potrzebujemy więcej muzyki, różnej muzyki.

Jej mały pekińczyk obwąchiwał badawczo moje kostki, jakby zamierzał zaznaczyć za chwilę nowe terytorium. Nerwowo przestąpiłem z nogi na nogę.

– Co rok te same ludowe pieśni z Pere. – Pomachała groźnie szczotką w moim kierunku. – Nie! Tym razem chcę mieć flamenco – oznajmiła ochryłym głosem. A potem dodała łagodniej: – Miło będzie posłuchać czegoś innego.

– Ależ oczywiście, wystąpimy. – Nie mogłem jej odmówić. Szczotka blokowała teraz drzwi i byliśmy w pułapce.

– To dobrze – powiedziała, pozwalając nam przejść. Wyszliśmy na dwór i powiedzieliśmy „do widzenia”.

– Za dwa tygodnie, hej! – zawołała za nami, kiedy szliśmy w stronę placyku. Ścisnąłem sztywną dłoń Loli. Bałem się, że rzuci się na mnie, gdy tylko wsiądziemy do samochodu, ale ona była milcząca i zrezygnowana.

– Zobaczą nas. Wiem, że ktoś nas zobaczy. – To było wszystko, co powiedziała.

– Nie martw się. Jesteśmy całe kilometry od świata. Mieszkają tu tylko chłopci ze swoimi osłami.

– Nie rozumiesz.

Juan był zachwycony, kiedy powiedziałem mu o fiescie.

– *Hombre*, to twój pierwszy koncert. Cudownie!

Nie pytał o szczegóły, domyślił się, że będę akompaniował tancerce i zaczął uczyć mnie podstaw.

– To nie to samo, co granie solówek, chłopcze. Zupełnie inna sprawa. Najważniejszy jest *compás*. Zapomnij o tych kapryśnych *falsetas** i po prostu trzymaj rytm.

* *Falsetas* (hiszp.) – ozdobniki wykonywane na gitarze.

Przeegraliśmy jedną *alegrías* i *tango*.

– One zawsze są na czasie. Wszyscy o nie proszą. – Wydawało się, że dokładnie wie, co mnie czeka. – Ale zrezygnuj z *soleá*. Ludzie z tych

okolic tego nie lubią, nie potrafią zrozumieć. Poza tym, to nie jest kawałek na towarzyskie spotkania.

Skinąłem głową. Juan był bardziej przejęty tym wydarzeniem niż ja. Przyglądałem się, jak demonstruje mi wszystko, a pod pachami jego czerwonej koszuli rosły plamy potu. Pewnego dnia, pomyślałem, włoży czerwone spodnie i takie same buty, i wtedy będę miał pewność, że przestał się kontrolować.

– W akompaniamencie chodzi wyłącznie o to, żeby iść za tancerką, podawać jej rytm, ale także tuszować jej błędy – wyjaśniał. – Pamiętaj, jeśli ona się pogubi, to będzie to twoja wina. A teraz słuchaj, musisz poznać całkiem nowy świat.

Zacznijmy od *llamada**, potem pójdziemy dalej.

* *Llamada* (hiszp.) – w muzyce flamenco rodzaj zawołania, wezwania.

Byłem zdenerwowany. Być może to nie jest najlepszy pomysł. Jak ja mogłem dojść do wniosku, że jestem na tyle dobry, żeby grać na scenie? Cała ta sprawa wydała mi się niedorzeczna. *Jasón „El Inglés”* – największa katastrofa w historii flamenco. Czułem się jak człowiek, który dostał nakaz wykonania egzekucji na sobie samym.

– Musisz kochać tancerkę, czuć ją, odgadywać intuicyjnie. *Flamenco* zostawiony samemu sobie rzadko potrafi wywołać *duende*. Ale kiedy są inni, jeśli coś zaskoczy... *Jo!*

Ale ja byłem zbyt zajęty martwieniem się.

– Ej że, skup się! – Juan wyrwał mnie z moich rozmyślań. – Posłuchaj, będziesz musiał dużo ćwiczyć przed tym występem. Ale nie martw się, dasz sobie radę. Tylko skup się na najprostszycich sprawach.

Kiedy wychodziłem, trzęsły mi się ręce.

Znowu stałem przy barze w *barrio*, z Vicentem i jego przyjaciółmi; fale tanecznej muzyki wylewały się w wąskie brukowane zaułki, czuć było zapach stęchlizny, a kartki przyklepione do popękanych ścian błagały, żeby nie robić hałasu.

Miejscowe władze próbowały zaprowadzić tu porządek – przyznano subwencje na renowację starych budynków i pomalowanie ich na jasne, przyjemne dla oka kolory, ale trzeba by mnóstwa czasu na zduszenie pulsującego w nich życia, jako że mieszkańcy Alicante traktowali ten teren wyłącznie jako miejsce weekendowych rozrywek.

Poszliśmy do innego, nowego baru. To samo, tylko więcej: lampy stroboskopowe, bardzo głośna muzyka, lustra na ścianach. Tyle że ten był węższy i mniejszy. Wokół nas kręciło się mnóstwo nastolatków i młodych ludzi po dwudziestce, ale zdarzały się też małe grupki mężczyzn i kobiet w średnim wieku – takich jak Vicente – chcących łyknąć weekendową porcję rozrywki. Pokolenie postfrankistowskie miało taką potrzebę imprezowania, że bariery wiekowe nie istniały.

Zawiązało się coś w rodzaju rozmowy, ale prawie nic nie słyszałem. Grubas z wąsami podnosił ręce i machał nimi, udając, że strzela do lecącego ptaka. Przyszło mi do głowy, że kiedy spotykają się ludzie mający jakąś wspólną obsesję, nie można oczekiwać od nich, żeby rozmawiali o czymkolwiek innym.

Skorzystałem z okazji i przyjrzałem się mojemu chlebobdawcy, próbując domyślić się, co też widziała w nim Lola. Poza elegancką angielską fasadą, którą epatował otoczenie, była w nim jakaś ociężałość i okrucieństwo. Co by było, gdyby się o nas dowiedział? Odsunąłem tę myśl, czując nagły przypływ adrenaliny.

Ciężkie uderzenia głośnej, nieprzerwanej muzyki zaczynały osiągać efekt; stałem, popijając i kołysząc się do jej rytmu. Nie miałem nic innego do roboty.

Później, po wielu dużych porcjach ginu z tonikiem, wyszliśmy na dwór, na plac, teraz wypełniony ludźmi w różnym wieku, gdzie jak co weekend, odbywała się regularna impreza. Żartując, śmiejąc się i klepiąc po plecach, przecisnęliśmy się przez tłum do baru na zewnątrz, gdzie powietrze było czystsze. W pijackim oszołomieniu wydawało mi się, że fajka Vicentego wypełnia cały bar.

Wzięliśmy w posiadanie nowo zagarnięty kawałek terytorium i znowu zaczęliśmy pić pod dachem z trzciniowych mat. Trzech naszych towarzyszy pograżyło się w myśliwskich opowieściach, a Vicente i ja stanęliśmy z boku.

– Zaprzyjaźniłeś się z moją żoną – zagadnął.

Nigdy nie czułem tak lodowatego chłodu, zupełnie jakby tych parę słów wydrenowało ze mnie całą krew.

– Tak. – Staralem się wymówić to słowo bez zająknięcia. – Oboje lubimy flamenco. – Właśnie, w tym rzecz. Zwyczajna przyjaźń oparta na wspólnych zainteresowaniach. Tak jak to polujące towarzystwo.

Na twarzy Vicente malował się wyraz niedowierzania, jego grube brwi spotkały się nad głęboko osadzonymi oczami. Zastanawiałem się, jak zmienić temat. Pochylił się do przodu. Próbowałem się cofnąć, ale nie było miejsca. Jego twarz prawie dotykała mojej.

– Przecież jesteś Anglikiem – stwierdził z wyrzutem – jak możesz lubić flamenco? Flamenco jest dla Cyganów i kryminalistów. To gównno.

Był zły, z kącików ust pryskała mu ślina, ale ja nagle zdałem sobie sprawę, że nic nie wie.

– Flamenco to coś w rodzaju namiętności – powiedziałem, naśladując Juana.

– Namiętność? Masz chyba na myśli narkotyki. Oni szprycują się przez cały czas. Są od nich uzależnieni. Weź tego gościa, Camaróna. Jak myślisz, dlaczego umarł tak młodo?

Spojrzałem w bok.

– Jason, na litość boską. Jesteś z Oksfordu, jakim cudem możesz lubić te... bzdety?

Nie odpowiedziałem. Było jasne, że jego złość nie jest skierowana przeciwko mnie. I wydawało się, że ma jej spory zapas.

– Nie wiem, dlaczego Lola upiera się, żeby spotykać się z tymi ludźmi. Nie podoba mi się to. Mówiłem jej o tym ze sto razy. To wpływa na jej pracę.

Zmrużyłem oczy. Wiedziałem, że to nieprawda. W szkole Lola była wciąż tak samo surowa, sztywna i zasadnicza.

– Nie mamy żadnych wspólnych zainteresowań – ciągnął Vicente. – Jej nie interesuje myślistwo. Ani Anglia. Dałem jej tę pracę tylko dlatego, że chciała zarabiać. – Zakrztusił się, ale po chwili podjął: – Jej matka była pół-Arabką.

Zaskoczył mnie. Kontakty między zwykłymi Hiszpanami i światem arabskim nawet teraz nie były zbyt częste, a co dopiero w okresie, w którym urodziła się jej matka. Jeszcze wyraźniej zobaczyłem absurdalność małżeństwa Vicentego i Loli: rasistowski anglofil ożeniony z „nieczystą” tancerką flamenco.

– Mówię panu, gdyby nie dzieci... – prychnął. – Ożeniłem się z nią tylko dlatego, że zaszła w ciążę. Dziwka – mruknął pod nosem i spojrzał na mnie. – Mimo wszystko przypuszczam, że dzięki temu nie stała się Cyganką. – Pociągnął kolejny łyk whisky z colą. Po prostu nie potrafił zrozumieć pewnych spraw. – Błagała mnie, błagała na wszystko, żebym się z nią ożenił. No i oczywiście, gdy tylko urodziły się dzieci, przestała tańczyć. Myślałem, że na dobre. – Pochylił się do mnie i przysunął usta do mojego ucha. – Wiesz, czasami myślę, że trzymają nas razem tylko te rzeczy.

Pozostali myśliwi zaczęli nas wołać. Vicente odwrócił się gwałtownie, jakby nagle zdał sobie sprawę, co tak naprawdę mi powiedział.

Przeciskając się przez tłum, ruszyliśmy uliczką pnącą się pod górę, ku tyłom *barrio*, gdzie zwykli balangowicze nigdy by nie poszli. Zaułki były tu jeszcze węższe, więcej też było graffiti na ścianach. Zostałem trochę z tyłu. Czułem odrazę do tego człowieka i niczego nie pragnąłem bardziej, niż urwać się i wrócić do domu. Zostałem jednak złapany w pułapkę: nie chciałem zwracać na siebie uwagi.

Vicente wziął mnie za łokieć.

– Chodź – powiedział. – Idziemy odświeżyć stare znajomości. – Pozostali wybuchnęli śmiechem.

- Znajomości? – spytałem niepewnie.
- Tak. Parę bardzo miłych... i bliskich znajomych. – Jego koledzy znowu się roześmiali.
- No nie, bądźmy poważni – mruknąłem.
- Ja jestem poważny. Bardzo poważny. Chcemy przedstawić cię kilku najpiękniejszym damom w całej prowincji. Sam zobaczysz.

Zatrzymałem się.

- *Putas?*
- Wolimy nie używać tego słowa. Chodź! – Znowu złapał mnie za ramię, ale się uwolniłem.
- Vicente, posłuchaj, nie mogę tam iść.
- Co? Dlaczego? Odprężysz się, drogi przyjacielu. One naprawdę są bardzo sympatyczne.

Musiałem coś zrobić. Nie uważałem, żeby wizyta u prostytutek była dobrym pomysłem, w dodatku w tym towarzystwie.

– Nie, Vicente.

Popatrzył na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Wiesz, to zupełnie nie jest w angielskim stylu – dodałem. Jego twarz stężała. – Angielski dżentelmen uważa, że nigdy nie powinien płacić za tego rodzaju usługi.

Podziałało. Przez chwilę było mi go nawet żal. Wyglądał jak balon, z którego uszło powietrze.

- Rozumiem – powiedział. Pozostali krzyczeli, żebyśmy do nich dołączyli. – Muszę iść. Może... wpadniesz do mnie na lunch w następny weekend? Mam w domu parę rzeczy, które chciałbym ci pokazać.

Zgodziłem się niechętnie, a on odwrócił się i zniknął w ciemności.

Spotkałem się z Eduardem na śniadaniu w barze. Usiedliśmy na dworze pod parasolem w prążki, popijając sok brzoskwiniowy. Było tak parno, że ociekaliśmy potem, wciąż czułem na języku cierpki smak tytoniu.

– Jak ci idzie z tą ognistą kobitką?
– Ostatni wieczór spędziłem w *barrio* z jej mężem i jego kolegami myśliwymi.

– Na litość boską! – Wpatrywał się we mnie przez ciemne okulary.

– Dowiedziałem się też paru rzeczy. Ona jest ćwierć-Arabką, on chodzi do burdelu, i mimo problemów ciągle trzymają ich przy sobie „te rzeczy”, jak on to ujmuje. – Moja zazdrość mnie zaskoczyła.

– Mnie się wydaje, że to całkiem zwyczajne małżeństwo... oprócz tej arabskiej historii. – powiedział Eduardo. – Ale uważaj, synku. Igrasz z ogniem. On może teraz nic nie wiedzieć, ale wystarczy jeden donosik i stracisz palce, gdy tylko się dowie, gdzie były. Nie będziesz miał czym grać na gitarze. Rozumiesz?

– W następny weekend występuję z Lolą na wieście w Vistacastell.

– Nie wiem dlaczego, ale bardzo mnie to niepokoi.

– Posłuchaj, wszystko będzie dobrze. To daleko stąd. Nikt nas nie zobaczy.

– Ja też mam taką nadzieję, synku. Mam nadzieję, że spadnie śnieg i nikt się tam nie pokaże.

– Będę jej akompaniował.

– Doskonale! Jeżeli interesuje cię akompaniowanie, powinieneś posłuchać Tomatita, Małego Pomidorka.

Wiedziałem, że kiedy już zaczniesz rozprawiać o muzyce, da mi spokój.

– To gość, którego trzeba słuchać – mówił. – Król cygańskich gitarzystów. Jego gra z Camarónem to było ostatnie słowo w sztuce akompaniowania. Wiem, to nie było do tańca, ale zasada jest ta sama: przy minimum wysiłku wymusić możliwie najlepsze wykonanie. Gitara jest tu elementem decydującym, ale nigdy nie powinna odwracać uwagi od...

I tak dalej, i tak dalej. Przystałem go słuchać. Rozmyślałem o Loli i o... Vicencie.

Gdy wróciłem do „Costa Gazette”, zastałem Barry'ego w doskonałym nastroju. Był właśnie zafascynowany młodą dziewczyną, której ojciec pisał do „Sunday Telegraph”. Gazeta przychodziła do nas w poniedziałki.

– Jest wspaniała! Popatrz, jakie ma cycki!

Pokazał mi zdjęcie nadąsanej londynianki o gęstych ciemnych włosach. Zaproponował jej, żeby pisała regularnie do naszej gazety. Co dziwne, odpisała i poprosiła o szczegóły na temat stawek.

– Cóż, możemy zaoferować jej najwyższą stawkę, dwadzieścia peset za wiersz. Co o tym myślisz?

– Myślę, że roześmieje ci się w twarz.

– Do diabła, co ty możesz wiedzieć na ten temat? Słuchaj – odwrócić się do roześmianego Johathana – powiem ci coś. Wszystkie jej honoraria będziemy wpłacali na specjalny rachunek, więc kiedy przyjedzie na wakacje, będzie na nią czekała niezła sumka. Kasa do wydawania.

Zniknął z triumfującą miną w swojej jaskini.

– Kutas – mruknął Jonathan, kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi.

– Och, posłuchaj, Jason – twarz Barry'ego pojawiła się w drzwiach. – W ten weekend ma się odbyć fiesta, gdzieś tam w górach. Zdaje się, że jakiś angielski przyk ma grać flamenco. Chciałbym, żebyś to obskoczył. Jonathan powie ci, jak tam dojechać.

Jonathan podał mi szczegóły. Zatkąło mnie tak, że nie odezwałem się ani słowem.

Znalazłem mieszkanie Loli i Vicentego na obrzeżach miasta – na dużym bezdusznym osiedlu pełnym bloków i kondominiów z basenami i kortami tenisowymi, owoce nowej, świetnie prosperującej, postfaszystowskiej Hiszpanii. Zaparkowałem samochód i wszedłem przez żelazną furtkę w obręb czegoś, co wyglądało na ufortyfikowany obóz. Betonowa komunalna przestrzeń przypominała bezludną pustynię, zamarłą w obezwładniającym

upale południa. Nawet basen był pusty.

Doszedłem do drzwi, odnalazłem właściwy dzwonek i położyłem na nim palec. Przez chwilę dłoń odmawiała mi posłuszeństwa. Z każdym dniem z coraz większą niechęcią myślałem o tej szczególnej wizycie. Dowiedziawszy się o zaproszeniu, Lola obrzuciła mnie lodowatym spojrzeniem i zagroziła, że zniknie na weekend i nie weźmie udziału w koncercie. Uprosiłem ją i zgodziła się zostać. Poza tym Vicente miał tego wieczoru brać udział w konferencji w Walencji. Mogliśmy pojechać na festę i być może zostać tam na jeszcze jeden dzień. Wciąż jednak dręczył mnie niepokój.

Zadzwoniłem i z domofonu popłynął głos. To był Vicente.

– Prosimy, drogi przyjacielu. Znajdziesz nas na piątym piętrze.

Powitał mnie w drzwiach cały w uśmiechach i mocno uściskał moją dłoń. Wszedłem.

Mieszkanie było mroczne – ciężkie meble, brązy, zielenie, mahoniowe krzesła jak trony. Wzdłuż ścian regały, a na nich wytworne, nietknięte, oprawione w skórę książki, kupione w klubie księgarskim, albo może na metry od dekoratora wnętrz.

– Mogę ci zaproponować piwo, stary?

Obserwowałem Lolę, która krążyła między pokojem a kuchnią. Jej włosy, gładko zaczesane, spięte były klamrą. Mimo to, gdy tak się krzątała, nie spoglądając na mnie nawet przelotnie, zdałem sobie sprawę, że jest jakaś inna. Byłem przyzwyczajony do jej dwóch osobowości – administratorki szkoły i tancerki *flamenco* – tu widziałem trzecią, o której istnieniu nie miałem aż do tej pory pojęcia. Zauważyłem, że w tym domu, w obecności Vicente, jest żoną grającą główną rolę w życiu, jakie stworzyli. Znikła gdzieś wyniosłość, ogień wygasł. Nie było śladu po nadąsanej, posępnej dumie, jakiej się spodziewałem. Wszystko w jej zachowaniu, to, w jaki sposób jadła, siedziała, słuchając Vicente, sprzątała talerze, przynosiła następne dania, były świadectwem jej przyzwolenia i rezygnacji. Widmo.

Nie było tu miłości. Była żoną, tak, nawet fizycznie, o czym przypominała mi moja zazdrość, ale nie kochanką.

– Zrobiłam paellę. Skosztujesz? – Nigdy nie widziałem jej tak uprzejmej.

– Mmm. *Payela* – wymruczał Vicente, naśladowując angielską wymowę. Lola zachichotała.

Rozejrzałem się po pokoju, szukając śladów jej obecności, kobiety, którą, jak mi się wydawało, znałem. Tylko książki i stare mapy angielskich hrabstw. To był świat Vicente. Nagle coś przykuło moją uwagę. Na dolnej półce regału z książkami stała plastikowa lalka w jaskrawej, czerwono-czarnej sukience z turkusowymi cekinami, z czarnymi włosami spiętymi klamerką. Była to tancerka flamenco – tania, taka, jakie sprzedawano w sklepach z pamiątkami. Odwróciłem głowę.

– Moja córka wrodziła się we mnie – mówił Vicente. – Kocha Anglików. Studiuje literaturę angielską na uniwersytecie w Barcelonie. Najlepsza na roku.

Pogratulowałem mu, jego duma wypełniała pokój.

– Za to mój syn, och, on jest bardziej podobny do matki.

Chce w przyszłym roku wstąpić do wojska. – Pochylił się ku mnie. – Wie pan, cała ta agresja... – powiedział cicho. Lola była w kuchni. – Mam znajomego, *enchufe*, w Ministerstwie Obrony w Madrycie. Zadbamy, żeby otrzymał dobre stanowisko.

W kraju, w którym, jak mówiono, władza była ważniejsza niż seks, posiadanie *enchufes* było jedynym sposobem na to, żeby coś załatwić w tej tak zwanej erze demokracji. System wyświadczenia sobie przysług i lokalni kacykowie, takie było rzeczywiste oblicze życia politycznego Hiszpanii.

Vicente nadal wychwalał zalety swoich dzieci, ale mówił o nich, jak o jakichś ozdóbkach. Moją uwagę zwróciła także ich nieobecność w tym mieszkaniu, nie tylko fizyczna – córka przebywała daleko od domu, a syn bez wątplenia w sobotnie popołudnie miał lepsze rzeczy do roboty – ale także w postaci widocznych śladów ich uczestnictwa w życiu domu.

Lola przyniosła następne dania, z uśmiechem przyklepionym do ust i fartuchem przewiązanym w talii. Nie poznawałem jej. Nie była to już sprężysta, przypominająca lamparta kobieta, w której się zakochałem. Miałem ochotę wyciągnąć nogę i dotknąć jej pod stołem, ale bałem się ryzykować. Poza tym Vicente stawiał swojemu audytorium duże wymagania, więc musiałem go słuchać niczym niechętny współpasażer w dalekiej podróży.

Posiłek dobiegł końca i Lola zaczęła sprzątać ze stołu. Chciałem wstać, żeby jej pomóc, może nawet zostać z nią przez sekundę czy dwie sam na sam w kuchni i przekonać się, czy ona naprawdę tu jest. Ale Vicente potokiem słów zmusił mnie do pozostania na krześle. Idąc na kompromis, zacząłem składać talerze, ale on dał mi znak ruchem ręki, żebym je zostawił. Posłuchałem i Lola wyniosła je do kuchni.

– Chodź ze mną – powiedział. – Chcę ci coś pokazać. – Uniosłem z krzesła ociężałe, opuchnięte od gorąca i ryżu ciało i ruszyłem za nim ciemnym korytarzem. Otworzył drzwi na jego końcu i gestem zaprosił mnie do środka.

W pokoju było mroczno, unosiła się woń wody kolońskiej i naftaliny: zapach starych Hiszpanów. Zapalił małą lampkę na komodzie przy drzwiach. Pokój zalało przyćmione, ponure światło, ledwo pozwalające dojrzeć, co się w nim znajduje. Moje oczy nie przyzwyczyły się do mroku i musiałem się wysilać, żeby cokolwiek zobaczyć. Znowu ciemne barwy, wiekowe meble, stary perski dywan, brązowy fotel z wytartym obiciem. Ale już po chwili zdałem sobie sprawę, że z gablotek na wszystkich ścianach, z półek i kątów wytrzeszczały na mnie czarne, pozbawione życia oczy wypchane, zapełniające cały pokój, martwe zwierzęta. Króliki, sokoły, gronostaje, łeb dzika, łoś, wszystkie, poustawiane w tej kostnicy przypominającej świątynię, składały milczący hołd okrucieństwu człowieka, który je zabił, a ich milczenie było dziwnie niepokojące. Bałem się, że lada moment ożyją, nabiorą powietrza i rzucają się na swojego zabójcę.

– Mam w Walencji człowieka, który miję wypycha. Oczywiście nie można wypchać wszystkich. Niektóre się nie nadają, zależy, gdzie się trafi.

Oczami duszy widziałem go w kurtce moro, jak strąca te stworzenia z nieba i z drzew, a jego strzelba sieje śmierć, w cokolwiek wyceluje.

– Zaczyna mi brakować miejsca. Mam tylko jeden pokój na specjalne trofea. Takie jak to. – Wskazał sokoła z rozcapierzonymi szponami i szeroko otwartym dziobem, jakby były to ostatnie sekundy jego szybowania ku ziemi, zanim śmierć zada mu cios. Zastanawiałem się, jak to się odbyło.

Może siedział spokojnie na drzewie, oddając się porannym ablucjom? Albo krążył leniwie, unoszony przybrzeżną bryzą?

Było oczywiste, że wypychacz zwierząt doskonale zaspokajał życzenia swoich klientów.

– Oczywiście nie można czekać zbyt długo, jak już się je zestrzeli. Czasami jadę prosto do Walencji ze zwierzęciem w bagażniku. Nie zatrzymuję się nawet po to, żeby zajrzeć do domu i zmienić ubranie. On chce, żeby były jak najświeższe. Rozumie pan, chodzi o te upały.

Staliśmy w cichym, mrocznym pokoju, a zwierzęta gapily się na nas. Lodowaty strach, który poczułem w trzewiach w trakcie pierwszego wieczoru z myśliwymi w *barrio*, znowu zaczął podchodzić mi do gardła.

– Ciężko pracowałem przez całe życie, Jasonie, żeby zdobyć to, co mam – powiedział. – To jest dla mnie wszystkim. Zabiłbym każdego, kto spróbowałby mi to zabrać.

Przed wyjazdem do Vistacastell wstąpiłem do domu po gitarę, a kiedy wyszedłem, na ulicy Alfonso El Sabio wpadłem na Pedra, przeskakującego od jednej plamy cienia do drugiej. Poza nim nie było żywego ducha. W taki upał nikt nie wychodził na dwór.

Na jego widok stanął mi nagle przed oczami mój przyjazd do Alicante: cisza jego pachnącego jaśminem ogrodu, radość oglądania nowych dla

mnie rzeczy, nadzieja, spokój. Wydawało się, że nosi to wszystko ze sobą.

Podszedłem, żeby się przywitać. Uśmiechnął się szerokim, chłopięcym uśmiechem i objął mnie. Nie widzieliśmy się od Bożego Narodzenia, jakbym zapomniał, że on istnieje.

– Mój drogi Watsonie, musisz uważać na siebie w tym upale. Upieczesz się.

I pomaszerowałem dalej ze śmiechem, machając ręką i posyłając całusy.

– No i ... *don't worry. Be khappy.*

Kiedy dojechałem do Vistacastell, trzęsły mi się ręce. Placyk udekorowany był lampionami, a w rogu ustawiono duży namiot pełen długich, pustych stołów, przykrytych białymi papierowymi serwetami. W głębi znajdował się bar, a dalej scena z krzesłem i mikrofonem. Patrzyłem na to wszystko z przerażeniem. Dwaj ludzie ustawiali głośniki, a muzyka rozchodziła się po całej wiosce, adresowana do nieobecnej jeszcze widowni. Hiszpanie tak byli spragnieni hałasu, że nawet ta późna godzina sjesty nie okazała się świętością. Pomaszerowałem do domu Amparo, zastanawiając się, czy zdążę jeszcze poćwiczyć.

Pekińczyk siedział przy drzwiach jak puszysta kulka. Znał mnie już i zerwał się, machając niezobowiązująco ogonkiem, gdy tylko rozpoznał moje kroki w wąskiej uliczce. Obwąchał mi kostki, ja poklepałem go po łebku i razem weszliśmy do domu.

Cicho przekradłem się na górę, bojąc się, że mogę obudzić śpiących na parterze. Otworzyłem futerał, wyjąłem gitarę i czekałem, zapatrzony w rozpyłającą się w mroku dolinę.

Lola się spóźniła. Powiedziała, że Vicente pojechał innym pociągiem, niż się spodziewała. Fiesta już się rozpoczęła.

– Masz, przywiozłam ci prezent. Weź to. – Po czym dodała, spoglądając w bok: – Nie, żebyś na to zasługiwał...

Uśmiechnąłem się. Znowu zachowywała się normalnie.

Otworzyłem pudełko i znalazłem w środku jasnoczerwone wieczne pióro.

– Pewnego dnia opiszesz to wszystko. A jak już zaczniesz, chcę, żebyś pisał tym piórem. – Ucałowała moje oczy.

Miałem do niej tyle pytań. Dlaczego tam, w domu, była taka inna? Jak jej się to udawało? Co z tą arabską babką? Ta tajemnica bardzo mnie ekscytowała. Chciałem, żeby mi o tym opowiedziała. Musiała chyba znać rasi-stowskie poglądy Vicentego? Ale nie było na to czasu, mieliśmy dać występ. Nie zdążyliśmy nawet przelecieć w ostatniej chwili programu.

Kiedy przyszlismy, było już po północy. Komary i ćmy kłębiły się wokół mocnych lamp, zawieszonych po bokach namiotu. Mimo wietrzyku od gór było bardzo gorąco, czuło się ostry zapach potu, papierosów i taniego czerwonego wina. Wchodząc na scenę, wmawiałem sobie, że to tylko ma-leńka widownia podpitych wieśniaków, którzy prawdopodobnie wiedzieli o flamenco tyle samo co moja babcia. Nie ma powodów do niepokoju, nie, nie. Ale mimo tego ugiwały się pode mną nogi i gdy usiadłem na krześle, poczułem ulgę.

Tymczasem Lola zatarła ręce i stanęła na środku, spoglądając ponad widownię. Traktowała to jak wyzwanie.

– *Mierda*. Gówno – powiedziała, nie odwracając głowy.

Był to hiszpański odpowiednik życzenia: „połam ręce i nogi”.

Gruby mężczyzna o błyszczącej twarzy przedstawił nas jako *Los Novios Flamencos* – parę narzeczonych *flamenco*. Rzuciłem pod nosem przekleństwo pod adresem Amparo. Bez wątpienia wszyscy już o nas wiedzieli. Lola przewróciła oczami i przechyliła głowę.

– Na litość boską! – syknęła.

Patrzyłem, jak wypowiada te słowa i napina ramiona. Nie najlepszy sposób rozpoczynania tańca. Wydawało się, że jest gotowa wylecieć jak burza ze sceny i zostawić mnie samego, żebym odegrał solówkę.

– *Ole* – krzyknął ktoś na widowni. Ludzie nie mogli się doczekać,

kiedy zaczniemy. Ale ja czytałem w myślach Loli i czułem, jak rośnie w niej złość i duma. Tego było za wiele. Czemu niby ona, prawdziwa tancerka flamenco, ma występować przed tą zbieraniną? *Ole*? Oni nie mają pojęcia, co znaczy to słowo. Jak mogą krzyczeć *ole*!?

Tłum czekał nadal i zaczynał się denerwować. Dlaczego nie zaczynamy? Czyżby stało się coś złego?

– Lola! – syknąłem. Ale ona stała nieruchomo, z opuszczoną głową i zaciśniętymi szczękami. – *¡Venga!* *¡Mora!* Rusz się! Mauretanka!

Rozejrzała się i spojrzała mi prosto w oczy, zaszokowana, lecz po sekundzie odwróciła się do widowni i uderzyła obcasami o podłogę. Taniec się zaczął.

Wieśniacy oszaleli, myśląc, że to wszystko jest częścią pokazu, i od razu nas polubili. Zaczęliśmy od *verdiales de Málaga*. Dobry, popularny, namiętny kawałek. Głośny i rytmiczny, lubiany przez zwykłych słuchaczy. Wszyscy klaskali, przeważnie nierytmicznie, ale namiot wypełnił się hałasem i tańcem, mężczyźni pokrzykiwali, dzieci ganiały się pod stołami, napełniano szklanki, mamusie nadal rozmawiały głośno, mimo całej tej wrzawy. Westchnąłem cicho z uczuciem ulgi. Czy jest lepszy sposób na to, żeby nie zauważono moich błędów? W takim zamieszaniu nikt mnie nie usłyszy.

Przez moment widziałem Amparo, która siedziała naprzeciwko sceny i klaskała energicznie wraz z sąsiadami. Zauważyła, że na nią patrzę, i pomachała mi. Uśmiechnąłem się. Nie mogłem jej zbyt obwiniać o to, że zapowiedziano nas jako *Los Novios Flamencos*. Widocznie to do nas pasowało.

Utwór dobiegł do końca i rozległ się hałaśliwy aplauz. Ale my prawie natychmiast zaczęliśmy następny popularny taniec. *Alegría*. Lola sięgnęła do torebki po kastaniety.

– Potrzebuję ich dla rytmu – zawołała do mnie, przekrzykując wrzawę. – Nie słyszę twojej gitary.

Jeszcze więcej okrzyków. *Vivan Los Novios Flamencos!* Niech żyją Narzeczeni Flamenco! Jęknąłem, lecz Lola tym razem nie zareagowała. Być

może nie usłyszała. Lodowaty strach znowu chwycił mnie za gardło, a palce zaczęły błędzić po strunach. Ohydne, fałszywe, nieharmonijne dźwięki. To jest to, pomyślałem. Zgubiłem się. Ale tańcząca Lola i publiczność naciskali, by kontynuować, więc zmusiłem spocone ze zdenerwowania ręce, żeby za wszelką cenę się odnalazły. Kiedy na nowo złapałem rytm, zdałem sobie sprawę, że nikt niczego nie zauważył. A jeśli nawet, to tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia. Był to tłum na hiszpańskiej fiescie. Nikt nie zamierzał mnie oceniać, zwłaszcza że byłem obcokrajowcem. Na wszelki wypadek postanowiłem trzymać tylko *compás* i nic więcej.

Alegria dobiegła do końca. Znowu okrzyki. „Jeszcze jeden, i wystarczy!” – zawołała do mnie Lola. Jej czoło lśniło od potu.

Zaczelśmy *Tango*, pierwszy *palo*, jaki wykonaliśmy razem. Lola narzuciła ostre tempo, zauważyłem, że tłum znowu dodaje jej życia, a przez jej ciało przepływa falujący rytm.

– *¡Venga, Morita!* – wrzasnąłem znowu. Tym razem uśmiechnęła się i zaczęła tańczyć jeszcze ostrzej, po jej twarzy spływał pot, kiedy obracała się i uderzała obcasami o podłogę sceny, mokre pasma włosów przyklepiły się do jej policzków.

Przypomniałem sobie, co Juan mówił o *duende*. *Duende* to miłość. Moje palce ślizgały się gładko po strunach w doskonałej zgodzie z jej tańcem, w doskonałym unisono.

Kiedy skończyliśmy, pocałowała mnie. Mieszkańcy wioski krzyczeli. *¡Vivan Los Novios!* Już się tym nie przejmowaliśmy.

– To wygląda jak wesele – powiedziałem.

Zeszliśmy ze sceny i ruszyliśmy do wyjścia wśród kłębow papierosowego dymu, zmieszanego z zapachem potu, przeciskając się przez gratulujący nam tłum. Zaczynał się już następny punkt programu, ale wydawało się, że nikt tego nie zauważył, wszyscy chcieli ucisnąć nam dłonie. Faceta, który stanął na scenie, słyszeli pewnie ze sto razy. Wydawało się, że minie cały wiek, zanim się stąd wydostaniemy.

– Cudownie, cudownie! – Podeszła do nas Amparo, wykrzykując podziękowania, po czym nas ucałowała. – Jestem pewna, że będziecie ze sobą bardzo szczęśliwi.

W końcu wyszliśmy z namiotu. Tu też roіło się od ludzi, ale przynajmniej można było złapać oddech.

– No i co, *guiri*? – Lola objęła mnie i utkwіła wzrok w mojej twarzy, jej oczy tańczyły figlarnie, promieniała. – Co myślisz o swoim pierwszym koncercie?

Odetchnąłem. Najbardziej byłem zadowolony z tego, że jest już po wszystkim. Odchyliłem głowę, żeby spojrzeć w rozgwieżdżone niebo.

– Nie najgorzej, jak na pierwszy występ. Pod koniec nawet pięknie. Ale powinien być lepiej słuchać tego, co mówiłem mu o graniu z tancerzami.

Odwrociłem się, osłaniając oczy przed światłem. Ściśnięty żołądek podjechał mi do gardła. To był Juan.

– Dobrze wam poszło... – powiedział. Ręce Loli opadły bezwładnie. – Trzeba było powiedzieć o tym naszej paczce, cieszylibyśmy się tu wszyscy. – Podeszedł bliżej, na jego ustach igrał niewyraźny uśmieszek. Lola zaczęła się cofać. Stałem bez ruchu, nie mogąc się zdecydować, czy przystąpić do ataku, czy uciekać.

– Taki piękny występ, moi kochani. *Encanto*, czarujący, takie porywające *duende*. Byłem naprawdę poruszony. Prawie jak za dawnych lat, co, Lolu? Przywiozłaś ze sobą Vicentego? A może udało ci się wystać go gdzieś daleko, jak to robiłaś dawniej?

Lola próbowała schować się za moimi plecami.

– *Los Novios Flamencos*. Ha! Nikt nigdy tak pięknie nas nie nazywał, prawda? Zawsze tylko Juan i Lola. Nigdy nie brzmiało to jak należy. Może dlatego my...

– Czego, do cholery, chcesz, ty skurwysynu? – krzyknęła Lola.

– Ach, tak, ten twój słynny temperament. Wiadomo, to te rude włosy. Ale mam nadzieję, Jasonie, że ty dałeś już sobie z nim radę, hę?

– Posłuchaj, Juan...

– Zamknij się, piździelcu. – Jego usta zaczynały drżeć. – Nie masz o niczym pojęcia. Nie wiesz nawet... Ta dziwka... – Uniósł palec i wskazał nim Lolę. Miałem wrażenie, że za chwilę wybuchnie potężnym potokiem obelg. Przygotowałem się na odparcie ataku, zasłaniając sobą Lolę na wypadek, gdyby przeszedł do rękoczynów, i spojrzałem prosto w jego głębokie niebieskie oczy.

Ale ataku nie było. To, co w nim tkwiło – strach, wstyd, przekonanie, że jest spokojnym człowiekiem, albo po prostu za dużo lat znoszenia bólu, którego teraz nie potrafił wyrazić – to coś, wszystko jedno co, nagle zapłonowało nad nim, uśmierzyło gniew i sprawiło, że znowu stał się taki jak zawsze. Palec opadł, drżenie ust ustało, a na jego twarz wrócił spokój.

Staliśmy naprzeciwko siebie i przez moment znowu byliśmy nauczycielem i uczniem. Przyszło mi nawet na myśl, że wszystko to zostało zainscenizowane jako część mojego treningu, część procesu poznawania istoty flamenco, tego piękna, o jakim Juan zawsze mówił, a którego ja nigdy nie potrafiłem na dobre uchwycić. Ale była to tylko chwilka. W rzeczywistości byliśmy o włos od rzucenia się na siebie z pięściami. Jego tajemnica się wydała.

Nagle twarz Juana rozjaśniła się w ojcowskim uśmiechu.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Z mojej strony nic wam nie grozi. – Po czym odwrócił się i odszedł, przeciskając się przez tłum, by zniknąć w głębi wioski.

Lola wydała zduszony okrzyk i pociągnęła mnie za sobą. Wykręciła mi rękę, uciekając biegiem z rynku w kierunku mrocznej, pustej uliczki. Poczuję, że zbiera mi się na wymioty. Chciałem zawrócić, ale ona popchnęła mnie do drzwi. Zacząłem szukać kluczy, weszliśmy do domu i na górę.

Słyszałem, jak gorączkowo zbiera swoje rzeczy. Stałem w milczeniu przy oknie, spoglądając na niewidoczną teraz dolinę. Nieprzebyta przepaść, jaka w jednej chwili nas rozdzieliła, wypełniła cały dom. Lola odchodziła, staliśmy się sobie obcy.

Mój umysł powędrował ku spokojnym, łagodnym obrazom pustyni, oaz, długich, dalekich podróży, kokon fantazji przeciwko emocjom, które atakowały mózg.

Wróciła do drugiego pokoju i stanęła za mną. Czułem jej oddech na karku, ale był chłodny i twardy. Nie poruszyłem się, wciąż wyglądałem przez okno, próbując wypatrzyć jakiś szczegół doliny, który wymknął się welonowi mroku.

– Odjeżdżam.

– Tak, wiem.

Staliśmy bez ruchu, zastygli jak zwierzaki Vicentego.

– Nigdy nie mówiłaś mi o twojej arabskiej babce.

Nie usłyszałem, jak wychodziła.

– Nie możesz tu zostać, synku. Wierz mi, teraz już naprawdę nie możesz.

– Dlaczego, u diabła, miałbym uciekać?

Eduardo popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

– W porządku, wiem, że on ma strzelbę. Kilka strzelb. Ale... ja ją kocham.

– I właśnie dlatego musisz wyjechać. Natychmiast.

– Nie jestem tchórzem. Może Juan nikomu o tym nie powie. Obiecał, że będzie trzymał język za zębami.

– Posłuchaj, synku, z tego, co mi mówisz, ten typek Juan nie wygląda na najspokojniejszego człowieka na świecie. Mamy tu do czynienia z zazdrością.

– Ale dlaczego Vicente miałby mu uwierzyć?

– Widzę, że niczego nie rozumiesz. – Popatrzyłem na niego pytająco. – Tak naprawdę nie chodzi o ciebie. Jak myślisz, co on by zrobił z Lolą, gdyby dowiedział się o wszystkim?

Opadłem na krzesło. Oczywiście miał rację.

– Posłuchaj, idzie o ograniczenie strat. Jeśli wyjedziesz od razu, to może nic jej się nie stanie. Zdaje się, że Juanowi chodzi tylko o to, żeby

was rozdzielić. Jeśli on też jest zakochany w Loli, to istnieje szansa, że gdy tylko usłyszysz, że się spakowałaś, da sobie spokój. A to najlepsze, na co możesz liczyć. Rozumiesz?

Skinąłem bez słowa głową.

– I nie dzwoń do niej co pięć minut. To musi być prawdziwe zerwanie. Chodzi o jej dobro.

– Ale dokąd mam pojechać? Nie chcę wracać do...

– Jedź do Madrytu. Popatrz, przyjechałeś tu, żeby poznać flamenco. Musisz teraz pojechać do stolicy, bo tam się to wszystko dzieje. Tutaj nie znalazłbyś nic ciekawego.

Pomyślałem, że jednak tak.

Zapisał mi parę adresów: tani hotel, bary flamenco, do których powinienem zajrzeć.

– Zrozum, musisz wyjechać dziś wieczorem. Autobus jest o dziewiętej.

– Ale co z...

– Nie przejmuj się. Zadbam o to, żeby Juan się dowiedział. I nie martw się o tych frajerów z „Costa Gazette”. Powiem im, że właśnie dostałeś robotę w „Sun”.

Wydawało się, że Pedra ucieszyła wiadomość o moim wyjeździe.

– Więc to tak, mój drogi Watsonie. Nowa przygoda?

Był nieznośnie spokojny, jakby nie zauważał, że jestem spanikowany, i chciał opowiedzieć mi wszystko o nowej posiadzie, którą dostał w Maroku. Słuchałem go ze ściśniętym gardłem. Martwiło mnie, jak sobie poradzę z oddaniem samochodu i kluczyków firmie, z której go wypożyczyłem, i musiałem coś wymyślić.

– Tego rodzaju sprawy układają się same. – To było wszystko, co od niego usłyszałem.

– Posłuchaj, Pedro, myślę, że zaczynam wariować.

– Nie, Jasonie, wszystko jest w porządku – powiedział poważnie. – Nie zwariujesz. Wszystko będzie dobrze.

Zostawiłem pieniądze i kluczyki w brązowej kopercie *u pied noir* na parterze, a potem poszedłem na dworzec autobusowy. Minął prawie rok od dnia, w którym przyjechałem do Alicante. Eduardo przyszedł, żeby pomachać mi na pożegnanie, i wręczył mi taśmę z nagraniem gitarzysty Pedra Habichuela.

– Jeden z największych mistrzów – powiedział. – Gdyby aniołowie zajmowali się flamenco, graliby jak Pedro Habichuel. Jest Cyganem. Jednym z najlepszych.

Postawiłem nogę na stopniu, żeby wsiąść do autobusu.

– To są ludzie, wśród których powinieneś zacząć się teraz kręcić, synku. Właśnie Cyganie. Żadnych więcej *payos*^{*}, jak ci tutaj. Potrzebujesz czegoś prawdziwego.

Drzwi się zamknęły i autobus ruszył. Nigdy nie czułem się tak samotny jak w tej chwili.

^{*} *Payo* (hiszp.) – wieśniak, prostak, tutaj; nie-Cygan.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Por Soleá

*Si algún día yo te
llamara y tú no vinieras,
la muerte amarga a mí viniera
y no la sintiera.*

Jeśli któregoś dnia cię zawołam,
a ty nie przyjdiesz,
gorzka śmierć przyjdzie zamiast ciebie,
a ja nawet jej nie poczuję.

– A więc lubisz *cante*, tak?

Mężczyzna siedzący przede mną na krześle jest najbardziej owłosionym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Kiedy tak siedzi, w jaskrawej, kolorowej, przylegającej do ciała koszuli, wydzielając woń potu zmieszaną ze słodkawym, mdłym zapachem wody po goleniu, odpowiada wszelkim moim wyobrażeniom na temat Cyganów. Przez gęstą masę czarnych włosów wystających z rozpięcia koszuli przeświecają złote łańcuszki. Obraca językiem na pół przeżute cygaro, które tkwi w kąciку jego ust.

Znalazłem go na zapleczu sceny w restauracji *Alegrías*, jednym z najczęściej odwiedzanych przez turystów miejsc, gdzie gra się flamenco. Ten szmirowaty lokal pełen był japońskich biznesmenów, przyprowadzonych przez ich hiszpańskich gospodarzy, którzy wiedzieli o flamenco mniej więcej tyle samo, co i ich goście. „Prawie hiszpańskie”, mówiono na to w Hiszpanii, wyśmiewając disneyowski obraz kraju, który tak lubił promować Franco, chcąc przyciągnąć zagraniczne dolary. Za dwadzieścia funtów należała się porcja *gazpacho*^{*}, parę plasterków szynki i chleba z Serrano, no i występ. Było to miejsce, w którym można było spotkać drugorzędnych, a najprawdopodobniej trzeciorzędnych wykonawców. I dlatego się tu znalazłem.

^{*} *Gazpacho* – rodzaj chłodnika.

– *¿Te gusta el cante?* – zapytał znowu. – Lubisz śpiew flamenco?

– Si.

Cygan zszedł właśnie ze sceny ze swoim zespołem, a ja, cudzoziemiec – *guiro* – wpychałem się do świata, który nie był mój.

– *¿Sí, sí!* – zawołałem, przekrzykując hałas za ścianą. – *¿Me encanta!* Uwielbiam go!

Przypadkiem wyrwało mi się coś, co zabrzmiało jak żart. Mężczyzna wpatrywał się we mnie, zaintrygowany cudzoziemcem, który potrafił dowcipkować po hiszpańsku. Kąciki jego ust wykrzywiły się ironicznie i ryknął śmiechem, odrzucając do tyłu głowę.

– Słyszeliście, co on gada? – zwrócił się do kolegów z zespołu, stłoczonych w małym obskurnym pokoju, którzy pakowali się i przebierali po występie. – Zapytałem go, czy lubi *cante*. Tak, powiada, *me encanta*. Ha, ha. *¿Me encanta!*

Uwielbia! Słyszeliście?

Nie zrobiło to wrażenia na żadnym z nich, ale on nie przestawał się śmiać.

– *Bueno*. Opowiedz mi coś o *cante*. Masz, napij się brandy. Co lubisz? – Wydmuchnął gęsty kłąb dymu, który zakręcił się jak niebieska wstęga, i podał mi butelkę, z której popijał. Kątem oka obserwowałem innych muzyków, którzy mruzcili niecierpliwie, zainteresowani tylko tym, żeby się spakować, wziąć pieniądze i wyjść.

– Lubię chrapliwy głos – powiedziałem. – *La voz afilla*. Taki jak twój.

W sklepie przy Gran Vía przeczytałem poprzedniego dnia na odwrocie koperty z płytą o różnych rodzajach męskich głosów. Styl śpiewania *afilla* wziął nazwę od wielkiego dziewiętnastowiecznego pieśniarza El Filia. Wędrowny kowal, był jednym z pierwszych, którzy rozwinęli chrapliwy,

typowo cygański styl śpiewania, kontynuowany później przez Silveria Franconettego, a dzisiaj lansowany przez takich wykonawców, jak El Indio Gitano, czyli Cygański Hindus. Mówią, że El Filio umarł w biedzie, z głosem zrujnowanym przez alkohol, do końca opłakując swojego zamordowanego brata, śpiewaka Juana Encuerosa, Gołego Juana. Był innowatorem, znał ogromną liczbę *palos*, i nawet teraz nie brakowało takich, którzy uważali go za Jana Sebastiana Bacha muzyki flamenco.

– No tak. *Afilla*. Ale są głosy dużo lepsze od mojego. Posłuchaj, jak śpiewa Terremoto albo Manolo Caracol. Ci to dopiero... ooo! – Jego usta wydeły się na znak uznania.

– Ale ty jesteś tak samo dobry jak oni – rąbnąłem z entuzjazmem. – W twoim głosie jest prawdziwa siła. Jesteś fantastyczny!

Zagłębił się nagle w krzesło i zamilkł, wpatrując się we mnie intensywnie. Wyglądało na to, że przesadziłem. Wiedziałem coś niecoś o cygańskiej etykietce i miałem wrażenie, że złamałem jakąś ważną regułę. Ten nowy, kpiący wyraz jego twarzy zdawał się pytać, co, do diabła, ja, jakiś *guiri*, robię tu, mówiąc mu, co jest dobre, a co złe.

– No, więc po co tu przyszedłeś? Dlaczego chcesz ze mną rozmawiać? – Jego głos, ciągle niski, nagle stwardniał. Zobaczyłem, że inni członkowie zespołu próbują przyciągnąć jego spojrzenie. Jeśli chciałem utrzymać jego zainteresowanie, musiałem działać szybko. Czas, żeby skoczyć na główkę.

– Gram na gitarze – powiedziałem. – Uczyłem się. Chcę grać w jakimś zespole. Pomyślałem...

Jego oczy pociemniały jak u byka wpatrującego się w ofiarę tępym, przenikliwym i pogardliwym wzrokiem. Byłem pewien, że wszystko spieprzyłem. Wyśmieje mnie, przepędzi i na tym się skończy. Głupotą było próbować. Lada chwila zwyczajnie podniesie się i wyjdzie.

Gdzieś w głębi ducha wiedziałem jednak, że muszę podjąć to wyzwanie. Gdybym teraz się wycofał, ta okazja zostałaby stracona na dobre. Przypomniały mi się opowieści mojego dziadka o jego karierze zawodowego

pięściarza, walczącego bez rękawic. Jak kładł pięciu policjantów naraz, przebijał na treningach pięścią grube drewniane drzwi. Przyszedł czas, żeby doszło do głosu coś z odziedziczonego po nim charakteru mieszkańca północy. Wyprostowałem plecy, uniosłem głowę i spojrzałem na Cygana z taką zawziętością, na jaką potrafiłem się zdobyć.

– Jak długo grasz na gitarze? – zapytał.

– Dwa lata.

– Weź ją – powiedział, podnosząc gitarę, która stała oparta o jego krzesło – i zagraj *fandango*.

Zawahałem się, po czym wziąłem instrument z jego rąk. Kilku członków zespołu wychodziło już z pudłami i torbami. Otworzyły się drzwi na scenę i do środka wlała się wrzawa histerycznie rozwrzeszczanych głosów.

– ...nie do opisania, mój drogi. Nie do opisania! – Spasiony Niemiec przekrzykiwał wrzaskliwe śmiechy swoich kolegów.

Nie przejmuj się, mówił mi jakiś wewnętrzny głos. Po prostu graj. Nie przejmuj się. Wyprostowałem plecy, wziąłem głęboki oddech i zagrałem kilka akordów.

Przerwano mi jednak. Młodszy mężczyzna z długimi, kręconymi czarnymi włosami związanymi z tyłu – jeszcze jeden śpiewak z zespołu – podszedł do Cygana i powiedział mu coś cicho, odwrócony plecami do mnie. Nie słyszałem, co mówił – stojący obok robili za dużo hałasu i rozmawiali zbyt głośno – ale było jasne, że chcą już iść.

Młody mężczyzna wyszedł szybkim krokiem i Cygan wstał.

– Muszę iść – powiedział, wyjmując gitarę z moich rąk. Również wstałem. Zrobił krok w kierunku drzwi, a potem się odwrócił.

– Przyjdź tu jutro. Pogadamy... Jeżeli jesteś tak dobry, jak mówisz.

Poczułem ostry, nieznośny zapach kocich sików i znowu się obudziłem. Otworzyłem oczy na blade światło sączące się z wysokiego brudnego

okna. Dom stał przy końcu wąskiej uliczki, a słońce zasłaniał okoliczne budynki. Zapach i zalegający kurz utrudniały oddychanie i moje płuca protestowały przeciwko cuchnącemu powietrzu. Spojrzałem na sufit. Z pęcherzyków żółto-brązowej pleśni, która tworzyła się pod tynkiem, wygrzebywał się karaluch. Kiedy spadł, wraz z nim odleciał kawałek tynku i wylądował na moim brzuchu. Karaluch przebierał szaleńczo nóżkami w powietrzu.

Strząsnąłem go na podłogę i wysunąłem się spod prześcieradła. Było lato, ale w mrocznym mieszkaniu panował przyjemny chłód, mimo straszliwego upału na dworze. Bóg jeden wie, jak przetrwałem zimę. Śnieg spłynął dopiero co z wierzchołków odległych gór Guadarrama i wspomnienie minusowych temperatur przy nieznacznym, albo i żadnym ogrzewaniu, zostawiło ślad w moich kościach. Jak powiadają, powietrze Madrytu nie zdmuchnie świecy, ale potrafi zabić człowieka.

Szurając sandałami, powlokłem się z pokoju na zakurzony korytarz, który lepił się w miejscach, w których kocie szczyny nie zostały wytarte, obok piętrzących się wzdłuż obu ścian od podłogi do sufitu książek w miękkich okładkach. Tuż przede mną poruszył się szybko jakiś cień. Znieruchomiał na chwilę, zaświeciły zielone oczy, po czym zniknął z miauknięciem wyrażającym strach i zawód.

Powlokłem się dalej. Łazienka była wolna, ale ubikacja znowu się zapchała i wyglądało na to, że zaraz się przeleje. Tandetna deska sedesowa z czerwonego plastiku była mokra. Bliski zwymiotowania, złapałem gumową przepychaczkę i zabrałem się do roboty. Zaczynałem nabierać w tym wprawy, moje ręce mechanicznie wykonywały potrzebne skręty i pociągnięcia. Dwie minuty i było czysto.

Odkręciłem kran i otuliła mnie ciepła woda z prysznica. Po roku Madryt nadal był dla mnie miastem oschłym i pozbawionym serca. Jak bardzo różnił się od Alicante! Wszędzie tłoczący się, objijający o siebie i kłócący się ludzie torowali sobie drogę na zatłoczonych ulicach, pełnych żebraków

i stręczycieli. Wszechobecna agresja, niepokój i gorączkowa bieganina. Miejsce, w którym mieszkałem, było szczególnie paskudne: mroczny labirynt uliczek koło Calle Pez, z kilkoma dziwkami na każdym rogu i zgarbionymi ćpunami, szukającymi kawałków chleba w rynsztoku. Jeden z nich przyciągał moje spojrzenie, kiedy kulił się półnagi na chodniku, z głową przy ziemi, podciągniętymi kolanami, sterczącym tyłkiem i brudną puszką po coca-coli w wyciągniętych nad głowę rękach, głośno błagając przechodniów o drobniaki. Wciąż musiałem walczyć z pragnieniem ucieczki do Alicante, a nawet rezygnacji ze wszystkiego i wyjazdu na dobre. Nawet pogoda była mniej przyjazna niż na wybrzeżu; od skrajnych upałów do skrajnego zimna, bez śladów jesieni czy wiosny. Ludzie byli wyniośli i prowincjonalni, brakowało im ciepła, do którego się przyzwyczałem. Kiedy patrzyło się na złe, zagubione, spięte twarze, odnosiło się wrażenie, że siedemdziesiąt procent tych ludzi to wariaci, niezrównoważeni psychicznie albo balansujący na granicy szaleństwa. Nie podobało mi się to wszystko, ale dostrzegałem w tym siłę napędową miasta, coś, w czym powinienem się zanurzyć i dać się unieść fali. Ostatecznie to tutaj, jak mówił Eduardo, znajdowała się prawdziwa scena flamenco. Kiedy wydawało mi się, że straciłem wszystko, tylko to utrzymywało mnie na mojej drodze i w Madrycie – był to przecież powód, dla którego się tu znalazłem i dla którego przebywałem w Hiszpanii.

Na korzyść Madrytu przemawiała tylko woda – cudownie łagodny deszcz sprowadzany rurami prosto z gór. Pozwoliłem mu spływać po moim gwałtownie chudnącym ciele; zebra i kości biodrowe były już całkiem niewidoczne.

Moja gospodyni siedziała w kuchni z papierosem zwisającym z ust, z kubkiem słabej herbatki w ręku i kościstym, szczającym wszędzie kotem na kolanach.

– Co, do diabła, tam robisz?! – wrzasnęła. – Czekam tu całymi godzinami! – Drgnęła gwałtownie, popiół poleciał na wszystkie strony,

wypalając dziury w nylonowym szlafroku.

Wróciłem do pokoju, ubrałem się szybko, złapałem gitarę i wyszedłem, żeby zanurzyć się w czarne, nijakie ulice.

Carlos mieszkał na rozległym przedmieściu Madrytu, Vallecas, brudnej betonowej dzielnicy na południowy wschód od centrum, która rozłożyła się jak gigantyczny, podobny do ślimaka pasożyt na trzewiach stolicy. Większość mieszkańców Madrytu *madrileños*, odnosiła się do niej ze strachem albo obrzydzeniem. „Vallecas?, pytali. Ta śmierdząca dziura?”. Była to dzielnica tanich, zbudowanych z czerwonej cegły bloków, które wchłaniały fale przybyszów szukających pracy: Basków w latach sześćdziesiątych, mieszkańców północnej Afryki, noszących cienkie skórzane buty, krępych Latynosów, spędzających większość czasu na dzwonieniu do domu z drewnianych boksów w sklepach spożywczych, oferujących tanie międzynarodowe rozmowy telefoniczne. I Cyganów, przeniesionych przez władze z drewnianych bud do nowoczesnych mieszkań.

– Oni są inni niż my. Noszą w wiadrach wodę do prania i gotują na ogniskach, które rozpalają na podłodze w kuchni – powiedział mi łysiejący właściciel baru. – Mówię panu, osobiście nie mam nic przeciwko nim. Kiedy przychodzi tu Cygan, obsługuję go tak samo jak każdego innego. Ale musi okazywać szacunek.

Było to echo przeszłości, ponieważ dopiero teraz Egipcjan albo Nowokastyliczków, jak nazywano Cyganów w dziewiętnastym wieku, trzyma się poza nawiasem już nie dzięki murom miejskim, ale obwodnicy, która oddzieliła ich od miasta.

Nie-Cyganie, tutaj zwani *payos*, mówili, że ryzykowne jest już samo pójście do Vallecas. Odmienność tej dzielnicy od razu rzucała się w oczy: było to jeszcze jedno bezbarwne, nowoczesne przedmieście z pozbawioną życia architekturą. Ale istniały też subtelniejsze różnice, bardziej uderzające

i przygnębiające. W kiosku, w którym kupiłem papierosy od podobnej do widma kobiety i jej córki, na podłodze wałały się śmiecie, a wokół drzwi migały niczym nerwowy tik czerwone neonowe paski. Poczerniałe drzewa o cienkich pniach sterczały wzdłuż ulicy niczym głodujący uciekinierzy, niezdolni do trzymania się prosto. Wszędzie były graffiti: *Pásate al la Resistencia*, albo baskijska nazwa „Vallekas”, malowana jaskrawymi kolorami niczym sztandar proklamujący odrębność tego miejsca i jego mieszkańców. Ulice zamiatały przeważnie kobiety. Można je było zobaczyć, jak popijają w barach, a po paru godzinach, o świcie, zamieniają się w robotnice dzięki obcisłym zielonym kombinezonom i robociarskim rękawicom, i rzucają niedopałki do dopiero co zamiecionych rynsztoków. Ubiory nie oddawały tu ścisłych podziałów społecznych. Jeśli w świecie zwykłych ludzi widać było wyraźne granice, obraz Vallecasa był raczej zamazany.

Mieszkanie Carlosa znajdowało się na piątym piętrze. Nie ufałem windzie, poszedłem więc schodami, mijając dzieci o brudnych buziach i oczach jasnych jak u małych zwierzątek. Były tu także za pierwszym razem, bawiły się na schodach o czwartej rano, kiedy Carlos przyprowadził mnie razem z innymi członkami zespołu. Patrzyły na mnie dziwnie. Widziały, że tu nie pasuję.

Groźba Carlosa, że sprawdzi moje umiejętności, nie została zrealizowana. Następnego wieczoru wróciłem do restauracji *Alegrías*, ale jego tam nie było. Spotkaliśmy się znowu zupełnie przypadkowo po tym, jak poznałem paru *aficionados*, którzy zaprowadzili mnie do baru flamenco, czyli *tablaó*, gdzie Carlos występował. Była to szczęśliwa odmiana po trwających niemal rok, bezskutecznych próbach wejścia do środowisk *flamencos*, zwłaszcza Cyganów. Aż do tej chwili moje poszukiwania nic nie dały, przeważnie z powodu całkowitej obojętności Cyganów, którzy nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego. W najlepszym razie proponowali mi lekcje za wygórowane stawki. Jednak tej nocy sprawy przybrały inny obrót.

– Ej, *churumbel!* – powiedział Carlos na mój widok, jakby spodziewał się, że go znajdę w tym nowym miejscu. Od tej pory, zwracając się do mnie, zawsze używał tego cygańskiego słowa oznaczającego „dziecko”.

Spędziliśmy noc w jego brudnym mieszkaniu, grając, śpiewając i ostro pijąc. Pociągała mnie jego spontaniczność. Kiedy śpiewał, na szyi nabrzmiewały mu żyły, twarz czerwieniała, z ust pryskała ślina i bałem się, że dostanie zapaści. Ale kiedy już dał się porwać – odnajdując ową surową esencję, której szukał – na jego twarz wracała spokojna pewność siebie i odprężenie, jakby śpiew działał na niego oczyszczająco.

*Me asomé a la muralla
me respondió el viento:
¿Para qué dar esos suspiritos
si ya no hay remedio?*

Wspiąłem się na mur,
Wiatr zagadał spośród cieni:
Po co tyle jęków, westchnień,
jeśli nic się nie odmieni?*

* Op, cit.

Wyczuwało się nadejście tego momentu, gdy *jaleo*, okrzyki zachęty, ro-
sły w ostrym crescendo „*Ole*”, „*Eso es*”, i przez cały zespół przechodziła
fala uniesienia, jakby nagle coś się wydarzyło. Przez cały czas pulsował w
tle nieustanny rytm klaszczących dłoni, *palmas*. Potem inny śpiewak –
młodszy, o ciemniejszych włosach – podejmował śpiew.

Czy to było *duende*? Wszystkich nas unosiła potężna energia, ale było
to doświadczenie inne niż tamto, w Alicante, kiedy słuchałem kobiety
śpiewającej na Plaza Mayor. Miałem wrażenie, że tam zostałem porwany
przez niewidzialną czującą istotę. Tutaj była to intensywna zbiorowa emocja,

która nappełniała mnie życiem. Nie potrafiłem określić, co to było. Siedziałem z boku, wdzięczny, że w ogóle pozwolono mi zająć to odległe miejsce w zamkniętym i bardzo zhierarchizowanym świecie.

Gdzieś w połowie nocy Carlos powiedział mi, żebym do nich dołączył i akompaniował jednej z tancerek. Sporo wypilem, ale wciąż miałem dość rozsądku, żeby wiedzieć, że nie mam wyboru i muszę wykorzystać okazję. Kiedy podali mi instrument, uświadomiłem sobie z ulgą, że grać będą także dwaj pozostali gitarzyści, więc trzymałem rytm najlepiej jak umiałem, podążając za zmianami akordów i starając się robić możliwie jak najmniej hałasu. Przy panującej wrzawie to było wszystko, co mogłem zrobić. Posuwałem moją pewność siebie jeszcze dalej i musieli zabrać mi gitarę, kiedy próbowałem zaakompaniować Carlosowi w utworze, który zawsze wykonywał sam.

Ten fałszywy krok na szczęście zignorowano. Do mojej szklanki dolano brandy, i pojawiła się przede mną kreska kokainy. Zawahałem się. Od przyjazdu do Madrytu wciąż słyszałem, że Cyganie nadużywają narkotyków. Uniosłem głowę. Chociaż nikt otwarcie na mnie nie patrzył, byłem pewien, że wszyscy czekają na moją reakcję. To był test. Nie wziąć, oznaczało pozostać na zewnątrz.

Wziąłem.

– Zdaje się, że ten *guiri* się ululał. – Siedzący obok mnie stary Cygan zaczął mnie poszturchiwać.

– W porządku, nic mi nie jest – mruknąłem, wzdrygając się.

– Hej, blondasku, gdzieś ty się nauczył tak dobrze nawijać po chrześcijańsku? – Byłem zdumiony, że ktoś, kto wyglądał, jakby nie miał zębów, miał tak dobrą wymowę. Jego wyrażenie było aluzją do dawnych czasów, kiedy do przyjęcia było wszystko co „hiszpańskie” albo „chrześcijańskie”, zaś to co obce zwykle nazywano „chińszczyzną” i odrzucano.

- W Alicante – odparłem.
- W Alicante?
- Tak. Zna pan to miasto?

Stary Cygan prychnął i szybko odwrócił głowę. Siwe włosy otaczały jego uszy spletaną masą kędziorów.

- Nauczyli cię grać ludzie z Alicante?
- Tak.
- Cyganie?

Zawahałem się. Eduardo powiedział mi, że jeśli kogoś zaakceptowała jedna grupa Cyganów, oznaczało to, że zostanie on potraktowany co najmniej poważnie przez inną. Otrzymywał coś w rodzaju znamienia, listu polecającego do zamkniętej społeczności. Ale ja nie znałem żadnych Cyganów z Alicante i ryzykowne było udawanie, że jest inaczej. Co by się stało, gdyby odkryto moje kłamstwo?

– Tak – odparłem z możliwie największą pewnością siebie, czekając na następne, nieuchronne pytanie: kto?

Ale Cygan uśmiechnął się tylko i uniósł szorstką, grubą dłoń. Zauważyłem, że ta ręka jest krótsza.

– Jestem Juanito – powiedział. – Twoja matka dała ci pewnie imię, *guiiri*?

- Jason – odparłem.
- Jak?
- Jason. – Nadal śladu zrozumienia. – *Khassón*. – Wymówiłem je tak, jak wymawiali je Hiszpanie.
- To jakaś chińszczyzna – powiedział Cygan.

Wdrapałem się na piąte piętro i wszedłem do mieszkania Carlosa, stąpając ostrożnie nad siedzącymi w korytarzu kaczkami i obok osiołka, który stał markotnie w kącie. Z początku dziwiłem się, że osiołek nie rusza się stamtąd na krok, ale on zaanektował dla siebie swoją małą stajnię i teraz odmawiał opuszczania jej, być może z obawy, że może utracić tę bezpieczną enklawę.

W mieszkaniu panował bałagan. Wszędzie leżały zwierzęce odchody, ściany były usmolone, a linoleum nadpalone w miejscach, w których mieszkańcy rozpalali kiedyś ognisko. Panował przytłaczający zaduch.

Carlos siedział z drugim śpiewakiem z zespołu, Jesúsem, na maleńkim balkonie, który wychodził na ślepą ceglana ścianę sąsiedniego bloku. W prowadzących nań drzwiach wisiała zasłonka z cienkich, białych i niebieskich, metalowych łańcuszków, pokrytych grubą warstwą kurzu, mająca odstraszać muchy. Gdy się przez nią przechodziło, kurz osiadał na ubraniu.

– Ej, *churumbel!* ¿*Qué tal?* Co tam u ciebie? – Carlos prędko zakończył rozmowę, błyskając zębami w uśmiechu. Jesús obojętnie uniósł głowę na powitanie, po czym odwrócił się bez słowa. Popatrzyłem, jak wchodzi do mieszkania, wysoki i dumny, połyskując wysmarowanymi brylantyną, długimi, kręconymi włosami. Dla niego wciąż byłem niepożądanym gościem. Inni udawali przynajmniej, że uważają mnie prawie za swojego – po mojej wzmiance o Cyganach z Alicante Juanito traktował mnie nawet jak przyjaciela – ale Jesús trzymał się z daleka, nigdy nie zwracał się bezpośrednio do mnie, rzadko nawet spoglądał na mnie albo zauważał, że tu jestem.

– Czekaliśmy na ciebie. – Carlos ubrany był jak zwykle w jaskrawą koszulę, rozpiętą po owłosiony pępek. Dziś była czerwona, w niebieskie i żółte kotwice, z rodzaju tych, jakie można kupić na rynku za dwa tysiące peset, pakowane po pięć sztuk. Był niskim, krępy męczyzną o grubo ciosanych rysach. Jego siwiejące czarne włosy zaczesane były do tyłu i natarte czymś tłustym. Wionęło od niego silnie wodą po goleniu, która łączyła się z zapachem zwierząt, dając mdłą mieszaninę przywodzącą na myśl potpourri z perfumowanego gówna.

– Chodźmy do środka! Dzisiaj chciałbym wreszcie posłuchać, jak grasz. Aż dotąd udawało ci się od tego wymigać.

Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy w barze Alegrías, a potem spotkałem znowu, wszystko szło dobrze. Cyganie cenili pewność siebie. Ale jak dotąd działałem tylko tyle. Teraz przyszła chwila prawdziwej próby. Czasami włączałem się do gry, kiedy na scenie byli wszyscy – tancerze i dwóch innych gitarzystów – więc łatwo mi było ukryć moją grę w hałasie, jaki robili. Często nie słyszałem nawet własnych błędów. Ale byłem tam już trzy czy cztery razy, żeby oglądać tańce, słuchać muzyki, brać kokainę, przynosiłem alkohol, żeby wkupić się do towarzystwa.

– Jak mam grać bez zespołu? – spytałem.

Dał mi znak ręką, żebym usiadł na czarnej sofie pokrytej skórą. Mój nieudolny żarcik nie zrobił na nim wrażenia. Jesús gdzieś zniknął, co mnie ucieszyło. Jego krytyczne, chłodne spojrzenie mogło tylko pogorszyć sprawę.

Usiadłem z gitarą na kolanach, zastanawiając się, który utwór mógłby zrobić wrażenie, nie stawiając zbyt wielkich wymagań technicznych. Nic nie wydawało mi się odpowiednie. *Tangos* miały za dużo wspólnego z Lolą i okresem, który tak boleśnie zamknąłem, jeśli nawet jeszcze się z niego nie wyleczyłem. Jakaś *buleria* byłaby pociągająca, ale skomplikowana; mogłem się pomylić. Poza tym wyczuwałem, że Cyganie uważają tę formę za swoją, a ja byłem obcy i wciąż musiałem postępować ostrożnie. Może *alegría!* Nie znałem dość dobrze zbyt wielu *falsetas*, a poza tym nastrój nie był odpowiedni. Wydawało się, że te tańce są za lekkie. Moimi ulubionymi pieśniami były *seguiriyas*, o charakterze powolnego *cante jondo*. Zaliczano je do „mocnych” *palos*, które mogli zrozumieć tylko poważni *flamencos*. Ale znowu... nie byłem pewien, czy potrafię je zagrać. Zaczęły mi się pocić ręce. Kątem oka widziałem, że Carlos się niecierpliwi.

– No, dalej, blondasku. Graj!

Kaczki na korytarzu zaczęły kwakać, a padające na mój kark słońce przypiekało moją niestosownie białą skórę. Kaszlnąłem i w końcu zacząłem, palce same ułożyły się w *tarantę*, smutną pieśń górników z Murcji.

Odczułem ulgę, że w końcu podjąłem decyzję. Nie było tu rytmu, o który musiałbym się martwić, idealna muzyka, by swobodnie wyrazić siebie. Pozwoli mi zorientować się w tym, na co mnie stać, pomyślałem. Pochlebiałem sobie, że jest to utwór, który mogę dobrze zagrać, i byłem z tego dumny.

Grałem, próbując wydobyć z muzyki jak najwięcej uczucia. Być może, pomyślałem, jako że kwestia ta bezustannie zajmowała jakąś część moich myśli, być może *duende* to właśnie emocje, doznania, jakie są udziałem grającego. Jeśli się postaram, on odczuje je także. Niżej pochyliłem się nad gitarą.

– Tak, tak. Dobra – przerwał mi Carlos. Spojrzałem na niego ze strachem. – Dalej, zagraj mi coś z zyciem. Rytm, rytm!

Zmieszany, zacząłem grać bezładną, niezdecydowaną *buleriá*, śliskie od potu palce zsuwały się ze strun. Przypomniało mi się coś, co pozostali dwaj gitarzyści grali kilka dni temu, i próbowałem to powtórzyć, ale zazwyczaj to śpiewak, a nie gitarzysta dyktował, jaki chce utwór. Nie miałem pojęcia, czego Carlos ode mnie oczekuje. Sytuacja była absurdalna. Carlos klaskał rytmicznie, żeby zachęcić mnie do grania. Znowu odezwał się chór kaczek.

– *Venga*. To jest to. – Po czym zaczął śpiewać:

*Me lo encontré en el camino
y nos hicimos hermanos.*

Spotkałem go na drodze
i zostaliśmy braćmi.

Była to pieśń, którą często śpiewał Camarón.

Musiałem liczyć w myśli – *un, dos, TRES, cuatro, cinco, seis, SIETE, OCHO, nueve, DIEZ, un, DOS, un dos, TRES...* Myślałem, że po dwóch latach wbijania sobie tego schematu do głowy już go opanowałem. Carlos

śpiewał, ja byłem zdenerwowany, a chodziło o to, żeby dobrze go wyczuć.

Moje wargi poruszały się wraz z cyframi kłębiącymi się w mojej głowie. Precyzyjny rytm, tylko to. Wybijać go mechanicznie, jak zegarek. Słuchać śpiewu. Utrzymać rytm.

Samara fue elegida por los moros reina de la morería...

Samara została wybrana przez Maurów królową
ich kraju...

Przestał śpiewać i dał mi znak, żebym zagrał solówkę, *falseta*. Zacząłem od pierwszej lepszej zapamiętanej melodii, jakiej nauczyłem się jeszcze w Alicante – staromodnej i bardzo tradycyjnej, tutaj zupełnie nie na miejscu. Jej melodyjność kłóciła się z bardziej surowym, nowoczesnym stylem Carlosa.

Znowu zaczął śpiewać i z rozmachem dojechaliśmy do końca.

Wbiłem wzrok w buty. Nie był to mój najlepszy występ, nie akompaniowałem przecież nikomu od fiesty z Lolą prawie rok temu. Przez cały ten czas mogłem tylko wtórować tanim kasetkom, jakie kupuje się za pięćset peset na stacjach benzynowych. Ale gra ze śpiewakiem, jak i z tancerzem, była czymś zupełnie innym. Często śpiewak akcentował synkopy, podczas gdy zadaniem gitarzysty było utrzymanie rytmu, *compás*, ale jednocześnie musiał on podążać za tempem tamtego i dostosowywać się do jego śpiewu. Kiedy śpiewak i gitarzysta pozostawali w harmonijnej zgodzie, tworzyli razem złożone synkopowane frazy. Ale ja miałem blade pojęcie o tym, dokąd zmierzał jego śpiew.

Ktoś próbował wcisnąć mi coś do ręki. Spojrzałem w górę i zobaczyłem szklanekę piwa w wyciągniętej ku mnie dłoni Jesúsa. Wziąłem ją, próbując na niego zerknąć, ale zobaczyłem tylko niechętną minę i zamknięte oczy. Zdenerwowałem się.

– Rytm – powiedział Carlos. – Jeżeli chcesz z nami grać, musisz perfekcyjnie trzymać rytm. To jest najważniejsza sprawa. – Uniosłem szklankę do ust i twarz zwilżyła mi mgiełka unosząca się znad zimnego piwa. Wydawało mi się, że grałem całkiem rytmicznie.

– Więc jak jest z moim rytmem?

Ledwo zadałem to pytanie, zdałem sobie sprawę, że nie powinienem był odezwać się w ten sposób. Carlos się roześmiał. Jesús odwrócił się i cicho wyszedł na balkon, ściągając włosy w kucyk gumką. Carlos poszedł za nim, podczas gdy ja, na pociechę, zacząłem brzdąkać spokojną *soleá* – *palo* samotności. Słyszałem ich głosy, ale docierały do mnie tylko okruchy ich rozmowy. Miałem wrażenie, że Jesús jest niechętny przyjęciu mnie do zespołu. Jakiś tam *payo*, do tego *guiri*, już samo to wystarczało, żeby obudzić jego podejrzliwość. Jednak to, co widziałem, wskazywało na to, że szefem jest Carlos i to on o wszystkim decyduje. Wydawało się, że w ich hierarchii wiek bardzo się liczył.

Do pokoju docierały ich gniewne głosy. Przesiadłem się w cień, uciekając od żaru, który lał się przez otwarte okno i sprawiał, że było mi gorąco i źle się czułem. Miałem świadomość, że na balkonie decyduje się moja przyszłość, i to wprawiało mnie w dziwny nastrój. Pocieszałem się, że wszedłem do ich środowiska tylnymi drzwiami i nikt tego nie zauważył, ale ogarniało mnie coraz silniejsze wrażenie, że to przesłuchanie. Zauważyłem, że osiołek patrzy na mnie. Jego smutna, zażawiona morda zdradzała złamanego, bolejącego nad sobą ducha. Sznurek, którym obwiązano mu szyję, był zbędny: ten zwierzak nie wyrwałby się z niewoli, nawet gdyby usłano mu schody marchewkami i poganiano batem. Wydawał się cierpieć na jakiś rodzaj oślej apatii, wywołanej długotrwałym przebywaniem w niezmiennych warunkach. Kiedy tak mu się przyglądałem, zrobił kupę na podłogę, tam gdzie stał, i przez mieszkanie przeszła niczym chmura musztardowego gazu fala świeżego smrodu.

Ruchem ręki Carlos zawołał mnie na balkon. Jesús wyszedł.

– No cóż, *churumbel*. – Byłem pewny, że nie pójdzie łatwo. – Posłuchaj, nie podjęliśmy jeszcze decyzji, więc na razie nie możesz z nami grać. Ale ćwicz i zobaczymy. Być może cię przyjmiemy. Tymczasem obserwuj i ucz się. *Vale?* – Przejechał grubym paluchem od ucha do oka, a potem zrobił parę ruchów rękami, jakby grał na gitarze. Chciał w ten sposób dodać mi pewności siebie.

Odwrociłem się do okna. Byłem zawiedziony, ale poczułem też ulgę, że nadal w tym siedzę. W każdym razie nie miałem nic do powiedzenia. Nie Carlosowi. Z nim nie było dyskusji.

Z głębi mieszkania dobiegła muzyka. Wróciłem do dużego pokoju. Zmrużyłem oczy, żeby przyzwyczyli się do przyciemnionego światła. Jesús postawił nogę na krześle, oparł moją gitarę o udo, i grał *soleá por bulerías*. Czyste, twarde dźwięki, jak kryształ.

Zakończył długim, gładkim *rasgueo*, szarpiąc struny z szybkością karabinu maszynowego, a potem rzucił mi wyzywające i dumne spojrzenie. Nie przejąłem się tym, że korzysta z mojej gitary, ale w jakiś sposób ten fakt był znaczący.

– Nie grałem od pięciu lat – mruknął. A potem położył gitarę na podłodze i wyszedł z miną człowieka, który ma do zrobienia coś ważnego.

Moja gospodyni, Carlota, znowu była w podłym nastroju. Właśnie przyszedł rachunek za prąd i okazało się, że jest wyższy, niż się spodziewała. Mieliśmy starą instalację z czasów Franco, która dawała napięcie 125 woltów, więc mieszkanie pełne było zardzewiałych transformatorów, podnoszących napięcie do 220.

– Będę musiała podwyższyć ci czynsz – oznajmiła. – A to dlatego, że ciągle siedzisz przy zapalonym świetle. I całymi nocami słuchasz kaset. Myślisz, że to nie zwiększa zużycia prądu?

Była to prawda, ale miałem wątpliwości, czy to wyjaśnia tak wysoki rachunek. W moim zakurczonym pokoju był tylko jeden transformator i musiałem słuchać muzyki po ciemku.

Rzuciłem jej nieufne spojrzenie.

– Nie patrz tak na mnie.

Nie mogła widzieć, jak na nią patrzę; trzydzieści lat życia jak jaskiniowiec sprawiły, że miała pożółkłą cerę, wyblakłe oczy i była prawie ślepa od czytania w mroku. Trzymała w ustach papierosa, z którego popiół spadł prosto na kota na jej kolanach. Zwierzak zerwał się, drapiąc ją w trakcie ucieczki do bezpiecznej strefy ciemnego brudnego korytarza.

– A niech cię diabli! *¡Me cago en la leche!* – krzyknęła i potruchtala po jakiś środek odkażający, rzecz niezbędną w tym domu. Wynająłem u niej pokój tylko dlatego, że prawdopodobnie był najtańszy w całym centrum Madrytu. Nie mogła żądać więcej za taki śmietnik. Cały jej dochód stanowił czynsz od lokatorów. Nie miała żadnych oszczędności, żadnych rezerw, żadnych krewnych, nic. Z tego powodu mieszkanie przez lata popadało w coraz większą ruinę, aby dojść do obecnego opłakanego stanu. Wystarczało jej tylko na nędzne jedzenie i te cholerne rachunki. Nie zostało nic na remonty i odnawianie.

Dom wokół niej i jej kotów rozpadał się stopniowo niczym grobowiec.

Zdarzył się też szczęśliwy traf. Jeden z pokoi nie nadawał się do wynajęcia, ponieważ nie miał okna i stało w nim tylko małe drewniane łóżko. Ale zjawił się człowiek, który chciał urządzić sobie w nim czasami tajemne schadzki z kochanką.

Pozostali lokatorzy otrzymali surowy zakaz rozmawiania z nim, mieli też zniknąć, gdy on się pojawiał. Krążyła pogłoska, że to ktoś ważny i dobrze znany. Raz tylko znalazłem się na jego drodze, ale korytarze były tak ciemne, że nie mogłem dobrze mu się przyjrzeć.

Teraz zawisła nade mną groźba wyższego czynszu. Od przybycia do Madrytu prawie nic nie zarobiłem. Miesiącami marniałem w przygnębieniu,

niewiele jadłem, późno wstawałem i tęskniłem do śródziemnomorskiego słońca i kobiety, w której widziałem największą namiętność mojego życia. Utraconą miłość. Czułem się, jakbym umarł. Marzyłem o jej gorących uściskach, o jej oddechu na mojej skórze. O tym, żeby choć raz ją zobaczyć. Nie musiałyby nawet wiedzieć, że jestem w pobliżu... Ale wewnętrzny głos, niszczyciel tylu pomysłów, powstrzymywał mnie zawsze, przesładując wizjami Vicentego, przyciskającego do ramienia swoją dwunastkę. Nie mogłem tak ryzykować. Całkowite zerwanie, powiedział Eduardo. Nie umiałem się z tym pogodzić, ale wiedziałem, że miał rację. Od czasu do czasu, kiedy moja sytuacja finansowa się pogarszała, dawałem w zastępstwie lekcje angielskiego w pobliskiej szkole, wciąż jednak tkwiłem w tym mieszkaniu, ponieważ był to Madryt – obiecany raj flamenco, moja siła napędowa – a do tego jedyne lokum, na które mogłem sobie pozwolić. Poza tym jego mroczna brzydota odzwierciedlała mój nastrój. Teraz, po < tak długim czasie i po tylu straconych szansach, zaistniała możliwość przyłączenia się do prawdziwej grupy flamenco. Nie mogłem płacić ani trochę więcej, musiałem więc szybko coś wymyślić.

– Mogę rozwiązać pani kłopoty z prądem – powiedziałem – jeżeli tylko obieca pani, że nie podniesie mi czynszu.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– O czym ty mówisz, do diabła?

– Obiecuje pani, że nie podniesie mi pani czynszu, jeżeli zatrzymam licznik?

– Nigdy niczego nie obiecuję – prychnęła szyderczo.

– No cóż, to zależy od pani. Mogę zagwarantować niskie rachunki za prąd do końca pani życia. – Starałem się przemawiać niczym aktor z telewizyjnej reklamy.

Jej zamglone szare oczy pojaśniały.

– Naprawdę? Jak?

– Obiecuje pani?

– Hmm... – To było wszystko, co udało mi się z niej wydobyć.

– Ma pani może stary film do aparatu fotograficznego, trzydzieści pięć milimetrów?

Pobiegła, szurając pantoflami po brudnej podłodze, i po chwili wróciła z filmem w rękę.

– Czy to się nada?

Przysunąłem krzesło i stanąłem na nim, żeby dostać się do licznika wiszącego nad kuchennym zlewem. Jeżeli tylko pozwoli na to jego konstrukcja... Miałem szczęście. Wsunąwszy film do wąskiej szczeliny z boku licznika, zdołałem osiągnąć nim kółka i zatrzymać je. Była to sztuczka, której nauczyłem się od Carlosa.

– Zrobione – oznajmiłem, spoglądając w dół. – Nawet trzęsienie ziemi nie uruchomi tego urządzenia.

Spojrzała na mnie ostro.

– Co ty tam zrobiłeś?

– Licznik nie będzie się obracał. Zablokowałem go. Wystarczy, że nie będzie pani otwierała drzwi inkasentowi, a gdy przyślą formularz rachunku, wpisze pani do niego jakąś niedużą liczbę kilowatogodzin, i nie przyjdzie im nigdy do głowy, żeby coś podejrzewać. Najtańszy prąd w całej Hiszpanii.

– Och, jesteś aniołem. To cudowne. Będziemy mogli włączać wentylatory, zapalać światło. No i oczywiście możesz sobie słuchać tyle kaset, ile tylko chcesz, mój drogi. – Po czym uścisnęła czule moje ramię.

– A mój czynsz?

– Och, nie martw się tym. Możesz tu zostać, jak długo będziesz chciał.

Był to jeden jedyny raz, kiedy zobaczyłem ją naprawdę szczęśliwą.

Znowu u Carlosa. Mimo iż nie zostałem oficjalnie przyjęty do zespołu, w dalszym ciągu chodziłem tam prawie co wieczór. Zawsze ktoś był i, jeśli pominąć reakcje Jesúsa, nigdy nie czułem, że jestem niemile widziany.

Pomyślałem, że jeśli pokręcę się wśród nich wystarczająco długo, zaczną mnie uważać za część umeblowania.

Zwykle przychodziłem z litrową butelką wina albo jakimś koniakiem, jeżeli mogłem sobie na niego pozwolić. I paroma paczkami papierosów. Papierosy Ducados z czarnego tytoniu palił każdy, kto uważał, że należy do świata kontrkultury. Pakowano je w biało-niebieskie pudełka, pod względem zawartości substancji smolistych dorównywały cygarom i smakowały jak śmiecie z podłogi, namoczone w paliwie do ropniaków. Ale co najważniejsze, były tanie i cieszyły się takim samym symbolicznym statusem, jak francuskie gauloisy w oczach Francuzów. Palenie ducados było równoznaczne z oświadczeniem, że odrzuca się system, i jako takie były oficjalnymi papierosami świata flamenco.

Większość członków zespołu paliła je z taką samą lubością, z jaką się oddycha. Były jednak wyjątki: twardzi faceci, jak Carlos, dla których nawet jadowity dym ducados nie był wystarczająco mocny. Zwykle palił cygara, a czasami hawańskie papierosy bez filtra. Mówił, że ich potrzebuje, żeby utrzymać w formie głos. Spróbowałem raz zapalić coś takiego i potem przez cały dzień prawie nie mogłem mówić. Ale dzięki nim poczułem jeszcze większe uznanie dla kraju, który respektował prawo swoich obywateli do zatruwania się na śmierć.

Hiszpanie nie przejmowali się zbyt paleniem w miejscach publicznych. Żaden barowy kelner, ukrywający brzuszek za obowiązkową kamizelką i białą koszulą wetkniętą w obcisłe czarne spodnie, nie był w pełnym rynsztunku bez papierosa – zwykle marki Fortuna albo Nobel. Papieros zwisał im z kącika ust, gdy wynosili śmiecie przy końcu kolejnej męczącej zmiany. Kobiety w średnim wieku, przygotowujące posiłki w robotniczych barach, paliły nonszalancko, ubijając jajka na *tortille de patatas*. Zdarzali się nawet – i to podobało mi się najbardziej – mężczyźni po sześćdziesiątce, którzy suwali butami w supermarketach Vallecas, buchając ze szczęśliwą

miną dymem z grubych montecristo nr 3. W jakiś sposób łagodziło to rażącą kolorystykę opakowań.

W mieszkaniu spotykali się też inni członkowie grupy. Młody tancerz Javier, *payo* z Walencji, stawał na balkonie, żeby rozciągnąć mięśnie nóg i sprawdzić, jak wysoko może je unieść.

– Popatrz, jestem bez formy – mawiał, kiedy czubek jego stopy sięgał górnej krawędzi futryny drzwi. – No i robi się ze mnie tłuścioch. – Skubał przy tym fałdę skóry wokół pasa. – Popatrz tylko!

Miał szczupłą sylwetkę i wąskie ramiona, na głowie nosił turkusową bandankę i w denerwujący sposób wpatrywał się w każdego, jakby był w nim zakochany: przechylona głowa, szeroko otwarte oczy i pretensjonalny uśmiech.

Drugą tancerką była Carmen, hoża kobieta pod czterdziestkę, która miała wysokie ciśnienie i farbowane na blond włosy, zwracające uwagę grubymi pomarańczowymi pasemkami. Występowała pod pseudonimem „La Andonda”, kobieta-nożownicza, gdyż kiedyś zaatakowała nożem kuchennym męża, którego przydybała z inną kobietą. Przewisko to przeszło na nią z poprzedniej „Andondy” z dziewiętnastego stulecia – wybuchowej młodej żony śpiewaka El Filia – która również słynęła z nożowniczych wyczynów. Carlos powiedział mi później, że Carmen znalazła się w tragicznej sytuacji, kiedy mąż wykopał ją za drzwi, co dla cygańskiej kobiety oznacza życiową katastrofę. Groziło jej całkowite odrzucenie przez środowisko, ale Carlos wziął ją do zespołu, ponieważ była jego daleką krewną.

– Poza tym, ten stary tłusty babsztyl całkiem nieźle tańczy – powiedział.

Kolejnymi dwoma członkami zespołu byli gitarzyści. Pierwszym był Antonio, szczupły młody *payo* o ciemnoblond włosach i długich bokobrodach, który wyczyniał na podstrunnicy istne łamańce. Zawsze gładko ogolony, wkładał każdego dnia czystą białą koszulę, która szybko traciła świeży wygląd i blask w zadymionym powietrzu mieszkania Carlosa. Ktoś –

pewnie matka – prasował mu nawet dżinsy. Inni członkowie grupy próbowali go prowokować, żeby choć o milimetr spuścił z tonu, on nie poddawał się jednak, choć nigdy nie traktowali go z szacunkiem, na jaki w swoim mniemaniu zasługiwał.

Ku mojemu zaskoczeniu odkryłem, że drugim gitarzystą jest Juanito. Miał czterdzieści siedem lat i był młodszy, niż myślałem, a jego krótsza prawa ręka idealnie nadawała się do gry na gitarze. Powiedział mi, że uszkodził ją w wypadku samochodowym i chirurdzy przed zszyciem rany musieli wyciąć kawałek. W rezultacie otrzymał rękę doskonale przystosowaną do prawidłowej pozycji przy grze, co oszczędziło mu strasznego wysiłku i mrowienia, które prześladowało najbardziej nawet uzdolnionych gitarzystów. Nie potrafił grać skomplikowanych *falsetas*, jakimi uwielbiał popisywać się Antonio, ale miał najdoskonalszy *compás*, jaki kiedykolwiek słyszałem.

– *Hombre* – odezwał się, kiedy usadowiłem się wygodnie obok niego. Nie mówiliśmy już do siebie po nazwisku, chociaż, w odróżnieniu od *payos*, on nigdy nie ścisnął mi ręki ani mnie nie dotykał, jak to miała w zwyczaju większość Hiszpanów. Cyganie zdawali się mieć inne wyobrażenia na temat kontaktów fizycznych. Zapalił papierosa, zaciągnął się, a potem wcisnął go w szczelinę między strunami i drewnem w główce gitary.

– Dzięki temu nie przeszkadza, gdy gram – wyjaśnił.

Później odkryłem, że jak w każdym zespole, hierarchia jest najważniejsza. Antonio był jednym z jego założycieli i zaangażował Carlosa, który z chwilą pojawienia się został *jefe*, czyli szefem. Drugim po Bogu był Jesús, jako śpiewak i członek tej samej licznej rodziny. Zawsze był rozkojarzony, jakby przebywał myślami gdzieś indziej, skupiając się na innych, ważniejszych sprawach, jakby zespół nie był wszystkim w jego życiu.

Inni pełnili różne role, usytuowane gdzieś pośrodku, przy czym Antonio zawsze starał się zająć wyższą pozycję i nigdy mu się to nie udawało.

Wykorzystywał swoją grę na gitarze jako broń w tych „politycznych” rozgrywkach, nie zdając sobie sprawy, że bez względu na to, jak dobrze by grał – szybciej niż Paco de Lucia, z większym uczuciem niż Tomatito – zawsze będzie gdzieś w pobliżu dna. W końcu doszedłem do wniosku, że była to po części sprawa relacji *gitano-payo*, nie mogłem jednak pozbyć się myśli, że wszystko szłoby łatwiej, gdyby przestał się stawiać.

Mieszkanie pełne było ludzi. Oprócz zespołu były tu dwie kilkunastoletnie córki Carlosa ze swoimi kolegami, kilku sąsiadów, a do tego jeszcze znajomi z drugiej strony ulicy. Co kilka minut w drzwiach pojawiały się nowe twarze, niektórzy zostawali, inni rzucali tylko okiem i znikali. W pewnym momencie przyszedł staruszek o czerwonej twarzy, w zielonym kapeluszu. Na jego widok wszyscy podnieśli się z szacunkiem. Jak to cudownie znowu go zobaczyć!

– *Ostias*, to ten gość jeszcze żyje? Patrzcie no, ciągle chodzi, ile on może mieć lat? Czy przyszedł tu o własnych siłach? Och, nie, patrz, jest jego córka, jakie to dla niej okropne doglądać go przez te wszystkie lata, wiesz, ona przez to nie wyszła za mąż... – Miała prawie osiemnaście lat. Właściwie stara panna.

Ucichliśmy wszyscy. Staruszek uniósł rękę, mruknął bezzębnymi ustami coś niezrozumiałego, odwrócił się i wyszedł. Okrzyki radości, niektórzy nawet klaskali. Co za wspaniały wiekowy gość. Usiedliśmy. Nigdy się nie dowiedziałem, kto to był.

Hałas panował niewiarygodny. Podczas gdy inni Hiszpanie w podobnych sytuacjach mówili głośno, starając się nawzajem przekrzyczyć, tutaj wszyscy wrzeszczeli, śpiewali i krzyczeli, zwykle z telewizorem nastawionym na cały regulator. W tle jedna z córek Carlosa zaczęła nawet tańczyć, żeby pokazać się sąsiadom. W rezultacie panowała bezustanna kakofonia, w której trzeba było pograć się bez reszty albo dać się całkiem ogłuszyć. Nad ranem często zaczynałem zasypiać i łapałem się na tym, że wsłuchuję

się raczej we wszystkie te hałasy naraz, w tę ścianę dźwięku, a nie w poszczególne głosy czy rozmowy. I znów pogrążałem się w tym wirze, żeby nie oszaleć.

Czarne, wąskie oczy Jesúsa patrzyły na mnie z drugiego końca pokoju. Czulem mrowienie na ramionach. Odwróciłem się i zobaczyłem, że szybko odwraca wzrok. Wydawało się, że nikt nie zauważył jego powrotu. Wszedł i wyszedł przez nikogo niepytany. Miał spocone czoło i domyślałem się, że biegł.

Kobiety zaczęły sprzątać ze stołu po gęstej zupie – *potaje*. Spokojna, podobna do Hinduski żona Carlosa, Maria-José, robiła ją w ten sposób, że do wiadra wlewała wszystko, na co natrafiła, razem z wodą i olejem. Jedynymi wyróżniającymi się składnikami w zupie były pomidory i czosnek, którym mogło towarzyszyć wszystko, od jaj, szpinaku i cebuli po dużą fasolę, ryby i kielbaski *chorizo*. Jeśli trafiło się na dobry dzień, trafiały się nawet kawałki *mordili*, czyli kaszanki. Jeśli namoczyło się w tym chleb, można było przynajmniej zapchać żołądek.

Podniosłem się, żeby jej pomóc, ale Carlos pociągnął mnie mocno na krzesło.

– Babska robota – mruknął, zaciągając się cygarem tkwiącym w jego grubych wargach. Role obu płci były ściśle określone. Juanito mówił mi, że w niektórych domach kobiety czekają, aż mężczyźni zjedzą, i dopiero wtedy biorą to, co zostało.

– *Pero aquí somo medio apayo* – ale tu jesteśmy trochę *payo* – powiedział ze wstydem.

Przy sprzątaniu ze stołu rozległy się wołania: „Mario, podaj mi duży talerz, nie, ten koło Juanita”. „Cholera, jakie to gorące”. „Zabrałaś kieliszki, hej, *moza!*”. „Nie skończyłem, ty świnió”. „Musisz więcej jeść, powinnaś przytyć, nie ma na tobie mięsa”. „Co ty tam wiesz, pospiesz się”.

Antonio wyjął już gitarę i zaczął grać wymyślny wstęp do *fandango*, popisując się nowoczesnymi jazzowymi akordami, przy których naciągał

palce tak, że groziło im połamanie. Zauważyłem, że Juanito się krzywi. Pedro mówił mi, że *fandango* należy do tych *palos*, w których jest najwięcej arabskich wpływów. Narzucało się, było rytmiczne i bardzo wyraziste, przebijało się przez brzęk talerzy. Nawoływania z kuchni i strzępy rozmów powoli cichły. I wtedy Carlos zaczął śpiewać.

*Los arroyos cristalinos
tu nombre van repitiendo
las campanas repicando
en la torre de una iglesia,
el mío están murmurando.*

Krystaliczne strumienie
powtarzają twoje imię,
a dzwony na kościelnej wieży
szepcą moje.

Dziewczęta i wiele innych osób już wyszło. Muzyka grała, kokaina krążyła. Narkotyk ułatwiał grę, wzmagał we mnie pewność siebie do tego stopnia, że odczuwałem przypływ natchnienia. Dodawał mi niespokojnej energii, dzięki czemu dźwięki, jakie wydobywałem z gitary, były bliższe ostrzejszemu, mocniejszemu stylowi gry nowoczesnych muzyków, których chciałem naśladować. W tych okolicznościach szybko pozbyłem się jakichkolwiek skrupułów, brać czy nie. Była to część stylu życia, do którego chciałem się wkupić. Wmawiałem sobie, że to krok absolutnie konieczny, jeśli mam pogłębić wiedzę o flamenco.

Moim punktem oparcia w zespole stał się Juanito. Bez zbędnej ostentacji zawsze dbał o to, żebyśmy usiedli obok siebie, aby mógł przeprowadzać mnie przez miejsca, których dostatecznie nie opanowałem, albo uczyć mnie *palos*, których jeszcze nie znałem.

– Hej, spróbuj tego – mówił wysokim chłopięcym głosem. Grał stare melodie, standardy, rzeczy, które wszyscy powinni znać. Nikt ich jednak

nie słuchał, ponieważ gitarzyści byli zbyt zajęci eksperymentowaniem, próbując przejąć najnowsze odkrycia jazzu albo muzyki funky. Żeby prześcignąć Paco. Były to utwory w rodzaju tych, jakie słyszy się na weselach, świętach, na starych płytach z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – źródło większości pomysłów we flamenco, popadające w naszych czasach w zapomnienie.

Jego grube palce poruszały się prędko po strunach, wydobywając surowe brzmienie, jakiego w tym okresie prawie już się nie słyszało – większość współczesnych gitarzystów grała „czysto”, bez błędów i naleciałości tradycji. Grał na typowej dla flamenco gitarze – z drewna świerkowego i cyprysowego, a nie różanego – mającej twardsze, płytsze brzmienie.

Spędzaliśmy godziny na wprowadzaniu mnie w kwestie, które miały wpoić mi bardziej „cygański” styl gry, objawiający się częstymi zmianami rytmu i podkreśleniem synkop na słabych częściach taktu. Mogło to trwać pięć minut, pół godziny, a nawet całą noc, ale gdy byliśmy razem, on zawsze znajdował czas, żeby coś mi pokazać. Jakaś odmianę akordu albo inny drobny szczegół, który można wpleść w przebieg rytmiczny po to, żeby go urozmaicić, wlać w niego więcej życia i odrobinę magii. Były to nieocenne rady, przyspieszony kurs, który powinienem zaliczyć, jeśli kiedykolwiek chciałem dostać się do profesjonalnego zespołu. Musiałem jednak uważać na to, co mówię. Jeśli próbowałem zadawać mu pytania, na przykład: „Co to był za utwór?”, „Czy to była tonacja molowa?” – on wycofywał się albo mnie karciał. Dla niego albo grałeś dobrze, *por arriba*, albo średnio, *por medio*. Tylko to się liczyło.

– Nie gadaj ze mną po chińsku. Tutaj używamy tylko chrześcijańskiego języka – mówił.

Teściowa Carlosa przepowiadała przyszłość. Albo raczej wróżyła z kart i mówiła ludziom to, co chcieli usłyszeć.

– Blondynek!

Przyszła kolej na mnie.

Pochyliła się nade mną, a jej złoty ząb połyskiwał niewyraźnie w słabym świetle. Była tłusta, sapała bezustannie i otulała się białym szalem, opinającym czarno-czerwoną bluzkę. Jedno jej oko zasnuwała mlecznobiała mgła, co bardzo mnie przerażało. Podniosłem się i usiadłem koło niej przy stole, tak jak chciała.

– Uważaj na nią – powiedział Javier, rozduymając nozdrza w trakcie unoszenia nogi do ucha. – Może powie ci rzeczy, których wolałbyś nie wiedzieć. – Mówił powoli, jakbym nie rozumiał hiszpańskiego.

Staruszka podała mi karty do potasowania, potem wzięła je ode mnie grubymi, brudnymi paluchami, ozdobionymi ciężkimi złotymi pierścionkami.

– Ożenisz się z jasnowłosą dziewczyną – oznajmiła. Zły początek, bo nigdy nie pociągały mnie blondynki. Zacząłem się śmiać. Uświadomiła sobie, że popełniła błąd.

– Chociaż wolisz brunetki – poprawiła się. To było już bardziej prawdopodobne.

Wbiła wzrok w rozłożone przed nią na drewnianym stole obrazy.

– Czekasz na coś. – Wskazała kartę z Wisielcem. Pomyślałem o Carlo-sie i jego obietnicy wspólnych występów w bliżej nieokreślonej przyszłości. Z pewnością musiała o tym wiedzieć.

– Jeżeli posłuchasz mojej rady i będziesz zwracał uwagę na znaki, twoje przeznaczenie się spełni.

Westchnąłem.

– Namocz białą chusteczkę do nosa we własnym pocie, owiń nią kilka kwiatów jaśminu i połóż na trzy dni do wyschnięcia na parapecie. Trzeciego dnia wyrzuć kwiaty i spal chusteczkę, a w ciągu roku ożenisz się i będziesz świadkiem urodzenia się pierwszego z twoich trzech synów.

Pocieszałem się, że to wróżenie jest następnym krokiem do akceptowania mnie przez ich społeczność, nawet jeśli tej kobiecie udało się naciągnąć

mnie na tysiąc peset. Złapała pieniądze i przyjrzała się banknotowi, żeby się upewnić, czy jest prawdziwy. Zastanawiałem się, kto tu robi z siebie pośmiewisko. Usprawiedliwiałem moje szaleństwo, uważając to za akt miłosierdzia. Ale tysiąc peset znaczyło teraz dla mnie dużo i nie mogłem tracić pieniędzy w taki sposób.

– Zapamiętaj jej słowa i rób, co ci każe. – Była to La Andonda. – Ja zrobiłam i wszystko dobrze się skończyło.

Spojrzałem na nią. Po pierwsze, jej mąż nie dochował jej wierności, a po drugie wyrzucił ją z domu za to, że chciała go zadźgać. Postanowiłem zignorować radę wróżki.

– Ty. Chodź ze mną.

Jesús dał mi znak obojętnym pstryknięciem palcami. Wstałem, zdeorientowany. Od wielu dni się do mnie nie odzywał. Jako stojący najniżej w hierarchii, musiałem go posłuchać. Podeszedłem do niego, a on odwrócił się i ruszył do drzwi.

Zeszliśmy po schodach na ciemną ulicę. Nad naszymi głowami migotały pomarańczowe i różowe latarnie. Była trzecia nad ranem, ale ulice Vallecas były pełne. Przejście chodnikiem zagradzała Cyganka, która śpiewała, nie przejmując się tym, że zaledwie o trzydzieści metrów od niej był alarm jakiegoś samochodu. Rozstawiła na środku chodnika skleconą domowym sposobem aparaturę – metalową konstrukcję na kółkach, dźwigającą ogromne głośniki, klawiaturę i mikrofon – i przechodnie musieli schodzić na jezdnię, żeby ją ominąć. Pomysł, żeby występować w tym miejscu i tak wydawał się dziwaczny, a cóż dopiero przy jej płaskim, fałszywym śpiewie na tle byle jakiego podkładu z taśmy i przy akompaniamencie przeraźliwie wyjącego audi. Zastanawiałem się, czy ona naprawdę zamierza coś zarobić. Ludzie nie mogli omijać jej z daleka. Popatrzyłem na jej dwóch synków, skulonych w wejściu do domu za jej plecami. Mieli na sobie brudne nylonowe dresy, które nosili z dumną, znudzoną, groźną miną, jaką ma tak wiele cygańskich dzieci.

Jesús podszedł do nich i wręczył im jakieś pieniądze, które przyjęli niechętnie, spoglądając mu hardo w oczy. Poszliśmy dalej.

Czekał na nas poobijany stary renault. Ruszył, gdy tylko wsiedliśmy. Nie było żadnych pozdrowień ani rozmów z kierowcą, którego nigdy więcej nie zobaczyłem.

Było to cygańskie życie w stylu flamenco, jakiego szukałem – nie żadna imitacja, z jaką miałem do czynienia w Alicante. Nawet moja przygoda z Lolą zaczynała blednąć, przysłonięta mgielką kokainy i podniecenia, jakiego doznawałem, zadając się z prawdziwymi *flamencos*. Przyszło mi do głowy, że Eduardo byłby ze mnie dumny, gdyby zobaczył, że w końcu znalazłem się w tym środowisku. I w miarę jak coraz bardziej identyfikowałem się z tym światem – niezależnie od tego, czy ten świat mnie akceptował – czułem, że przyjmuję nowy kodeks honorowy, który przede wszystkim nakazywał nienawiść do tych „z zewnątrz”, *nie-flamencos*. Stała się ona odruchem, wyrazem wrogości wobec istniejącego porządku, dzielącym świat na „nas” i „ich”.

W dwadzieścia minut potem wysiedliśmy w dzielnicy, której nie znałem. Na chodniku rosły niskie drzewka, po drugiej stronie ulicy znajdowała się szkoła o ścianach z czerwonej cegły. Renault odjechał. Jesús ruszył przed siebie, a potem skręcił w jedną z przecznic. Pospieszyłem za nim, starając się go nie zgubić. Uliczki były puste. Szliśmy, klucząc między samochodami, najpierw chodnikiem, potem środkiem jezdni, i znowu chodnikiem. Jesús nie odzywał się i zdawał się czegoś szukać. Zacząłem się zastanawiać, co my tu robimy. Byłem onieśmielony jego nieukrywaną nieufnością, po głowie chodziły mi różne domysły.

Usłyszeliśmy jakieś głosy. Jesús popchnął mnie w nieoświetlone wejście i przyparł do ściany, ściskając mnie za gardło. Przez chwilę myślałem, że chce mnie zabić. Ale tamci poszli dalej – była to tylko grupka młodych ludzi wracających z baru – i Jesús puścił moją koszulę.

Gdy znowu znaleźliśmy się na ulicy, ruszył szybko jak cień. Zostałem z tyłu i trochę przestraszony obserwowałem go, jak przemyka niczym myśliwy między samochodami. Wreszcie gwizdnął cicho. Podeszedłem do niego z ociąganiem.

– Idź do końca tej ulicy i zaczekaj tam na mnie – powiedział cicho. – Gdybyś zobaczył kogoś, zanim się zjawię, przełóż papierosa do lewej ręki. Kapujesz?

Kiwnąłem głową.

– To ruszaj.

Pobiegłem, nie bardzo wiedząc, dlaczego tak się spieszę ani na kogo czy na co mam czekać. Starłem się stłumić złe przeczucia, popychała mnie chęć spisania się jak najlepiej, żeby zostać zaakceptowanym.

Stanąłem na rogu pod markizą wystawy sklepu z butami. Przed oczami miałem całe rzędy botków. Po obu stronach ulicy rosły drzewa, które tłumiły światło latarni. Zacząłem się zastanawiać, co zrobić, żeby jak najmniej rzucić się w oczy. Najbardziej podejrzaną rzeczą na świecie było stanie tutaj o tej porze. Zapaliłem papierosa, gotów przełożyć go do drugiej ręki, żeby dać sygnał. Gdyby ktoś wyjrzał teraz przez okno, natychmiast by mnie odkrył. Nie byłem pewien, kim mogli być ci „oni”. Policja?

Nie miałem wiele czasu na rozmyślania. Jesús wyjechał zza rogu czarnym mercedesem.

– Wsiadaj!

Wskoczyłem do środka i ruszyliśmy pełnym gazem.

Pędziliśmy pustymi alejami. Przed oczami migały mi domy, znaki drogowe, budki przystanków autobusowych i drzewa, gdy gnaliśmy wdzięcznie i bez wysiłku przez oświetlone latarniami miasto.

– *¡Me cago en Dios! ¡Me cago en Dios!** – wrzeszczał Jesús przez

* *Me cago...* (hiszp.) – Sram na Pana Boga.

otwarte okno, pędząc w pulsującym rytmie latarni, przelatujących nad nami w niezmiennym rytmie. *Un... dos... TRES...*

– Czyś ty w ogóle widział to miasto? *¿La has visto?* Widziałeś je o tej porze? Pokażę ci. To będzie najlepsza ze wszystkich pieprzonych wycieczek, jakie kiedykolwiek po nim urządzono. Zanim zrobimy, co mamy do zrobienia. Oj! Prawie, prawie. – Skręcił ostro kierownicę, żeby ominąć krawężnik, który wyskoczył nie wiadomo skąd. Spojrzałem na niego: spokojny, nadęty Jesús zupełnie się odmienił: wrzeszczał, tak jakby prowadził pięć rozmów naraz i chciał, żeby słyszało go całe miasto.

– *¿Me cago en Dios!* – Większość ludzi używała tego zwrotu, żeby wyrazić irytację, ale w jego ustach był on raczej wyznaniem wiary.

– *¿Qué te parece este coche, eh?* Jak ci się podoba ten wózek, co? Może chciałbyś mieć go na własność? Zapomnij o tym. Jest mój. Oczywiście możemy się nim najeździć. Potrzebujesz pieniędzy? Możemy pojechać do Kordoby, Sewilli, Jerez. Gdzie tylko chcesz. *Ah, las tías*, och, te dziewczyny z Andaluzji. Nie takie jak tutejsze dziwki. Bo tutaj to same *zorras*, dziwki. Carlos oszalał, to wariat. Posłuchaj mojej rady, unikaj madryckich dziewczyn. To same dziwki, dziwki. Dobra dziewczyna z Andaluzji, to jest to, czego ty... Popatrz, jaka szybka jest ta pieprzona maszyna. Mogę prześcignąć wszystkich *hijos de puta**. Popatrz na to, widzisz? To stary gmach poczty. Tam, po lewej. Od lat czyszczą ten pieprzony budynek. Gołębie obsrały go tak, że zaczął się walić. Ha, ha. Kupa pieprzonych dupków. Tępaki. *Guiris*, tacy jak ty. Nie potrafią nawet postawić gmachu odpornego na gołębie gówno. Zasrańcy. A tu mieszkał Juan Antonio, mąż Andondy, póki nie urzęnęła mu jaj. Biedny gnojek. Nie ma już jaj. Co za zasraniec. Powiedziałem jej, oczywiście, że gdyby użyła tępego noża, a nie ostrego jak brzytwa, to do tej pory odpadłby mu też jego pierdolony kutas. Ha! Zasrańcy!

* *Hijo de puta* (hiszp.) – skurwysyn.

Migające światła zaczynały zlewać się w jedno pasmo, pęd wciskał mnie w oparcie skórzanego siedzenia. Mknęliśmy długą, prostą aleją Paseo de la Castellana, koło Torre Picasso, która wyglądała nie jak symbol nowoczesnej Hiszpanii, ale jak przewrócony toster. Potem ulicą Paseo de Recoletos, koło klasycznych kolumn Biblioteki Narodowej i Torres Jerez – czarno-szarych, bliźniaczych budowli z lat siedemdziesiątych, przypominających wieże do ćwiczeń dla strażaków – i dalej, na Plaza de Cibeles. Oparłem stopy o listwę nad tablicą rozdzielczą i słuchałem Jesusa.

– Hej! Zdejmij te pieprzone nogi.

Uniosłem je instynktownie, ale on złapał je i umieścił tam z powrotem.

– Tylko żartowałem. Rób, co chcesz. Byle nie bałagan.

Wystawiłem głowę przez okno i popatrzyłem na wierzchołki mijanych drzew i wieżowców, które wyglądały teraz, jakby były częścią świata odwróconego głową na dół, istniejącego tylko tam, w górze. Skręciliśmy ostro i koło głowy mignął mi jakiś cień.

– Uważaj, dzieciaku. Nie trać głowy. Ha! Właśnie, nie trać głowy. Zastraniec!

Usiadłem prosto i obejrzałem się: prawie otarliśmy się o znak drogowy. Jesús wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No, dobra. Twoja kolej. – Zahamowaliśmy ostro na środku Paseo del Prado. – Wskakuj. Teraz ty prowadzisz. Chyba nie myślisz, że będę kręcił tym cholernym kółkiem przez całą drogę. Dalej. Zobaczymy, czy taki *guiri* jak ty umie prowadzić.

Samochód stał na środku szerokiej trzypasmowej alei, naprzeciwko jednego z najsłynniejszych muzeów świata, ale ja myślałem tylko o tym, żeby na coś nie wpaść i się nie zabić. Wsiadłem i wskoczyłem na siedzenie po drugiej stronie. Jesús przesiadł się na fotel pasażera.

– Świetnie, zobaczymy, z jakiej gliny cię ulepili. Czy nie jest z ciebie jeszcze jeden Juan Antonio. No? Dalej, mały.

Nacisnąłem pedał gazu i ruszyliśmy z szarpnięciem, a siła bezwładności odrzuciła nasze głowy do tyłu, na oparcia foteli.

– Chryste Panie, ale to mocne!

– Mocne? To kupa gówna. Kiedyś pokażę ci coś naprawdę mocnego.

Pomknęliśmy przed siebie. Zatrzymałem się na światłach.

– Co ty, kurwa, robisz? Jedź, jedź. Nie mamy czasu, żeby stać na tych pieprzonych światłach. Jazda! ;*Vamos!*

Ruszyliśmy. Mimo że dopiero świtało, był to Madryt, i na ulice wyjechało już wystarczająco dużo aut, żeby przejeżdżanie na czerwonym świetle stało się ryzykowną zabawą.

Pomknęliśmy w dół, w kierunku Atochy, potem znowu do góry, wokół Retiro. Tu było spokojniej. Jesús wychylił się z okna i zaczął wymachiwać pięściami jak młotem w kierunku drzew, jakby chciał je wszystkie obalić na ziemię.

– Zasrańcy! Zasrańcy! Zasrańcy!

Ale wtedy dostrzeżliśmy migające światło – niebieskie – i naszym śladem puścił się ostro jakiś samochód.

– Gaz! I słuchaj uważnie moich wskazówek.

Jego głos stał się nagle spokojny. Rzuciłem na niego okiem: rozwrzeszczany szaleniec zamienił się w zrównoważonego, panującego nad sobą człowieka, który wpatrywał się w ulicę przed nami niczym pilot myśliwca.

Policyjny samochód wciąż był dość daleko. Poczułem nagły przypływ energii, oddychałem płytko. Miałem absolutne zaufanie... nie do siebie, do Jesúsa.

– Zgaś światła. Zaraz będzie zakręt w prawo. Przygotuj się, ale nie hamuj. Zwolnij, zwolnij. Już zaraz. Choćby nie wiem co, nie naciskaj na hamulec.

– Co ty wygadujesz? Jak mogę nie hamować?

Skręciliśmy. Wyhamowałem.

– *Ostias*. Cholera. Mówiłem, żebyś nie hamował! Powiedziałem ci...

– Do diabła! Dlaczego?
– Bo oni widzą twoje światła stopu i wiedzą, gdzie pojechałeś. – Mówił spokojnie, żeby dodać mi otuchy. – No, dobra, jedź dalej prosto. Jedź prosto.

- Ale przecież są latarnie. Tak czy owak zobaczą nas.
- Jedź prosto.

Ulica była węższa, po obu stronach stały zaparkowane samochody. Jechaliśmy prawie setką, o mniej niż pół metra od katastrofy. Nie było miejsca na panikę. Jedyne wyjście to nie myśleć, tylko jechać. W mojej świadomości pojedyncze samochody po obu stronach ulicy po prostu znikły. Wjechaliśmy do tunelu o gładkich ścianach, który miał tylko jeden pas, niczym tor wyścigowy. Jeszcze mocniej wcisnąłem pedał gazu. Jesús spojrział przez przednią szybę, żeby zorientować się szybko w sytuacji, potem odwrócił się i zaczął wyglądać przez tylną szybę.

- Nie zwalniamy, mały. Jedź.

Dojeżdżaliśmy do końca uliczki. Policja została z tyłu.

- Dokąd teraz?

– W lewo, w lewo. – Skręciliśmy. Nie użyłem hamulców. Jesús łagodnie pociągnął dźwignię ręcznego hamulca. Mój Boże, pomyślałem, za chwilę wylecimy z drogi. Samochód przechylił się na bok, zarzuciło nas na siedzeniach, ale jakimś cudem utrzymaliśmy kurs.

– Prosto, prosto. Potem w lewo, na samym dole. Manewruj biegami. – Tym razem udało mi się bardziej płynnie zmienić bieg, ale silnik wył, jakby za chwilę miał eksplodować. – To jest to. Dalej, dalej!

Znowu aleja. Nie musiał mówić, w którą stronę jechać. Znałem już plan. Ale policja wciąż deptała nam po piętach. Szybciej, musieliśmy jechać szybciej i znaleźć jakiś lepszy sposób na zgubienie ich.

Pomknęliśmy w dół wzgórze, coraz dalej od centrum, kierując się nieuchronnie na południe, do Vallecas. Zwabienie ich aż tam mogłoby okazać się niebezpieczne, ale prawdopodobnie była to nasza jedyna szansa.

Zobaczyłem, że Jesús czegoś szuka.

– Telefon, telefon. Ten gnojek musi mieć... Uważaj, to skrzyżowanie jest trudne. – Przelecieliśmy przez skrzyżowanie, o włos unikając zderzenia z motorowerem. Radiowóz zwolnił, żeby uniknąć kolizji. Zarobiliśmy kilka cennych metrów. Ale oni byli szybcy, prawdopodobnie szybsi od nas. Nie mogliśmy ich zgubić na prostej drodze. Musieliśmy pozbyć się ich w jakiś inny sposób. Serce waliło mi jak młotem, krew pulsowała w dłoniach zaciśniętych na kierownicy. Gdybyśmy mieli wypadek, znaleźliby mnie uczonego kurczowo kółka, z wytrzeszczonymi dziko oczami.

Jesús wybierał numer.

– Jedź, jedź; mały. No dalej, dalej, podnoś słuchawkę, ty cholerny... Roberto!

Niebieski kogut ciągle migał w lusterku, niczym mucha, która nie chce odlecieć. Jesús mówił coś prędko do człowieka po drugiej stronie linii. Krótkie, szybkie polecenia. Nie słyszałem, co powiedział, zbyt zajęty obserwowaniem drogi przed nami i z tyłu.

Wyłączył telefon.

– Jedź po prostu przed siebie. Wszystko ustaliłem. Kieruj się w stronę domu Carlosa.

W tej okolicy ruch był większy. Ludzie wyjeżdżali wcześniej rano, żeby rozstawić stragany. Musieliśmy wyminąć szalonymi skrętami trzy ciężarówki, które jechały powoli jedna za drugą w kierunku autostrady i zajmowały połowę jezdni. Na szczęście o żadną nie zawadziliśmy. Uświadomiłem sobie nagle, że jest mi wszystko jedno. Mknęliśmy przed siebie i nic nie mogło nas zatrzymać.

Przejechaliśmy pod obwodnicą i skierowaliśmy się pod górę do Vallecas, śmigając obok porannych autobusów. Odbiliśmy lekko, żeby uniknąć rozjechania trzech starych kobiet, które szły do sklepu po chleb. Przelecieliśmy koło szarego betonowego stadionu piłkarskiego, niemal go nie zauważając.

– Skręć w drugą w prawo, w stronę domu Carlosa, potem w pierwszą w prawo. Może się udać, zostają z tyłu.

Jechałem, jak kazał, starając się nie naciskać na hamulec, bez świateł, polegając tylko na świetle latarni.

– Tutaj, po lewej stronie. Tamten garaż.

Skręciłem, ostro hamując z piskiem opon. Samochód wjechał w wąski otwór w ścianie, drzwi zamknęły się i znaleźliśmy się w nieprzeniknionych ciemnościach.

– Mogli nas usłyszeć – szepnąłem.

– Nie przejmuj się. Chodź, tędy.

Kiedy wysiedliśmy z samochodu, a potem wymknęliśmy się z garażu do sklepu na jego tyłach, poczułem, że drżą mi kolana. Ktoś zamknął drzwi na klucz. Nie bardzo wiedziałem, co się dzieje. Ze wszystkich stron dochodziło wycie syren. Wydawało się, że teraz jest ich więcej niż jedna, ale trudno się było zorientować. Stanęliśmy spokojnie, gotowi do ucieczki, gdyby zaszła taka konieczność, niepewni, czy jesteśmy bezpieczni. Nadjechał radiowóz i minął garaż, nie zatrzymując się. Potem drugi. I nic.

Odetchnęliśmy z ulgą. Jesús położył dłoń na moim ramieniu.

– Trzymaj – powiedział, wciskając mi dłoń, kiedy opadłem na krzesło. – Weź. Potrzebujesz tego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Por Bulerías

*En esta vía maldita,
siempre le faltan las cosas
al que más las necesita.*

W tym przeklętym życiu
zawsze brakuje różnych rzeczy
tym, którzy najbardziej ich potrzebują.

Dwie cygańskie siostry w wieku sześciu i ośmiu lat kołyszą na zmianę małego braciszka, chodząc w kółko. Mają na sobie tanie sukieneczyny, ubrudzone od tarzania się w kurzu. Śmieją się głośno przy tej zabawie, potem zamieniają się miejscami i znowu go kołyszają. Mają ciemną cerę – jak Hinduski – a rozczochrane nieumyte włosy opadają im na oczy, niczym przerośnięty bluszcz. Odrywają się od zabawy, żeby żebrać w pobliskim barze. Siedzi tam stary człowiek z ufarbowanymi na czarno włosami, których pasma oblepiają czaszkę usianą brązowymi plamkami, i to głównie on przyciąga uwagę dziewczynek, ponieważ pod jego stolikiem leży leniwie żółty labrador. Pies i cygańskie dzieci rozumieją się doskonale, ale mężczyzna wydaje się zakłopotany i bezskutecznie próbuje je przegonić. W końcu z głębi pomieszczenia wyłania się barman i je przepędza. Patrzą na niego z zabawnie wyzywającymi minkami, odmawiając mu moralnego zwycięstwa, ale sobie idą.

Wracają do wejścia do brzydkiego nowoczesnego kościoła, przy którym kobieta w jaskrawej, kwiecistej sukience stoi z wózkiem mleczarskim, wyciągając rękę do wychodzących parafian. Wygląda na tyle staro, że mogłaby być ich babcią. Dziewczynki zaczynają klaskać w rytmie *bulerii*, podczas gdy wierni, w ładnych bluzkach i koszulach, niecierpliwie je omijają. Dzisiaj siostry dostały nauczkę. Dzisiaj miłosierdzia nie będzie.

– Za miesiąc jedziemy w trasę. Chcę, żebyś do nas dołączył.

Carlos wychylił do dna swoją brandy i dał znak barmanowi, żeby przyniósł następną. Papierosowy dym złapał mnie za gardło.

– Będziesz sławny – roześmiał się. – *El Niño Rubio*, Jasnowłosy Chłopak. Atrakcja dla *guiris*.

Zostałem przyjęty.

– Dwa, trzy występy, każdego wieczoru – ciągnął Carlos.

Ale ja już go nie słuchałem. Wróciłem myślami do tamtej nocy z Jesúsem. Zastanawiałem się, czy przyłożył do tego rękę, czy zostałem poddany próbie. Byłem zadowolony, wielka szansa w końcu nadeszła. Ale za jaką cenę? Nawet wtedy, marząc jak półgłówek o tym, żeby zostać przez nich zaakceptowanym, wciąż słyszałem głos sumienia, mówiący: „Jesteś złodziejem samochodów”. Czułem, jak przepływa przeze mnie fala poczucia winy i strachu. „A gdyby cię złapali?”.

Jednak zespół nie był już dla mnie tylko grupą grającą flamenco. Mógł dać mi coś o wiele ważniejszego. Nie zawarłem w Madrycie żadnych przyjaźni, w moim nieszczęściu odseparowałem się od świata i rozpaczliwie potrzebowałem innych ludzi i życia towarzyskiego. Wydawało mi się, że znalazłem je dzięki Carlosowi. Tak więc starałem się wmówić sobie, że w gruncie rzeczy nie ukradłem samochodu, zrobił to Jesús. To prawda, pomogłem mu tym autem uciec, ale nie miałem pojęcia, jak je zdobył ani co z nim później zrobił. Czy to mnie nie usprawiedliwiało?

Carlos mówił dalej, a mój trenowany latami intelekt starał się wytłumaczyć moje postęпки.

– Wynajmujemy willę koło Walencji.

Walencja. Trochę wyżej od Benidormu i Alicante, także na wybrzeżu. Nie w okolicach Madrytu. Nie w Andaluzji. Miałem cichą nadzieję, że wyjedziemy właśnie tam, do ojczyzny flamenco. Ale nie. Znowu na wybrzeże. Między turystów. Niepokojąco blisko przeszłości, z którą nie chciałem mieć nic wspólnego.

– Och, dla ciebie też się znajdzie miejsce.

Żadnych szczegółów, ale poczułem ulgę. Pieniądze prawie mi się skończyły i udawało mi się jakoś przeżyć tylko dzięki głodowaniu i drobnym pracom dla Carloty, które zastępowały czynsz. Od przyjazdu do Madrytu straciłem prawie dwadzieścia kilo i ubrania wisiły na mnie jak na wieszaku.

– Jest tylko jedna rzecz – dodał Carlos. – Potrzebujesz porządnej gitary. Nie możemy wypuścić cię na scenę z tym drewnianym pudłem, które ze sobą targasz.

Żeby kupić przyzwoitą gitarę, potrzebowałem co najmniej stu tysięcy peset. Nie mogłem poprosić Carlosa o zaliczkę, bo nie miałem pojęcia, ile zamierzał mi płacić. Poza tym, było jasne, że jeśli nawet zdołałem wśliznąć się do zespołu, to nadal jestem *payo*, człowiekiem z zewnątrz. Było to wiadać po sposobie, w jaki odnosili się do mnie inni jego członkowie.

Pomyślałem o Jesúsie. Wprawdzie traktował mnie teraz inaczej, ale nie mogłem oczekiwać od niego zbyt wiele. Wydawało się, że w niepisanym kodeksie zachowań grupy liczy się to, żeby być w niej, nie stając się niczym dłużnikiem, co oznaczało, że nie mogłem poprosić nikogo o pomoc. Gdybym zwrócił się z tym do niego, prawie na pewno by mi pomógł, ale nie byłoby to właściwe. Zmieniłby się jego stosunek do mnie.

Aby popchnąć sprawę do przodu, postanowiłem dać ogłoszenie, że udzielam lekcji angielskiego. Szkoły języków nie wchodziły w rachubę: powtarzałem sobie z dumą, że jestem wolny i jestem *flamenco*. Mogłem

pracować tylko dla siebie, dla nikogo innego. Dwuwierszowe ogłoszenie ukazało się w miejscowym szmatławcu, „Anuntis”, z numerem telefonu. Zacząłem czekać.

Mijały dni, ale nikt nie dzwonił, choćby po to, żeby zapytać o szczegóły. Zacząłem podejrzewać Carlotę o złośliwość, przekonany, że nie podnosi słuchawki.

- Zapewniam cię, nie było żadnych telefonów. Ani jednego.
- Powinna pani kupić telefon z sekretarką.
- To za niego zapłać!

W końcu telefon zadzwonił. Czy uczę niemieckiego? Starszy pan nie potrzebował lekcji angielskiego. Jego córka mieszka w Hamburgu i pomyślał, że mógłby któregoś dnia pojechać do niej w odwiedziny, może w przyszłym roku albo za dwa lata, jeżeli stan jego biodra się polepszy. W każdym razie uważa, że mógłby zacząć uczyć się języka już teraz, bo na to nigdy nie jest za wcześnie, a on nie jest już taki bystry jak za młodych lat, więc zajęłoby mu to jakiś czas, ale czy mógłby liczyć na moją wyrozumiałość, poza tym nie ma też za dużo pieniędzy, bo oszczędza na bilet lotniczy, wie pan, jak to jest. Słyszał, że angielski i niemiecki są bardzo do siebie podobne, więc może...

Wszystko zależało od tego, czy zdołam zdobyć dość forsy na kupno gitary. W przeciwnym razie nie będzie trasy, nie będzie flamenco. Wszyscy wyjadą, a ja zostanę, uziemiony w tej piekielnej dziurze z szaloną właścicielką, która przez cały dzień tylko dezynfekuje rany od kocich pazurów.

Jeszcze jeden telefon. Podbiegłem do aparatu.

- *Si?*
- Dzwonię w sprawie lekcji angielskiego. Potrzebuję czterech godzin dziennie intensywnej nauki. Czy ma pan niekrępujące mieszkanie?
- Tak, myślę, że tak. Ale... co pan ma na myśli?
- Czy nikt nie będzie nam przeszkadzał?
- Nie. Będziemy mieli dla siebie oddzielny pokój.

- To dobrze. Ale czy nikt nie będzie mógł nas podsłuchać?
- Hmm... być może w mieszkaniu będą w tym czasie jakieś inne osoby, ale to nie ma znaczenia.
- Nie, nie. Muszę być absolutnie nieskrępowany.
- Nie ma problemu.
- Dobrze. Będę czekał niecierpliwie. Czy zadba pan, żebyśmy mieli całe potrzebne wyposażenie?
- Mam kilka podręczników, z których możemy korzystać.
- Nie, nie, mam na myśli co innego. – Cisza. – Rozumie pan, inne wyposażenie.
- Jestem pewien, że mam wszystko, czego może pan potrzebować.
- Bardzo dobrze. To porozmawiajmy o opłacie.
- Wynosi tysiąc peset za...
- Miałem nadzieję, że mógłbym zrewanżować się panu sprzątnięciem mieszkania, zamiast pieniędzy.
- Sprzątnięciem mieszkania?
- Widzi pan, nie mam aż tyle. Ale jestem w tym dobry, proszę pana.
- Proszę posłuchać, tak naprawdę, to ja nie potrzebuję...
- Potrafię robić istne cuda językiem.

Kiedy opowiedziałem później tę historyjkę, wszyscy uznali, że to bardzo zabawne.

– Ay! O rany! Wydawało mi się, że już prawie doszliśmy do porozumienia – odezwał się Javier.

Śmiechy ustały. Przez chwilę panowało krępujące milczenie, potem Junito zagrał cicho parę akordów w kącie pokoju, Jesús zaczął śpiewać i wszyscy domyśliliśmy się, w czym rzecz.

Jednym z sekretów zespołu były homoseksualne skłonności Javiera. Ale rzadko zdarzało mu się popełnić aż taką gafę.

Kiedy zjawilo się rozwiązanie problemu, przybrało postać japońskiego samochodu.

– Potrzebowałem czegoś zwyczajnego – powiedział Jesús, jakby przepraszał, że to nie bmw czy inne luksusowe cacko. Zacząłem się zastanawiać, jak często to robi. Patrzył na samochody tak, jak inni ludzie patrzą na jabłka na drzewach.

Pewnej nocy zawiozłem go na zachodnie przedmieścia, koło oświetlonego stadionu Atlético, na drugi brzeg rzeki Manzanares, aż do pozbawionej charakteru strefy bloków mieszkalnych, która otaczała stolicę niczym pas ratunkowy. Jesús dawał mi przypadkowe, dziwnie nielogiczne wskazówki, jak mam jechać. Nie miał w głowie siatki ulic, orientował się być może według jakichś lokalnych znaków albo zapamiętanych miejsc. Nie byłem tego pewien. Zachowywał się w sposób bardziej zgodny ze swym powściągliwym charakterem i nie wylewał z siebie szalonego monologu, jak się tego spodziewałem.

– Stop! – krzyknął nagle. Całkiem niespodziewanie dotarliśmy do celu. Zobaczyłem bar – mroczny, prawie nieoświetlony, jakby w trakcie sprzątnięcia i zamykania – i mocno nacisnąłem na hamulec. Zatrzymaliśmy się ostro, z małym poślizgiem, po czym nastąpiło potężne uderzenie w nasz bagażnik: jadący za nami samochód zareagował z opóźnieniem.

Gwałtownie popchnięci, wystrzeliliśmy parę metrów do przodu i stanęliśmy na dobre.

Podniosłem rękę do szyi – czaszkę rozsadzał mi ból. Jesús wyskoczył już z auta i pędził w stronę kierowcy, który nas stuknął.

Obmacując się, żeby sprawdzić, czy nie doznałem jakichś obrażeń, usłyszałem krzyki. Byłem pewien, że Jesús jest o krok od zamordowania tamtego, ale kiedy wyskoczyłem na ulicę, ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem, że awanturuje się nie Cygan, ale kierowca tamtego auta, chudy typek z wąskimi ustami i wąsami przystrzyżonymi w stylu szefa banku.

– Takim jak wy powinno się zabronić jeżdżenia po ulicach! – wrzeszczał. – Nadajecie się wyłącznie do kierowania pieprzonymi osłami!

Jesús stał bez ruchu.

– ¡*Me cago en tu padre*! Wy, gnojki, prowadzicie samochód gorzej niż baba – ciągnął tamten. Odwrócił się, żeby spojrzeć na mnie, i zmieszał się. Co tu robi taki jasnowłosy cudzoziemiec? Ale wsiadł już na swojego konika i nie zamierzał z niego schodzić.

* *Me cago...* (hiszp.) – sram na twojego ojca.

– Wszyscy jesteście cholernymi kryminalistami...

Nagle drzwi baru otworzyły się z piekielnym hałasem. Mężczyzna zamilkł. Wszyscy popatrzyliśmy w tamtą stronę. Czterech barczystych mężczyzn o bujnych czuprynach i w kamizelkach wyszło z baru i stanęło naprzeciwko nas. Pierwszy z nich pochylił się w stronę Jesúsa, żeby zapytać, co się dzieje, po czym strzepnął groźnie popiół z cygara.

– Powiedział, że żaden z nas nie umie jeździć – wyjaśnił Jesús.

Mężczyźni z baru nie odezwali się ani słowem, stali tylko ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Pierwszy zaciągnął się mocno papierosem.

– Hmm, tego, no tak. Rzeczywiście! – Po krótkim wahaniu mężczyzna podjął głupią decyzję, żeby kontynuować. – Żaden z was nie umie jeździć. Popatrzcie na to. Jak byście to nazwali? Nie wolno zatrzymywać się tak nagle na środku drogi, bo może zdarzyć się coś takiego. Nie uważacie? Naprawdę tak myślę. Oczywiście. Nnnie...

W końcu poddał się. Facet z cygarem podszedł do gościa i wlepił w niego gały, trzymając dymiący niedopałek nie dalej niż o dwa centymetry od dobrze utrzymanych wąsików.

– Pokaż papiery – warknął.

– Papiery?

– Ubezpieczenie.

Mężczyzna nie odpowiedział, ale spojrzał jak skamieniały w oczy grubego Cygana, który, jak się wydawało, zamierzał zmiażdżyć go swoim cielskiem

– Papiery! – ryknął Cygan.

– Niech pan posłucha, tak naprawdę, to nie załatwiłem... – *Payo* mówił z wysiłkiem. Rozejrzył się, kombinując, jak by tu się zmyć, ale wpadł w pułapkę. Było jasne, że z prawnego punktu widzenia nie jest czysty.

– Niech pan posłucha, moglibyśmy... można by... – jego głos zadrżał lękliwie.

– Ten samochód jest wart czterysta tysięcy – stwierdził *Cygan*. Nie był wart nawet połowy tego, ale udało mi się powstrzymać na czas od zrobienia zdziwionej miny. Nie należało z niczym się zdradzać.

– Niech pan posłucha...

Pozostali faceci z baru ruszyli wolnym krokiem w kierunku samochodu. Było to doskonale zsynchronizowane. *Jesús* włożył powoli ręce do kieszeni marynarki.

Payo znowu się rozejrzył wokół siebie. Wydawało się, że wzbiera w nim jak lawa fala strachu, by nagle wybuchnąć. Spanikował i poddał się.

– No tak, trudno. Chryste Panie! Będę musiał... nie mam przy sobie aż tyle.

– Dawaj portfel!

Ręka mężczyzny automatycznie powędrowała do kieszeni marynarki i wydobyła stamtąd skórzany portfel. Facet z cygarem wyjął z niego kartę kredytową i krzyknął do swoich kolegów:

– Idźcie z nim do bankomatu.

Cyganie odeszli. Dwaj kroczyli jak ludzie nienawykli do chodzenia, trzeci człapał niczym pusty worek. Po kilku minutach wrócili i wręczyli temu z cygarem plik banknotów. Nikt się nie odezwał. Mężczyzna wrócił do auta, wrzucił wsteczny bieg, ominął odłamki szkła leżące na ulicy, a potem odjechał z piskiem dobywającym się spod maski.

– Daleko nie zajędzie – orzekł gość z cygarem. – Ma rozpieprzoną chłodnicę. – Po czym odwrócił się, żeby wejść do baru. *Jesús* dał mi znak, żebym został na dworze. Podszedłem do bagażnika samochodu, żeby przyjrzeć się wgnieceniu. Nie było tak źle: wgnieciony tylny zderzak, ale można było jechać.

Jesús wrócił po godzinie. Wziął ode mnie kluczyki i ruszyliśmy w kierunku centrum. Nie warto było szaleć, jechaliśmy więc powoli, ale ze zwykłym brakiem respektu dla świateł, jednokierunkowych ulic, chodników. Znowu uległem hipnotyzującemu pulsowaniu ulicznych latarni, migoczących mi nad głową.

– Jedna sprawa – odezwałem się. – Skąd on wiedział, że kierowca tamtego samochodu nie ma ubezpieczenia?

– Nie wiedział. Ale żaden z nich nie ma. Z wyjątkiem bogatych dzieciaków i Katalończyków.

Wysiadłem i przemknąłem korytarzem do mojego pokoju, mrużąc oczy od amoniaku wypełniającego powietrze. Z westchnieniem rzuciłem na łóżko marynarkę, po czym na nią spojrzałem. Coś z niej wypadło. Pochyliłem się, żeby po to sięgnąć, i znalazłem kopertę. Było w niej sto pięćdziesiąt tysięcy peset.

Wiedziałem dokładnie, dokąd iść. Wspominali mi o nim Juanito i Antonio. Alejandro, *el Mallorquín*, z Majorki. Mieszkał gdzieś za Plaza de España.

Szedłem wąskimi uliczkami. Wszędzie widać było kurczaki; dziwne, zdeformowane stworzenia o małych ciałkach i za dużych łapach. Znalazłem dom, minąłem kutą żelazną furtkę i wszedłem na drugie piętro.

Drzwi otworzył mężczyzna o szczupłych ramionach, w obcisłej nylonowej koszuli.

– Alejandro?

Skinął głową.

Wyobrażałem sobie starszego pana o słabym wzroku, obsesyjnie czytelującego filigranowe intarsje. Okazało się, że jest młody, o wiele młodszy, niż się spodziewałem. Wszedłem i uścisnęliśmy sobie ręce – on delikatnie, jakby wyłącznie przez grzeczność – po czym gestem zaprosił mnie do środka.

Przeszliśmy do pustego pokoju. Drewniana podłoga, białe ściany, goły stół, dwa krzesła i coś w rodzaju ławy biegnącej wzdłuż jednej ze ścian. Powietrze wypełnione było najcudowniejszym zapachem świeżo obrabianego drewna.

– Napije się pan herbaty? Mam miętową, z Maroka. – Poszedł do kuchni i po kilku minutach wrócił z imbrykiem i dwoma kubkami. Nikt nie częstował mnie herbatą od czasu, gdy mieszkałem u Pedra.

– Przypuszczam, że przyszedł pan w sprawie gitary. – Uśmiechnął się, odśmiając krzywe zęby.

– Tak. Jestem znajomym Juanita i Antonia. Grają z Carlosem.

– Aha, z Carlosem. Ciągłe śpiewa?

Popijaliśmy herbatę. Smakowała jak piasek.

– W takim razie niech pan pójdzie ze mną.

Warsztat był widny, o bielonych ścianach, na których rozwieszone były gustownie gitary. Przeszedłem wzdłuż rzędów instrumentów, przyglądając im się w napięciu. Nie wiedziałem, od czego zacząć.

– Jakiego rodzaju gitary pan szuka? – Popatrzył na mnie życzliwie. Przeleciało mi przez głowę, że z radością kupię gitarę od tego człowieka.

– Szukam jakiejś *negra*, czarnej – powiedziałem. – Dolna płyta z drewna różanego, górna świerkowa. .

Tradycyjna gitara *bianca* do muzyki flamenco ma dolną płytę i boki z drewna cyprysowego, górną płytę świerkową oraz płytki korpus, dający wrażenie bardziej perkusyjnego dźwięku. Natomiast klasyczne gitary są głębsze i zrobione często z drewna różanego i z cedru. *Negra* jest hybrydą, w której drewno różane zapewnia bogactwo brzmienia, ale świerkowa płyta rezonansowa daje ostry, jasny dźwięk, potrzebny wg, flamenco. No i żeby mieć dobry cyprysowy spód, trzeba zapłacić kupę forsy.

– Tak – powiedział Alejandro. – Mam kilka sztuk tego rodzaju. – Po czym zdjął z wieszaków pięć gitar i zaczął mi je podawać jedną po drugiej.

– Jakie ułożenie strun panu odpowiada?

– Niskie – odparłem. Dzięki temu gra była łatwiejsza, szczególnie technika *picado*, często jednak za cenę utraty paru wysokich dźwięków. W tańszych gitarach struny były tak blisko podstrunnicy, że w pewnych pozycjach mogły dotykać progów, co groziło tym, że nie można było odróżnić dwóch, a nawet trzech dźwięków. Ale otrzymywało się też brzęczący dźwięk, bliższy grze dawniejszych gitarzystów, takich jak Sábicas albo El Niño Ricardo. Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciał, było brzmienie klasycznej gitary. Było to coś w rodzaju snobowania się na opak, jakiego nauczyłem się po przyjeździe do Hiszpanii. Klasycznym gitarzystom odmawiano wartości. Za „prawdziwych mężczyzn” uważano tylko *flamencos*. Podczas gdy gitarzyści klasyczni grali swobodnie, trzymając prawą rękę nad otworem rezonansowym po to, by brzmienie było bardziej dźwięczne, my staraliśmy się wykrzywić nienaturalnie rękę, trzymając palce najdalej jak tylko można za otworem, żeby przydać brzmieniu bardziej mięsistego, surowego zabarwienia. Niektórzy mówili nawet, że klasyczni gitarzyści zazdroszczą *flamencos* ich techniki prawej ręki i że to my jesteśmy tajemnymi, nieopiewanymi mistrzami świata gitarzystów – trochę jak anonimowi twórcy bluesa na głębokim Południu, którzy mieszkali w drewnianych chałupach i którym, jak mówiono, podkradały pomysły gwiazdy rocka.

Zacząłem próbować gitary, jedną po drugiej. Wyglądało na to, że będę musiał kierować się wyczuciem. Przypominałem sobie, jak Juan odnosił się do gitary, jak do *la novia* – narzeczonej. Teraz wiedziałem, co miał na myśli.

W końcu zostały tylko dwie – jedyne, na które mogłem sobie pozwolić. Grałem pół godziny na każdej z nich. Ważne było, żebym miał na to dość czasu, i z ulgą stwierdziłem, że Alejandro to rozumie. Żadnej presji, żadnego stania nade mną. Chodził tu i tam, uśmiechając się co jakiś czas, żeby dodać mi odwagi.

Różnica między nimi była niewielka, ale w końcu wybrałem jedną z

nich: odznaczała się magicznym bogactwem basowych dźwięków i wydawało się, że gdy gram, muzyka wypełnia pokój i rezonuje w całym moim ciele.

– Cieszę się, że wybrał pan właśnie tę – powiedział Alejandro. – Nie chciałem nic mówić, ale grał pan na niej z o wiele większą ekspresją i siłą.

Wręczyłem mu pieniądze.

– Niech pan o nią dba – roześmiał się, kiedy wychodziłem. – Ma dla mnie specjalne znaczenie. Ukończyłem ją w dniu śmierci mojej matki. Zrobiłem ją dla niej, na jej cześć.

Do willi dojechaliśmy w nocy. Dom wypełniony był nienaturalnym zapachem niedawno postawionego budynku: mieszaniny cementowego kurzu i farby. Było ciemno, gramoliliśmy się wszyscy z minibusa z futerałami, torbami, uciskiem w żebrach i bolącymi głowami. Przypominało to szkolną wycieczkę. Antonio, ze swoją żyłką organizatora, wszedł pierwszy, żeby rzucić okiem na pokoje, podczas gdy cała reszta bezceremonialnie prostowała nogi, a Carlos otworzył kolejną butelkę brandy. Od razu poczułem, że dom mi się nie spodoba. To była jakaś prowizorka, byle podmuch wiatru mógł go unieść i gdzieś rzucić. Był to dom letniskowy, zbudowany pośpiesznie jako schronienie przed słońcem, z patio i białymi pustymi pokojami. Nie wystarczyło ich jednak dla wszystkich. Ktoś musiał zamieszkać z kimś. Oczywiście ja. Pytanie brzmiało: z kim? W końcu, mimo całej tej bieganiny, Antonio dostał polecenie, żeby rozgościł się ze mną w przypominającym pudło pokoju na tyłach. Był wkurzony. Pokój nie był wystarczająco duży dla niego samego, a co dopiero dla dwóch osób. Nie wiedziałem jeszcze o tym, ale uważał, że ma ważny powód, żeby nie dzielić z nikim pokoju. Trasa była czymś więcej niż tylko ciągiem występów. Usłyszał jednak parę słów od Carlosa i wydawało się, że się uspokoił. Po raz kolejny byłem zaskoczony tym, jak krótko Carlos trzyma całą grupę.

Zacząłem się rozpakowywać. Oprócz nowej gitary kupiłem też parę *camperas* – butów hiszpańskich kowbojów. Miały prosty krój, a za całą ozdobę służył im tylko pasek skóry, który biegł przez całą długość, od cholewki aż do obcasa. Były jeszcze jednym symbolem mojego przystosowania i przynależności, przynajmniej w moim pojęciu. Do tego, że są autentycznie andaluzyjskie, doszedłem na podstawie zdjęć, telewizji i ludzi, których widywałem na ulicy. Czułem na nogach ich ciężar i chciałem, żeby trzymały mnie mocno na ziemi, żeby mnie w jakiś sposób zakorzeniły. Ale kiedy je przymierzyłem, okazało się, że są śmiesznie niewygodne, za wąskie na moje szerokie anglosaskie stopy. Powiedziałem sobie, że je rozchodzę, hiszpańska skóra uznawana była przecież za najmiększą na świecie. Miałem wuja, który lubił ludowe piosenki. Śpiewał o pani z dworu, która została porwana przez Cygańską Zjawę, i o tym, jak jej mąż pojechał na koniu, żeby jej szukać, i znalazł ją przy ognisku pod gołym niebem.

Zdejmij, zdejmij rękawiczki,
uszyte z hiszpańskiej kozłej skóry.
Podaj mi dłoń, białą jak lilia,
i powędrujemy z powrotem do domu.
Prosto do domu konik nas zawiezie.

Ale ona nie chciała, tak bardzo pociągał ją urok cygańskiego życia, i mąż samotnie wrócił do osiadłego życia.

Jeszcze tej samej nocy Jesús przyjechał nowym samochodem. Dostał duży pokój i zaprosił mnie na kreskę kokainy, którą wciągaliśmy ostrożnie przy plastikowym stole stojącym koło okna. Niedługo potem w drzwi weknęła głowę żona Carlosa, María-José.

– *A jalar?* – spytała.

Jesús wstał, żeby wyjść.

Nie zrozumiałem i po drodze na patio zapytałem Jesús, co powiedziała.

– Że jedzenie gotowe. To jest *caló*, cygański język. Wołała nas do stołu.

Doszedłem do wniosku, że określenie *churumbel*, którego Carlos używał wobec mnie, jest wyrazem cygańskim, ale przyjmowałem, że niezrozumiałe dla mnie słowa z ich rozmów to hiszpańskie zwroty, których musiałem się jeszcze nauczyć. Okazało się, że mnóstwo kolokwializmów, jakie sobie przyswoiłem, pochodziło z *caló*: *sobar* znaczyło spać, *chungo* niedobry, *parné* pieniądze. Kiedy jednak wsłuchałem się w ich rozmowy, odkryłem, że wszelkiego rodzaju słowa i zwroty z pieśni flamenco, szczególnie w nowszych nagraniach takich zespołów, jak Ketama, których wcześniej nie mogłem zrozumieć, nabrały dla mnie sensu. Jak słowo *camelar* – kochać.

Mira si yo te camelo, te camelo de verdad.

Popatrz, jak bardzo cię Kocham, Kocham
naprawdę.

Wydawało się, że słycać je w co drugiej pieśni.

Jednak tylko niewielu Cyganów zdawało się mówić czystym *caló* – był on raczej źródłem ich własnego slangu, wplatanego między słowa zwykłego hiszpańskiego, którym mówili na co dzień. Ale służył za symbol, etykietkę, znak, że należy się do cygańskiej społeczności, a co ważniejsze, że nie jest się jakimś tam *payo*.

Jalar, jalar. Obracałem to słowo na języku, kiedy szliśmy na patio, żeby się posilić.

Po jedzeniu zrobiliśmy próbę. Tym razem potraktowano ją z większą powagą, jako ostatnią szansę poprawienia błędów przed występem dla nieznannej widowni.

– *Churumbel!* – zwrócił się do mnie Carlos – chcę, żebyś samodzielnie akompaniował Javierowi do *alegríi*. – Znałem ten utwór. Było to coś w rodzaju krótkiego przerywnika, zespół grał go od tygodni. Mimo to szokująca

była dla mnie myśl, że mam samotnie usiąść w świetle reflektorów. Skinąłem głową i wszyscy wyszli z pokoju. Został tylko Javier, żeby to ze mną przećwiczyć.

– Tylko ty i ja, co? – powiedział cicho i puścił do mnie oko. Zrobił to żartem, ale nie bez pewnej uszczypliwości. – *Venga*. Zaczynamy. Jestem pewien, że dasz sobie radę. – Po czym stanął plecami do mnie, machając rytmicznie ręką.

– *Siete, ocho, nueve, diez, un, DOS*.

Włączyłem się, ale zdołałem zagrać tylko parę pierwszych akordów.

– Nie, nie. Na litość boską! Trzymaj rytm! – krzyknął przez ramię.

Spróbowaliśmy znowu i dojechaliśmy trochę dalej.

– *¡Compás! ¡Compás!* No, Jason, zrób mi tę przyjemność i graj rytmicznie, z łaski swojej – rzucił z nadąsaną miną.

Zacząłem uderzać stopą o podłogę jak metronom, żeby ułatwić sobie trzymanie rytmu. Moja gra znowu rozjechała się z jego tańcem, ale nie wiedziałem, w którym miejscu się gubię.

– Jason! – Javier znowu się zatrzymał. – Posłuchaj, jestem pewien, że możesz zagrać to lepiej. Jestem tego całkiem pewny. W przeciwnym razie Carlos nie poprosiłby cię, żebyś się do nas przyłączył. Musisz trzymać *compás*.

Skrzywiłem się, kiedy odwrócił się do mnie plecami, żeby zacząć od nowa.

– Powtórzmy to jeszcze raz od *solo de pie*, potem zagraj końcową *buleríę*. – Ułożyłem ręce w pozycji, gotów do gry. Nagle poczułem klepnięcie w ramię. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Juanita, który uśmiechał się szeroko. Dał mi znak, żebym przekazał mu gitarę. Wziął ją szybko i zaczął akompaniować tańczącemu plecami do nas Javierowi. Grał zwyczajnie i po prostu, wtrącając nawet kilka fałszywych nut, żeby wyglądało bardziej autentycznie. Ale trwało to zaledwie chwilę. Javier się zatrzymał.

– *Me cago en la leche*. Powiedziałem ci... – Odwrócił się i przeraził się

na widok Juanita z gitarą w ręku. – Ale... – Znieruchomiał, zbity na chwilę z tropu, jakby nie wierzył własnym oczom. Nagle krew napłynęła mu do twarzy i zrobił zagniewaną minę. – ¡*Hijos deputa!* Skurwysyny! – wrzasnął i wypadł z pokoju.

Wydawało się, że ani Juanito, ani ja nigdy nie przestaniemy się śmiać po tej historii. Całymi tygodniami, gdy tylko któryś z nas, udając głos Javiera, rzucił: *hijos deputa*, skręcaliśmy się na podłodze, trzymając się za brzuchy.

Od tej pory Javier prawie się do mnie nie odzywał.

Tym, co zdumiało mnie najbardziej podczas trasy, było tempo, w jakim wszystko się odbywało. Żyliśmy jak w Madrycie, ale trzy razy szybciej, jakby napędzała nas jakaś sprężyna. Dawaliśmy dwa, a zwykle trzy występy każdej nocy, rozpoczynając o dziesiątej wieczorem i kończąc dopiero o czwartej lub piątej nad ranem. Sprawdzenie aparatury, występ, pakowanie się, przemykanie gdzie indziej, rozpakowywanie, występ, pakowanie... W większości wypadków nie miałem pojęcia, gdzie się te występy odbywały.

Pierwsza noc była dla mnie szokiem. Pod koniec trzęsły mi się ręce. Byłem wykończony. Ale jakoś poszło. Występowaliśmy przeważnie w małych lokalach: skromnych burdelach, barach, kawiarniach, od czasu do czasu w jakiejś sali koncertowej, na miejscowym festiwalu albo weselu. Samo granie było dość mechaniczne. Oczekiwałem czegoś więcej, prawdziwego napięcia, jakie moim zdaniem powinno poprzedzać wszelkie twórcze przedsięwzięcia. Ale po pierwszych paru nocach zacząłem się uspokajać i zrozumiałem, że to po prostu praca wykonywana po to, żeby zarobić na życie. Nie było miejsca na przejmowanie się tym, czy dobrze się zagrało lub czy było w tym dość uczucia. Byliśmy nie tyle artystami, ile raczej rzemieślnikami, ledwo wiążącymi koniec z końcem. Tak więc po opanowaniu i zagranii utworu więcej niż kilka razy trudno było nie wyłączyć się po wejściu na scenę i nie przestawić na automatyczne sterowanie.

Najbardziej cierpiał z tego powodu Antonio. Gdy grał, na jego twarzy malował się wyraz śmiertelnego znużenia.

Po ostatnim występie wracaliśmy do willi i zdejmowaliśmy czarno-białe kostiumy – koszule i spodnie – ale nie kładliśmy się spać co najmniej do dziesiątej albo jedenastej rano, pijąc, grając i śpiewając. To wtedy powstawała prawdziwa muzyka, był to czas na nowe utwory albo *palos*, które lubiliśmy, te, których widownia by nie doceniła. Potem spaliśmy do czwartej po południu, braliśmy prysznic, ćwiczyliśmy jeszcze trochę, jedliśmy, i przychodziła pora, żeby ruszać. Szalone, gorączkowe, bezustanne powtarzanie tego samego. Uświadomiłem sobie, że siłą napędową tego życia były stały dopływ kokainy – czekała zawsze, aby niczym jakieś magiczne paliwo utrzymać mnie w ruchu. Dostawy zapewniał Jesús, braliśmy ją w jego pokoju albo na patio. Myślałem, że robią to wszyscy, ale ku mojemu zaskoczeniu odkryłem później, że tak naprawdę brali ją tylko ci młodszy – Jesús, Antonio, Javier i ja. Juanito nigdy jej nie dotykał, a Carlos dochowywał wierności brandy. Co do La Andondy, nie potrzebowała jej, i tak miała w sobie dość szaleństwa. Czułem się głupio. Wyobrażałem sobie, że być może biorę tylko pod naciskiem grupy. Ale byłem już uzależniony, a gorączkowe życie w trasie coraz bardziej i bardziej zmuszało mnie do szukania podpory w kokainie.

Tymczasem jedliśmy razem, graliśmy razem, budziliśmy się razem, spaliśmy tę samą ilość godzin, zamieniając się w swego rodzaju kolektywne istoty, w jednolitą całość, w której zatracała się wszelka indywidualność. Myślał za nas kto inny. My tylko słuchaliśmy i stawaliśmy w szeregu. Mikrobuz, kolejna godzina jazdy na występ, rozpakowywanie, gra, pakowanie i znów w drogę.

Od czasu do czasu coś zakłócało tę rutynę. Prawdziwy powód, dla którego Antonio był tak zdenerwowany, że musi dzielić ze mną pokój, wyszedł na jaw pewnej nocy, gdy szczególnie fantazyjną grą usiłował zrobić wrażenie na pewnej dziewczynie na widowni. Zapomniiał o nas wszystkich

i podjął swego rodzaju muzyczne tournée na własny rachunek. Ona doceniła go w pełni nieco później, gdy okazało się, że ma własny pokój, z którego mogą korzystać, ale w trakcie występu Antonio doprowadził La Andonę do wybuchu wściekłości za to, że robi z niej idiotkę na scenie. Można było mieć pewność, że nigdy mu tego nie zapomni.

Jednak przeważnie nie było czasu na nic oprócz grania. Carlos zabawiał nas na porannych posiedzeniach w willi, siadając na balkonie i naśladując głosy innych pieśniarzy z przeszłości, takich jak El Lebrijano, El Indio Gitano, albo obdarzony wysokim głosem Pedro Pinto.

Antonia to nie cieszyło. Chciał nas popchnąć w stronę bardziej jazzowego brzmienia, charakterystycznego dla innych gitarzystów, na przykład Tomatita.

– Słuchajcie, chłopaki, my naprawdę powinniśmy robić coś więcej, coś nowocześniejszego. Rozumiecie? To znaczy moglibyśmy grać jak Ketama, albo Karakatamba.

– Karakatamba – prychnął Carlos. Nie ulegało wątpliwości, że Antonio szuka po prostu sposobu, by narzucić nam swój własny, bardziej wyrafinowany styl gry.

– Hej, posłuchajcie, tacy ludzie jak oni to przyszłość, rozumiecie?

– Graj sobie te nowoczesne kawałki na własnych występach. My tutaj gramy flamenco.

Słyszając to, Antonio ucichł, po czym wyleciał jak burza. A my rozmawialiśmy dalej. Takie rzeczy zdarzały się codziennie.

– To wstyd tak się irytować – odezwał się Juanito. – Carlos ma rację, Karakatamba, to... puff. – Wzruszył ramionami. – Ale Ketama? Całkiem znośni. Są z rodziny Carmony. Cyganie z Grenady. Dobrzy *flamencos*.

Słońce było już wysoko, kiedy wychyliłem ostatniego drinka i poszedłem schronić się w mojej sypialni.

– To jest właśnie flamenco, *churumbel*. – Carlos złapał mnie za ramię,

kiedy przechodziłem obok niego. Jego oddech przypominał gorzelnię. – To. To życie. A nie całe to gówno, w jakim siedziałeś w Alicante. Chcesz doświadczyć prawdziwego flamenco? Chcesz wiedzieć, czym naprawdę jest *duende*? To jest właśnie to. Życie na krawędzi, *a tope*. To jest śpiewać tak, że potem nie możesz mówić. Albo grać, dopóki nie zaczną krwawić ci palce. To jest docieranie tak daleko, jak tylko się da, a potem robienie jeszcze jednego kroku. W tym momencie mu wierzyłem.

Jesús nie przestawał robić tego, co robił w Madrycie. Podróże zespołu po całym kraju były wodą na jego młyn, dostarczając mu okazji do kolejnych „zdobyczy”. Dbał, żeby inni nie dowiedzieli się o moim udziale w jego wyprawach, i w obecności pozostałych członków zespołu odnosił się do mnie tak samo jak na początku. Co jakiś czas wracaliśmy z występów nowym samochodem, ale jego wyczyny skrywała zasłona milczenia, nikt ich nie komentował. To było zakazane.

Podniecała mnie szybka jazda i wciąż nie dopuszczałem do siebie żadnych wątpliwości, udając przed samym sobą, że samochody wcale nie są kradzione albo że Jesús je zwraca, kiedy kończymy przejażdżkę. Że po prostu cieszy nas jazda, bawimy się nią, że jest konieczną rozrywką, żeby oderwać się od nudy tournée. Gdzieś z głębi mojej świadomości próbował przebić się głos, który pytał, jak ja w to wpadłem, ale pozostawał gdzieś na dalszym planie, prawie niesłyszalny w całym tym hałasie.

Pewnej nocy, w niedzielę, występowaliśmy w domu dla głuchoniemych. Z początku nie mogliśmy dojść, co tu się nie zgadza. Potem La Andonda zauważyła aparaty słuchowe i się wydało. Podkręciliśmy wzmacniacze do maksimum, całkowicie się zagłuszając. Kiedy kończyliśmy kolejne numery, widzowie siedzieli z kamiennymi twarzami, nie wiedząc, kiedy klaskać. Inicjatywę przejął Javier, stanął na środku sceny i zaczął pokazywać, że

trzeba bić brawo, no i w końcu rozległy się oklaski. Ale reszta zespołu już się pakowała i szykowała do wyjścia. Był to nasz jedyny występ tej nocy i wszyscy chcieli zabawić się na mieście.

Kiedy wychodziliśmy na dwór, Jesús dał mi znak, żebym poszedł za nim. Zostawiłem gitarę, prosząc Antonia, żeby się nią zaopiekował, i ruszyliśmy rozgrzanymi, ciemnymi ulicami. Zwykle krążyliśmy po spokojnych dzielnicach willowych, rozglądając się za najlepszymi samochodami, ale czasem znajdowaliśmy coś, kiedy najmniej się tego spodziewaliśmy, na przykład przed nocnym klubem, do którego kierowca wszedł na chwilę, zostawiając silnik na chodzie. Stawałem na straży, wyglądając zza rogu, nastawiając uszy na odgłosy jadącego samochodu, na policyjny patrol, na jakiegokolwiek zagrożenie. A kiedy się pojawiało, dawałem umówiony sygnał gwizdnięciem i znikąłem w jakimś wejściu, czekając, aż zrobi się bezpiecznie. Jeśli przeżywałem kryzys sumienia, nadchodził właśnie w tych spędzanych samotnie chwilach, kiedy czekałem, aż Jesús załatwi sprawę. Na moment brał mnie we władanie moralny niepokój, nasilający się, gdy zaczynałem sobie wyobrażać, że łapie mnie policja, jednak gdy tylko wsiałem do samochodu, znikał. Ostatecznie kradliśmy tylko auta bogatych ludzi. Byli ubezpieczeni albo mogli sobie pozwolić na ich stratę. Nie miałem z tego żadnych pieniędzy. To była cena akceptacji przez zespół.

Jesús kiwnął na mnie i wskoczyłem do bmw.

Ulice były tu wąskie i za bardzo zapchane samochodami, żeby jechać szybko. Skierowaliśmy się za miasto, w stronę górzystej wiejskiej okolicy. Jesús przyspieszał na pustych, poczerniałych drogach, reflektory rzucały snopy światła, kiedy gnaliśmy 110, 130 kilometrów na godzinę, mknąc jak pocisk po szosach, które były często krętymi, trudnymi do jazdy drożynami. Nawet w takim aucie jak to czuło się wszystkie wyboje. W pewnej chwili Jesús wcisnęła gaz do dechy i moją głowę odrzuciło do tyłu. Przez okno widać było księżyc w pełni.

– Tata umarł... w taką noc jak ta, dokładnie taką, zrobił się zimny, zasraniec, zostawił nas, matkę, mnie, dwie siostry, żadnych pieniędzy, wydawał wszystko na pijaństwa, skurwiel, musiałem iść do roboty, kiedy miałem tylko trzynaście lat, potrzebowałem *parné*, zawsze potrzebowałem pieniędzy, nie można się bez nich obejść na tym *puto mundo*, tym kurewskim świecie, forsa to jest to, czego ci trzeba, żebyś mógł pchać sprawy do przodu. Potrzebujesz forsy? Mogę ci pożyczyć pięćdziesiąt tysięcy, mam je w kieszeni, ha, ha, nie dostaniecie mnie, gnoje, założę się, że dupek, który miał ten samochód, to był prawdziwy pieprzony skurwiel, oszukiwał żonę, założę się, że woził kochankę o tu, na tylnym siedzeniu, posuwał ją tu raz-dwa, raz-dwa, brał ją w *el culo*, od tyłca, z dupą w górze na tylnym siedzeniu beemki, ha, ha, *gilipollas*.

– Może to był gej?

– Masz absolutną rację, absolutną, to mógł być pedał, pedał-zasraniec, ha, ha! Uch! Prowadzę samochód pedała! Ha, Ha! *Joder!* Kurwa, ta maszynka ma klasę, popatrz, jak przyspiesza. *Joder!*

Otarliśmy się o drzewo, które pochylało się tuż koło drogi. Jesús spojrział w stronę, którą się otarł.

– Muszę to szybko naprawić. Nie mogę sprzedać takiego pieprzonego cacka z rysami na lakierze.

Gnaliśmy dalej pośród pustki, w bladym świetle księżyca. Nagle pojawiły się przed nami światła i samochody. Blokada.

– Zwolnij! – krzyknąłem.

– W porządku. Zauważyłem ich. – Jego głos odzyskał już profesjonalny spokój. Zatrzymaliśmy się o kilkanaście metrów przed blokadą, nie gasząc świateł.

– Prędko. Zamieniamy się miejscami – rzucił Jesús. Przesiedliśmy się niezdarnie, zaczepiając o dźwignię zmiany biegów. Zobaczyłem, że ktoś podchodzi do samochodu. Był to patrol *Guardia Civil*, goryle z karabinami maszynowymi.

– Rozmawiaj z nim jak *guiri* – syknął Jesús.

Serce podeszło mi do gardła, kiedy uzbrojony po zęby facet w zielonym mundurze zapukał w szybę. To, czego bałem się najbardziej, zamieniało się w rzeczywistość.

– Dobry wieczór panu.

– *Buenas noches* – odpowiedziałem z możliwie najsilniejszym angielskim akcentem, spoglądając z uśmiechem do góry. Zada mi pewnie jakieś pytania, może będzie chciał wiedzieć, dokąd jadę o tej porze, dlaczego siedzę w samochodzie z hiszpańską rejestracją, może poprosi o dokumenty, prawdopodobnie usłyszał, jak otarliśmy się o drzewo, no i pewnie zainteresuje go, kim jest mój towarzysz. Ale wiedziałem też z doświadczeń z pracy w „Costa Gazette”, że prawdopodobnie urządzono tu zasadzkę na kogoś z ETA. Nie na głupich Anglików. Musiałem prędko coś wymyślić, to była nasza jedyna szansa.

– Szukamy drogi na Walencję – odezwałem się, zanim zdążył coś powiedzieć. – Już jakiś czas jeżdżę tu w kółko i nie mogę jej znaleźć. Mógłby pan wskazać mi kierunek? Moja żona właśnie urodziła dziecko.

Przez chwilę myślałem, że przegrałem sprawę. To była głupia gadka, ale wałnąłem tak ze strachu. Policjant wahał się przez chwilę, po czym stanął na baczność, żeby uczcić moją nową życiową rolę ojca, i burknął, jak mamy jechać. Jadę w złym kierunku, powiedział, muszę zawrócić i pojechać w przeciwnym.

Zawróciłem i wcisnąłem gaz, zostawiając leciutki ślad opon na asfalcie. Blokada oddaliła się i znikła we wstecznym lusterku. Ze zdenerwowania ledwo oddychałem.

– Dobra robota, tatuśku – powiedział Jesús. – Dobrze, że mnie nie dopadli. Mieliby ze mną niezłą zabawę. Jeżdżę od piętnastu lat, a nigdy nie miałem prawa jazdy. Ha! Skurwiele...

Podjechaliśmy pod zwyczajny blok mieszkalny w nieciekawej okolicy na przedmieściu Walencji. Mieszkanie było małe i ciemne, nie paliła się w nim ani jedna żarówka. Wszystkie pomieszczenia oświetlały zwykłe białe świece, wśród których dla urozmaicenia widać było też inne – czerwoną,

niebieską, albo spiralnie skręconą, na pół przezroczystą. Powietrze było gęste i ciężkie od dymu, a ściany wydawały się w tej poświacie szare i lepkie.

Dealerem był chudy *payo* z rozwidloną sterczącą brodą i trzęsącymi się rękami. Czarne włosy opadały mu od przedziałka na środku głowy na ramiona, sprawiając, że przypominał chodzącą piramidę. Jesús przywitał się z nim ciepło w mrocznym przedpokoju, po czym przeszliśmy do kuchni. Świecznik rzucał na drewniany stół i krzesła posępną cień.

Usiedliśmy przy stole i wciągnęliśmy po kresce kokainy. Przyglądałem się plomom ze stearyny na podłodze, które powiększały się powoli z każdym kapnięciem, odwzorowując zniekształcone odbicie świecznika.

Dealer przyniósł z sąsiedniego pokoju plastikową torebkę.

– Dobra jakość – zapewnił.

Jego drżące ręce zadrgały nerwowo, kiedy ją podawał. Jesús położył torebkę na stole i otworzył ją, starając się robić to jak najostrożniej. Sięgnął do kieszeni po scyzoryk i wyłowił ostrzem parę białych kryształków. Dealer odwrócił głowę, podniósł się nagle i podszedł do kredensu. Rozległ się odgłos przestawiania kubków i talerzy.

– Ciężko jest utrzymać porządek, kiedy żyje się samotnie – powiedział nie wiadomo po co.

Parafina kapiała teraz na czarne włosy Jesúsa, ale on zdawał się tego nie zauważać. Skupił się całkowicie na maleńkiej grudce na czubku ostrza. Uniósł ją, podsunął do nosa i ostrożnie powąchał.

Rozległ się brzęk. Z rąk dealera wypadły trzy talerze i rozbiły się na kawałki.

– W co ty, kurwa, grasz? – wrzasnął Jesús.

– Przepraszam, Jesús, przepraszam.

– To zwykłe świństwo! Próbujesz mnie nabrać, wciskając mi jakieś śmiecie? *Me cago en tus muertos* *... – Zerwał się z krzesła ze scyzorykiem w rękę i rzucił na dealera, który wycofywał się do kąta.

* *Me cago*... (hiszp.) – Sram na twoich przodków.

– Jesús! – krzyknąłem. W jednej chwili zorientowałem się, co się za chwilę stanie. Zdołałem odsunąć krzesło i złapać go z tyłu za przeguby obu rąk w chwili, gdy miał już zadać cios ostrzem szczyryka.

Dealer osunął się na podłogę. Jesús znowu do niego doskoczył, napinając mięśnie jak powrozy. Odciągnąłem go do tyłu, chociaż próbował wyrwać się z mojego uścisku, rzucając się to w jedną, to w drugą stronę. Byłem jednak wyższy od niego, a narkotyk dodał mi sił. Niepokoił mnie nóż w jego ręku i bałem się, że sam mogę się na niego nadziać.

Dealer usiadł i się rozpłakał.

– Jesús, to przecież ja. Na litość boską, Jesús. To ja. – Był blady i trząśł się ze strachu. – Jesús, nie zrobisz mi tego. Nie masz pojęcia, jak to jest...

– Ty skurwysynu! *Me cago en tus muertos*. – Jesús rzucił cygańskie przekleństwo, wijąc się, żeby się uwolnić.

– Daj spokój, Jesús, możesz puścić to dalej. Proszę, ja naprawdę potrzebuję pieniędzy.

Jesús znowu się rozwrzeszczał, a dealer cofnął się w kąt i skulił, szlochając rozpaczliwie.

Czułem, że Jesús znów zamierza go zaatakować. Resztką sił wyprowadziłem go przez kuchenne drzwi na korytarz, wypchnąłem na klatkę schodową i zatrzasałem drzwi, kiedy zatoczył się z powrotem, nieprzytomny z wściekłości.

Biegiem wróciłem do kuchni. Dealer nadal siedział w kącie i płakał.

– Nic ci się nie stało?

Nie odpowiedział.

Obmacałem go, żeby sprawdzić, czy nie jest ranny. Nie znalazłem krwi. Ruszyłem do wyjścia.

– P-powiedz Jesúsowi, powiedz mu, że go kocham. Jest moim najlepszym przyjacielem.

Położyłem na stole trochę pieniędzy i wyszedłem.

Jesús czekał na mnie na ulicy. Wydawał się spokojniejszy, nie robił już wrażenia krwiożerczego szaleńca, jak przed chwilą.

- Nie powinienesz być tego robić – powiedział cicho.
- Zrobiłem to, co musiałem. – Zdziwiłem się własnymi słowami. Nigdy dotąd nie odpowiedziałem mu w ten sposób.

Ruszyliśmy, nie odzywając się ani słowem. Kiedy dochodziliśmy do samochodu, poczułem na ramieniu jego rękę. Odwróciłem się, a on nieoczekiwanie mnie objął. Czułem się skrępowany – znowu byłem Anglikiem, sztywnym, zakłopotanym i zaskoczonym – ale w końcu moje ręce rozluźniły się i odwzajemniłem uścisk. To był Jesús, który nigdy nikogo nie potrzebował. Wolny Cygan, kluczący krętymi ścieżkami tego dziwnego, niechętnego mu świata, do którego tak naprawdę nie należał – świata, który odrzucił i który z kolei odrzucił jego. Ale teraz nie pragnął niczego innego, jak tylko być jego częścią.

Staliśmy tak, klepiąc się lekko po plecach, aż w końcu oderwał się ode mnie.

- Ty prowadzisz – powiedział. – Muszę się przespać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Por Soleá *Por Buleria*

*Compañera de mi alma,
Dios te había dao sabiduría.
Que una palabrita tuya
vale por doscientas mías.*

Towarzyszko mojej duszy,
Bóg obdarzył cię mądrością.
Więc jedno twoje słowo
warte jest dwustu moich.

Prawie nie wypuszczałem gitary z rąk. Czułem jej nieobecność, gdy nie miałem jej pod ręką, szukałem jej we śnie, wyobrażając sobie, że ćwiczę, a moje palce zaciskają się na niewidzialnych progach. Gra stała się dla mnie głównym sposobem wyrażania nastrojów i uczuć, moje ręce automatycznie układały się w różne *palos* czy w sekwencje akordów, które zdawały się wypływać z nieświadomego przedtem zakątka mojego ja – pewniejszej siebie, świadomej, ale wrażliwej części mojej istoty. Spacerując po willi, opracowywałem nowe *falsetas*, starałem się udoskonalić poczucie rytmu, oparty o stół albo przysiadając na krawędzi mojego zbyt miękkiego łóżka. Akustyka była szczególnie dobra w ciasnej łazience, gdzie tworzyło się coś w rodzaju kabiny pogłosowej, w której muzyka rozbrzmiewała w całym moim ciele. Podśmiewano się ze mnie z lekkim wyrzutem. Moje zachowanie było zbyt dziwaczne.

Ale kiedy grałem, prowadziłem samochód albo po prostu siedziałem bezmyślnie, budziła się we mnie potrzeba. Z początku była niemal niezauważalna, przeczuwałem ją tylko w krótkich przebłyskach, w momentach roztargnienia, kiedy myłem zęby, budziłem się po sjeście lub wystawiałem twarz na pierwsze poranne promienie słońca, mrużąc oczy przyzwyczajone do ciemności. Niczym tonący, który tylko chwilami zdaje sobie sprawę,

że nie może oddychać, i przeżywa swoje ostatnie minuty nieświadomy, że powoli się pogrąża, wdychając wodę zamiast powietrza.

Że coś się ze mną dzieje, pierwsza zauważyła La Andonda. Spostrzegła, że staję się niespokojny. Pewnego popołudnia postanowiła nauczyć mnie rzucania nożem i wręczyła mi stary zardzewiały nóż, którego nie używała. Spędziliśmy parę godzin w ogrodzie, wbijając go w ziemię, ona zręcznym ruchem nadgarstka, podczas gdy moje wysiłki kończyły się tym, że nóż koziółkował w piachu przy prawie każdej próbie. Zdawała się rozumieć, że potrzebuję czegoś nowego, że już nie jestem zadowolony. Ja oczywiście doceniałem jej uprzejmość, wiedziałem, że było to coś więcej niż tylko chęć rozerwania mnie.

Pewnego popołudnia wyszedłem z willi i ruszyłem samotnie do miasta. Słońce mocno grzało, ale czułem, że muszę wyjść.

Stary barokowy kościół, z kopułą pokrytą niebieskimi dachówkami, otoczony był bezdusznymi blokami z cegły, wysokimi na cztery albo pięć pięter, zwracającymi uwagę aluminiowymi oknami, w których suszyły się w kurzu i piachu liche, różowe i zielone prześcieradła. Minąłem przewrócony, połamany dziecięcy wózek, leżący na stercie plastikowych kubłów, i skierowałem się do budki telefonicznej, stojącej przy nijakiej pustej ulicy. Wszedłszy do niej, poczułem się jak we wnętrzu pieca. Wyjąłem garść monet i zacząłem wybierać numer.

Od miesięcy nie rozmawiałem z rodziną. Kiedy minęło początkowe zaskoczenie, zaczęli opowiadać o swoich sprawach i wypytywać o moje życie w Hiszpanii. Trudno mi było zaspokoić ich ciekawość. Powiedziałem tylko parę słów o tym, co zamierzam, i właśnie w chwili gdy poczułem głęboką potrzebę rozmowy i pragnąłem podzielić się z kimś tym, co leżało mi na sercu, dystans, jaki powstał między nami, wydał mi się nie do przebycia. Było to dziwne doznanie, tak pragnąłem poczuć więź z moim dawnym

domem, a jednocześnie miałem świadomość, jak bardzo się od niego oddaliłem. Byłem teraz w Hiszpanii, to było moje życie, ale czułem się osamotniony.

Telefon zamilkł. Nie miałem już monet. Oszołomiony nieznośną duchotą w budce, wyszedłem na ulicę, na przeszywające światło słońca.

– Gdzie byłeś? – powitały mnie chóralne okrzyki, gdy wróciłem. – Nie mogliśmy cię znaleźć.

– Jasne, że nie mogliście. Poszedłem się przejść. – To było niezwykle, że odpowiedziałem tak ostro.

– Przejść się? O tej porze? *Estás chalao*, chyba oszalałeś. Chodź, zjedz trochę *potaje*. María-José postawiła właśnie supę na stole. Chcieliśmy już jechać bez ciebie.

Wróciłem do szeregu i zjadłem talerz zupy.

Miał to być ostatni występ tej nocy. Zaczynałem już czuć się zmęczony. Dziwne, bo byliśmy dopiero w połowie występów. Mikrobus podskakiwał na wybojach. Carlos wypił za dużo brandy, ale był to jedyny sposób, żeby mógł śpiewać. Nigdy trzeźwy, mawiał, w żadnym wypadku.

Dojechaliśmy do obrzeży miasta. Latarnie, bloki, pobocza pełne samochodów. Wyglądało to całkiem zwyczajnie. Podskoczyliśmy. Wyrzuciłem przez okno i zobaczyłem, że przejeżdżamy przez wąskie tory kolejowe. Tuż obok była stacja. Jej nazwa mignęła zbyt szybko, żebym mógł ją odczytać, ale już wiedziałem: byliśmy w Benidormie.

Patrzyłem z przerażeniem na znajome ulice, bary, puby dla Anglików, osławiony „Cally Londreez”, nadmorski bulwar wysadzany palmami, dyskoteki pełne turystów o różowej cerze, którzy wypacali płyny i kremy, jakimi co wieczór smarowali skórę, żeby złagodzić popołudniowe oparzenia. Miałem ochotę zajrzeć do tego świata z mojej przeszłości, i zarazem silne pragnienie, żeby zagłębić się w siedzenie i zniknąć. Zwyciężyła

jednak ciekawość i zacząłem rozglądać się za znajomymi twarzami. Mogłem dostrzec Jonathana i Barry'ego, popijających późnego drinka, albo jakichś ludzi z magistratu. Przypomniała mi się dramatyczna ucieczka z tych okolic. Gdybym się na kogoś nadział, nie mógłbym oczekiwać ciepłego przyjęcia.

No i była jeszcze Lola.

Nie myślałem o niej od co najmniej dwóch tygodni, najdłużej od naszego rozstania. Teraz czułem gwałtowne ukłucie bólu pomieszanego z namiętnością. Powiedziałem sobie jednak, że nie jesteśmy w Alicante. Nie w Alicante. Nie było powodu, aby się tu zjawiała. Przecież nawet nie lubiła Benidormu. Ale emocje mnie nie słuchały i z zapałem zaciskały mocny chwyt. Byliśmy grupą flamenco. Istniały duże szanse, że mogła tu przyjechać, żeby posłuchać koncertu, mogła zasiąść na widowni, być może już tu jest. Zaczynało mnie mdlić.

– Widziałem tu raz śpiewającego Camaróna – powiedział Carlos. Wszyscy ucichli na dźwięk nazwiska wielkiego artysty. – Występował na arenie do walki byków. Pełno Cyganów z całej okolicy. Wszyscy szaleli. To było niesamowite. Ludzie starali się na wszystkie sposoby dostać do środka. Jakiś dzieciak próbował wejść po drabinie i złamał sobie nogę, kiedy strażnik ją spod niego wykopał. Zupełnie jakby wdrapywał się do nieba, żeby obejrzeć twarz Boga. Po koncercie wszyscy wylegliśmy na ulice, pełne tych wstrętnych białych *guiri*, którzy przewracali się i wymiotowali. Mówię wam, nie widziałem w życiu nic bardziej obrzydliwego.

Rozległ się pomruk aprobaty.

– *Churumbel!* – zawołał do mnie. – Musisz się tu czuć jak u siebie w domu, co? Między *compatriotas*? Jak to jest?

Pewnie zatęskniłeś za ojczyzną? – Wszyscy się roześmiali. – Chyba nie każesz nam stanąć i skoczyć na „feesh and cheeps”^{*}? – Ostatnie słowa wymówił powoli i z naciskiem, jego usta nie nawykły do dźwięków obcej mowy. Byłem zaskoczony, że w ogóle słyszał o „fish and chips”.

^{*} *Fish and chips* (ang.) – ryba z frytkami.

– Albo może pójdziemy do apteki po krem do opalania? – Znów śmiechy. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie wyładowuje na mnie złości za wszystkie minione lata. – Siedzisz dzisiaj z przodu, koło Jesúsa. Na widowni będzie mnóstwo *guiris*. Oni to uwielbiają. Chciałbym, żebyś przemówił do nich w języku *guiri*. Przedstawił nas, coś w tym rodzaju.

Jeśli będzie tam Lola, nie uda mi się ukryć.

Występ odbywał się na nadmorskim bulwarze, w jednym ze stu barów, kawiarni i restauracji, rozrzuconych wzdłuż esplanady. Tak jak się spodziewałem, wielu widzów, chociaż nie wszyscy, było obcokrajowcami. Trochę Anglików, Niemców, Skandynawów. Próbowałem przekonać Carlosa, że nie warto, żebyśmy cokolwiek do nich mówili. Żadnego wspólnego języka.

– Ci ludzie przychodzą tu, żeby się upić i zabawić. Nie interesują się nami – zapewniłem go.

Carlos mruknął coś i spojrzął w drugą stronę.

– A po co innego ty tu jesteś? – zapytał.

Czułem się urażony, ale złożyłem to na karb brandy i wspomnień nocy z Camarónem.

Znalazłszy się na zapleczu sceny, po raz pierwszy poprosiłem Jesúsa o działkę kokainy. Dał mi bez wahania odrobinę, choć patrzył na mnie pytająco.

Carlos poprowadził nas na scenę z butelką brandy w rękę, mając tuż za sobą Jesúsa, a potem mnie. Czułem się skrępowany niczym wieśniak zaproszony na obiad do stołu dziedzica. Było to niezgodne z obowiązującą wśród nas hierarchią, której przestrzeganie, zwłaszcza dzisiejszej nocy, szczególnie by mi odpowiadało. Narkotyk podnosił mnie jak zwykle na duchu, dając mi uspokajający przyływ pewności siebie i podniecenie,

wzmacniające wiarę we własne siły. Ale nie na długo. Jego działanie zdawało się trwać coraz krócej i krócej.

Wysunąłem się do przodu, rozglądając się po widowni za wielkimi piwnymi oczami i plamą ciemnorudych włosów, ale niczego nie zobaczyłem.

– Panowie i panie – usłyszałem swój własny głos, wysoki i nerwowy, lejący się cienką strużką. – Jesteśmy tu, żeby wysłuchać jednego z najlepszych zespołów flamenco w Hiszpanii. – Rozległ się chichot. Zaczerwieniłem się. Poczulem na czole palący żar reflektorów, gdy przez otwarte drzwi napłynęło rozgrzane powietrze. Weszli jacyś ludzie i usiedli przy stoliku. Mężczyzna i kobieta. Próbowałem przebić spojrzeniem mrok, żeby zobaczyć, kto to.

– Hmm, przyjechaliśmy tu aż z Madrytu, ze stołecznego miasta, tylko po to, żeby sprawić wam przyjemność... – Kobieta podniosła się, by zdjąć płaszcz. Nie mogłem dobrze się jej przyjrzeć. A niech to. Gdyby tylko się odwróciła, mógłbym zobaczyć ją z profilu. Znowu rzuciłem okiem. Sądząc po włosach, to mogła być ona. Usłyszałem za plecami stuknięcie, dawano mi do zrozumienia, żebym się pospieszył.

– Carlos i jego Przyjaciele Flamenco!

Rozległy się entuzjastyczne brawa, pewnie z radości, że zapowiadający półgłówek wreszcie skończył. Usiadłem na krześle, ale moje myśli nadal wędrowały do odległego kąta sali i spóźnionej kobiety. Teraz nie widziałem jej w ogóle, dzieliło nas zbyt wiele twarzy. Czy ona mnie zauważyła?

Rozpoczął się występ. Miałem inne rzeczy na głowie, a narkotyk sprawił, że było mi bardzo trudno skoncentrować się na czymkolwiek z jaką taką jasnością. Antonio zagrał wstęp do pierwszego utworu, potem włączył się Carlos i musieliśmy podążyć za nim, za jego tempem i znakami. Wsłuchiwałem się, jak wypełnia salę swoim niskim głosem, wykrzywiając twarz dla osiągnięcia potrzebnej intensywności. Szukał emocjonalnej koncentracji, która była podstawą w każdym wykonaniu flamenco, złym czy dobrym. Bez niej muzyka zamieniała się w bezsensowną kakofonię.

Być może wzięło się to z przypuszczenia, że może tu być Lola, lub też przyjazd do Benidormu w jakiś sposób przypominał mi moje wcześniejsze życie, ale zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Nie koncentrowałem się już tak intensywnie, jak przedtem. Zacząłem łapać się na tym, że gram z mechaniczną obojętnością, jaką obserwowałem u innych, zwłaszcza u Antonia. Te same pieśni, te same rytmy, te same akordy. Grałem je teraz tak często, że już prawie, prawie mogłem wykonać je we śnie. Siedzieliśmy obojętnie, w naszych jednolitych strojach, a jedynym kolorowym akcentem była niezawodna turkusowa chustka na głowie Javiera i czerwono-biały strój La Andondy. Klaskała i wykrzykiwała słowa zachęty – *jaleo* – żeby wycisnąć z nas choćby kroplę uroku, by oczarować tę emocjonalnie martwą widownię. Chociaż brakowało jej wdzięku, czasami jej się to udawało – zwykle kiedy tańczyła w willi i ktoś ją zirytował. Unosiła groźnie spódnicę, odsłaniając uda, napełniając nas wszystkich dziwną, perwersyjną, erotyczną energią. Ale tej nocy? Wątpię. Nie wyglądała na wystarczająco rozłoszczoną.

Antonio zakończył *falseta* potężną burzliwą kadencją i Carlos znowu zaczął śpiewać. Po raz pierwszy słuchałem go krytycznym uchem. Nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad tym, jak śpiewa. Skupiałem się na tym, żeby mu się przypodobać, zasłużyć na jego pochwałę, na przyjęcie do jego kółka. Teraz jednak zaświtało mi nagle, że tak naprawdę jest tylko mierzonym pieśniarzem, w którego zespole gram. Miał elastyczny głos – demonstrował to, gdy naśladował innych śpiewaków na patio w willi – ale na koncercie? Tu jego głos był słaby i ostry. Nie poruszył mnie. Wykrzykiwanie twarzy, do którego się uciekał, żeby wyrazić emocje, prowadziło tylko do powstawania zmarszczek, ale działało. Nasi widzowie to byli głównie turyści i zwykli Hiszpanie, którzy o flamenco wiedzieli prawdopodobnie tyle co turyści albo uczestnicy prywatnych imprez, bardziej interesujący się

osobami, które stały obok nich. Byliśmy zaledwie rozrywką, tapetą, kolorową wprawdzie, ale niczym więcej. Na scenę wyszła La Andonda. Przebrała się, by wykonać taniec zwany *Farruca*. Ubrana jak mężczyzna, tańczyła męski taniec, demonstrowała energiczne ruchy rąk, bardziej intensywną pracę nóg i szczuplejszą sylwetkę. Ale La Andonda niestety nie była szczupła, więc wciśnięta w dopasowane spodnie i jeszcze bardziej obcisłą czarną górę, składała się z samych wypukłości i zaokrągleń. Uwielbiała to, uważała, że to jej najlepszy numer, ale za każdym razem, gdy zaczynała kołysać biodrami, można było usłyszeć zbiorowy jęk pozostałych członków zespołu. Tutejsza widownia zdawała się jednak doceniać jej wysiłki, więc gdy skończyła, wybuchł burzliwy aplauz. Ktoś siedzący dalej nawet gwizdnął. La Andonda wzięła to za dobrą monetę, choć dla nas oznaczało to tylko tyle, że widownia składa się z ignorantów.

– Powinniśmy jej powiedzieć, żeby zamieniła się z Javierem – szepnął do mnie Jesús.

Było ważne, żeby mieć przed sobą tłum, który zna i rozumie to, czego słucha. Dobry koncert to dialog i można go nawiązać tylko wtedy, gdy publiczność rozumie swoją rolę. Pierwszy ruch należał do zespołu, ale jeśli brakowało odzewu, było to tylko granie, tańczenie i śpiewanie. I nic więcej – żadnej namiętności, tylko zewnętrzna skorupa. Spoglądając na znudzoną twarz Antonia, czekającego niecierpliwie na następną okazję, by pokazać swoje umiejętności, zacząłem wątpić, czy ten zespół kiedykolwiek stworzy coś specjalnego, w jakichkolwiek okolicznościach.

– Problem z tą zbieraniną polega na tym, że nie wiedzą, jak słuchać – powiedział Carlos, siadając po wykonaniu ostatniej pieśni.

Tak, pomyślałem, ale czy my naprawdę wiemy, jak grać?

Po ostatnim numerze zapalono światła, podniosłem się więc szybko, żeby rzucić okiem na kobietę przy stoliku w rogu. Siedziała z drinkiem w rękę, jej twarz była na pół zasłonięta. Ale włosy były inne. Ciemne, nie rude. Postawiła szklankę na stole i podchwyciła moje spojrzenie. Popatrzyłem w bok. To nie była Lola.

Z Benidormu ruszyliśmy w stronę wzgórz, zostawiając wybrzeże za plecami. Tym razem nie patrzyłem przez okno, odmawiając sobie przyjemności oglądania ulicznych latarni, barów i turystów. Wszystko to dla mnie umarło.

Następnego dnia Carlos przywołał mnie do siebie. Siedział na swoim zwykłym miejscu na patio, obok krzaku jaśminu, który jakimś cudem zdołał tu wyrosnąć i przeżyć. Żaden z nas się nim nie opiekował.

– *Churumbel*, chcę z tobą pogadać. – Jego grube rysy błyszcząły w gąsnącym świetle, miał tłustą skórę. Palił cygaro.

Podszedłem do niego. Rozparł się wygodniej na krześle.

– Usiądź tutaj.

Usiadłem.

– Papierosa. – Nie było to pytanie. – Wiesz, co w tym wszystkim jest najważniejsze?

Pokręciłem głową.

– *Pasión*. Musisz robić to z pasją.

Przypomniał mi się poprzedni wieczór i ogarnęło mnie poczucie winy. Czyżby moje myśli nie były takie ciche?

– Kiedy wybrałem zawód śpiewaka, *cantaor*, miałem czternaście lat. Oczywiście śpiewałem już wcześniej, ale raczej dla zabawy, jak to dzieciak. Ale pewnego dnia moja matka wzięła mnie za rękę i powiedziała: „Synu, popatrz na tego orła tam, w górze. Wiesz, dlaczego lata? Bo nie ma wyboru, bo takie jest jego przeznaczenie, bo jest orłem, a to jest to, co robią orły”.

Zastanawiałem się, gdzie też kryje się w nim ten orzeł. Nie wiedziałem, że Carlos dorastał w sercu gór Sierra Nevada. Wyglądał na mieszczaucha. A jednak...

– I dodała: „Będziesz musiał sam zdecydować, kim jesteś. Jeżeli chcesz śpiewać, musisz to wiedzieć w głębi serca. Że musisz śpiewać, bo

nie ma nic innego, co mógłbyś robić. Że musisz śpiewać, ponieważ to jest to, kim jesteś”. No i od tamtego dnia czułem to tu. – Rąbnął się pięścią w środek piersi. – Właśnie tu. I wiesz co, *churumbela* Teraz widzę to także u innych ludzi. Potrafię stwierdzić, czy ktoś ma to w sercu.

Podniósł się i zaczął odpinać guziki koszuli, odsłaniając bardzo owłosiony tułów, częściowo zakryty szarym podkoszulkiem. Ściągnął koszulę i wręczył mi ją bez słowa.

Słyszałem o tym. Był to sposób na okazanie symbolicznej akceptacji, jak dzielenie chleba i soli w niektórych rejonach Środkowego Wschodu, ale zawsze opisywano to jako interesujący antropologiczny szczegół. Nie miałem pojęcia, że zwyczaj ten nadal jest praktykowany, i trzeba było paru chwil, zanim zrozumiałem, co się dzieje.

Podniosłem się po krótkim wahaniu i wziąłem od niego przeproconą koszulę.

– Dziękuję – powiedziałem, patrząc w ziemię.

– To, co zrobiłeś wczoraj wieczorem, poruszyło mnie. Poruszyło mnie tutaj. – Jego pięść znowu uderzyła w środek piersi.

– To, jak tam stałeś, i... nie znam języka *guiri*, ale wiem, że to, co powiedziałeś, powiedziałeś z uczuciem, z pasją. I to się liczy, *churumbel*. Wczoraj wieczorem to czułeś. To było słyhać w twojej grze. Nie myśl, że cię nie słuchałem. Słyszę cię, wiedz o tym, nawet gdy jesteś daleko ode mnie. Ale wczoraj wieczorem było bardzo dobrze. Wczoraj wieczorem to było coś specjalnego.

Ścisnąłem gorącą, wilgotną koszulę i patrzyłem w górę.

– A teraz idź i przynieś mi jeszcze brandy.

Koszula była czymś w rodzaju potwierdzenia, za którym tęskniłem. Wziąłem ją z wdzięcznością, ale w całym tym wydarzeniu był cień nieszczerości – cecha, którą coraz wyraźniej dostrzegałem u Carlosa – i to nie

dawało mi spokoju. Obawiałem się, że jestem tu tylko dla turystów, jak mi powiedział poprzedniego wieczoru, ozdobą albo dziwadłem. Jasnowłosym cudzoziemcem, który gra flamenco w drugorzędnym zespole, do którego nigdy bym się nie dostał, gdyby brano pod uwagę wyłącznie moje umiejętności.

Antonio był zły, kiedy się o tym dowiedział. Carlos nigdy nie potraktował go w ten sposób, choć to on był głównym gitarzystą.

– Wiesz, myślę, że on cię lubi. – Miał pretensję głównie do Carlosa, ale ja też byłem powodem jego irytacji.

Czasami zastanawiałem się, czy prawdziwym outsiderem nie jest tu Antonio. Domagał się uznania jako wielki gitarzysta, a spotykał się jedynie z narzekaniami, że jego *compás* jest za szybki albo za wolny. Dużo ćwiczył, opracowywał coraz bardziej skomplikowane *falsetas*, żeby zademonstrować swoje umiejętności, ale wydawało się, że jego wysiłek idzie na marne. Nikt nie potrzebował w zespole *manitas de plata*, „srebrnych rąk”. Liczył się tylko śpiew i taniec, no i pokazanie publiczności dobrego widowiska. Rolą gitarzystów było tworzenie muzycznego tła. Zdarzały się momenty, w których gitara także dochodziła do głosu, ale było ich niewiele. Nie chodziło tu o nowoczesną koncepcję flamenco, w której *tocaors* nabrali znaczenia, być może większego nawet niż śpiewacy i tancerze. My graliśmy raczej tradycyjne, elementarne flamenco. Bez zbytniej pikanterii, bez żadnych innowacji czy ozdóbek. Antonio po prostu do niego nie pasował.

Prawda była taka, że w gruncie rzeczy nikt tu nie pasował. Ani homoseksualista Javier, ani krwiożercza maniaczka La Andonda, ani kaleka Juanito, ani wciągający kokę złodziej samochodów Jesús. Sami odmieńcy, a każdy inny.

Gdy tylko przecisnąłem się przez wysokie, wąskie, drewniane drzwi mieszkania Carloty, powitało mnie znajome szczypanie w oczach, amoniak. Trzymała dla mnie pokój, wynajmując go tylko na parę miesięcy

znajomemu z kraju Basków, który uczęszczał na jakiś letni kurs. Przyzwyczajaliśmy się do siebie i chociaż potrzebowała pieniędzy, wołała znajomą twarz, chciała też uniknąć stresów związanych z przyjęciem kogoś obcego.

– Och, wróciłeś! Jak miło znowu cię widzieć. Chodź do kuchni. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Postawiłem torbę na podłodze i poszedłem za nią. Na mój widok koty rzuciły się do panicznej ucieczki.

– Cholerne głupki! – zawołała za nimi Carlota. Trafiłem na jej dobry dzień. Bo im dalej odnosiła się do kotów, tym bardziej trzeba było uważać i mieć się na baczności.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na mroczną ulicę. Po drugiej stronie siedział narkoman i opierając się plecami o ścianę, próbował wbić igłę w zmaltretowaną żyłę. Znalazł właściwe miejsce i do strzykawki napłynęła krew. Odwróciłem się. Carlota siedziała przy stole, paląc taniego papierosa.

– *Bueno*. No, dobrze. Opowiedz mi o trasie. Jesteś już sławny? – zapytała ze szczerym zainteresowaniem. Usiadłem, żeby zacząć opowieść. Skądś dobiegało chlupotanie wody. Spojrzałem na kran. Potem mój wzrok spoczął na odbłasku pod krzesłem Carloty. Z kota na jej kolanach spływał swobodnie strumień sików.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała i pobiegła do łazienki. Prędko wytarłem plamę.

– Napijesz się czegoś? – zapytała, gdy wróciła.

– Tak, z przyjemnością. Zaraz wracam. – Teraz ja musiałem odpowiedzieć na zew natury.

Tandetna czerwona deska sedesowa musiała się w końcu rozlecieć i zastąpiła ją fosforyzująca zielona. Usiadłem i rozejrzałem się: oprócz tego szczegółu wszystko wyglądało mniej więcej tak jak przedtem. Ta sama brudna podłoga, to samo potłuczone lustro, ten sam hałas autobusów i motorowerów, dobiegający z otwartego okna.

Sięgnąłem po papier toaletowy. Skończył się. Carlota pewnie zapomniała kupić. Sięgnąłem do kieszeni, żeby zobaczyć, czy nie mam czegoś odpowiedniego, i wyciągnąłem coś, co wyglądało jak latawiec. Była to błyszcząca ulotka reklamowa Gypsy Kings, którą musiałem kiedyś podnieść z ziemi. Zastanawiałem się przez chwilę, po czym z przyjemnością użyłem jej w nowej dla niej roli.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Por Taranta

*En diciendo ¡gente ar torno!
todos los mineros tiemblan
al vé que tienen su vía
a volunta de una cuerda.*

Słyszac wołanie „Do windy!”,
wszyscy górnicy drżą,
bo widzą, że ich żywoty
zawisną na nitce.

– Chodź. Do roboty.

Wpadł po mnie Jesús. Bez samochodu.

– Jasonie, poproś swojego kolegą, żeby wszedł do środka. Wiesz, nie musi czekać na ciebie na dworze – powiedziała Carlota.

Oczekiwanie, że Jesús usiadzie i będzie pił herbatę, przyglądając się złośliwym, popuszczającym bez przerwy kotom, nie wydawało mi się dobrym pomysłem. Spojrzałem na zegarek, była trzecia rano.

– Może innym razem – odparłem, ruszając do drzwi.

Zakończenie tournée i powrót do Madrytu nie spowolniły biegu spraw tak, jak się spodziewałem.

Poszliśmy na piechotę. Była to noc w tygodniu i miasto było ciągle opustoszałe, ponieważ ludzie nie wrócili jeszcze z wakacji. Para Cyganów podkradała paliwo z zaparkowanego na ulicy samochodu, zasysając zielonkawo-różowy płyn, który spływał rurką do starej butelki po wodzie. Przez chwilę myślałem, że Jesús ich pozdrowi, ale on przeszedł obok nich, jakby w ogóle nie istnieli. Okazało się, że trudno jest o poczucie braterstwa między Cyganami, jakiego się spodziewałem.

Zostawiliśmy za plecami moją dzielnicę, niechlujne prostytutki i alfonsov, i ruszyliśmy Gran Via. Przyglądałem się pojazdom, które majaczyły

we mgle: jaskrawym autobusom, pełnym spoconych pasażerów ze znużonymi minami, krążącym w kółko blaszanym trójkołowym furgonetkom; spacerującym pod rękę, podobnym do siebie parom starych ludzi. Czułem się odcięty od tego wszystkiego. To, co oglądałem, to były przeszkody, przedmioty, których należało uniknąć albo je obejść. Ludzie, samochody, drzewa, budynki... nic nie istniało naprawdę. To był krajobraz ze snu, przesuwający się przed moimi oczami. Od czasu do czasu błysnął jakiś luksusowy samochód mogący zainteresować Jesúsa. Cel, na który można było się rzucić.

Żadnego problemu z tym tutaj. Bułka z masłem. Nie ma nawet blokady. Wystarczy połączyć kabelkiem bezpieczniki i jesteśmy w domu. Po głowie krążyły mi myśli złodzieja samochodów.

Doszliśmy do Cibeles, po czym skręciliśmy w Paseo de la Castellana, ulubiony teren łowów Jesúsa. Ale tym razem poszedł dalej, krocząc uparcie alejami w kierunku nowocześniejszej części miasta, wabiącej lśniącymi wieżowcami, okazałymi budynkami i szansami na jeszcze bogatsze łupy. Szedłem za nim niechętnie, ale posłusznie, w nieznośnym nocnym upale.

Gdy nadchodził właściwy moment, zwykły marsz zamieniał się w polowanie. Jesús zaczynał poruszać się zupełnie inaczej, w jednej chwili stawał się zwierzęciem, lampartem. Przygarbiony, ze spuszczoną głową, stąpał na palcach, gotowy do skoku. Ktoś, kto zobaczyłby go w takim momencie, mógłby nie zauważyć niczego oprócz groźby w jego oczach. Było jednak ciemno i pusto, a ja miałem za zadanie zapewnić mu bezpieczeństwo.

Znikł pod maską samochodu, obmacując przewody bezpieczników, i ze stłumionym kliknięciem uruchomił centralny zamek. Usiadł na miejscu kierowcy i wyjął stalowy młotek – jedno z niewielu narzędzi, jakie przy sobie nosił, jako że nigdy nie miał czasu na użycie czegoś więcej – i uderzył, zwalniając blokadę kierownicy. Potem już tylko zwyczajne połączenie

właściwych przewodów, i rozpoczęliśmy kolejną przejażdżkę, szybując przez migotliwą noc niczym ptaki.

Pomknęliśmy Castellana – trzypasmową i pustą. Wjeżdżając w nią, poczuliśmy się, jakbyśmy wrócili do domu. Tym razem rąbnęliśmy mercedesa kabriolet. Opuściliśmy płócienny dach i owiało nas powietrze, które spłynęło po naszej spoconej, słonej skórze niczym strumień chłodnej, świeżej wody. Rozejrzałem się. Samochód był obity pluszem i wygodny. Przy mierzyłem pas bezpieczeństwa, żeby sprawdzić, czy ma dobrą długość.

Jesús rozpoczął monolog. Frajda, jaką sprawiała mu jazda, była ważniejsza od pieniędzy. Kradzione przez niego auta trafiały do rąk bogatych Arabów, tak mu przynajmniej mówiono. Miał tylko krótką chwilę, żeby się nimi nacieszyć, zanim zniknęły na dobre, stając się kolejną nierozwiązaną sprawą w policyjnych archiwach. A uniesienie zdawało się go odblokowywać.

– Ta ulica kończy się areną do walki byków. Lubisz korridę? *¡Ole! ¡Toro! ¡Toro!* – Zdjął ręce z kierownicy i przykładając dwa palce do czoła, dźgnął nimi, celując w moją pierś. Jechaliśmy bardzo szybko.

– Korrida... facet przebity rogami. Żył oczywiście, pozszywali go, no i wyszedł z tego bez problemu. Ale byk nie. Dostał w szyję. Skończył tej nocy na stole toreadora. Ha! Skurwiele, te byki. Dobrze im tak. Żyją jak królowie. Pasą się na polu, mnóstwo żarcia, tyle krów, ile dadzą radę. Dopóki nie skończą na tej pieprzonej wielkiej arenie. A tam im odbija. *Chalalo*. Sram na matkę, która go urodziła. Jasne, są inni, i to oni nadziewają byka. Rozumiesz... To nie ma końca, nie ma końca, wszędzie krew. Ból. A on macha na ciebie *muletą*, czerwoną płachtą, zmusza cię do galopu, nie możesz się poddać, nie, nie możesz, widzisz, ma cię na muszce, na tej arenie. Nie masz dokąd pójść. No i pędzisz na nim, ale jednocześnie myślisz: powinienem uciec od tego wszystkiego, nie wdawać się w to. Ale nie masz gdzie uciec, więc pędzisz na niego, a on cię kłuje, szturcha, macha ci przed

oczami tą wielką czerwoną szmatą, no i pędzisz jak krety. To jest błąd byka. Że pędzi. Inne zwierzęta by się poddały, ale byk pędzi, nigdy się nie poddaje, aż w końcu nadziewa się na tę szpadę, no i...

Trzeba było zrobić unik, żeby nie zderzyć się z samochodem, który właśnie na nas jechał. Jesús szarpnął ostro kierownicą, wdepnął hamulec, i wpadliśmy w poślizg, lecąc w poprzek ulicy, odbiliśmy się od krawężnika, aż w końcu rąbnęliśmy bokiem w latarnię.

Światła zgasty, tamten samochód odjechał na pełnym gazie, a my zostaliśmy sami na pustej ulicy.

Podniosłem głowę. Panowała cisza. Przez kilka chwil byłem nieprzytomny, moja twarz zagłębiła się w poduszkę powietrzną, ostry ból świdrował mi pierś tam, gdzie wcisnął się w nią pas bezpieczeństwa. Siedzenie kierowcy obok mnie było puste. Jesús zniknął.

– Jesús! – krzyknąłem. Nie było odpowiedzi. Łajdak, pomyślałem, a czaszkę zaczął mi rozsadzać niewyraźny, promieniujący ból. Pewnie uciekł i zostawił mnie samego.

Wygramoliłem się z samochodu i zacząłem się obmacywać. Wszystko wydawało się w porządku. Tylko oszołomienie i poczucie, że jestem gdzie indziej, jakbym obserwował siebie i wszystko wokół mnie na jakimś odległym ekranie. Samochód był kupą złomu, miał wielkie wgłębienie w boku, którym rąbnął w słup latarni, odłamki potłuczonych szyb błyszczały na śladzie opon pozostawionym na asfalcie. Naszła mnie myśl, że powinno się uciekać od rozbitych samochodów, bo mogą nagle wybuchnąć. To właśnie zdarzało się na filmach. Przez chwilę miałem pewność, że samochód za chwilę wybuchnie, a ja razem z nim. Puściłem się biegiem i szaleńczo zanurkowałem w trawę, lądując ciężko na obolałych zebach. Czołgając się, starałem się trzymać jak najniżej. Wybuch, rozumowałem, pójdzie przynajmniej nad moją głową.

Nie dotarłem daleko. Po paru metrach natknąłem się na ciało. To był Jesús. Leżał na plecach. Błady, z zamkniętymi oczami.

– Jesús! Cholera! Nic ci nie jest?

Brak odpowiedzi. Obmaciałem mu szyję, próbując znaleźć puls. Oddychał. Nie miał śladu ran czy poważniejszych obrażeń, ale leżał z zamkniętymi oczami i widać było, że coś go boli.

– Jesús, obudź się. – Klepnąłem go w twarz. Jeszcze jedna podpowiedz z kina. Nadal się nie ruszał. – No, dalej. Zbudź się! – Spróbowałem znowu. Tym razem trochę mocniej. Podniosłem głowę. Usłyszałem dwie czy trzy syreny, które zdawały się przybliżać. Błagam, tylko nie policja. Na Boga, tylko nie policja.

– Jesús! – Leżał jak trup.

Podniosłem się, żeby mieć lepszy widok. Nadjeżdżający samochód wyglądał jak karetka pogotowia, ale policja nie powinna dać na siebie długo czekać. Zacząłem obliczać, jak daleko musiałbym go nieść, żeby znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Ale jak daleko mógłbym dojść niezauważony?

Karetka podjechała w momencie, w którym opadło mnie chwilowe niezdecydowanie. Wskoczyli sanitariusze, żeby nas obejrzeć. Podbiegł mężczyzna z kocem i odciągnął mnie od Jesúsusa.

– Tutaj, tędy. Powinien pan usiąść. Weźmiemy pana do karetki.

Odepchnąłem go.

– Zostaję z nim.

– Jest pan ranny. Proszę ze mną. Niech pan wsiądzie do karetki.

Nie ruszyłem się. Najważniejsze to zająć się Jesúsem. Okryli go kocem i wyciągali nosze. Panował hałas, ludzie krzyczeli. Jeden z sanitariuszy poszedł, żeby przynieść więcej koców. Nosze zaklinowały się w karetce i przez chwilę szarpali się z nimi, krzycząc na siebie ze złością.

Wstawaj, Jesús. Obudź się, na litość boską. Musimy zwiewać.

Ale on się nie poruszał, nadal był nieprzytomny.

Jakiś sanitariusz krzyknął na mnie, biegnąc tuż obok.

- Pan ciągle tutaj? Proszę wsiąść...
- Czy jedzie tu policja?
- Oczywiście, będą lada chwila.

Musiałem coś zrobić, ale uciekanie po Madrycie karetką, żeby zwać przed policją, nie wydawało się zbyt praktycznym pomysłem. Najpierw trzeba będzie poradzić sobie z sanitariuszami, a ich było trzech...

Ruszyłem w kierunku Jesúsa w chwili, gdy mieli kłaść go na nosze.

- Zaczekajcie! – Pochyliłem się nad nim.
- Jesús – szepnąłem mu do ucha – obudź się, no już. – Nie poruszył się. Sanitariusze pochyliłi się, żeby odciągnąć mnie na bok.
- Budź się, Jesús, prędeej. Oni czekają na policję.

Na dźwięk nienawistnego słowa Jesús otworzył oczy, popatrzył na mnie przez chwilę, a potem usiadł sztywno.

– Zastanów się, człowieku – powiedział sanitariusz – dopiero co miał pan wypadek. Jest tu karetka, zabieramy pana do szpitala. Wszystko będzie dobrze, ale...

Jesús był już na nogach.

- Nie. Nic mi nie jest. – Oparł się ciężko na moim ramieniu.

Sanitariusze nie zwrócili uwagi na jego słowa.

- Świetnie. Niech pan podejdzie tutaj, wsadzimy pana do...
- Nie. Powiedziałem wam, nic mi nie jest.

W głębi ulicy zamigotały niebieskie światła. Ścisnąłem Jesúsa za nadgarstek.

- Miał pan wypadek. Proszę wsiąść do karetki.
- Zostaniemy tutaj – oświadczyłem. Światła były coraz bliżej. Odwróciliśmy się, żeby odejść. Sanitariusz złapał mnie za ramiona i szarpnął do tyłu.

Nie miałem wyboru.

- Uciekaj! – krzyknąłem do Jesúsa. Zebrałem tyle sił, ile mogłem,

obróciłem się na pięcie i rąbnąłem faceta w żołądek. Jęknął cicho i zgiął się wpół, padając na ziemię jak przedziurawiony balon. Przez chwilę patrzyłem na niego, zaskoczony własną siłą. Wyglądał strasznie, leżąc i krzywiąc się w szoku. Ale nie było czasu na współczucie, dwaj pozostali już szli w moją stronę i nadjeżdżała policja. Odwróciłem się i zacząłem biec ile sił w nogach. Jesús pędził przede mną, osłabienie i ból gdzieś znikły. Przeciął główną aleję i pognał w kierunku jednej z bocznych uliczek, które okrężały od tyłu Kortezy. Biegłem za nim, a za nami pędzili sanitariusze. Miałem nadzieję, że nie będą mieli czasu na opowiadanie policji, co się tu wydarzyło.

Biegliśmy pod górę, nasze nogi zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Musieliśmy być ostrożni, ulicę dalej stacjonowały straże i policja, pilnujący budynków parlamentu. Byliby szczęśliwi, gdyby mogli oddać się ciekawszemu zajęciu, jakim jest pogoń za cygańskim złodziejem samochodów i jego kumplem.

Jesús zwolnił na skrzyżowaniu, żeby zdecydować, w którą stronę uciekać. Skręcił w prawo, ja za nim, ledwo dotykając stopami chodnika, śmigając koło latarni, samochodów i zaśmieconych wejść do domów.

Myśleć szybko. Nie uda nam się uciec, nie w ten sposób. Gdy tylko policja zorientuje się, co jest grane, wezwie przez radio posiłki, a to oznacza jeszcze większą liczbę prześladowców, którzy otoczą nas jak psy gończe. Ulice były puste i dzięki Bogu źle oświetlone, a sanitariusze gonili nas tylko na pół gwizdka, szczęśliwi, że sprawę złapania nas mogą zostawić policjantom. Za nami zadudniła para butów, waląc ciężko w płyty chodnikowe. Mężczyzna krzychał do swoich kolegów, pytając, czy nas widzą. Ale był sam, nie otrzymał odpowiedzi i biegł coraz wolniej od skrzyżowania do skrzyżowania, chcąc ustalić, dokąd uciekliśmy. Mnie jednak bardziej niepokoiili policjanci spod parlamentu. Przy całym tym hałasie któryś z nich mógł wyjść i się rozejrzeć, choćby po to, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Jesús dyszał ciężko i zaczynał się słać. Zdumiewające było, że w ogóle się podniósł, ale teraz uciekaliśmy, spływaliśmy potem i nasze myśli skupiały się wyłącznie na tym, żeby znaleźć się jak najdalej. Dagoniłem go i przełożyłem sobie jego rękę wokół szyi, a jednocześnie wodziłem oczami po okolicy, rozglądając się za jakimś schronieniem. Nie było murów, za którymi można się ukryć, nie było pasaży z drabinami pożarniczymi, po których można by się wspiąć na dach i przeskoczyć dalej, żadnych ogrodów, do których można by się wśliznąć. Przez chwilę zastanawiałem się, czy Jesús nie mógłby włamać się do innego samochodu, którym byśmy odjechali, ale nie było na to czasu, a my coraz bardziej słałiśmy. No i zawsze istniała możliwość, że zatrzymają nas na drodze.

Z tyłu dochodziły coraz donośniejsze krzyki. Nie miałem odwagi się obejrzeć. Jesús coraz mocniej opierał się na moim ramieniu. Przed nami ukazała się następna ulica. Skręciliśmy na prawo, w stronę Alcalá, głównej alei prowadzącej do Puerta del Sol i do centrum. Gdybyśmy szli szybko, przy odrobinie szczęścia... Zbliżał się jednak świt. To było szaleństwo, ale też nasza jedyna szansa.

Na pustej szerokiej ulicy sto metrów przed nami zamajaczyło białe auto z zielonym światłem na dachu. Rozejrzałem się, ani śladu policjantów, ale, o Boże, ten samochód zbliżał się tak wolno. Podjedź do nas, podjedź wreszcie. Tak, to jest to. Kierowca już nas zobaczył i dodał gazu. Puściłem rękę Jesús. Słał się przez moment, ale po chwili stanął prosto. Jeszcze jeden, ostatni wysiłek.

Drzwi się zamknęły, światło zgasło i taksówka ruszyła powoli. Trzymaj się, Jesús, trzymaj się. Żeby tylko minąć Sol i się stąd wydostać. Kierowca zaczął już coś podejrzewać. No tak, Cygan Jesús i ja, obcokrajowiec. Coś tu nie pasowało. Zauważyłem, że przygląda nam się we wstecznym lusterku. To jest to, głowa do tyłu, na oparcie, Jesús, prześpij się trochę. Po prostu ciężka noc, to wszystko. Wie pan, jak to jest. Byle dalej stąd, dalej

od tego miejsca, od tego wszystkiego. Dalej, przez Calle Mayor, dalej od centrum, od szerokich promenad, alei i wąskich uliczek. Nigdy więcej. Nie tej nocy. Skończyło się. Przeszłość.

– Posłuchaj, synku, to jest ostatnia okazja, żebyś go zobaczył. Nie możesz tego przegapić.

Eduardo zadzwonił z Alicante. Nie rozmawialiśmy całe miesiące. Przyjeżdżał do Madrytu na weekend i zaproponował, żebyśmy się spotkali. Chciał zobaczyć w akcji swojego ulubionego matadora, pochodzącego z Alicante Jose-Marię Manzanaresa.

– Świetny gość. Przeprowadziłem z nim mój pierwszy wywiad dla gazety. Spotkamy się przy głównym wejściu o piątej.

Las Ventas to jedna z najświetniejszych i najbardziej prestiżowych aren w świecie, jak lubią o niej myśleć mieszkańcy Madrytu. Jest to megalityczny ceglany pomnik neomauretańskiej architektury, wzniesiony przed wybuchem wojny domowej, i znajduje się, jak w wielu miastach starożytnego Rzymu, na skraju centrum, obok nowoczesnej namiastki miejskich murów, obwodnicy.

Uderzyły mnie jej rozmiary, zamglona sylwetka i łagodnie zaokrąglone kontury oświetlone słońcem późnego popołudnia. Czerwone łuki w kształcie podkowy, rząd za rzędem, piętro za piętrym, przypomniały mi oglądany na obrazkach meczet w Kordobie, i przywołały moje zagubione gdzieś poczucie piękna i romantyczne porywy, które przywiodły mnie do Hiszpanii.

Otoczenie głównego wejścia, gdzie rozłożyli się sprzedawcy kapeluszy, napojów, prażonych orzechów, wachlarzy ożywiło moje dziecięce fantazje na temat starożytnego Rzymu. Ale było też wiele nowszych wynalazków: plastikowe figurki toreadorów, i – aż się wzdrygnąłem na ich widok – tancerzy flamenco, albo afisze korridy, na których turyści mogli wydrukować

swoje nazwisko tuż pod nazwiskiem jakiegoś gwiazdora. Nie potrafiłem dociec, jak można było dojść do przekonania, że nazwiska *Jesulín de Ubrique*, *El Cordobés* y *Richard Docker* brzmią autentycznie.

Pokręciłem się przez chwilę, rozgrzany przyjazną atmosferą tego miejsca. Jedyne kapelusze pasujące na moją dużą głowę przypominały brązowy nocnik, tyle że ze słomy i przewiązany czarną wstążką, która byłaby bardziej odpowiednia dla sześćdziesięciolatka. Popatrzyłem na bezlitosne słońce, po czym zapłaciłem. Mała cena za to, żeby nie wyglądać jak homar.

Eduardo stał koło kasy biletowej.

– *Hombre!* – Powitał mnie ciepło i objął, całując w oba policzki. Skrzywiłem się z bólu, który odezwał się w moich poobijanych zębach.

– Chryste! Ale jesteś chudy. Czyżby w stolicy nie żywili jak należy? Wręczył mi bilet.

– Trzymaj. Siedzimy w *sol*, w nasłonecznionym sektorze. Tam, gdzie siadają mężczyźni. *Sombra*, ocieniony obszar, jest dla mazgajów. I dla *aficionados*.

– A gdyby tak *sol* y *sombra*? – zasugerowałem.

– To dla ludzi, którzy jeszcze się nie zdecydowali.

Roześmiałem się. Miło było znowu go widzieć.

Przeszliśmy przez wysoko sklepioną bramę i zaczęliśmy wspinać się do naszych miejsc. Zewnętrznym pierścieniem otaczającym arenę wiodły szerokie korytarze, które miały własną armię sprzedawców napojów i kanapek, a także ludzi wypożyczających poduszki do siedzenia.

– Weź sobie jedną – powiedział Eduardo. – Skoro zadbałeś o to, żeby nie wystawiać głowy na słońce, to nie będziesz chyba narażał dupska na odgniecenie na twardych kamieniach.

Podał mi poduszkę.

Korytarze były mroczne i chłodne, zostaliśmy w nich przez kilka minut, popijając zimne piwo i oddalając chwilę, w której staniemy twarzą w twarz

z zarem i oślepiającym słońcem zalewającym arenę. Przechadzali się tu ramię w ramię starsi panowie w płaskich kapeluszach z szerokim rondem, dyskutując o dawnych walkach, spacerowały wymanikiowane damy w jedwabnych bluzkach, kręciły się rodziny, mężczyźni z synami, młodzi chłopcy w trampkach, stały też cztery gospodynie w średnim wieku. To był przyjemny widok.

– Mam dla ciebie dobre wiadomości, synku. Twój nauczyciel gry na gitarze, twój były nauczyciel, wyjechał z Alicante. Niedługo po tobie. Nikt nie wie dokąd, ale wyjechał, i to jest najważniejsze.

Zatrzymałem się. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz pomyślałem o Juanie.

– Czy on może...

– Wygadał się? Nie, nie sądzę. A przynajmniej nie ma żadnych oznak, że to zrobił. Moje źródła donoszą, że w szkole wszystko po staremu. Żadnego większego załamania, żadnych kuchennych awantur.

Roześmiał się i poklepał mnie po plecach.

– To już historia, synku. Na pewno już o niej nie myślisz. Dam głowę, że zdążyłeś się przespać z połową madryckich dziewczyn.

Znałem Lolę. Potrafiła ukryć wszystko, zachowując się tak, jak zachowywała się w szkole.

Dokończyliśmy piwo i ruszyliśmy do wejścia. W cieniu stało czterech mężczyzn, czapki na ich głowach oraz gwiazdki na ich szyjach nadawały im wygląd waźniaków i osób „urzędowych”, z którymi należało się liczyć. Wręczyliśmy im nasze bilety, po czym niski, niezgrabny facecik, mówiący cienkim dziecięcym głosikiem, w okularach przeciwsłonecznych, które niemal zupełnie zakrywały mu twarz, poprowadził nas przez krótki tunel na trybuny.

Oślepił nas niesamowity blask i minęło kilka sekund, zanim moje oczy się do niego przystosowały. Tylko połowa miejsc była zajęta, a sama arena jeszcze pusta, jeśli nie liczyć dwóch okrągłych białych zagród. Rozmiary

otaczającego ją pierścienia trybun budziły grozę, i mimo unoszącego się w powietrzu echa rozmów panował nastrój, w którym było coś z katedry, wydawało się, że wiatr i słońce porywają i unoszą poszczególne słowa. Siedzieliśmy wysoko, ale nawet tu czuło się zapach piasku. Mieszało się z nim jednak także coś innego. Wyczuwałem jakiś nieokreślony zapach, nie śmierci, ale oczekiwania na nią, ulotne przeczucie straszliwych wydarzeń, jakie miały się rozegrać w ciągu dwóch najbliższych godzin.

Wskazano nam nasze miejsca, naprzeciwko białej łoży królewskiej.

– No więc, opowiedz mi wszystko. Dzwoniłem do ciebie kilka tygodni temu, ale jakaś zwariowana kobieta powiedziała, że wyjechałeś na światowe tournée.

Roześmiałem się.

– Tak, to była Carlota, moja gospodyni. Prawdopodobnie zadzwoniłeś w nieodpowiednim momencie.

– Co ona miała na myśli?

Zawahałem się, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć i jak odnieść moje obecne życie do przeszłego. Byłem spragniony rozmowy, prawdziwej rozmowy, szansy opowiedzenia komuś o tym, co robiłem. Zacząłem od trasy, Carlosa, La Andondy, Juanita, osiołka. Opowiedziałem o niekończących się występach, o wieczorze w Benidormie, o nowej gitarze, o rzucaniu nożem. A on siedział cierpliwie i spokojnie wchłaniał ten potop oderwanych historyjek, myśli i odczuć.

Mała orkiestra dęta – trzech staruszków z trąbkami i bębniami – zaanonsowała początek otwierającej parady: pojawili się mężczyźni na koniach, w czarnych kostiumach z białymi szarfami, krępi, ubrani na czerwono faceci, trzymający drewniane kije, dostojni *picadores* w skórzanych zbrojach, na ciężkich jak czołgi koniach, z ostrymi włóczniami w rękę. Wreszcie *toreros: subalternos, banderilleros* i gwiazdy widowiska, trzej *matadores*, wystrojeni w *trajes de luces*, „świetliste kostiumy” w kolorach czerwonym, niebieskim, złotym i białym, ozdobione błyszczącymi ćwiekami i frędzlami. Najwyższy rangą *torero* szedł po lewej stronie, drugi pod względem ważności z prawej, najmłodszy w środku. Ukłonili się sędziemu oceniającemu

walki, który niczym mały dyktator siedział w ciemnym stroju na balkonie, a potem weszli za otaczające piaszczystą arenę grube, drewniane bariery – *burladeros*.

Rozpoczęła się wstępna część walki – *tercio de varas* – i z zagrody wyskoczył byk: ponad pół tony zbitego mięsa, którego siła koncentrowała się w dwóch ostrych, śmiertelnie groźnych rogach. Na jego widok z piersi widzów wyrwało się stłumione westchnienie. Już teraz ból spowodowany przez rozety białe w jego łopatki pobudzał w nim wściekłość, konieczną do dobrej walki. *Subalternos* pomachali w jego stronę szkarłatno-żółtymi kapami, kiedy pędził dziko wokół areny, dając widzom możliwość ocenienia, do czego jest zdolny.

– Niezbyt dobry byk – orzekł Eduardo. Ja uważałem, że jest imponujący.

– Dlaczego tak mówisz?

– Biegnie za ostro, za szybko. Zmęczy się tym.

Inni widzowie zdawali się z nim zgadzać i rozległy się gwizdy. Prędko wypełniły całą arenę, zakłócając karnawałową atmosferę, jakiej oczekiwałem.

– Musisz zrozumieć, synku, to jest Las Ventas! – mówił Eduardo, przekrzykując wrzawę. – Nie to samo, co na innych arenach. Możesz iść gdziekolwiek indziej i znajdziesz tam ludzi, którzy chcą rozrywki. Tutaj wszyscy są dumni, że tworzą najbardziej wymagającą widownię na świecie. Jeśli nie podoba się im to, co oglądają... –Nie dokończył i machnął pogardliwie ręką.

– Więc dlaczego gwizdzą? – Panujący wokół hałas zupełnie mnie ogłuszył.

– Chcą, żeby sędzia zamienił tego byka na innego.

– Zrobi to?

– Wątpię. Byk musiałby być naprawdę do niczego. W grę wchodzi za dużo pieniędzy, honor, tego rodzaju rzeczy. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale harmider. No, ale to jest Las Ventas. A zresztą, tu zawsze gwizdzą. To część widowiska.

Ale to był dopiero początek protestów. Pojawili się *picadores* na ciężko kroczących koniach. Dwaj z nich odjechali na bok i zatrzymali się, czekając, aż byk ich zaatakuje. Wtedy wbili długie włócznie w jego łopatki, robiąc w nich głębokie krwawiące rany. I niemal natychmiast znowu rozległy się gwizdy.

– O co im teraz chodzi?

– Chcą, żeby sędzia zakończył tę część widowiska. Byk nie powinien odnieść zbyt ciężkich ran, żeby nie był za bardzo osłabiony, kiedy wyjdzie *matador*.

– Rozumiem – mruknąłem zakłopotany. – Więc po co w ogóle ta część?

– Tradycja – odparł Eduardo.

Rana na karku byka była coraz większa.

– Ale ponieważ tutejsza widownia jest tak krytyczna, największym sukcesem, jaki może odnieść *matador*, jest oczywiście obwołanie go triumfatorom w Las Ventas.

– I co się wtedy dzieje?

– Biorą go na ramiona i wynoszą przez bramę jak bohatera.

– Żadnych gwizdów?

– Żadnych.

– Chwała Bogu.

Pojawili się *banderilleros* z jaskrawo pomalowanymi, zakończonymi grotem z zadziarami, krótkimi oszczepami – *banderillas* – żeby wbić je w kark zwierzęcia. Była to najbardziej „minojska” część widowiska, szarża na zwierzę, zakończona eleganckim wbiciem oszczepu w jego mięśnie, a potem ucieczka bez szwanku. Pierwsza próba się nie udała, obie *banderillas* upadły na ziemię. Tłum przyglądał się temu w milczeniu, nie racząc nawet gwizdać. Wciąż był to początek spektaklu i wyczuwało się, że atmosfera musi się jeszcze podgrzać. Druga próba była bardziej udana, jeden ze śmiazków o centymetry uniknął rogów i umieścił gdzie należy czerwono-żółty oszczep. Nastrój od razu się zmienił i równie prędko, jak zaledwie

chwilę temu gwizdy, rozległy się oklaski. Wokół nas słyhać było głośne okrzyki *olé*. Zauważyłem, że akcentowano drugą sylabę, inaczej niż na koncertach flamenco.

Sędzia machnął chusteczką, orkiestra zagrała fanfarę i arena opustoszała. Został na niej samotny parujący byk, który dyszał ciężko, stojąc z wywieszonym niedbale ozorem. Pewnym krokiem wyszedł główny bohater Manzanares, trzymając pod pachą szpadę i równo zwiniętą mulecę. Drugą ręką unosił ku wiwatującym tłumom kapelusz zwany *montera*. Jakby od niechcienia rzucił go za siebie i kapelusz wylądował denkiem do dołu.

– Gdyby upadł odwrotnie, byłaby to dla matadora zła wróżba – wyjaśnił Eduardo. – Podobno niektórzy obciążają je specjalnie, jak kostki do gry, dzięki czemu lądują zawsze tak, jak powinny.

Chciałem zapytać, czy Manzanares też tak robi, ale nie było na to czasu. Oklaski przeszły w pełną napięcia ciszę, gdy *matador* zrobił kilka pierwszych kroków. Stał pewnie na piasku, wypiął pierś, pochylił lekko głowę i wyduł dolną wargę w złośliwym grymasie, prowokując byka ruchami mulecy, bawiąc się z nim jak kot z myszką.

Z tłumu zaczęły unosić się westchnienia, okrzyki, gwizdy, brawa. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego w jednej chwili zasługiwał na oklaski, a w innej go wyśmiewano.

– Czasami narzekają na byka, a czasami na niego. Jeśli trzyma mulecę za nisko, byk zaryje w piach. Za wysoko, zwierzę może stracić równowagę, szarżując do góry. Czasami mieszają się tu różne rzeczy. A czasami... – Wzruszył ramionami, przez cały czas jak sokół wpatrywał się w rozgrywający się niżej dramat. – Ale spójrz na tego człowieka... co za wdzięk, pasja. To geniusz.

Nadeszła pora na zabicie byka i matadorowi podano zza bariery *estoque*, czyli szpadę. Stał nad wyczerpanym zwierzęciem, gotów zadać cios i jeszcze raz prowokując go, żeby opuścił łeb i odsłonił kręgosłup tak, by szpada zagłębiła się w płucach. Manzanares czekał. Byk stał nieruchomo, z pyska ciekł mu strumień śliny. Z trybun dobiegł pojedynczy gwizd.

W tym samym momencie byk i człowiek rzucili się do ataku. Szpada jednym pchnięciem zagłębiła się na przeszło pół metra w czarnym cielsku.

Wszyscy wstali. Byk osunął się na tylne nogi, obracając się rogami ku *toreros*, którzy otoczyli go, machając mu pelerynami przed pyskiem, aż w końcu jeden z nich zakończył wszystko bezceremonialnym ciosem sztyletu w byczy kark.

Manzanares stanął w majestatycznej pozie nad martwym zwierzęciem i pozdrowił tłum. Wraz z nową falą oklasków trybuny okryły się bielą, ludzie wyciągnęli chusteczki i zaczęli machać nimi zapamiętale w stronę łoża prowadzącego widowisko, a chwilę potem na arenę wkroczyli krępi mężczyźni z końmi i odciągnęli cielsko byka, pozostawiając w piachu szeroką czerwoną bruzdę. Manzanares uniósł kapelusz i jeszcze raz uklonił się widzowi. Ale znowu rozległy się gwizdy: sędzia zrobił sobie przerwę, a widzownia domagała się, żeby jej bohater został uhonorowany.

– Być może doczeka się jednego – powiedział Eduardo. – Ale myślę, że nie więcej. Nie dzisiaj.

Chusteczki nadal powiewały, gwizdy i wrzawa sięgnęły pod niebo.

– Wyłaż, skurwysynu! – wrzasnął zgrzytliwym głosem jakiś gość za naszymi plecami.

Sędzia w końcu ustąpił, unosząc chusteczkę na znak, że matadorowi należy się jedno ucho. Machanie chusteczkami ustało, odcięto ucho i wręczono je jako trofeum za zabicie byka matadorowi, który obszedł z nim arenę.

– Nieźle go zabił. Dlatego dostał ucho – wyjaśnił Eduardo. – Oczywiście gdyby zrobił to naprawdę dobrze, dostałby i drugie. A nawet ogon. – Uniósł brwi. – Można na nim ugotować wysmienitą zupę.

Po dwóch następnych walkach, w których nie wydarzyło się nic godnego uwagi, schroniliśmy się na przerwę w chłodnym korytarzu i znowu

napiliśmy się piwa. Czułem dziwne podniecenie.

- W tłumie musi krążyć mnóstwo narkotyków – rzuciłem pospiesznie.
- Pewnie tak. Nikt nie robi się taki cienki dlatego, że stosuje dietę.

Popatrzyłem na wiszące na mnie ubranie.

- Przeważnie kokaina.
- Zależy od okolicy?
- Tak, myślę, że tak.

Poprosiliśmy o dwa następne piwa.

Aż dotąd nie wspomniałem o Jesúsie. Po prostu nie wiedziałem, jak go opisać. Jeśli był przyjacielem, nie przypominał żadnego z tych, jakich miałem przedtem.

Trzeba było wracać na trybuny. Człowiek z wiadrem i głosem jak kosiarka do trawy chodził tam i z powrotem, starając się zachęcić klientów.

- ¡Coca, cerveza*, Fanta Limón! ¡Coca, cerveza, Fanta Limón!

* *Cerveza* (hiszp.) – piwo.

Na arenę wybiegł czwarty byk, drugi Manzanaresa. Tym razem matador zręczniejsz unikał rogów. Było w tym więcej zmysłowości, jakby pieścił zwierzę niczym kochanek. Wydawało się, że w swoich ruchach skupia całą energię tłumy, koncentrującego się na nim, na jego wysiłku, na nieuchronnym śmiertelnym ciosie, który za chwilę zada, wychodząc naprzeciw głębokiej potrzebie, tkwiącej w nas wszystkich. Jednak samo zabicie poszło źle, szpada nie weszła prawidłowo w cielsko byka za pierwszym razem, musiał więc powtórzyć, wbijając niezgrabnym ruchem jej ostrze. Mimo tego wybuchły żywiołowe oklaski i wychodząc, tym razem bez ucha, wielki Manzanares dostał owację na stojąco.

– On jest mistrzem! – wykrzykiwał z zapalem Eduardo. – Gdyby był pieśniarzem *flamenco*, na pewno miałby *duende*.

W godzinę później wyszliśmy przez główną bramę. Widzowie wylali się tłumnie i rozpierzchli w chmurze dymu z cygar, unoszącym się w przedwieczornym słońcu, które wydawało się chłodne po intensywnych przeżyciach na arenie. Wciąż byłem podniecony, miałem wrażenie, że moje ciało pozbyło się wielkiego napięcia. Rozluźnione członki, rozjaśniony umysł. Inni też się tak czuli – twarze ludzi promieniały uśmiechami, jakby krwawy rytuał w jakiś sposób oczyścił nas wszystkich i uwolnił od tkwiącej w nas potrzeby gwałtu, napełniając nas znowu ludzkimi uczuciami.

Poszliśmy aleją Alcalá, znaleźliśmy bar i zamówiliśmy po kieliszku brandy.

– Chciałbyś powiedzieć mi coś jeszcze o swoich sprawach? – zapytał Eduardo.

Nie odpowiedziałem. Lepiej, żeby nie wiedział. Tak czy owak, nietrudno mi było zgadnąć, jak by zareagował. Tak samo jak każda „wrażliwa” osoba. Ale on był bystrym człowiekiem i mógłby znaleźć w mojej historii coś więcej ponad to, czego dowiedziałyby się ode mnie.

– Posłuchaj, synku, musisz zdać sobie sprawę, że flamenco należy do ciebie, należy do mnie. Należy do wszystkich.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, Jasonie, że to ty musisz zdecydować, co oznacza dla ciebie. Nie możesz tak po prostu zdejmować go z półki, jak towar przygotowany przez innych. Musisz odkryć swoje własne flamenco.

Był piątkowy wieczór, kiedy poszedłem do Carlosa z wizytą, która miała się okazać ostatnią. Wszedłszy do domu, od razu zdałem sobie sprawę, że coś jest nie tak. Dzieci nie było, żadnych zabaw na klatce schodowej, żadnych pokrzykiwań kobiet tłukących garnkami w kuchni. Tylko stłumione odgłosy.

María-José przywitała mnie w drzwiach łzami.

– Co się dzieje?

Nie odpowiedziała, ale popchnęła mnie do dużego pokoju. Carlos siedział na podłodze oparty o krzesło, z zapuchniętymi oczami i bladą twarzą. W pokoju tłoczyli się ludzie, którzy spoglądali spod na pół przymkniętych powiek, unosili ręce do skroni, jakby dla złagodzenia bólu, otoczeni kłębamii papierosowego dymu niczym ochronnym welonem. Słychać było szlochania kobiet.

Carlos spojrzał na mnie.

– Witaj, przyjacielu – powiedział zduszonym głosem i dał mi ręką znak, żebym się zbliżył. Ukłakłem koło niego.

– Carlos, co się dzieje? Popatrzyl na mnie spod gęstych brwi.

– Jesús – wykrztusił. – Jesús.

Poczułem czyjąś rękę na ramieniu. Był to Juanito. Z kąta dochodził stłumiony krzyk i powolny rytmiczny odgłos. Spojrzałem w tamtym kierunku. To La Andonda uderzała głową w ścianę.

Podniosłem się chwiejnie i odwróciłem do Juanita.

– Nic nie zostało z biednego Jesús-a – powiedział. – Opuścił nas dziś rano.

Głuchy na wszystko, wyminąłem go i ruszyłem na balkon. Potrzebowałem powietrza.

– Jak to się stało? – zapytałem cicho, nie kierując tego pytania do nikogo, a może do wszystkich. Nie było odpowiedzi.

– Na litość boską, jak to się stało?! – zacząłem krzyczeć, nie panując nad sobą. – Jak to się stało? Jak to się...

Znalazłem się w ramionach Javiera.

– Chodź – odezwał się, widząc, że zaczynam szlochać, i wyprowadził mnie na balkon.

– Straciliśmy go – szeptał, głaszcząc mnie po włosach. – Straciliśmy naszego ślicznego Jesús-a.

Nie mogłem wykrztusić słowa. Z pokoju dochodziły coraz głośniejsze jęki.

– Jak...

– Miał wypadek. W samochodzie, na Plaza de Lima, zaraz za Bernabeu. To była chwila. Nie cierpiać, wiesz? Nie cierpiać.

Nie wychodziłem z Jesúsem od tamtej nocy przed paroma tygodniami, kiedy uciekliśmy taksówką. Miałem wrażenie, że Jesús zaczyna myśleć, że przynoszę mu pecha. Ale ja też mogłem być w tym samochodzie.

Nie wiem, jak długo tak stałem, oparty twarzą o pierś Javiera, z jego ręką na mojej głowie, kołysząc się łagodnie i płacząc. Czas odmierzały narastające, to znów cichnące jęki w pokoju, niczym napływające i odpływające fale cierpienia. Wyobrażałem sobie, że jadę z nim, siedząc za kierownicą, że mkniemy alejami, polnymi drogami, ulicami pełnymi samochodów, a światła ślizgają się po jego związanych z tyłu włosach, po zamkniętych oczach, po lekko spłaszczonym nosie. Nie odzywał się ani słowem.

– Nasz śliczny Jesús, nasz śliczny Jesús.

– Piękniejszy, niż mogło ci się wydawać, Jasonie – odrzekł Javier. – Chodzi o jego matkę... jego matkę. Nie wiem, co ona teraz robi. Utrzymał ją. – I poczułem, jak jego łzy mieszają się z moimi.

Chmura cierpienia zdawała się spowijać nas wszystkich. Walenie w ścianę ustało, ale nikt się nie poruszał. Dopiero teraz, po jego śmierci, zaczynałem zdawać sobie sprawę, ile Jesús dla mnie znaczył. Nie był zwykłym przyjacielem. Był czymś więcej i czymś mniej.

Zapadł zmrok, ręka Javiera wciąż gładziła mnie rytmicznie po głowie. Jednak coś nie dawało mi spokoju. Coś, o czym powinniśmy pamiętać, powód, dla którego przyszedłem tu tej nocy.

Podniosłem się i wyprostowałem.

– Chryste Panie! Występ!

Mieliśmy tej nocy grać. Oderwałem się od Javiera i wpadłem do pokoju.

– Carlos! Występ! Mieliśmy pojechać.

Spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem, nadal skulony na podłodze koło krzesła.

– Koncert. Dziś w nocy.

Do jego oczu zaczęło powoli wracać zrozumienie.

– Cholera! Masz rację, *churumbel*. – Uklęknął niezdarnie, a potem wstał. Na chwilę zastygł, zakłopotany, nie wiedząc, co robić. Czy ma być człowiekiem opłakującym stratę przyjaciela, czy szefem zespołu? Spojrzał na zegar na ścianie i podjął decyzję.

– *¡Venga!* Jedziemy! – Klasnął. Urywane jęki dochodziły jeszcze przez chwilę, potem ustały.

– Na cześć naszego drogiego *compare*, jedziemy wszyscy do restauracji Alegriás, natychmiast. Wszyscy!

Ludzie zaczęli się podnosić niczym powolna niezdyscyplinowana armia, słycać było szuranie krzesłami, pokastywanie, smarowanie i wycieranie nosów. Nikt nie kwestionował polecenia, zostało przyjęte ze spokojem, jako najlepsza rzecz, którą można było zrobić.

Wyszliśmy z mieszkania: Juanito, La Andonda, Javier, Antonio, Maria-José, jej dwie córki z kolegami, kilku sąsiadów z Carlosem na czele. Wcisnęliśmy się do paru samochodów i ruszyliśmy wiaduktem nad obwodnicą do centrum.

Zrobiło się późno i w restauracji było coraz mniej gości. W drzwiach stała grupa wychodzących właśnie japońskich biznesmenów w garniturach.

– Dobrze, że sobie idą – powiedział Carlos. – Dzisiejszej nocy nie chcę tu żadnych chinoli.

Wkroczyliśmy do środka, odsuwając na bok przybyszów ze Wschodu, i skierowaliśmy się do głównej sali. Scena była pusta – poprzedni zespół skończył jakiś czas temu i rozwścieczony szef czekał na nas.

– Gdzieście się, do wszystkich diabłów...

Carlos minął go, machnąwszy ręką, i ruszyliśmy najkrótszą drogą na scenę, przepychając się między stołami, przy których siedzieli goście,

zamiast je obejść. Gruby niemiecki turysta okazał się przeszkodą nie do pokonania, uparcie odmawiając odsunięcia krzesła choćby o centymetr, aż w końcu Carlos pochylił się, uniósł obiema rękami krawędź krzesła i zsunął go na podłogę. Potem nadepnął na okulary, które spadły gościowi z nosa. Szliśmy za nim, podczas gdy Niemiec miotał się jak mucha leżąca na grzbiecie, nie mogąc dźwignąć się na nogi.

Światła zgasty w chwili, gdy wgramoliliśmy się na podwyższenie. Skupiły się na nas tylko trzy punktowe reflektory. Carlos zawołał Antonia i powiedział mu coś na ucho, potem stanęliśmy półkołem twarzą do widowni, zostawiając Carlosa w środku.

Antonio zaczął grać. Natychmiast zorientowaliśmy się, o co chodzi. Była to *taranta* – powolna, żałobna, bolesna. Antonio zagrał pierwsze akordy, uderzając delikatnie w struny, potem urwał i zostawił Carlosa z jego śpiewem:

*Carretera, carretera,
llévame por caria
a las minas de Romero,
que acaban de asesinar
al hermanico que mas quiero.*

Na litość boską, drogo,
zaprowadź mnie tam,
gdzie są kopalnie Romero,
bo one właśnie zabiły
brata, którego najbardziej kochałem.

Staliśmy wokół niego w milczeniu, bez ruchu, pieśń przenikała do naszych serc i przytłaczała nas ciężką chmurą smutku. Jego głos zamienił się w przesywający, krwawiący krzyk, łzy ciekły mu z oczu, kapały na podłogę. Tym razem na jego twarzy malował się wyraz prawdziwego cierpienia. Przeszedł mnie dreszcz. La Andonda ścisnęła mocno moją rękę, chwijając

się co parę sekund i pochylając ku mnie, niezdolna w swoim bólu stać o własnych siłach. Widownia słuchała w milczącym skupieniu. Nawet Niemiec przestał mamrotać. Wszyscy skupili uwagę na Carlosie i bólu, jaki z niego emanował. Nie był to jedynie podziw dla mistrzostwa, z jakim wyraził swoje uczucia, Carlos obudził w każdej z obecnych osób taki sam ból, taki sam smutek. Jego ból stał się ich bólem. I naszym.

Wyszliśmy po tej jednej, jedynej pieśni. Nie mieliśmy tam nic więcej do roboty. Menedżer bez słowa wręczył nam honorarium. Zastanawiałem się, czy ktoś mu powiedział, ale to nie wydawało się konieczne. Pewnie sam się domyślił.

Przez chwilę staliśmy na ciemnej ulicy, nikt nie wiedział, co robić. La Andonda ciągle tuliła się do mnie, jakby miała lada chwila załamać się i upaść. Carlos podszedł do mnie i powiedział mi do ucha parę słów.

– Posłuchaj, *churumbel*. To koniec. Wyjeżdżamy stąd, jedziemy do Barcelony. Mam tam kuzyna.

Wręczył mi garść banknotów.

– Weź je. Będziesz ich potrzebował. Ale mówię ci, wyjedź z Madrytu. To złe miasto, złe miasto, mówię ci.

Ścisnął moją rękę i objął mnie grubym, owłosionym ramieniem w pełnym rezygnacji uścisku.

– Niech ci się wiedzie jak najlepiej.

Wziął za rękę La Andondę i poprowadził ją do samochodu.

– Zaczekaj! – Wyjąłem z kieszeni nóż i podałem go jej. Wzięła go, pocałowała mnie i wręczyła mi go z powrotem.

– Zatrzymaj go – szepnęła.

Reszta zespołu ruszyła ociężałe za nimi, szurając po asfalcie. Nie wiedziałem, czy zdawali sobie sprawę, że nie należą już do grupy, ale nie było żadnych pożegnań.

W chwilę potem odjechali, zostawiając mnie samego na ulicy z gitarą w ręku. Pomachałem bezwiednie czerwonym tylnym światłom, po czym odwróciłem się i ruszyłem w stronę domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Por Granaina

*Tierra que baña el
Genii viva Grana la sultana;
y bendita sea la mañana
en que yo te conocí
con tu carita tan gitana.*

Niech żyje Grenada, mauretańska królowa,
kraj nawadniany wodami rzeki Genil;
i błogosławiony niech będzie poranek,
w którym cię ujrzałem, i twoją cygańską twarz.

– *No. ¡Tengo guitarristas hasta aquí!* Nie. Mam gitarzystów po dziurki w nosie.

Kolejna odmowa, w przedostatniej szkole na mojej liście. Być może byłem trochę zbyt ambitny, zgłaszając się do Escuela Mariquilla, najlepszej szkoły flamenco w tym mieście, ale powtórzyła się ta sama historia co wszędzie. Nikt nie potrzebował nowego gitarzysty – miasto było nimi zalane. Mimo wszystko nie rezygnowałem. Wiedziałem, czego chcę, i miałem przecucie, że tu, w Grenadzie, która pomimo etykiety zakazanego bagna flamenco przyciągała hordy turystów, mogę znaleźć to, czego szukam.

Powietrze było przesycone ciężkim aromatem słodko pachnących kwiatów – jaśminu w dzień i *galán de noche* w nocy. Głęboki błękit porannych zórz wspinał się po bielonych ścianach, wszystkie ulice wysadzone były rzędami cyprysów i platanów, a tu i ówdzie stare kamienne fontanny, podobne do weselnych tortów, wznosiły się na wysokość dwóch, trzech pięter. Miasto przypomniało mi ogród Pedra w Alicante i jego proroctwo, że pewnego dnia przybędę do Alhambry i Generalife. To on mnie zainspirował. Teraz to widziałem; świat arabistów ze starej szkoły, Miguela Asín Palacios a i Emilia Garcii Gómeza, trochę staromodne, poważne miasto, w

którym nadal liczyły się dobre maniery, dawno zapomniane w zdemokratyzowanej Hiszpanii. Mieszkaniec Grenady mógł potraktować cię pogardliwie albo z szacunkiem, podejmując w jednej chwili decyzję opierającą się na mglistych, choć powszechnie uznawanych kryteriach, takich jak *calidad** – jesteś, czy też nie jesteś kimś „wartościowym”.

* *Calidad* (hiszp.) – jakość, wartość.

Pomimo bliskości gór tutejsze powietrze nie miało jednak lekkości i przejrzystości, jak w Madrycie. Było suche – tak bardzo, że często musiałem oddychać ustami, żeby chronić wnętrze nosa – ale zarazem gęste jak krew i duszące. Miastu patronowała Matka Boska Bolesciwa, płacząca nad ciałem swego dopiero co ukrzyżowanego syna. Obrazy jej zbolącej twarzy, w obramowaniu ciężkiej, szarej materii, zwieńczonej złotą koroną trzy razy większą od głowy, widać było wszędzie, na afiszach i widokówkach. Mówiono, że podczas wojny domowej zabito tu więcej ludzi niż gdziekolwiek indziej w Hiszpanii. Wydawało się, że zmarli zostawili tu cząstkę, by dręczyć zabójców i miasto, które ich zdradziło. I nawet teraz, zagubiony i zdezorientowany po śmierci Jezusa, powtarzałem sobie hiszpańskie przysłowie: *Dios aprieta pero no ahoga* – Bóg zaciska pętlę, ale tak, żeby nie zadusić. Grenada była piękna, ale pełno w niej ludzi, których twarze zdawały się mówić, że są w nieustającej żałobie, na wieki zogniskowanej na jakimś niewytłumaczalnym bólu.

Szedłem Gran Vía. Dalej rozpościerała się Albaicin – stara dzielnica mauretańska – aby stanąć twarzą w twarz z Alhambra za rzeką Darro, po drugiej zaś rozsiało się bardziej nowoczesne, europejskie miasto, choć jego arabska przeszłość wciąż widoczna była w krętych, brukowanych uliczkach, które prostowały się w miarę oddalania się od starego miasta. Szukałem ostatniej szkoły na mojej liście, którą sporządziłem po męczącej indagacji w biurze informacji turystycznej. Wydawało się, że nikt nie potrafi zrozumieć, że ja chcę grać, a nie pobierać lekcje.

– *Soy tocaor**.

* *Soy...* (hiszp.) – Jestem gitarzystą.

– Chce pan brać lekcje gry na gitarze?

– Nie. Szukam szkoły tańca, która potrzebuje gitarzysty.

– Proszę, niech pan spróbuje u tego pana. On uczy w... W końcu spisałem kilka adresów z pliku broszur, z których większość reklamowała cygańskie piwnice na Sacromonte, z występami dla turystów.

Usłyszałem ją wcześniej, niż zobaczyłem. Niemożliwe do pomylenia odgłosy klasy tańca flamenco dobiegały zza zakratowanych otwartych okien.

– ¡*Vamos!* Od początku!

Tak, tak-a, tak, tak. O podłogę uderzały obcasy co najmniej dwudziestu par butów.

Wszedłem do ciemnego, zalatującego stęchlizną przedśionka. Z sufitu zwisała na grubym łańcuchu wielka oszklona latarnia w marokańskim stylu. Starszy mężczyzna zamiatał właśnie podłogę; siwe włosy, łysiejący, w luźnych spodniach podtrzymywanych szelkami, które odcinały się na białej koszuli. Przystanąłem, przyglądając mu się. Było coś ujmującego w jego sylwetce i w sposobie, w jaki machał szczotką, bez reszty pochłonięty pracą. Poświęcał jej całą swoją uwagę, a mimo to zachowywał czujność i doskonale wiedział, co się wokół niego dzieje, zupełnie jakby miał oczy z tyłu głowy. Był opanowany i czujny. Wiedział, że tu jestem. Ale miał jeszcze coś do zrobienia, musiałem więc poczekać.

Pochylił się z szufelką w rękę, zmiótł na nią śmieci, wsypał je do kosza, odstawił szczotkę do małej drewnianej budki przy ścianie, i dopiero wtedy się do mnie odwrócił. Wszystko we właściwym czasie.

– *Dígame Usted*. Czym mogę panu służyć?

Grzecznościowe formy stawały się w Hiszpanii taką rzadkością, że niemal zapominałem, jak brzmią. Nawet w sklepach, zwłaszcza jeśli

sprzedawczyni była młoda, czymś normalnym było zwracanie się per ty.

– Chciałem odwiedzić tę szkołę – odpowiedziałem. – Gram na gitarze... pomyślałem, że może potrzebują gitarzysty.

Spokój tego człowieka sprawił, że w pierwszej chwili poczułem się załopotany. Prawdopodobnie od razu się domyślił, po co tu przyszedłem z gitarą na ramieniu, ale czekał cierpliwie, aż skończę mówić, nie próbując mnie oceniać ani niczego zgadywać.

– Będzie pan musiał porozmawiać z Juaną – powiedział. – Proszę ze mną.

Otworzył drewniane drzwi i poprowadził mnie schodami na górę.

– Jest pan Anglikiem, nieprawdaż? – zapytał. – Poznaję po akcencie.

Jego uwaga trochę mnie zabolala. Mimo cudzoziemskiego wyglądu zawsze starałem się mówić po hiszpańsku tak dobrze jak potrafiłem, żeby przynajmniej nie brzmieć jak cudzoziemiec.

– Tak – odparłem. – Być może powinienem trochę nad tym popracować.

– Nie! Zdecydowanie nie! Ma pan prawo być sobą. Tym, kim pan naprawdę jest.

Poszedł przodem, a ja zastanawiałem się nad tym, co powiedział. Miał rację. Zawsze szukałem akceptacji. Mogłem nie czuć się już tak bardzo Anglikiem, ale bez względu na to, ile czasu bym tu spędził i z kim bym się zadawał, i tak nigdy nie stałbym się prawdziwym Hiszpanem, Cyganem czy kimkolwiek starałem się być. Zawsze pozostanę przybłądą, kimś z zewnątrz. Trudno było mi się z tym pogodzić, ale gdy to przemyślałem, zdałem sobie sprawę, że było w tym także coś, co dawało mi wolność: przybysz z zewnątrz nie mógł liczyć na pełną akceptację, ale wolno mu było pozostać kimś odmiennym i być może mieć prawo do wyrażania bardziej zdecydowanie swojej osobowości. Koniec końców, czy nie to właśnie przyciągnęło mnie do flamenco? Czy nie była to nadzieja, że być może poczuję się wolny?

Z głównej sali wychodziła właśnie grupa dziewcząt, włosy spięte klamkami, twarze błyszczące od potu.

– To ta pani w środku – powiedział starszy pan, po czym odwrócił się i odszedł.

Wszedłem, przeciskając się między tancerkami. Sala była mała, na jednej ścianie znajdowały się okna, drugą wyłożono lustrami, na innej wisiało kilka plakatów, a drewniana podłoga była porysowana i popękana, wystawiona przez lata na niszczące działanie obcasów. W rogu siedział mężczyzna po trzydziestce, pochylony nad gitarą. Juana stała plecami do mnie, szeroka w ramionach, jej włosy spinała klamra w kształcie ryby. Czekałem, aż skończą rozmawiać.

– *Hola*, witam – powiedziała, odwracając się. Gitarzysta pakował się i zbierał do wyjścia.

Nie wyglądała na tancerkę, zbyt tęga, ale jej otyłość była otyłością aktywnej kobiety w średnim wieku. Miała kruczoczarne oczy, podobnie jak włosy, i niezwykle bladą cerę.

– Pani Juana?

– Tak. – Mówiła niskim głosem kobiety zajmującej się interesami.

– Pan na dole powiedział mi...

– Señor Emilio.

– Tak. Powiedział mi, żebym porozmawiał z panią o...

– Och, uczy się pan grać na gitarze. Dobrze, proszę wejść i usiąść. Powinien pan porozmawiać z Luisem. – Wyciągnęła rękę w kierunku drzwi i gitarzysty, który właśnie wychodził.

– Tak naprawdę, to myślałem raczej o tym, żeby akompaniować na lekcjach tańca.

– W tej chwili nikogo nie potrzebujemy – odparła. – A nawet gdybyśmy potrzebowali, nie mogłabym panu zbyt dużo płacić. To mała szkółka. Powinien pan spróbować w Escuela Mariquilla. Oni...

– Już tam byłem. Powiedzieli mi to samo.

– Jest wiele takich szkółek w Albaicin, na Sacromonte, w tamtej okolicy. Powinien pan spróbować w *tablaos*. Niektóre z nich prowadzą lekcje dla obcokrajowców...

Pokręciłem głową.

– Przykro mi. Nie mogę panu nic zaproponować. Ale może pan przychodzić i grać z nami.

Podziękowałem i odwróciłem się do wyjścia. Wyciągnęła do mnie grubą, ciężką rękę, żeby się pożegnać. Wydało mi się to czymś niezwykłym, ale podałem jej dłoń i ona przytrzymała ją przez chwilę w swojej.

– Od dawna pan gra?

– Właśnie skończyłem tournée z zespołem z Madrytu.

– Jak długo trwało? – Ciągle trzymała moją rękę.

– Kilka miesięcy.

– Dobrze. – Puściła moją dłoń. – Niech się pan tego trzyma. Będzie pan kiedyś dziękował sobie za całą tę ciężką pracę.

Ruszyłem do drzwi.

– Czy pan tańczy? – zawołała za mną.

– Słucham?

– Czy kiedykolwiek pan tańczył, gdy pan był w Madrycie?

– Nie. Tylko grałem.

– W takim razie będziemy musieli postawić tu pana na nogi. – Uśmiechnęła się i odwróciła plecami do mnie, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

Zszedłem po schodach do przedsionka i znów poczułem zapach stęchli-zny.

– Do zobaczenia! – krzyknął Emilio ze swojej drewnianej budki.

– Tak. Do zobaczenia – odparłem, nie mając pewności, czy jeszcze kiedyś go zobaczę.

Usiadłem w mroku taniego pokoju hotelowego, zmęczony i przygnę-biony. Ból po stracie przyjaciela, samotność i nagły koniec aktywnego

życia wypaliły mnie wewnątrz. Opuściłem Madryt w gniewie. Miesiące nerwów i mało snu zaowocowały żalonymi sprzeczkami z bileterami, kłótniami z pasażerami i brakiem cierpliwości.

Od śmierci Jesusa i od nonszalanckiego pożegnania po naszym ostatnim występie wiedziałem, że zostałem wylany, odrzucony. Zaczęły się potwierdzać wszystkie moje podejrzenia dotyczące zespołu. Czułem, że byłem dla nich czymś w rodzaju zabawki, ozdóbką, która miała przyciągać widownię złożoną z cudzoziemców. W przeciwnym razie nigdy by mnie nie przyjęli. Bo jak inaczej mogłem wytłumaczyć pośpiech tego rozstania? Po śmierci Jesusa przestałem być im potrzebny. Próbując się pocieszyć, wyobrażałem sobie, że zespół się rozpadł. Prawdopodobnie Carlos znowu zajmie się sprzedawaniem używanych ubrań na miejskich targowiskach. Czułem się jednak urażony, rozczarowany i osamotniony.

Jak każdy cudzoziemiec, stworzyłem sobie romantyczny obraz Cyganów jako ludzi wolnych, namiętnych, pełnych życia, odnoszących się wrogo do politycznych systemów. Ale przypisywano im też pewne cechy Azjatów z Dalekiego Wschodu, tak jak mieszkańcy krajów zachodnich tworzyli sobie zniekształcony obraz ludzi z Bliskiego Wschodu. Carlos i Cyganie z jego zespołu byli podejrzliwi, dumni, zhierarchizowani, wspaniałomyślni, ceniący więzi rodzinne, być może wolni też od niektórych zmartwień i niepokojów *payos*, którzy ich otaczali. Nie byli jednak wolni w realnym sensie tego słowa. Inne były mury, inne kraty w oknach, ale oni także byli zamknięci w więzieniu.

Jednak mimo iż byłem tak zdołowany, wiedziałem, że zostanę w Hiszpanii jeszcze przez jakiś czas. Dokonałem wyboru, przyjechałem tu, żeby uczyć się flamenco, i już samo to wystarczało, żeby kroczyć tą drogą, mimo silnego wewnętrznego wrzenia, które mogło mnie zniszczyć. Przede wszystkim potrzebowałem odpoczynku. Tak więc dużo spałem, szukając ucieczki w nieświadomości.

Następnego ranka zmusiłem się, żeby wstać i wyjść do miasta. Zrobiłem to, żeby przełamać depresję, przekonany, że przy odrobinie wysiłku

zobaczę światelko w tunelu. To w końcu Grenada, i nadszedł czas, żebym ją poznał.

Jechałem tu jak we śnie, nie bardzo wiedząc, dlaczego wybrałem to najbardziej symboliczne z andaluzyjskich miast. Chciałem opuścić Madryt, nigdy nie byłem tam naprawdę szczęśliwy. Nie stał się wielką stolicą europejską, do czego miał aspiracje. Całe jego piękno zamknięto w muzeach, a na ulicach rządzą alfonsi. Ale dokąd się udać? Grenada... Nazwa tego miasta dźwięczała głośno w mojej głowie. Najpierw to zignorowałem, ale gdy po kilku dniach odkryłem, że ten pomysł nadal mnie pociąga – wciąż gryzie mnie w tyłek, jak powiedziałby Eduardo – postanowiłem posłuchać instynktu i wsiadłem do pociągu, bez jasnego planu, co będę robił, i nie wiedząc, co spodziewam się znaleźć.

Grenada ma własną silną tradycję flamenco. Ojczyzna *grandina palo i zambry* – granej przez Cyganów z Sacromonte – jest też miastem, w którym mieszkał wielki śpiewak Enrique Morente. Znany ze swej encyklopedycznej wiedzy o *cante*, był oczerniany przez konserwatywnych *7a/we* «coj z powodu skłonności do eksperymentowania, jak na przykład śpiewanie z zespołem heavymetalowym w mistrzowskim nagraniu *Omega*.

– Ta muzyka nie jest muzealnym eksponatem – mówił. – Flamenco może zrozumieć każdy, kto wie, jak go słuchać, nawet jeśli nie siedzi w tej muzyce po uszy.

Podziwiałem jego duchową niezależność – typową cechę artysty flamenco – i niechęć do wdawania się w spory i walki między frakcjami *aficionados*, przypominające polityczne przepychanki.

Także Lorcę pociągała Grenada, miasto, które go zniszczyło. Być może był jedyną osobą bliską wyrażenia słowami emocji flamenco, i to on stał się jego patronem, męczennikiem i bohaterem. Śpiewano o nim pieśni, do jego poematów pisano muzykę, popłynęła rzeka utworów jemu poświęconych, jakby społeczność flamenco świadoma była tego, co jest mu winna, chociaż pozostał niedosyt, świadomość, że dług nie został spłacony. Wraz

z Manuelem de Fallą dosłownie przywrócił do życia tę sztukę w zorganizowanym w roku 1922 *Concurso de Cante Jondo*, czyli w okresie, w którym flamenco przechodziło jeden z chwilowych kryzysów, ulegając popularyzacji i stagnacji. Przede wszystkim jednak to „coś” obecne było w jego poezji:

*Oye, hijo mío, el silencio.
Es un silencio ondulado,
un silencio,
donde resbalan valles y ecos
y que inclina las frentes
hacia el suelo.*

Posłuchaj, mój synu, ciszy.
To cisza falująca,
cisza,
w której przemykają doliny i echa,
i która pochyla czoła
ku ziemi.

No i jeszcze Alhambra. Z Czerwonym Pałacem, klejnotem górującym nad miastem, otulonym głęboką zielenią cyprysów, odcinającym się na tle ośnieżonych gór Sierra Nevada i intensywnego błękitu nieba Andaluzji. Powiadano nawet, że posłużyła za wzór przy wznoszeniu Tadż Mahal. Rzuciła na ludzi tak silny urok, że Pedro mówił o niej, jakby wspominał kochankę. W mojej świadomości stała się głównym punktem odniesienia, osią między Europą i Afryką, zachodnim chrześcijaństwem i islamem, artystyczną potęgą, w której dwa światy stopiły się w jeden. Piękna, lecz czasami niemal dusząca. Lorca skarżył się, że Grenada tłumi uczucia, więc niemal od chwili przybycia wiedziałem, że spędzę tu niewiele czasu. Może kilka miesięcy, nie więcej. Czułem się, jakbym siedział w szybkarze.

Wspiąłem się na wzgórze – Cuesta de Gomérez – przechodząc obok skromnych warsztatów lutników i sklepów z podkoszulkami, przez Bramę Granatów, wreszcie stromą, zieloną aleją do pałacu, gdzie stopy ślizgają się na wysypanej żwirem ścieżce. Młodzi Niemcy z puszką pod nosem i szerokimi ramionami minęli mnie jak burza, gdy z wysiłkiem pokonywałem drogę, osłabiony po miesiącach spędzonych głównie na siedzeniu. Zauważyłem, że zawodowi gitarzyści są dziwnie niezgrabni, ich sylwetki przybierają kształt gruszki, albo mają iksowate nogi. Mignęło mi w hotelowym lustrze moje odbicie z profilu: opuszczona głowa, naprężona szyja, biodra wysunięte do przodu, zgarbione plecy. Przyrzekłem sobie, że odwrócę ten proces, i ruszyłem raźniej z boczem.

Wspaniały pałac Nasrid, z Dziedzińcem Mirtów i Dziedzińcem Lwów, uświadomił mi, że żyłem jak ślepiec. Otworzył mi oczy na barwę, formę, symetrię. Miałem przed sobą labirynt ornamentów. Wszędzie słychać było pluskanie wody, wzrok przykuwały niezliczone rzędy delikatnych, podobnych igłom kolumn, a drewniane sufity przypominały usiane gwiazdami, odwrócone łódzie.

A jednak coś nie dawało mi spokoju. Ta budowla różniła się od pałacu, jaki oglądałem w książkach, a różnica kryła się w owych skomplikowanych wzorach. Wyobrażałem sobie, że wykuto je w kamieniu, obrobionym tak starannie, że zaczął przypominać papier albo koronkę. Ale to, co wyczuwałem pod palcami, nie było kamieniem, były to stiuki, które wyglądały jak licha współczesna replika. No tak, rozmyślałem, wchodząc na Dziedziniec Mexuar, oryginały zastąpiono czym innym. Ale nie, to przecież oryginały, stwierdziłem, widząc to samo w całym pałacu. Ornamenty były grubo ciosane i pozbawione wdzięku, jakiego oczekiwałem po obejrzeniu fotografii.

Usiadłem po drugiej stronie Dziedzińca Mirtów na jednym z przypominających trony, skórzanych krzeseł, spoglądając na Salę Ambasadorów i arkady, które tworzyło siedem bogato zdobionych łuków, wspartych na pięciu smukłych, białych kolumnach. Okrągłe marmurowe fontanny

milczały i obraz wyraźnie i spokojnie odbijał się w wodzie, rozciągającej się przede mną niczym szklana tafla. Co i raz znaczyły ją sylwetki wróbli, które wylatywały z krzaków i znikwały w błękitcie. To była jedna z najpiękniejszych budowli, jakie kiedykolwiek widziałem. Ale radość jej oglądania mąciło rozczarowanie. A może dochodziło tylko do głosu moje przygnębienie. Spojrzałem w górę i zobaczyłem wzór, jaki oglądałem już w wielu miejscach w całej budowli. Arabskie pismo, motto dynastii Nasrydów: *Wa la ghalib illa Allah*. Nie ma zdobywcy nad Allacha. Było wszędzie, niczym refren poematu. Pedro powiedział mi kiedyś, że Alhambra jest największym tomem poezji na świecie. Brakowało mi Pedra. Jego radosne, romantyczne spojrzenie na życie bardzo by mi się teraz przydało.

Wciąż powtarzałem w myślach te słowa. Niosły pocieszenie, podnosiły na duchu. „Nie ma zdobywcy nad Allacha, nie ma zdobywcy nad Allacha”... ta rytmiczna fraza uspokajała mnie. I stopniowo, patrząc na turystów, napływających i odpływających niczym ławice ryb, zacząłem coś rozumieć. Tym stiukom, robiącym wrażenie prowizorki, świadomie nadano taki kształt. Te ornamenty miały moc przenoszenia widza w inne miejsca, a nawet sprawiały, że zapominał o materialnym świecie. Jednak kiedyś to wszystko rozpadnie się i zniknie. Budowniczości pałacu pragnęli, abyśmy o tym pamiętali. Że nic nie jest wieczne, ani to miejsce, ani to piękno, ani oglądający je ludzie. Przez kilka minut zastanawiałem się nad tym. Wszystko, do czego się brałem po przyjeździe do Hiszpanii, było skazane na nagły i nieoczekiwany koniec. Mój związek z Lolą, gra w zespole. Nie potrafiłem zbudować niczego trwałego, zawsze wybierałem złą drogę. *Duende*, czymkolwiek było, wydawało mi się teraz tak samo nieuchwytnie jak przedtem.

Wszystko pewnego dnia się skończy, nawet moje zainteresowanie flamenco. W pierwszej chwili ta myśl mnie zaszokowała. Ale zaraz potem objawiła mi się dziwnie jasno, jakby otworzyła się wewnątrz mnie jakaś przestrzeń. Flamenco stało się moją obsesją, sposobem na określenie siebie

samego poprzez to, co robiłem. Dało mi tożsamość. Być może nadszedł czas, żeby spojrzeć na to inaczej.

Następnego dnia postanowiłem wrócić tam z gitarą. Spokojne, pogodne piękno Alhambry podziałało na mnie jak balsam, a otoczenie mogło stać się dla mnie inspiracją.

Znalazłem samotną kamienną ławę w Generalife – *džannat al-arif*, ogrodach wiedzy. Mimo jesiennej pory irysy, nagietki i róże tryskały życiem, rozsiewając jasne kolory pośród fontann i mirtowych krzewów. Naprzeciwko mnie, po drugiej stronie rzeki Darro, rozciągał się Albaicin, urzekający bielą i zielenią dachów z terakoty. Wyjąłem gitarę z futerału i upewniłem się, że nikt mnie nie obserwuje. Niemądrze było myśleć, że ja, jasnowłosy cudzoziemiec, grający flamenco w ogrodach Alhambry, nie przyciągnę niczyjej uwagi, ale chciałem pozostać niezauważony przynajmniej na początku.

Rozpocząłem od *alegrii*, ale przez kilka chwil moje palce nie trafiały we właściwe struny. W końcu złapałem tak dobrze znany mi rytm. Po kilku minutach skupiłem się wyłącznie na muzyce, zniknęły rośliny, drzewa, późne letnie kwiaty i Albaicin.

Di, di, di, tran, tran, tran. Mruczałem pod nosem bezsensowne sylaby, wplatanie zwykle do *alegrii*. Ludzie mówili, że mruczał je pewnej nocy śpiewak Ignacio Espeleta, zapomniawszy słów, i odtąd tak właśnie rozpoczynano zawsze ten *palo*.

Przeszło kilka osób, niektóre przystawały, żeby posłuchać *falsety*, po czym ruszały dalej. Byli to przeważnie cudzoziemcy – Japończycy, Francuzi, Niemcy, dwoje Anglików – ale mnie bardziej niepokoiło to, że przejdzie mnie stąd któryś z ogrodników. Nie miałem pojęcia, co też myślą o ludziach wykorzystujących to miejsce na muzyczne popisy. Ale minęła godzina, potem druga, i nikt nie protestował. Poczułem, że gra zaczyna podnosić mnie na duchu, tak jak się tego spodziewałem.

Słońce stało już całkiem nisko, rzucając na ścieżkę długie cienie, gdy schowałem gitarę do futerału. Instrument dobrze zabrzmiał w Grenadzie, w jej suchym powietrzu, podobnym do madryckiego, byłem więc zadowolony z mojej gry. Podniosłem oczy i zobaczyłem czerwonawe odbłaski, muskające dachy starego arabskiego miasta po drugiej stronie doliny. Mógłbym później tam pójść i poszukać jakiegoś baru, może nawet poznać nowych ludzi.

Usłyszałem za plecami szmer i zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam. Podeszła do mnie jakaś kobieta i przystanąła, jakby chciała coś powiedzieć. Gmerałem przy futerale z nadzieją, że ona pójdzie dalej, ale czekała, aż skończę albo spojrzę na nią, pewna, że jej cierpliwość zostanie nagrodzona.

– *Tú. Muy bien** – powiedziała z wyraźnym angielskim akcentem. Otwarta, okrągła twarz, uśmiech odsłaniający krzywe zęby. Musiała być co najmniej po siedemdziesiątce.

* *Tú...* (hiszp.) – Ty. Bardzo dobrze.

– *Gracias.* Dziękuję.

– Jest pan oczywiście Anglikiem. Tak myślałam.

Ucieszyłem się, że mogę porozmawiać z kimś z Anglii. W jednej chwili ta kobieta odnowiła moją więź z domem, który wydawał się bardziej odległy niż kiedykolwiek przedtem. Ujęła mnie też niezwykła swoboda, z jaką się do mnie odezwała. Ale było też między nami pewne skrępowanie, jakby coś było nie tak, jakby nie należało do scenariusza. Zamilkliśmy na chwilę, niepewni, co mamy sobie powiedzieć.

– Długo pani słuchała? – zapytałem.

– Tak, od jakiegoś czasu. Od jak dawna gra pan flamenco? – W jej kryształowo-niebieskich oczach pojawiały się błyski zdradzające o wiele młodszego ducha w starzejącym się ciele.

– Od paru lat.

– Ach tak? Tak długo? – Roześmiała się. – Wyglądało to tak, jakby to gitara grała na panu, a nie odwrotnie. Domyśla się pan, co chcę powiedzieć.

Ha, ha! – Po czym odwróciła się i zaczęła schodzić z boczem w kierunku pałacu. Spojrzałem za nią we wściekłym osłupieniu. Jak śmiała powiedzieć coś takiego! Co ona wie o grze na gitarze?

– Ale ja nie mam oczywiście zielonego pojęcia o grze na gitarze – rzuciła przez ramię. – Proszę się nie obrażać.

Patrzyłem za nią, jak schodziła po pochyłości. Młody, siedzący na murku Hiszpan wstał, kiedy znalazła się obok niego, podał jej niedużą aktówkę, po czym ruszyli do wyjścia, trzymając się za ręce.

Rozdrażniony i zakłopotany opuściłem Alhambrę i wróciłem do miasta. Co ona, u diabła, miała na myśli? Gitara grała na mnie? Stwierdzenie było absurdalne, więc wymyślałem żartobliwe odzywki, które byłyby daleko bardziej na miejscu, gdyby w porę przyszły mi do głowy. Wróciłem do hotelu wściekły i rzuciłem gitarę na łóżko.

– Leż tam. Dość już na dziś grania na mnie – warknąłem i wyszedłem na wieczorny spacer.

Paseo, wieczorna przechadzka, rozpoczęła się już na dobre. Ludzie spacerowali między nisko latającymi nietoperzami, ubrani w eleganckie kolorowe ubrania, spod bluzek i koszul we wszystkich odcieniach przebłyskiwała opalona skóra. Kobiety brały się pod rękę, przystając, żeby popatrzeć na pantofle na wystawie, mężczyźni pozdrawiali się głośno, a echo ich nawoływań niesło się wąskimi uliczkami w coraz chłodniejszym powietrzu. Grupy nastolatków jeździły wokół placów na rowerach. Jakiś chłopiec na małym motorowerze z przeraźliwie wyjąłym silnikiem brał po kolei dziewczęta na tylne siodełko, wożąc je w górę i w dół po zboczu wzgórza, podczas gdy inni chłopcy przyglądali się temu z zazdrością. Tutejsi ludzie mieli w sobie coś topornego: grubsze rysy, bardziej przysadziste sylwetki.

Ruszyłem na drugi koniec Plaza Nueva, minąłem kościół Świętej Anny i usiadłem na murku, oddzielającym plac od płynącej w dole Darro. Była

to pora spacerów na drugi brzeg. W kawiarniach i restauracjach na wolnym powietrzu zasiadano już na wieczorne drinki i słynące z wielkich rozmiarów grenadyjskie przekąski zwane *tapas*. Turyści rozglądali się za miejscem, w którym mogliby coś zjeść, podczas gdy wielu mieszkańców dopiero kończyło pracę i wracało do domu.

Leniuchując w łagodnej atmosferze zmierzchu, zauważyłem na lewo ode mnie księdza. Wyglądał całkiem zwyczajnie, miał na sobie tradycyjną brązową sutannę i stał, założywszy ręce za plecami. Trzymał w nich małą paczuszkę. Mój wzrok powędrował bezmyślnie na drugą stronę placu. Z jednego z barów wyszedł młody człowiek z długimi, ciemnymi, tłustymi włosami, dokładnie w momencie, w którym ksiądz pokazał się na placu, i wydawało się, że zamierza przeciąć mu drogę. Zwolnił jednak, zrobił kółko i rozmyślnie poszedł tak, żeby minąć księdza tuż za jego plecami, tylko o kilka metrów od miejsca, w którym siedziałem. Wydało mi się dziwne, że zrobił to kółko, a potem i to, że celowo otarł się o człowieka w sutannie. Zażartowałem w duchu, że być może miał nadzieję, że duchowny przekaze mu coś ze swojej świątobliwości. Ale gdy tak przyglądałem się mężczyźnie, a potem znów spojrzałem na księdza, coś rzuciło mi się w oczy: małą paczuszkę, która wcześniej była w ręku księdza, trzymał teraz mężczyzna, nerwowo, jeśli wręcz nie po amatorsku, rozglądając się, czy ktoś tego nie zauważył. Nie miałem wątpliwości, co zawierała ta paczuszka. Widywałem to już wcześniej, ale nigdy z udziałem osoby duchownej.

Młody człowiek przeszedł na drugą stronę placu. Przyglądałem się z zaciekawieniem, jak kręci się koło wejścia do niskiego budynku. Znowu rzucił szybko okiem na prawo i na lewo, i podchwycił moje spojrzenie. Znieruchomiał i przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Wiedział, że go przyuważyłem. Próbowiałem udawać, że niczego nie widziałem, i odwróciłem się, żeby popatrzeć na tłum, który niebezpiecznie się przeredzał. Ale było już za późno i kątem oka zobaczyłem, że mężczyzna idzie w moją stronę.

Przestraszyłem się i zacząłem gorączkowo się zastanawiać, co robić. Po tej stronie placu było mniej ludzi. Mógł najzwyczajniej wepchnąć mnie do rzeki i nikt by mnie więcej nie zobaczył. Nie zwróciłoby to niczyjej uwagi. Wszyscy byli zbyt zajęci piciem, rozglądaniem się za spódniczkami, albo spieszyli do domu z zakupami na kolację. Nie chciałem uciekać, ani nawet odchodzić. To by mnie zdradziło. Pomyślałem, że być może uda mi się jakoś go udobruchać.

Podszedł i usiadł na murku obok mnie. Bardzo blisko, niemal mnie dotykając. Czuć było od niego nikotyne, był wyraźnie pobudzony i emanował skoncentrowaną, żyłastą energią. Jedno uderzenie w szyję i byłbym szybko i skutecznie załatwiony. Zacząłem żałować, że nie uciekłem. Co, u diabła, chodzi mi po głowie? Powinienem być zwiac, to jasne. Ten człowiek nie chciał ze mną rozmawiać, chciał mnie zabić.

Trzymał coś w ręku. Nóż, scyzoryk, który wyciągnął z kieszeni spodni. Otworzył go szarpnięciem i zaczął sprawdzać kciukiem jego ostrość, nie patrząc na mnie, tylko na plac. Byłem sparaliżowany ze strachu i w jakimś chorym zakątku mojej świadomości zacząłem wyobrażać sobie, co będę czuł, gdy ostrze przejdzie między moimi żebrami. W tym mieście tak często gościła śmierć. Wydawało mi się normalne, że teraz, kiedy moja podróż do krainy flamenco dobiegła kresu, skończę w takim miejscu jak to. Flamenco i śmierć. Wydawało się, że do siebie pasują. Rozumiałem teraz, dlaczego mrozący krew w żyłach krzyk śpiewaka – *el llanto* – tak porusza ludzi, dlaczego zdaje się wychodzić z trzewi ziemi i wciąga cię, jakbyś był z gliny, w głąb twojego jestestwa. Czułem się, jakbym spadał, uderzał w tafelę wody, odpływał. Było to odczucie spokojne i milczące.

Mężczyzna nadal przeciągał nożem po palcach. Zaraz uderzy, pomyślałem.

Ale w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że jestem bezpieczny, że on nie ma zamiaru zrobić mi nic złego. To była tylko groźba, nic więcej. Widywałem, jak coś podobnego robiła La Andonda: gdy była poirytowana,

bawiła się nożem, po to tylko, żeby ci powiedzieć, że go ma, czyści nim paznokcie albo jak ten tutaj, sprawdza kciukiem, czy jest ostry. Gdyby ten facet chciał mnie zabić, niczego bym nie zauważył. Ugodziłby mnie po prostu, starając się zrobić to jak najszybciej i jak najciszej.

– Ona mówi, że nie ma sprawy – wycedził z silnym andaluzyjskim akcentem. Nie byłem pewien, czy dobrze go usłyszałem, i przez chwilę zastanawiałem się, co właściwie powiedział. Jego słowa nie miały sensu. Ale powoli zaczęło do mnie docierać, że zostałem oszczędzony. Wpatrywałem się niewidzącymi oczami w plac przede mną, podczas gdy on zatrzasnął szczyryk, wepchnął go do kieszeni i podniósł się spokojnie, żeby odejść.

Chcąc wyrazić wdzięczność, że postanowił mnie nie zabijać, otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Piękny plac, piękne miasto. Lepiej zasłonić oczy.

Odszedł. Nie w kierunku drzwi, do których zmierzał poprzednio, ale na wzgórze, w labirynt Albaicinu.

Dowlokłem się do najbliższego krzesła w jednej z kawiarni, opadłem na nie i zamówiłem kieliszek najmocniejszej wódki, której nazwę byłem w stanie sobie przypomnieć. Popatrzyłem na Alhambrę wciąż rysującą się na wzgórzu. „Nie ma zdobywcy nad Allacha”.

Pół godziny potem, trzymając w drżącej ręce szklankę z whisky, zauważyłem znajomą twarz. Była to Angielka, która odezwała się do mnie w Generalife. Siedziała kilka stolików dalej. Nie zauważyła mnie. Odwróciłem się plecami do niej i dopiłem drinka.

Potem, wołając po raz czwarty kelnera, znowu się obejrzałem. Nadal tam siedziała, teraz z mężczyzną. Nie z tym, z którym widziałem ją wcześniej, ale z innym, starszym i agresywnym. Pochylił się ku niej, jakby

chciał, żeby słyszała każde jego słowo. Przyglądałem się im przez chwilę. Klócili się. Wydawało się, że mężczyzna chce, żeby coś zrobiła, a ona odmawia. Potem on wstał nagle i odszedł, przewracając krzesło.

Postanowiłem podejść, podnieść krzesło i z nią porozmawiać.

Uśmiechnęła się, kiedy siadałem obok niej. Jasne niebieskie oczy, krótkie siwe włosy. Wydawała się zupełnie nie przejmować tym, co przed chwilą zaszło.

– Och, jak się cieszę, że pan do mnie podszedł – powiedziała, zanim zdążyłem zapytać, jak się miewa. – Chciałam przeprosić za tamto. To było z mojej strony bardzo niegrzeczne. Nie powinnam odzywać się do pana w ten sposób.

Odpowiedziałem dopiero po chwili, moje reakcje spowalniały szokujące przeżycie i whisky.

– Dziś po południu, w Generalife – dodała, tonem wyjaśnienia. – Czy dobrze to wymówiłam? Khe-ne-ra-lee-fay. Dawno nie byłam w Grenadzie. Czy tak się to wymawia? – Mówiła wysokim, świergotliwym głosem.

– Tak – powiedziałem, starając się nadażyć za tokiem jej myśli. – Tak, tak jest dobrze.

– Obawiam się, że okropnie się w tym wszystkim gubię... i wszyscy patrzą na mnie tak dziwnie. Nie zdążyłam jeszcze nauczyć się wymawiać tego „kh”. *Khuh* – powiedziała. – Mógłby mi pan pokazać, jak to się wymawia?

Miała dobrą wymowę, ale czułem się zobowiązany jej pomóc.

– *Khuh* – powiedziałem.

– *Khuh* – powtórzyła, prawidłowo, ale z naciskiem, jakby udawała uczennicę. – Widzi pan, nie potrafię zrobić tego tak dobrze jak pan. No, ale pan ma pewnie większe zdolności do języków niż ja.

Trudno było powiedzieć, czy chciała mi pochlebić, czy rzeczywiście dostrzegła, że mówię biegle po hiszpańsku.

– Zauważył pan, że Hiszpanie mają bzika na punkcie wieprzowiny i

szynki? Nie mogę usiąść, żeby nie zaproponowano mi szynki takiej albo szynki owakiej. Niech pan popatrzy, nawet tu mają w menu „świńskie uszy”. Moi znajomi poczęstowali mnie nimi, mówili, że to specjał, więc oczywiście nie mogłam odmówić. Ale były okropne. Ha, ha! – Zrobiła przerażoną minę, a zmarszczki wokół jej ust i oczu jeszcze się pogłębiły.

– Przedwczoraj, kiedy wyjmowałam bagaż z samochodu, poznałam bardzo interesującego człowieka. Wie pan, jestem pewna, że to była pokrewna dusza. – Posłała mi porozumiewawcze spojrzenie. Wydawało się, że nie ma żadnych problemów z nawiązywaniem znajomości w tym obcym mieście.

– Był to pan w średnim wieku. Powiedział mi, że jego przyjaciel namalował ukrzyżowanie w kościele, z ludźmi, którzy unosili błagalnie ręce. – Skrzywiła się. – Więc zapytałam go: „Czy pana przyjaciel jest bardzo uczuciowym człowiekiem”? A on na to: „Tak, przypuszczam, że tak”. Ale tak naprawdę nie rozumiał, co miałam na myśli. Powiedział, że prowadzi jakiś biznes, ale nie zapamiętałam jego nazwiska. W każdym razie był żonaty i miał czworo dzieci – dodała, a w jej głosie dał się słyszeć cień zawodu. – Być może natknę się jeszcze na niego któregoś dnia. – Posłała mi wymowne spojrzenie, jakby chciała powiedzieć, że jest rzeczą bardziej niż prawdopodobną, że to się zdarzy, i że zdarzało się jej już wcześniej.

– Kiedy przyjechała pani do Grenady? – zapytałam. Domyślałem się, że jest na wycieczce, może przyjechała w zorganizowanej grupie, żeby obejrzeć widoki Andaluzji.

– Och, dwa dni temu. Przyjechałam samochodem z Surrey.

– Z Surrey?

– Tak, z Surrey. Jak pan wie, to bardzo szacowne miejsce. Myślałam, że już nie dam rady. We Francji, zaraz za Paryżem, objeżdżałam rondo w niedobrym kierunku, pod prąd, no i zatrzymał mnie policjant, był bardzo przystojny. Powiedziałam mu w moim najlepszym francuskim, że można się w tym wszystkim pogubić i że jest mi okropnie przykro, ale przez

ostatnie osiemnaście lat mieszkałam w Anglii i zapomniałam, jak się jeździ prawą stroną. Pochylił się ku mnie i zapytał ochryplym, głębokim głosem: „Czy pani szuka sobie trumny, *madame?*”, a potem pomachał mi ręką i krzyknął: *Allez, madame.*

– Ale w jakim celu pani tu przyjechała? Dlaczego wyjechała pani z Anglii?

Milczała przez chwilę.

– Moja praca w Anglii się skończyła, więc pomyślałam, że zamiast włóczyć się beczynnym po kraju, równie dobrze mogłabym nic nie robić w Hiszpanii. Wpakowałam do samochodu ile się zmieściło i przyjechałam. Gdziekolwiek jadę, nigdy nie biorę więcej, niż się zmieści w aucie. To cudowna okazja, żeby się pozbyć tylu różnych przedmiotów. Nie uważa pan? Musiał pan to odkryć w trakcie swoich podróży.

Jej słowa podziały jak katalizator i po paru chwilach złapałem się na tym, że otwieram się przed nią, poddaję się jej humorowi i ekscentryczności, i zacząłem opowiadać, jak znalazłem się w Hiszpanii. Siedziała i słuchała w milczeniu. Powiedziałem jej o rzeczach, o jakich nie dowiedział się ode mnie nikt, nawet Eduardo. Ale przy niej nie czułem się skrępowany i słowa płynęły jak rzeka. Flamenco, powiedziałem. Tym, co naprawdę mnie tu przywiodło, było flamenco.

– Tak, tylko obsesja może sprawić, że przestajemy myśleć o tym, czemu naprawdę powinniśmy poświęcać naszą uwagę – powiedziała. Nie pojąłem sensu jej słów, ale pasowały do tego, o czym rozmyślałem w Alhambrze poprzedniego dnia.

Gdy skończyliśmy rozmawiać, było już po północy. Siedzieliśmy tu przez cztery godziny, opowiadając sobie historyjki i anegdoty. Grace – jej imię poznałem dopiero trzy czy cztery dni później – była mistrzynią w snuciu opowieści, produktem czasów poprzedzających epokę telewizji, kiedy zabawianie opowiadkami było normalnym i koniecznym zajęciem.

– Muszę już iść – powiedziała w końcu. – Spotkamy się tu jutro o tej samej porze?

Przytaknąłem.

Podniosła się, ucałowaliśmy się w oba policzki, i odeszła. W chwilę potem od jednego ze stolików wstał mężczyzna i dołączył do niej. Zamienili kilka słów i poszli razem, trzymając się za ręce.

Był to mężczyzna ze scyzorykiem.

Ta rozmowa mnie podbudowała, ale byłem zdezorientowany dziwnym zachowaniem Grace. Skąd znała faceta ze scyzorykiem? Czy zajmowała się rozprowadzaniem narkotyków? A zresztą, tamta paczuszka być może wcale ich nie zawierała. Może mężczyzna, który usiadł koło mnie na murku, próbował tylko okazać mi przyjazne uczucia? Nie byłem pewien. A tak naprawdę to nie byłem pewien niczego.

Zaczawszy myśleć trochę bardziej pozytywnie, następnego dnia postanowiłem znowu udać się do szkoły tańca Juany, po prostu po to, żeby wrócić do flamenco. Dobrze spałem, i chciałem pójść za ciosem. Przygrywanie tancerkom wraz z tamtym gitarzystą byłoby czymś idealnym w ten ciepły, słoneczny dzień. Był wczesny ranek, ale na ścianie wisiał już rozkład zajęć. Wynikało z niego, że dwa razy w tygodniu prowadzono tu dwugodzinne zajęcia.

Wszedłem do holu. Portier Emilio popijał kawę w swojej drewnianej budce. Kiedy koło niego przechodziłem, pomachał mi ręką. Koniuszki jego cienkich, siwych wąsików były podwinięte do góry i zakręcone.

– *¡Buenos dias!* – zawołałem.

– *¡Buenos días, señor!*

W szkole panowała cisza. Tylko garstka dorosłych uczennic, ciemne włosy tradycyjnie związane z tyłu.

– *¡Ay!* Dzięki Bogu! – To była Juana.

– Witam. Pomyślałem, że zajrzę, jeśli to nie...

– Dzięki Bogu, że pan przyszedł!

– Czemu?

– Zna pan *guajiras!* – zapytała. Był to jeden z *palos* zwanych „biletami powrotnymi”: chodziło o pieśni i rytmy takie jak *rumba* i *colombianas*, które przywędrowały do Hiszpanii z Ameryki Łacińskiej i zostały wchłonięte przez flamenco. Pochodzące z Kuby *guajiras*, z ich powolnym rytmem na dwanaście, ulegającym stopniowo przyspieszeniu, miały zwykle lekki liryczny charakter, i jeśli dobrze je tańczono, były bardzo widowiskowe.

– Tak.

– To dobrze. W takim razie niech pan gra. Potrzebujemy pana.

– Ale co z... Czy tamten gitarzysta nie przyjdzie?

– Luis? Nie, nie może przyjść. Nie będzie go przez jakiś czas – powiedziała, popychając mnie w kierunku krzesła, zmuszając wręcz, żebym zaczął.

– Przygotować się! – Klasnęła w dłonie, żeby zebrać dziewczęta i rozpocząć lekcję. Stały w szeregu naprzeciwko lustra.

– Ale co mu się przydarzyło?

– Narzeczona zrzuciła go ze schodów i coś tam sobie złamał – odparła, nie odwracając się do mnie. – Zabrali go do szpitala! *¡Leche!* A teraz, żadnych więcej pytań – rzuciła rozkazująco. – Muzyka!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Por Guajira

*El río Guadalquivir
tiene la barba granate.
Ay dos ríos de Grenada
Ay uno nieve y otro sangre.*

Rzeka Gwadalkiwir wabi
swą ciemnoszkarłatną brodą.
Obydwie rzeki Grenady:
jedna płacze, druga – krwawi

F. Garcia Lorca

Rany odniesione przez Luisa były poważniejsze, niż myśleliśmy. Jego naręczona była krajową mistrzynią taekwondo. Liczne złamania oznaczały, że będzie wyłączony co najmniej przez sześć miesięcy.

– Cokolwiek będziesz robił – szepnął mi do ucha, kiedy poszliśmy odwiedzić go w szpitalu – posłuchaj mojej rady: nigdy, ale to nigdy nie zadawaj się z mistrzynią sztuk walki. Trzymaj się tancerek, one nie są nawet w połowie tak groźne, wierz mi.

Na czas nieobecności Luisa zostałem pełnoetatowym szkolnym gitarzystą, grałem na dwóch porannych lekcjach, a także na sesjach wieczornych, które trwały od piątej po południu do dziesiątej wieczorem. Uczyły się tu osoby w różnym wieku, od siedmioletnich dziewczynek do dorosłych dam, które robiły to po raz pierwszy. Większość stanowiły kobiety w wieku od szesnastu do dwudziestu pięciu lat. Niektóre przypominały Arabki, miały czarne włosy i śniadą cerę. Nie brakowało też blondynek i rudowłosych. Można było wyobrazić sobie ich przodków, jak w hełmach i z wielkimi krzyżami wymalowanymi na tarczach oczyszczającą kraj z herezji. Teraz tańczyły wszystkie razem, wyprostowane, trzymając wysoko uniesione głowy. Przypominało to szkołę baletową. Ale Juana była profesjonalistką

i na jej lekcjach można było dużo skorzystać. Musiałem nauczyć się wielu rzeczy. Mimo miesięcy spędzonych z zespołem Carlosa nadal brakowało mi pewności siebie, gdy akompaniowałem tancerkom, i lekcje te, dzięki ciągłemu powtarzaniu, dały mi możliwość utrwalenia w pamięci rytmu i tempa każdego *palo*. Gdy ćwiczyłem w samotności, bywałem rozkojarzony albo uwagę miałem zajęta czymś innym, tu natomiast musiałem jednostajnie powtarzać poszczególne tańce, koncentrując się zawsze na Juanie i tancerkach, przyspieszając wraz z nimi albo zwalniając w zależności od narzuconego przez nią tempa, wyczekując oznak nadchodzącej *llamady*, sygnału, że za chwilę zacznie się następny fragment tańca. Na początku było to trudne, ale z czasem nabrałem wprawy, jak we wszystkim.

Podczas lekcji Juana poświęcała dużo uwagi kwestiom technicznym, kładąc nacisk na *zapateo*, pracę nóg, oraz ułożenie rąk. Ale był w tym także duch, charakter flamenco.

– Rozluźnijcie nogi – polecała uczennicom. – Ale od tego miejsca. – Rysowała dłonią linię na wysokości podbrzusza. Wszystko musi być elastyczne, aż do samej góry, *hacia arriba*.

Czasami kazała mi przerwać na chwilę grę i sama śpiewała taki czy inny *palo*, dyrygując tancerkami i wybierając rytm i synkopy obcasami.

Niektóre z dziewcząt zwracały uwagę sposobem bycia, typowym dla urodzonych *flamencos*: były pewne siebie i śmiałe, często nadrabiały braki techniczne figlarnym, uwodzicielskim wyrazem oczu. Inne miały więcej wdzięku i robiły wrażenie prawdziwych tancerek. Ale były też te średnie, które traktowały taniec jako hobby: nosiły krótko obcięte włosy, opaski i różowe wełniane kamizelki dla ochrony przed chłodem. Niektóre z nich tańczyły dobrze, ale bez uczucia, w żadnym razie nie był to taniec flamenco.

Po południu albo wieczorem, po zajęciach, spotykałem się zwykle z Grace i spędzaliśmy czas na rozmowach i poznawaniu miasta. Kupowaliśmy

za katedrą suszone zioła od sprzedawców przypraw – *flor de azafrán* na przygnębienie i migrenę, *fucus* na odchudzanie – albo udawaliśmy, że targujemy się z marokańskimi handlarzami, sprzedającymi na bazarze żywność, odchodząc w momencie, w którym wytargowaliśmy najniższą cenę. Grace mówiła bez przerwy, rzadko dopuszczając mnie do głosu, ale żadna z kwestii, które dotyczyły jej osobiście – a zwłaszcza niektórych jej znajomych – nigdy nie została naświetlona. Były sprawy, o które po prostu nie można było wypytywać kobiety w jej wieku.

Oboje mieszkaliśmy w dzielnicy Realejo – być może najbardziej autentycznej części Grenady, z na pół zrujnowanymi domami, bielonymi ścianami i brudnymi schodkowatymi uliczkami u stóp Alhambry. Albaicin, bardziej znana dzielnica miasta z uwagi na jej mauretańską przeszłość, pełna była prowadzonych przez Marokańczyków herbaciarni i restauracji na tarasach, serwujących ciężkie, kapiące od oleju potrawy, które wybierało się, patrząc na obrazki na plastikowym menu. Jeszcze dalej, w dzielnicy Sacromonte, cygańskie jaskinie oferowały wieczór z sangría, gazpacho i „oryginalnymi pokazami flamenco” – transport z hotelu i z powrotem wliczony w cenę.

Pewnego wieczoru poszliśmy na występ – po części z ciekawości, a po części dla rozrywki. Siedząc na powietrzu, słuchaliśmy *cantaory*, która śpiewała tak, jakby miała w ustach gumę do żucia, i przyglądaliśmy się dwunastoletniej dziewczynce w czerwono-białej sukience w grochy. Tańczyła na miniaturowej scenie, wykrzywiając buzię w minach pełnych niewiści i agresji. Najwyraźniej uczył ją jakiś mężczyzna, a objawiało się to w pozbawionych wdzięku męskich ruchach rąk. W pewnym momencie paru pijanych *flamencos*, którzy przechodzili właśnie ulicą, wspięło się na okalający taras płotek, żeby lepiej widzieć. Zaczęli się śmiać i wykrzykiwać obraźliwe wyrazy. ¡*Viva Jerez!*, krzyknął któryś z nich. Ale ta sarkastyczna aluzja do jednego z ośrodków autentycznego flamenco przeleciała niezauważona nad głowami cudzoziemskiej widowni.

– *Anda, tomar por culo.* Do diabła z tym gównem – powiedziała znużona Hiszpanka siedząca przy sąsiednim stoliku do swojego męża. – Wracamy do hotelu. – On dał jej znak, żeby zaczekać do końca pieśni, po czym wyszli.

Niemożliwe było, żeby muzyka flamenco mogła zaistnieć w tak nieprzychylnych okolicznościach. Przypomniałem sobie La Ninę de los Peines, którą pobudzono pewnej nocy tak, że dała najlepszy występ swojego życia, kiedy to, jak opowiadał Lorca, jakiś znużony miłośnik flamenco krzyknął *¡Viva Paris!*, dając jej do zrozumienia, że „Dość tego śpiewania dla turystów, pokaż nam coś prawdziwego!”. Zacząłem sobie uświadamiać, że *duende* nie można wywołać na życzenie. Potrzeba czegoś więcej – być może jakiejś zachęty z zewnątrz. Może zaistnieć tylko w specjalnych, ulotnych momentach, tak jakby wykonawcy byli tylko kanałami dla siły, która napływa spoza nich.

W Grace była jakaś ulotna zmienność, coś, czego nie potrafiłem uchwycić. Nie można było powiedzieć, że jest taka albo inna, umieścić jej w żadnej przegródce. Gdy wydawało mi się, że ją rozumiem i wiem, czego mogę się po niej spodziewać, ona robiła coś zupełnie odwrotnego. Roztrzepana w jednym momencie, w następnym stawała się skupiona i surowa. Przez chwilę przyjazna i życzliwa, a zaraz potem sztywna i chłodna, chociaż te momenty nigdy nie trwały długo. Kapryśna? Nie byłem pewien. Czasami dawała mi do zrozumienia, że coś się za tym kryje.

Opowiadała mi ludowe historyjki z całego świata, albo wybierała co ciekawsze wydarzenia z własnego życia. Nawet drobne codzienne zdarzenia były dla niej inspiracją.

– W moim mieszkaniu siedziało na ścianie kilka świerszczy – powiedziała któregoś popołudnia, wychylając szklanekę piwa Alhambra. – Gapiłam się na nie i one ciągle tam były, zawsze w tym samym miejscu. No i mniej więcej dwa razy dziennie zaczynały wydawać okropne dźwięki,

mogło to trwać nawet godzinę – wysoki przeraźliwy świst, niepodobny do głosu żadnych świerszczy, jakich słuchałam wcześniej. A potem nagle milkły. Następnego dnia historia się powtarzała. Zostawiałam otwarte okno i próbowałam wszystkiego, ale one nie chciały sobie iść i wciąż tam tkwiły. Więc w końcu zaczęłam mieć tego dość, zawołałam sąsiada i zapytałam go, czy nie zechciałby mi pomóc pozbyć się tych świerszczy. One robią tyle hałasu. I wie pan, co on na to? „To nie żadne świerszcze, to alarm pożarowy. Dziwię się, że go pani nie wyłączyła”. No cóż, był na tyle miły, że sam wyłączył mi to urządzenie. Okazało się, że te czarne owady to po prostu plamy na ścianie, nic więcej.

– Więc już nie hałasują?

– Nie, nie. Hałas ustał. Ale czy to nie zabawne, jak się mylimy, biorąc jedne rzeczy za inne?

Carmen przychodziła na zajęcia grupy młodszych dziewcząt wczesnym wieczorem, kiedy napływały nastolatki, ssąc cukierki i zapełniając korytarki kolorowymi plecakami i szebiotem cienkich głosików. Juana często była dla nich bardziej wyrozumiała niż dla starszych. Wiedziała, że ich życie wypełnia szkoła i odrabianie lekcji, chciała więc, żeby przynajmniej flamenco było dla nich zabawą. Z Carmen sprawy miały się inaczej. Carmen była poważną dziewczyną, zdolną do przeżywania głębokich emocji. Podczas gdy inne poruszały się ostrożnie, jakby bały się własnej siły, w jej pracy nóg była pewność, kontakt z ziemią, jakby była dobrze zakorzeniona. Wyglądała jak inne dziewczęta z grupy – miała związane w koński ogon, brązowe włosy, piwne oczy, delikatne, wyraziste rysy twarzy. Było jednak coś, co ją wyróżniało: łatwość wyrażania uczuć, od radości do zdziwienia i rozpacz, mających odzwierciedlenie w każdym ruchu, zupełnie jakby tańczyła każdą częścią ciała i całą duszą. Przydawało jej to powagi, dojrzałości i zmysłowości, których brakowało jej koleżankom. Problemem były braki techniczne. Zaczęła stosunkowo późno, w piętnastym roku życia,

i miała za sobą niewiele ponad rok nauki. Deprymowało ją to, ale w jej ruchach było coś, co przyciągało wzrok, przyglądałem się jej więc, gdy tylko mogłem.

Juana nie poświęcała jej więcej czasu – a może nawet mniej – ale zauważyłem, że gdy się do niej zwracała, w jej głosie była powaga, jakiej brakowało, gdy mówiła do innych.

– Carmen, popatrz, jak ja się poruszam.

I Carmen reagowała, zdawając wysiłki, dopóki nie opanowała nowego technicznego szczegółu. Zanim przeszła do następnej sekwencji, na jej ustach pojawiał się na moment leciutki uśmiezek triumfu.

Pewnego dnia po zajęciach, kiedy zaczął wiać wiatr od gór i miasto ścięły pierwsze chłody, Juana powiedziała, że chciałaby zacząć uczyć Carmen specjalnych lekcji, raz, dwa razy w tygodniu. Oznaczałoby to pracę do późna.

– Dasz radę? – zapytała.

– Tak, oczywiście. To przyjemność grać, kiedy ona tańczy.

– Musimy popracować nad tą dziewczyną.

Pierwsza lekcja była najgorszą, w jakiej brałem udział.

– Nie! O, tak. Jeszcze raz... Jeszcze raz... Jeszcze raz. Wyżej ramiona! Nie pozwalaj im opadać. Palce! Używaj swoich rąk, zamiast tylko nimi machać!

Pracowaliśmy nad jedną z *bulerii*. Zbyt skomplikowana i za szybka, pomyślałem. Biedna dziewczyna, tańczyła, wciąż była w ruchu, uderzała obcasami w podłogę, aż zaczęła słaniać się ze zmęczenia.

– Trzymaj wyżej głowę, dziewczyno! No, dalej! W prawo, w lewo, w... Nie! O, tak. Popatrz, o tak. Jeszcze raz! Teraz miękko. Patrz na mnie! Ręce jak u gołębia. Wyprostuj się. No, wyprostuj, do góry, jeszcze. Ręce! Jeszcze raz. *Un, dos, TRES...*

Jej długie nogi zaczynały się plątać, gdy powtarzała i powtarzała ten sam krok dziesięć, dwadzieścia albo i więcej razy. Mała wdzięczna tancerka, jaką oglądałem wcześniej, teraz poruszała się chaotycznie i niezgrabnie.

– Wyżej broda! Ramiona jak skrzydła orła. No, dalej! Musisz wierzyć w to, co robisz. Oddzielnie biodra, oddzielnie talia. Piersi do przodu. Jeszcze! Jak rogi byka. *SIETE, OCHO, nueve, DIEZ*. Rozluźnij się!

W pewnym momencie pomyślałem, że Carmen się podda, doszła do punktu, w którym sięgnęło szczytu nieuchronne pragnienie buntu i wydawało się, że zaraz krzyknie: „Dość tego!”. Ale ten kryzys prędko minął, zduszony jeszcze większą liczbą poleceń, demonstracji, reprimend. A ona tańczyła dalej, zmęczona, wyczerpana, spocona, niezdolna do narzekań ani kwestionowania tego, przez co musi przechodzić.

Po półtoragodzinnej lekcji, która wydawała się o wiele, wiele dłuższa, nie miała sił, żeby unieść swoją torbę. Było późno i poszła do domu, nie przebrawszy się.

Juana zauważyła moje zakłopotanie.

– Musisz zrozumieć, uczę jej ciało – powiedziała. – Uczę jej ciało bardziej niż umysł.

Nadejście zimy oznaczało, że musieliśmy się z Grace rozejrzeć za innymi barami, w których moglibyśmy się spotykać, nie narażając się na lodowate podmuchy z gór Sierra Nevada. Często przesiadywaliśmy w uczęszczanych przez starszych panów pijackich norach w głębi Albaicinu, niedaleko zakładu, w którym głuchy emeryt w okularach przypominających stoiki po dżemie strzygł mi zwykle włosy. W takich lokalach sprzedawano jedynie papierosy marki Ducado z czarnego tytoniu. Wpadaliśmy też na drinka do dużego, przypominającego stodołę baru niedaleko Gran Via, gdzie pod mauretańskimi sklepieniami stały stare dębowe beczki z mocnym białym winem i domowej roboty wermutem, pędzonym z wanilii i cynamonu. Na ścianach wisiały ogromne, wyblakłe afisze, anonsujące święto Bożego Ciała w roku 1928.

Pewnego dnia, mając ochotę popróżnować, poszliśmy do jednej z kawiarni dla turystów, położonych na obrzeżach Plaza Bib-Rambla. Kiedy

ruch był nieduży, w drzwiach stali podobni do groźnych wykidajłów kelnerzy w poplamionych białych koszulach i czarnych krawatach. Było późne niedzielne popołudnie, a my mieliśmy za sobą zafundowany przez Grace obfity lunch u Chikita. Ja nie mógłbym pozwolić sobie na tak luksusową restaurację. Siedzieliśmy, popijając rum i paląc cienkie brązowe cygara. Byłem zdumiony, że Grace, osoba po siedemdziesiątce, może tyle wypić. Jej okrągła twarz zaróżowiła się od alkoholu, a krótkie siwe włosy, ledwie sięgające długich srebrnych kolczyków z turkusami, były potargane.

– Przystanąłam pod domem, żeby otworzyć drzwi – opowiadała – kiedy zauważyłam za moimi plecami starszego jegomościa, który wyczyniał dziwne rzeczy koło mojego samochodu. Wykonał skomplikowany ruch ręką koło tablicy rejestracyjnej, a potem zabrał się do odejścia. „Co pan robił koło mojego samochodu?”, zapytałam. „Nic, nic – mruknął. – Zawsze tak robię, jak zobaczę angielski samochód. Na szczęście”. Okazało się, że wiele lat temu ktoś mu powiedział na stacji benzynowej, że angielskie samochody przynoszą szczęście. „Jak pani widzi, mam sześćdziesiąt siedem lat i nawet nie dotknąłem pani samochodu”. I rzeczywiście tak było. Nie jestem jednak pewna, czy miał dobrze w głowie. Chciałam mu powiedzieć, że mój samochód miał w swojej burzliwej karierze trzy wypadki, ale on był już daleko. Zawsze wiedziałam, że Hiszpania jest najbardziej prymitywnym krajem Trzeciego Świata, tylko się maskuje.

– Czy można się nauczyć opowiadania historii? – zapytałam.

– Och, tak. Jestem o tym przekonana. Ale co masz na myśli?

– Hmm, czy twoim zdaniem trzeba mieć do tego wrodzony talent, czy też można nauczyć się techniki opowiadania?

– Trzeba nauczyć się relaksować. To bardzo ważne. A także to, żeby się nie bać, że się coś sknoci, albo wręcz położyć. Musisz mieć nadzieję, że następnym razem pójdzie lepiej. Albo jeszcze i jeszcze następnym. Trzeba próbować. Praktyka ma decydujące znaczenie. Zawsze możesz się poprawić.

Przypomniały mi się wyczerpujące lekcje Carmen, a tymczasem Grace zaczęła nową anegdotkę, tym razem ze swoich podróży. Pograżony w rozmyślaniach, słuchałem jej jednym uchem, ale uderzyły mnie słowa „Bangkok”, „masażysta”, „wesele”.

– I wyszłaś za niego? – zapytałem, kiedy zamilkła, żeby wziąć oddech.

– Och, nie, na litość boską. Czemuż miałabym zrobić coś takiego?

Podniosła kieliszek, żeby dokończyć drinka. Miała na palcu gruby srebrny pierścionek, naprawdę ogromny, z wielkim, czerwonawo-brązowym kamieniem i arabskim napisem. Kelner postawił przed nami dwa następne kieliszki.

– Ale ty powinienes tego spróbować – powiedziała.

– Czego?

– Opowiadania historyjek. Spróbuj opowiedzieć mi jakąś historyjkę. Teraz. Z twojego życia. Albo coś innego. Po prostu spróbuj.

– Co miałaś na myśli, Grace – zapytałem – kiedy powiedziałaś tamto o gitarze, w Generalife, że ona gra na mnie?

– Chodziło o to, kto sprawuje kontrolę – odparła. – Przepraszam na chwilę. – Po czym podniosła się, żeby wyjść do toalety.

Rozejrzałem się po kawiarni. Niektórzy z kelnerów podejrzliwie spoglądali na nasz stolik. Młody człowiek popijający leniwie ze starszą kobietą. Nie podobało im się to. To nie było normalne. Odwróciłem wzrok i po cichu przekląłem surowość zasad w tym kraju, jego zdecydowanie konserwatywną podszewkę.

– Czy wiedział pan o tym? – zapytała po powrocie Grace, sięgając po następne cygaro. – Cyganie plują na kogoś, komu czegoś zazdroszczą. Robią to, żeby ochronić się przed złym okiem. Uważają, że zawiść przyciąga złe oko, więc plują, żeby pozbyć się zawiści. Bo nie można zazdrościć ni-czego komuś, na kogo właśnie się napluło.

Ogarnęły mnie wątpliwości. Nigdy się z tym nie zetknąłem.

– Jeszcze drinka? – zapytała.

– Tak. Zamów.

Nie musieliśmy wołać kelnera. Stał nad nami niczym kruk.

– Już zamykamy – powiedział ze złością łamanym angielskim. – Musicie państwo wyjść.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Bywaliśmy już w tym barze i zawsze pozostawał otwarty do późnej nocy. Facet najwyraźniej kłamał. Odpowiedziałem mu po hiszpańsku.

– *¿Pero, què dice?* Nigdy nie zamykaliście o tej...

– Musicie wyjść! – powtórzył po angielsku, poczerwieniały od krwi, która napłynęła mu do twarzy.

Siedziałem spokojnie, nie zamierzając ustąpić, ale Grace już wstała. Włożyła płaszcz, sięgnęła po torebkę, a potem zdecydowanym ruchem odwróciła się do kelnera.

– Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest dworzec autobusowy? – zapytała spokojnym głosem, w którym nie było śladu po litrach alkoholu, jaki wypła tego popołudnia. – Widzi pan, muszę pojechać do Malagi, żeby odwiedzić znajomych, i nie byłam pewna, czy jest jakiś pociąg albo inny środek lokomocji, żeby tam dojechać. Nie chciałabym dotrzeć na miejsce zbyt późno.

– Tak, oczywiście, *señora* – odparł kelner i zaczął tłumaczyć. Obserwowałem ich kątem oka, ciągle wściekły na faceta. Ale po kilku chwilach on uśmiechał się już szeroko, jego szorstkość znikła bez śladu. Stał się przyjazny i pomocny. Kiedy szliśmy do drzwi, tryskał dobrym humorem. Nie miałem pojęcia, jak to się stało.

– Dużo trudniej jest traktować ze złością kogoś, komu się w jakiś sposób pomaga – powiedziała Grace. – Do widzenia. – Ucałowała mnie w oba policzki i odwróciła się, żeby odejść. – Muszę złapać ten autobus – dodała i

pomaszerowała pewnym krokiem w kierunku rogu, na którym czekał na nią brodaty mężczyzna w filcowym kapeluszu. Wsunęła mu rękę pod ramię i zniknęli.

Pewnego dnia w grudniu zadzwoniła do mnie Lola.

– Jak się masz, *guiri* – zapytała lekko. – Wybieramy się w góry Sierra Nevada, żeby pojeździć na nartach, i pomyślałam, że mogłabym wpaść do Grenady i się z tobą zobaczyć. Bóg jeden wie dlaczego.

– Oczywiście. Ale... jak się dowiedziałas, gdzie jestem?

– Och, zapytałam twojego przyjaciela dziennikarza. Powiedział mi, że uciekłeś z Madrytu. Zdążyliśmy się nawet zaprzyjaźnić.

Eduardo nic mi nie powiedział. Nie wiedziałem nawet, że ją poznał. Poczuję się zdradzony, ale byłem też zaintrygowany.

W tydzień potem siedzieliśmy naprzeciwko siebie w barze w dzielnicy Albaicin.

– Po coś ty tu przyjechał, na litość boską? To znaczy, dlaczego nie pojechałeś do Guadalajary, Orviedo albo Cáceres, albo jakiegoś innego miasta, w którym coś się dzieje? Tu panuje martwota. Tutejsze flamenco to papka, którą karmią turystów. Sam wiesz, jak to wygląda. Przeróżające! – Wymówiła ostatnie słowo powoli i z lubością.

Nie potrafiłem tego wyjaśnić. Tak wiele się wydarzyło od naszego rozstania. No i były rzeczy, o których nie chciałem jej mówić.

– Po prostu kaprys – mruknąłem.

– Kaprys? Czyżby? – Obrzuciła mnie twardym spojrzeniem, po czym wbiła wzrok w stół. – Zdaje się, że dość często miewasz kaprysy.

Aluzja była jasna. Chciała, żebym czuł się za wszystko odpowiedzialny.

– Posłuchaj, ja...

Uniosła rękę i powstrzymała mnie.

– Nie mów o tym! To skończone. – Jej szerokie, pełne usta ułożyły się w wymuszony, zrezygnowany uśmiech.

Zapadło milczenie, aż w końcu zaczęliśmy mówić jednocześnie, żeby zaraz urwać.

– Nie. Powinieneś iść do przodu, *guiri* – powiedziała z naciskiem.

Irytowało mnie, że z takim uporem używa tego obraźliwego określenia, ale zachowałem spokój.

– Przyjechałaś tu z przyjaciółmi? Chciałem cię zapytać tylko o to.

– Słucham?

– Powiedziałaś: przyjeżdżamy na narty.

– Och, nie. Przyjechałam z Vicentem i z dziećmi.

Poczułem się, jakbym wpadł pod pociąg. Z mężem? Po tym wszystkim, po całej tej gadaninie, że go opuszcza?

– Zimą często tu przyjeżdżamy.

Przypomniałem sobie lunch u nich w domu i cichą, posłuszną kobietę podającą jedzenie. Tamtego popołudnia byli zwyczajną parą małżeńską.

– Rozumiem, że między wami wszystko dobrze – powiedziałem z przymusem. Nagle na stole między nami wyrosło sto barier.

– Och, tak. Tak.

– Cieszę się. – Umilkłem, uświadamiając sobie, że byłem dla niej zabawką, chciała oderwać się od nudy jedyne liczącego się układu w jej życiu. Przy całym ich niedopasowaniu, ona i Vicente byli mocno ze sobą związani, poprzez szkołę, dzieci, potrzebę seksu. Szukała jedynie kochanków, i mogła rozważać porzucenie męża tylko wtedy, gdy ktoś inny zaspokajał jej seksualne potrzeby – mogłem to być ja, Juan, kto wie, ilu jeszcze? Ostatecznie jednak, mimo całej tej gadaniny o flamenco i jej wolnym duchu, nie miała odwagi tego zrobić. Zostanie z nim na zawsze.

– A ty? Masz dziewczynę? Znalazłeś sobie jakąś ładną grenadyjkę?

Niedobrze wybrałeś, przyjeżdżając tutaj, *guiri*. One są potwornie brzydkie.

– Nie.

– Co „nie”? Nie są brzydkie, czy nie masz dziewczyny? – Pochyliła się w moją stronę. – Zraniłam twoje uczucia? Trzymasz gdzieś w ukryciu jakąś małą Conchitę?

Od czasu naszego rozstania prawie nie patrzyłem na inne kobiety i jeszcze teraz czułem, że być może nigdy już nie będę mógł kochać tak mocno. Ta miłość była najbardziej romantycznym doświadczeniem w moim życiu i pustkę, jaką po sobie zostawiła, wypełniły narkotyki, które spowodowały, że stałem się oziębły i wypalony. Mój przyjaciel zginął, a inni, których uważałem za przyjaciół, odepchnęli mnie. Mimo Grace i lekcji tańca czułem się zagubiony, nie potrafiłem pozbierać się po wlotach i upadkach ostatnich dwóch lat i nadal spoglądałem na Alicante jako na najlepszy ze wszystkich okresów mojego życia, wracałem do niego, żeby ukoić melancholię. I oto miałem ją przed sobą, siedziała, kpiąc ze mnie, kpiąc z naszego związku, kpiąc z tego, co dla mnie było doświadczeniem, które zmieniło mi życie, tak jakby wszystko to było niczym i nic nie znaczyło także dla niej. Miałem ochotę wyjść. Ale jakiś spokojny wewnętrzny głos kazał mi zostać.

– W tej chwili mam trzy, mogę do nich iść w każdej chwili.

– Trzy! – Roześmiała się z mojego żartu. – W takim razie jesteś niezwykle zajęтым człowiekiem!

– Tak. Rozumiesz, to te jasne włosy. Wyróżniam się w tłumie.

Znowu się roześmiała. Nie miała nic więcej do powiedzenia.

– A co tam słysząc u reszty paczki? – Nie byłem tego ciekaw, ale warto zapytać.

– Dobrze. Pilar robi się z każdym dniem coraz bardziej szalona, a Rafael jest nudny jak zawsze. Ale nie widuję się z nimi za często.

– A Juan? – Był jedyną osobą, o której chciałem coś usłyszeć.

Wbiła spojrzenie w obrus i przeciągnęła paznokciem po rowkach tkaniny.

– Wyjechał – powiedziała w końcu. – Wkrótce po tobie... – Westchnęła. – Nie wiem dokąd. – Spojrzała w górę, a ja skinąłem głową. Znów wbiła wzrok w stół.

– Zostawił list. Napisał, że przeprasza.

Pogadaliśmy jeszcze chwilę o jakichś błahostkach. W końcu, nie mogąc dłużej tego znieść, spojrzała na zegarek i oświadczyła, że musi iść.

– Powiedziałam Vicentemu, że jadę po zakupy.

Nawet teraz musiała kłamać.

Pocałowaliśmy się na pożegnanie, uściskaliśmy, udając, że coś nas jeszcze łączy, nawet jeśli była to już tylko przeszłość, po czym zanurzyła się w mrocznych, wąskich uliczkach. Jej biodra kołysały się rytmicznie pod sukienką, a ciemnorude włosy wdzięcznie muskały twarz.

– Parę dni temu widziałem się z moją dawną kochanką – powiedziałem.

Oczy Grace błysnęły.

– Naprawdę? Opowiedz mi o tym.

– Chciała, żebym poczuł się winny. Kazała mi czuć się winnym, nawet jeśli nie było po temu żadnego powodu. A ja nie chcę czuć się winny, nie chcę odczuwać złości ani niczego, czego czuć nie chcę. Można powiedzieć, że to zadziało. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Tak – powiedziała, wychylając do dna kieliszek czerwonego wina. – Często jesteśmy z siebie zadowoleni w kwestiach, które możemy ogarnąć. Ale zastanawiam się, co się dzieje pomiędzy sprawami, którym poświęcamy naszą uwagę?

– El Niño Ricardo opowiadał mi raz, jak to było, kiedy posłał swojego syna na naukę gry na gitarze do ojca Paco de Ludi.

Mimo iż był tylko odzwierciedleniem, Emilio uwielbiał opowiadać o ludziach ze świata flamenco, z większością których, jak się wydawało, kiedyś się zetknął. Podejrzywałem, że jest sekretnym członkiem Peña Platería, tajnego klubu flamenco w Grenadzie, który wobec obcych prowadził politykę zamkniętych drzwi.

– Antonio dobrze mówił: dzieci powinny ćwiczyć codziennie, przez cały dzień. To jest jak praca zawodowa, nic innego.

W każdym razie, Ricardo wiedział, że zostało mu niewiele czasu, zaprowadził więc syna do Antonia Sáncheza i poprosił, żeby nauczył dziecko tego, co sam potrafi. I wie pan co? Syn wrócił po miesiącu, skarżąc się, że nie może wytrzymać tempa nauki. Został dobrym muzykiem, ale brak mu było cierpliwości do mozolnej pracy, no i niczym się nie wyróżnił. A dzięki temu właśnie Paco jest taki wielki: oddał się temu bez reszty, pracował nad sobą.

Emilio widział, z jaką przyjemnością słucham opowieści człowieka, który zna te sprawy od podszewki, więc opowiadał bez końca, jak robiła to większość mieszkańców Grenady, gdy się rozkręciła.

– Poznałem Sabcasa, kiedy przyjechał do Hiszpanii.

Sabcas, wielki gitarzysta flamenco, samouk i postać prawie mityczna, przez większość dyktatury Franco był na wygnaniu. Mieszkał w Nowym Jorku i w Meksyku, a do Hiszpanii przyjechał z wizytą tylko raz, pod koniec życia.

– Wszyscy czekali, żeby usłyszeć go na żywo. Ale wie pan, tu flamenco wisi w powietrzu. Jeśli ktoś jest długo od niego odcięty, to bez względu na to, jak jest dobry, to widać. No więc wrócił do Nowego Jorku i o mało tam nie umarł, ale poszedł do *peña*, takiego klubu dla miłośników flamenco. Bywał tam bardzo często. A że wszyscy tam grali, więc i on postanowił się przyłączyć. Bo on zawsze lubił się popisywać, ten Sabcas. Ale grał źle. Wszyscy to widzieli, ale nikt nic nie powiedział, bo to był Sabcas. On to jednak zauważył, więc wrócił zdenerwowany do domu, zamknął się i ćwiczył, ćwiczył, w ogóle nie wychodząc. Cały tydzień. Potem, w następnym

tygodniu znowu poszedł do *peña* i dał najlepszy koncert w życiu. Wszyscy byli zdumieni. Ktoś nawet nagrał to na wideo. Ale wie pan co? Do domu wrócił w nocy, a rano wynieśli go nogami do przodu.

Czułem się teraz swobodniej podczas lekcji. Juana traktowała mnie bardziej przyjaźnie, widać to było w sposobie, w jaki mnie poprawiała, gdy się pomyliłem: nie tak ostro, bardziej żartobliwie. Jakby dla uzupełnienia swoich opowieści o flamenco, Emilio wprowadzał mnie późną nocą w tajniki miejscowej kuchni albo opowiadał o kwiatach i dzikich mieszkańcach Sierra Nevada. Szczególnie sugestywna była wizja orła szybującego nad dolinami w poszukiwaniu pożywienia. W pewnym momencie rzucił się na swoją miotłę, niczym orzeł na węża.

Tymczasem Juana wytrwale trenowała Carmen. Siedziałem i grałem, jak mi kazała, często spędzałem całą sesję na powtarzaniu bez końca tego samego fragmentu, moje palce wpadały w coś w rodzaju transu, wykonując te same ruchy po sto, dwieście razy. Ale Carmen miała trudniejsze zadanie. Juana narzuciła jej ostre tempo i ani na moment nie zwalniała. Żadnej zachęty, żadnych pochwał. Można było odnieść wrażenie, że chce zniszczyć tę dziewczynę, zupełnie jakby wypowiedziała jej wojnę. Przyszło mi do głowy, że to obsesyjny perfekcjonizm, ale ostrzeżono mnie, że bym nie robił żadnych uwag.

Moja niechęć do metod Juany wzrosła, gdy zauważyłem, że niedoświadczona, uduchowiona dziewczyna zaczyna się zmieniać. Ginęły gdzieś jej zalety, za które wszyscy ją chwaliliśmy, jej energia i dojrzałość. Atakowana gradem uwag chwiała się ze zmęczenia, jej twarz często wykrzywiła się i twardniała, a w jej ruchach nie było już werwy. Dotąd wszystko przychodziło jej łatwo i naturalnie, lecz teraz nadmierna koncentracja wywoływała napięcie, a jej taniec stał się suchy i bez życia.

Obserwowałem to wszystko z mojego kąta. Czasami grałem bardziej energicznie, żeby dodać jej sił, gdy presja, jakiej ją poddawano, wydawała się zbyt duża. Chciałem zobaczyć iskrę, jaka była w niej, kiedy widziałem

ją po raz pierwszy, i pomyślałem, że być może mógłbym ją z niej wydobyć, przekazując jej coś muzyką. Choćby błysk, żeby się upewnić, że ta iskra ciągle jest i że znowu może zapłonąć.

– *Compás! Compás!* – krzyczała Juana, przypominając mi, że chce mieć we mnie wyłącznie metronom. Trzymać rytm.

To było wszystko, czego wymagała.

Zdesperowany, próbowałem podchwycić spojrzenie Carmen, uśmiechając się do niej albo dać jej jakiś inny znak, jednak nawykła do posłuszeństwa dziewczyna sumiennie patrzyła przed siebie, w lustro, aż nadto świadoma uważnego wzroku Juany. Jakikolwiek odwrócenie uwagi zostałoby surowo skarcone. A potem, po lekcji, pakowała znużona torbę i wychodziła bez słowa, z pozlepianymi od potu włosami, słaniając się na nogach. Juana zaczynała mi przypominać sadystyczną nauczycielkę, która doświadcza zakazanej przyjemności, gdy niszczy swoją uczennicę.

– Chciałabym, żeby zdawała do konserwatorium w Madrycie – powiedziała pewnego wieczoru, po kolejnych ciągach, jakie zebrała Carmen.

– Do konserwatorium? – zdziwiłem się. – Ona jest tancerką flamenco, nie baleriną.

– Jest tancerką – warknęła Juana. – Mogłaby zostać wielką tancerką. Ma możliwości. A ja muszę ją przygotować.

– Ale do konserwatorium? Dlaczego nie do szkoły Amor de Dios? To by było o wiele bardziej...

– Taniec jest tańcem. Jeśli będzie pracowała wystarczająco ciężko, da radę. Inne *flamencos* też przeszły do tańca klasycznego, a potem wróciły do flamenco. To niczego nie przesądza.

Pokręciłem z powątpiewaniem głową.

– Hej! Posłuchaj mnie! – Jej potężny głos urósł do krzyku. – Nie masz pojęcia, jak w tym kraju traktuje się flamenco. Latami się z nas wyśmiewali. Nikt nie brał nas poważnie. Ale teraz możemy im udowodnić, że jesteśmy tak samo dobrzy jak cała reszta. Nie mogą już uważać nas tylko za staromodny folklor. Zabawny, o, tak. Dobry dla turystów, dobry, żeby

urządzać dziwaczne przedstawienia przed królem tylko po to, żeby mu przypomnieć, że ciągle tu jesteście. Jesteście poważnymi tancerzami, dorównującymi najlepszym z nich. Wystarczająco dobrymi, żeby iść do najlepszych szkół i zdmuchnąć im z twarzy te ich uśmieški.

– A ty...

– Popatrz na Joaquina Cortesa – ciągnęła. – On zrobił pierwszy krok. Jest tancerzem flamenco, który uczył się tańca klasycznego, a teraz występuje w największych teatrach świata. My robimy to samo, tym się właśnie zajmujemy.

„Popatrzyłem” na Joaquina Cortesa. Był wszędzie, pokazując goły tors, jak znak firmowy – w telewizji, w kolorowych magazynach. Odbywał światowe trasy koncertowe, a plotki o jego życiu prywatnym wypełniały kolumny gazet. Ale w miarę jak rosła jego pozycja, jego duch zdawał się maleć, i czułem, że przez większość czasu na scenie domaga się od publiczności uwielbienia, zamiast zachwycać ją swoim geniuszem. To nie było flamenco, przynajmniej w moim rozumieniu. Ani gwiazdorstwo Joaquina, ani bezlitosna dyscyplina Juany. Kochałem flamenco, ponieważ była w nim wolność, coś niewysłowionego. Duch, który nie dawał się łatwo zdefiniować, uchwycić czy osiąść. W moich oczach Joaquín Cortés utracił całe *duende*, jakie kiedykolwiek miał, a Juana szybko pozbawiła go Carmen, poddając ją nadmiernej dyscyplinie, nie zostawiając jej czasu ani przestrzeni na pełen emocji taniec. Obiecująca młoda tancerka miała inne możliwości, inne drogi. Ale mówienie o tym nie miało sensu, Juana zwykle nikogo nie słuchała.

Pewnego wieczoru wywołano ją w połowie lekcji do telefonu i po raz pierwszy znalazłem się sam na sam z Carmen. Była zmęczona, jak zwykle, i skorzystała z nieoczekiwanej przerwy, żeby przykucnąć i złapać oddech.

– Jak ci idzie? – zapytałem.

– Wykończona. – Uniosła głowę.

– Co myślisz o tych lekcjach?

– Trudne. – Znów wbiła wzrok w podłogę.

– Podobają ci się?

Pokręciła głową, jakby chciała pokazać, że nie ma pewności.

– Tak. – A potem dodała po krótkim wahaniu: – Strasznie dużo roboty.

Z korytarza dobiegł głos Juany, rozmawiającej z kimś głośno przez telefon w biurze. Za chwilę miała skończyć rozmowę, a ja chciałem nawiązać kontakt z Carmen. To była jedyna szansa. Miałem jeszcze czas, żeby spróbować.

– Juana mówiła mi, że chcesz zdawać do konserwatorium w Madrycie.

– Tak, to prawda. – Znowu uniosła głowę i spojrzała w górę.

– Chcesz jechać do Madrytu?

– Och, tak! – Jej zmęczona twarz rozpromieniła się na moment.

– Dlaczego?

– Nie chcę tu zostać. Tu panuje martwota. Nie ma życia. *No mola aquí.*

Grenada to dziura.

– A gdzie będziesz mieszkała?

– Mam tam ciotkę. *Es muy maja.* Jest świetna. Ciągle gdzieś bywa.

Mówi, że wszystko mi pokaże.

– A co chciałabyś zobaczyć?

– Och, wie pan, to co wszyscy. Byłam już w Prado i muzeum Thyssena, i w innych miejscach. Powiedziała, że w weekendy będzie mnie zabierała do restauracji, i w ogóle. Mówi, że dostanę motorower. A wtedy wszędzie będę mogła jeździć sama.

– A teraz nie możesz tego robić?

– Tak. No cóż... ale to jest co innego. Tu nie ma dokąd iść. No i mam lekcje do odrabiania i jeszcze inne obowiązki.

Znowu spojrzała na podłogę i zgarbiła się. Twarz wciąż miała zaczerwienioną od wysiłku.

– Mieszkałem w Madrycie – powiedziałem.

– Naprawdę? Gdzie?

– Niedaleko Gran Vía.

– Ooo! Musi pan znać to wszystko. Naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy tam pojedę. Muszę się stąd wydostać. Grenada to grajdołek.

Z korytarza dochodziły sygnały, że rozmowa Juany dobiega końca. Było jeszcze coś, co chciałem powiedzieć.

– Grenada nie jest taka zła.

– Co? Pan nie mieszka tu od urodzenia. Mówię panu, że...

– Nie, naprawdę, posłuchaj mnie. – Usłyszałem, że Juana odkłada słuchawkę, a potem jej kroki na korytarzu. – Posłuchaj, dowiedziałem się wczoraj, że w maju ma tu wystąpić Paco de Lucia. – Buzia Carmen pojaśniała ze zdumienia.

– Naprawdę?

Kroki były coraz głośniejsze. Oboje spojrzeliśmy w stronę drzwi, zostały nam sekundy.

– Przyjeżdża z El Grilem. El Grilo będzie tańczył.

Wysoki, potężny, tańczący bardzo po męsku i z wielkim wdziękiem El Grilo był wielkim, być może jednym z największych żyjących tancerzy flamenco. Wraz z Antonio Canalem, Javierem Latorre i Adrianem Galią należał do grupy młodych tancerzy, którzy zdominowali madrycką scenę flamenco pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych. Na dźwięk jego nazwiska Carmen otworzyła szeroko oczy i roześmiała się.

– Chcesz to zobaczyć? Zabiorę cię – powiedziałem prędko, kiedy Juana wchodziła już do sali. Wróciliśmy na swoje miejsca, ale przedtem Carmen odwróciła się do mnie szybko i posłała mi szeroki, promienny uśmiech.

– Coście tu wyprawiali? – zapytała Juana, kiedy Carmen wyszła. Na jej ustach błąkał się nikły uśmieszek. Lekcja toczyła się jak zwykle – ogień zaporowy i bezlitosny krytycyzm. Zaszła jednak mała zmiana: w dziewczynce można było wyczuć odrobinę przekory i nieposłuszeństwa.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Por Seguiríya

*Escondida en su concha Compás
vive la perla
y al fondo de los mares
bajan por ella...
No olvides nunca
que lo que mucho vale
mucho se busca.*

Ukryta w swojej muszli
żyje perła
a oni nurkują na dno morza
żeby jej szukać...
Nigdy nie zapominajcie,
że rzeczy o wielkiej wartości
są wielce pożądane.

Grace podjechała po mnie starym, poobijanym seatem.

– Zapraszam! – zawołała śpiewnie. – Pojedziemy na wesele.

Ubrałem się i popędziłem na dół. Ta kobieta nie przestawała mnie zdumiewać. Czyje wesele?

Samochód był blaszanym pudłem na kołach, brudnym z zewnątrz i w środku. Niedopałki i strzępy starych gazet dekorowały podłogę tam, gdzie się jeszcze uchowała. Pod naszymi stopami ziało mnóstwo dziur. Ruszyliśmy z warkotem silnika przez miasto. Zdumiewające, że pokonała tym autem całą drogę z Anglii.

– Wspaniała maszyna – stwierdziłem.

– Co?! – Grace starała się przekrzyczeć warkot silnika. Popatrzyłem w dół, na szary asfalt, migający niczym papier ścierny.

– Powiedziałem, że przypuszczam, iż ty i ten samochód przeżyliście wiele przygód.

– O czym ty mówisz?

– Nie przyjechałaś nim z Anglii?

– Co takiego? Tym gratem? Oszalałaś!

Ja oszalałem? Przecież to ona siedziała za kierownicą.

– Pozbyłam się mojego starego auta parę miesięcy temu – powiedziała

po chwili. – Kupił je ode mnie jakiś Francuz. Powiedział, że potrzebuje go na taksówkę czy coś w tym rodzaju.

Pomyślałem, że jak na kobietę, która obywa się tym, co zdoła wcisnąć do bagażnika samochodu, sprzedawała tak istotny dla niej przedmiot zdumiewająco skwapliwie. No, ale była w tym cała Grace. Nic, nawet jej wędrowny tryb życia, nie było ustalone raz na zawsze. Podróżowała z małym bagażem w każdym tego słowa znaczeniu. Nawet samo podróżowanie mogło zostać w każdej chwili odwołane. Nie potrzebowała niczego, co przypominałoby jej, kim była. Istniało tylko wieczne dzisiaj. Problem polegał na tym, że nie wiedziałem, jak długo to „dzisiaj” może potrwać. Grace była beznadziejnym kierowcą.

Gdy za kierownicą siedział Jesús, zawsze czułem się bezpieczny. Grace była siedemdziesięcioletnią kobietą i miała kiepski wzrok.

– Och, znam tego pana! – rzuciła wesoło, spoglądając we wsteczny lusterku na rowerzystę, którego dopiero co zmusiła, żeby zeskoczył z roweru. Zastanawiałem się, czy przy ich ostatnim spotkaniu także otarła się o niego bokiem, jak dzisiaj.

– Uwaga! – Teraz jej ofiarą o mało nie padł chłopiec w wieku szkolnym, obładowany torbami. Skręciliśmy gwałtownie, wjechaliśmy z podskokiem na chodnik i przewróciliśmy część straganu z warzywami. Owoce potoczyły się na wszystkie strony.

– Nie bój się – powiedziała, kiedy uprzątnąwszy bałagan i zapłaciwszy straganiarzowi, wsiedliśmy do samochodu. – Widziałam tego chłopca.

Czasami wyglądało na to, że zdaje sobie sprawę, iż prowadzi auto gorzej niż przeciętny kierowca, i wtedy chichotała pod nosem, niczym uczennica przyłapaną na zaglądaniu do męskiej szatni. Zachowaj spokój, powiedziałem sobie w duchu. Ta kobieta przyjechała samochodem aż z Anglii. Mogłaby pewnie objechać cały świat.

- Miewałam, oczywiście, dużo gorsze auta od tego – powiedziała. – Raz, na Sri Lance, miałam samochód bez hamulców.
- Co takiego? Jak go zatrzymywałaś?
- Och, wystarczyło zawadzić trochę o krawężnik, a potem wystawić nogę za drzwi.

Zagłębiłem się w siedzeniu i zacząłem skupiać się na świecie zewnętrznym, żeby oderwać się od takich nic nieznaczących zmartwień, jak życie, śmierć i stół operacyjny. Ale Grenada była stosunkowo małym miastem, więc wkrótce mijaliśmy białe skały, a przed nami rozciągał się żółty jak słoma wiejski krajobraz. Przemknęło mi przez głowę, że jest tu mniej rzeczy, z którymi można się zderzyć, jeśli tylko zdołamy utrzymać się na drodze. Okazało się, że na pustej szosie Grace prowadzi znacznie lepiej.

Cieszyłem się, że uciekam od dusznej atmosfery miasta, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i przestrzenią. Ale nawet tutaj, na wiosnę, wyczuwało się jakiś ciężar, który szedł z ziemi i obejmował wszystko – skały, drzewa, nawet powietrze. Ziemia tego kraju określała wszystko, dawała poczucie zakorzenienia i tożsamości, stawała się jednak także więzieniem i klatką. Dlaczego Lorca tu wrócił? Do miasta, które go ukształtowało, ale także rościło sobie do niego prawo, jakby był zwierzęciem ofiarnym. Wydawało się, że jego śmierć była czymś nieuchronnym. Jakby była wpisana w los każdego mieszkańca Grenady.

Samochód sunął po wyboistych drogach, a moje myśli znowu wróciły do Jesusa.

- Kiedy nadchodzi czas odejścia, trzeba odejść – mruknąłem do siebie.
- Jesteśmy na miejscu. – Pokonaliśmy wzniesienie i zjeżdżaliśmy do nowocześnie wyglądającej wsi, zabudowanej kwadratowymi domami.
- Czyje to właściwie wesele? – zapytałem.
- Już ci mówiłam.

Byłem pewien, że nawet o tym nie wspomniała.

Zatrzymała się na szczycie stromego wzgórza, koło kościoła. Stały tu dziesiątki zaparkowanych chaotycznie aut, które blokowały niemal ulice, wystawały pod dziwnymi kątami i zajmowały więcej miejsca, niż należy. Było w tym coś swojskiego. Rzuciłem okiem na tablice rejestracyjne: Malaga, Sewilla, Kadyks, Madryt, Barcelona. Nowożeńcy mieli przyjaciół w całym kraju.

Ruszyliśmy na piechotę do kościoła. Ludzie stali przed wejściem, niektórzy usiłovali wepchnąć się do środka, inni kręcili się, rozmawiając. Rzuciła mi się w oczy znajoma ceremonialność zachowań i zamęt. Cyganie. Poczulem przypływ radości. Cygańskie wesele! Powrót między nich podniósł mnie na duchu. Było to miejsce, w którym chciałem się znaleźć po miesiącach spędzonych w Grenadzie, daleko od Madrytu, wypełnionych oplakiwaniem przyjaciela.

Wmieszaliśmy się w tłum, witani paroma podejrzliwymi spojrzeniami. Jako dwoje blondynów, byliśmy tu obcy. Wkrótce zjawiała się wystrojona w białe szyfony oblubienica – najwyżej siedemnastolatka – trzymając się ojcowskiego ramienia. Skromnie spuściła głowę i tłum obstał ją niczym rój pszczół, podczas gdy ojciec szczyrzył w uśmiechach złote zęby, które błyskały zza wąskich pomarszczonych warg w wysmaganej wiatrem i spalonej słońcem twarzy. Z kieszeni jego kamizelki zwisał złoty łańcuch, a jeszcze więcej złota zdobiło przeguby rąk. Na przedramieniu widniał prymitywny tatuaż: *Naci para sufrir*. Urodzony dla cierpienia.

Ojciec i córka torowali sobie drogę do kościoła, zatrzymując się, żeby zamienić słowo z wujami, kuzynami, babkami i siostrzenicami. Wszyscy krzyczeli i śpiewali, unosila ich fala energii i entuzjazmu. Obejrzałem się za Grace – w zamieszaniu zostaliśmy rozdzieleni. Stała koło panny młodej, rozmawiając z Cyganem, który odnosił się do niej jak do ważnego gościa,

pochylając ku niej głowę, żeby usłyszeć, co mówi. Uśmiechnęła się i odwróciła, klaszcząc w rytmie pulsującym teraz wokół panny młodej i jej ojca, którzy powoli przesuwali się ku drzwiom kościoła.

Mała świątynia była przepelniona, ludzie cisnęli się w drzwiach i stawiali na palcach, żeby zobaczyć, co się dzieje z przodu. Grace znowu zniknęła. Idąc za przykładem kilku młodych chłopców, wspiąłem się na kolumnę przy wejściu i trzymając się jedną ręką, pochyliłem nad tłumem, usiłując zobaczyć ołtarz. Grace stała z przodu, ojciec pana młodego dał jej jedno z najlepszych miejsc. Matki stały po obu stronach, czekając na zakończenie ceremonii. Nie minęła nawet jej połowa, gdy zaczęło się śpiewanie. Ostatecznie była to tylko religijna formalność.

Ksiądz spieszył się z obrządkiem, starając się, żeby jego głos był dobrze słyszalny. Tymczasem ludzie pokrzykiwali, klepali się po plecach, dowcipkowali. Gitary zaczęły grać *alboreas* – specjalne cygańskie *palo* weselne o jednostajnym, podobnym do *alegrii* rytmie – odezwało się klaskanie i cały kościół wybuchnął zaimprovizowanym koncertem flamenco. Krzyki *¡Ole! ¡Ole! ¡Ole!* zupełnie zagłuszyły biednego księdza. Zdenerwowany, pocił się obficie, a jego szyja spuchła niebezpiecznie pod ciasnym kołnierzykiem i grubą sutanną. Ceremonia dobiegła wkrótce końca, młoda para wyszła na ulicę zasypana ryżem i wypuszczono białego gołębia. Wzleciał ponad korony drzew, jakby chciał jak najprędzej oddalić się od tego szaleństwa.

– Symbol jej cnoty – wyjaśnił jeden z chłopców, wskazując ptaka i uśmiechając się. Czystość panny młodej była najważniejsza.

Tłum ruszył do wioski, gdzie w miejscowej restauracji czekały już krewetki na zimno w majonezie i szynka z Serrano. Patio zostało osłonięte białym płótnem, pod którym stały długie stoły, zastawione winem, piwem i chlebem. Wszyscy ruszyli prosto do napojów i dopiero potem zasiedli na ławach, żeby jeść, wciąż pokrzykując i śpiewając. Odniosłem wrażenie,

że goście siadali bez żadnego planu, przestrzegając jednak naturalnej u Cyganów hierarchii. Członków rodzin młodej pary, starszych, liczących się ludzi można było rozpoznać po tym, w jaki sposób ich traktowano, jak inni zachowywali się wobec nich. Widać to było w postawie, w pochyleniu głowy, w ułożeniu ramion.

Nagle podniosła się wrzawa, wszyscy mówili naraz. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Kilka osób siedzących z tyłu weszło na stoły, żeby mieć lepszy widok, a młodzi chłopcy ruszyli do przodu. Koło głównego stołu stała górską koza, która beczała głośno i żuła obrus. Panna młoda krzyknęła i rzuciła się w ramiona męża, ale on był tak samo przestraszony jak ona. Wszyscy umilkli na moment, gdy koza zostawiła w spokoju obrus i, dostrzegłszy wielką ilość jedzenia, wskoczyła na stół i zaczęła wgrzyzać się w trzywarstwowy weselny tort. Wszyscy cofnęli się zszokowani, a kiedy któryś z odważniejszych mężczyzn próbował ją odciągnąć, zwierzę pokazało groźnie zęby i wierzgnęło potężnymi tylnymi nogami.

– Trzeba na nią kija! – krzyknął ktoś.

Właściciel restauracji wyszedł z kuchni z miotłą w rękę.

– Miotłą! Miotłą! Naprzód, Pedro. Do ataku! – Ze wszystkich stron rozległy się zachęcające okrzyki. Niski otyły człowieczek stanął koło stołu niczym rzymski wojownik z rozdętymi nozdrzami i miotłą trzymaną oburącz, celując nią w kozę, która w zastraszającym tempie rujnowała najważniejsze wydarzenie roku. Pchnął orężem, ale skutek był niewielki. Zwierzę zabierało się teraz do szynek i krewetek.

– ¡Venga, Pedro!

Panna młoda się rozplakała. Właściciel restauracji zebrał siły, odrzucił z krzykiem miotłę, podbiegł do zwierzęcia, wziął wielki zamach i rąbnął je z całych sił w brodę. Koza zachwiała się, beknęła przeraźliwie i zwinnie zeskoczyła ze stołu. Paroma skokami wypadła z restauracji i popędziła w dół wzgórza, gubiąc jedzenie, które przylepiło się do jej brody. Ale Pedro

nie był tak zręczny i wylądował twarzą w grzybach w sosie czosnkowym. Przez chwilę wszyscy byli tak przerażeni, że nikt nie mógł wykrztusić słowa. Gdzieś z tyłu rozległ się okrzyk: *¡Ole! Pedro!* i biedak, uświadamiając sobie, że to chwila jego triumfu, wstał, żeby skłonić się przed oklaskującym go tłumem.

– Nalewajcie sobie do woli! – wrzasnął, po czym z miną zwycięskiego wojownika ruszył do kuchni.

– A co z tym drugim? – zapytała półgłosem moja młoda sąsiadka, gdy usiedliśmy. – Przy stole jest jeszcze jedno zwierzę z rogami.

Jej przyjaciel zagryzł wargi, a jedna z kobiet zaczęła hałaśliwie nakładać potrawy, próbując zagłuszyć rozmowę o rzekomej niewierności panny młodej.

Nowożeńcy usiedli niczym królewska para na ganku, a goście stojący w kolejce podchodzili z życzeniami, wręczając im pieniądze. Grace i ja stanęliśmy na końcu.

– To najlepszy dzień w pana życiu – powiedziałem do pana młodego, kiedy doszliśmy do niego i spojrzałem na jego młodą żonę. Przez chwilę siedział z uroczystą miną, a potem się roześmiał.

– *¡A que sí!* Ma pan słuszność!

Ceremonia wręczania pieniędzy trwała półtorej godziny. Wszyscy chcieli mieć pewność, że ich prezent zostanie przez parę młodą zapamiętany. Razem z banknotami płynęły życzenia i propozycje pracy. Kiedy się to skończyło, do panny młodej podeszła starsza kobieta, którą zauważyłem już wcześniej. Było w niej coś uderzającego, aura powagi, podkreślona dużą ilością złotych i perłowych naszyjników na jej piersiach. Trzymała się z tyłu i najwyraźniej nie należała do żadnej z rodzin.

– Widzi pan tę kobietę? – zapytała Grace. – Została zaproszona, żeby sprawdzić czystość panny młodej. Nazywają ją *ajuntaora*.

Na twarzy panny młodej odmalowało się zażenowanie. Wyprowadzono ją prędko do osobnego pokoju. Wymieniono parę znaczących spojrzeń.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy jedna z kobiet po drugiej stronie stołu zaczęła się niecierpliwić.

– To nie powinno trwać tak długo! – powiedziała. Siedzący obok zgodzili się z nią.

– Powinni już wyjść!

– To nigdy nie trwa tak długo!

Na twarzach kobiet pojawiło się zaniepokojenie, mężczyźni spoważniali.

Wydawało się, że ogólna konsternacja dosięga głównego stołu, przy którym siedział poblady pan młody, zaciskając oczy jak pięści. Rodzina panny młodej zaczęła się wiercić niczym stado przestraszonych ptaków.

– Za długo, o wiele za długo. Zawsze mówiłam...

Posłano kogoś, żeby zobaczył, co się dzieje. Pan młody podniósł się gwałtownie, przewracając krzesło. Podbiegł jego brat i chwycił go za ramiona.

– Zaczekaj! – krzyknął. – Zaczekaj!

Ale rodzina panny młodej także zaczęła się już podnosić, opuszczone ręce wzdłuż boków, przyspieszone oddechy. No i ten zapach. Zapamiętałem go z walki byków. Złowieszczy zapach krwi, zapach zapowiadający, co się będzie za chwilę działo.

Teraz wszyscy już stali, natężenie głosów rosło z chwili na chwilę. Ojciec panny młodej starał się łagodzić nastrój. Uśmiechał się i machał uspokajająco rękami, ale ze skroni kapał mu pot, a dłonie trzęsły się jak galareta. Jeden moment, pomyślałem, błysk noża, i wszystko stracone. Ręce zaczęły macać naokoło, za plecami, po kieszeniach. Trzeba było coś zrobić. Poczułem na ramieniu czyjąś dłoń. Obejrzałem się i zobaczyłem gruby srebrny pierścionek na palcu Grace. Nic nie rób, zdawała się mówić. Przyglądaj się tylko, obserwuj.

W tym momencie do restauracji wybiegła stara kobieta, ściskając w ręku białą chustkę. Podniosła ją wysoko, żeby wszyscy zobaczyli, krzycząc, ile sił w płucach. Pochyliliśmy się do przodu: chustka miała w każdym

rogu wyhaftowaną czerwoną różę, a na środku widniała ciemna, żółtawa plama. Rodzina pana młodego wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym rozległy się głośne okrzyki, bardziej na znak ulgi niż radości. Dwaj ojcowie objęli się jak bracia i ludzie usiedli znowu na swoich miejscach, a złe spojrzenia ustąpiły uśmiechom i szczerzeniu zębów. Przyprawiono pannę młodą, która była bledsza niż w chwili, gdy wychodziła. Ludzie obścapi ją i zasypali życzeniami, zaczęto podrzucać ją w górę i tańczyć, wynosząc ją triumfalnie aż na ulicę. Zabrzmiały klaksony samochodów, mężczyźni rzucali w górę marynarki, darli w ekstazie koszule, aż stanęli obnażeni do pasa, machając rękami, wrzeszcząc jak opętani.

Zabrzmiała muzyka: dwaj gitarzyści wzięli się do wybijania rytmów kolejnych *alboreas*. Kobiety rzucały się po kolei do szaleńczego tańca, niektóre parami, starając się przyćmić rywalkę.

Zacząłem klaskać rytmicznie, pozwalając porwać się tej radości, wszechogarniającej energii andaluzyjskiego tańca, *juerga flamenco*. Po czerwieniu, a na moich ustach pojawił się mimowolny uśmiech. Stałem tak, wybijając stopą takt i upajając się tym wszystkim. W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że koło mnie nie ma nikogo i obejrzałem się. Grace znikła. Pomyślałem, że znalazła sobie inne towarzystwo. Obróciłem się na pięcie i rozejrzałem za nią. Stała samotnie na zbieżności drogi. Patrzyła mi prosto w oczy.

- Przeszkadzał ci ten hałas? – zapytałem, podszedłszy do niej.
- Muszę wrócić do Grenady. Jeśli chcesz, możesz zostać. Na pewno znajdziesz kogoś, kto cię podwiezie.

Według moich przewidywań przyjęcie mogło potrwać przynajmniej ze trzy dni. Gdyby dopisało mi szczęście, mógłbym wydostać się stąd przed końcem tygodnia. Popatrzyłem na tłum gości – brat pana młodego stał na krześle i lał wino do ust teścia, który leżał na ziemi. A przed chwilą o mało się nie pozabijali. Odwróciłem się plecami do nich i znowu spojrzałem

na Grace. Nie miałem wątpliwości co do jej intencji, wyglądało na to, że znalazła się tu w niedobrym momencie, wtedy gdy to wszystko dopiero się zaczynało.

– Nie, nie, pojedę z tobą – powiedziałem z ociąganiem i ruszyliśmy do samochodu.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z wioski, wciąż słyszeliśmy muzykę, nie ucichła, dopóki nie minęliśmy szczytu wzgórza i nie zjechaliśmy do sąsiedniej doliny. Grace milczała. Zagłębiłem się w siedzeniu, czułem się, jakbym miał kaca wywołanego upałem i nagłym oderwaniem się od tego wszystkiego. Zapadłem w drzemkę. Kiedy się obudziłem, naokoło nas błyskały światła ulicznych latarni.

– Zabawny z nich ludek, no nie? – zapytała Grace, kiedy wysiadałem.

– Tacy *emocjonalni*. – Wypowiedziała to słowo ze szczególnym naciskiem.

– Tak – przytaknąłem odruchowo. – Pewnie tak.

Wszedłem na górę po ciemnych schodach, otworzyłem drzwi i rzuciłem się na kanapę, próbując domyślić się, co chciała przez to powiedzieć. W mojej głowie wirowały wydarzenia tego dnia w chaotycznym strumieniu szczegółów. W porównaniu z nimi nocne odgłosy miasta brzmiały jak stłumione szmery.

Cante jondo, głęboka pieśń, zawsze nocą rozbrzmiewa, napisał Lorca. Nie zna poranka ani wieczoru, gór ani nizin. Nie ma nic prócz nocy, bezmiernej nocy usianej gwiazdami. Nie liczy się nic więcej.

Było to credo człowieka *flamenco*: odrzucić to, co niskie, zwyczajne, życie przeciętnego człowieka, zanurzyć się w świecie skrajnych doznań, skrajnych namiętności i uczuć, ostateczności życia i śmierci. Był to sposób życia, któremu pragnąłem kiedyś zawierzyć, którym się upoiłem – jego ekscytującą atmosferą, niebezpieczeństwami, tym, że dawał poczucie, że jest się innym, że żyje się naprawdę.

Ale zaczynały ogarniać mnie wątpliwości. Przez ponad dwa lata nie robiłem prawie nic innego, tylko słuchałem muzyki, myślałem o muzyce,

grałem muzykę. W moim życiu było tak wiele muzyki, że niemal nie spędziłem chwili bez jakiejś melodii czy rytmu, rozbrzmiewających w mojej głowie. Budziłem się z nią rano, towarzyszyła mi, kiedy brałem prysznic, jadłem, szedłem ulicą albo próbowałem zasnąć. To było najgorsze. Były okresy, kiedy całymi godzinami na próżno próbowałem myśleć o czymś innym, podczas gdy palce lewej ręki układały się bezwiednie, realizując pomysły jakiejś nowej *falseta* albo urozmaicenia rytmicznego schematu.

Zacząłem jednak mniej słuchać. Wcześniej muzyka była zawsze tłem – grał magnetofon albo radio – teraz zacząłem tęsknić za ciszą. Już sama myśl o słuchaniu muzyki przyprawiała mnie o mdłości, jakby ktoś proponował mi gęsty, polany śmietaną pudding na zakończenie obfitego, tłustego posiłku. Przedawkowałem, byłem przemęczony muzyką i niczego bardziej nie pragnąłem, niż tego, żeby wokół mnie rozbrzmiewały naturalne dźwięki, bez żadnej artystycznej ingerencji.

Coś wspólnego miała z tym Grace. Pomimo jej ekscentryczności, lub może za jej sprawą, był w niej spokój, który mi się udzielał. Miała rację, mówiąc o Cyganach i weselu: oni rzeczywiście byli bardzo emocjonalni, nawet za bardzo. Tak jak ja. Teraz zaczynałem to widzieć. Przygaszony przez życie zorientowane na sprawy akademickie, jakie wiodłem w Anglii, rzuciłem się w emocjonalne skrajności z Lolą, a potem z Carlosem i z Jesúsem. Teraz uświadomiłem sobie, że szukam równowagi, nie szaleńczego życia, jakim żyłem w Alicante i w Madrycie, ale też nie powrotu do beznamiętnej egzystencji.

Nie chciałem odrzucać tego, czego dokonałem. Wiedziałem że tu, w Hiszpanii, coś się we mnie rozwinęło, chociaż trudno mi było zdefiniować dokładnie co. Być może była to większa świadomość emocjonalna. Jako dziecko przesiąknęłem wartościami i zachowaniami mojego otoczenia, dokonując nieświadomych wyborów, zgodnych z normami świata, w którym

dorastałem. Ale były we mnie nietknięte, nieznanne obszary, które potrzebowały przestrzeni, żeby się rozwinąć. Przyjechałem więc do Hiszpanii, żeby poznawać flamenco, uwolniony od restrykcji ograniczających typowego Anglika, eksplorując zakątki mojego wnętrza, które inaczej pozostałyby uśpione. Przyjąłem nowy system wartości i norm. Hiszpania dała oddech moim emocjom i pozwoliła je wyrazić, być może nawet zbyt ekspresyjnie. Ale przynajmniej stały się widoczne. Anglia je zamroziła, udawała, że nie istnieją.

Co do *duende*, zaczynałem widzieć w nim nie tyle ekstatyczny stan emocjonalny, jak przedtem, mglistą wizję piękna, które wciąż starałem się uchwycić, ile zjawisko bardziej subtelne. Mogło ono znaczyć różne rzeczy dla różnych ludzi. Z pewnością istniało, czułem je jako namacalną siłę, a nawet jako coś w rodzaju niezależnego duchowego bytu, ale zastanawiałem się, czy jakość przeżyć poszczególnych osób nie zależy od tego, co one same do tych przeżyć wnoszą. Dla Juana była to miłość. Ale był w tym cały Juan: skamieniały porzucony kochanek, na zawsze określony przez to, czego nie udało mu się rozwiązać w życiu wewnętrznym. Dla Jesúsa *duende* było życiem na krawędzi, póki nie posunął się za daleko i nie stał się jego ofiarą. Co do mnie, to nie byłem już pewny niczego.

Każdy człowiek i każdy artysta, czy będzie to Nietzsche czy Cézanne, wspina się stopień po stopniu na wieżę swej doskonałości, mocując się ze swoim *duende*, a nie z aniołem, jak mówią, ani ze swoją muzą. To rozróżnienie jest bardzo istotne.

Lorca wydawał się pewny tego, czym było *duende*. Dla niego muza i anioł przychodzili z zewnątrz. *Duende* przychodziło „z krwi”.

Jeśli w ogóle można się zbliżyć do *duende*, można to zrobić jedynie pośrednio. Ja w moich poszukiwaniach co najmniej dwa razy wkroczyłem na złą drogę. Sposób, w jaki uczyła Juana, wydawał mi się przeciwieństwem kultuwowania *duende*.

Dyscyplina, tak, ale należało zostawić miejsce na oddech. Być może, myślałem, powinienem zacząć szukać odpowiedzi z dala od świata flamenco? A może moje poszukiwanie nigdy tak naprawdę nie było pogonią za *duende*!

Zdobycie biletów na koncert Paco de Ludi okazało się większym wyzwaniem, niż myślałem. Anons w gazecie był tak maleńki, że ledwo go było widać na kiepskim gazetowym papierze. A kiedy zapytałem, gdzie jest dom kultury, nikt nie umiał mi powiedzieć. Wróciłem do biura informacji turystycznej. Dziewczyna była tak samo chętna do pomocy jak wtedy, gdy byłem tu pierwszy raz.

- Nie wiem, gdzie to może być – powiedziała.
- Ale jak mam znaleźć to miejsce, jeśli pani mi nie powie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Mówię ludziom tylko to, co wyczytałem w broszurach. Mógłby pan zapytać w Corte Inglés! – zawołała za mną, gdy wychodziłem na ulicę.

Corte Inglés? Okazało się, że to dom towarowy. Nie byłem ani trochę mądrzejszy. Ale nie miałem nic do stracenia, trzeba było spróbować.

Gdy wszedłem do środka, chłód klimatyzowanego powietrza uderzył mnie jak plastikowa ściana. Za ladą ze szminkami stała melancholijna sprzedawczyni.

– Och, tak – odpowiedziała na moje pytanie, jakby to, a nie sprzedaż kosmetyków, było jej prawdziwym zajęciem. – Najwyższe piętro.

Na najwyższym piętrze sprzedawano walizki i suspensoria.

Sprzedawca suspensoriów również miło zareagował na moje pytanie, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, i wskazał stoisko w kącie po drugiej stronie sali, ukryte za rzędem gołych manekinów.

- Minęło południe – powiedziała kobieta za ladą. – Nie możemy teraz

sprzedawać żadnych biletów. – Spojrzałem na zegarek, było pięć po dwunastej.

– Z pewnością dziesięć minut...

– Za późno. Poza tym prawie wszystkie są już sprzedane. Jakim cudem? Czyżby kilka tysięcy innych osób pokonało już ten sam labirynt? Zacząłem podejrzewać spisek.

– Proszę pani, musi być jakiś sposób...

– Niech pan spróbuje w kiosku Juana Carlosa. Może zostało mu kilka. Ale nie przed trzecią, proszę pamiętać.

Zjechałem na dół windą uzbrojony w tę niezwykle istotną informację. Był tylko jeden problem: kto to jest Juan Carlos i gdzie, do wszystkich diabłów, znajduje się jego kiosk? Wróciłem do dziewczyny od szminek.

– Jeszcze jedno. Nie przypuszczam, aby wiedziała pani, gdzie znajduje się kiosk Juana Carlosa?

Wskazała drugą stronę ulicy.

– To tam. Miłych wrażeń na koncercie.

Dlaczego nie posłała mnie tam od razu?

Juan Carlos właśnie zamykał.

– Proszę przyjść po trzeciej – mruknął, próbując ściągnąć w dół metalową żaluzję.

– Chciałbym tylko kupić bilety na koncert Paco – powiedziałem z nadzieją w głosie.

– Tak? Więc lubi pan flamenco?

Czasami zapominam, że tak bardzo wyglądam na cudzoziemca.

– W takim razie niech pan wejdzie. – Ruchem ręki zaprosił mnie do środka. – Proszę, zostało mi jeszcze parę dobrych miejsc, w środku. Trzymałem je dla kogoś innego, ale ten ktoś powiedział, że wróci przed lunchem, i się nie pokazał. Może je pan wziąć.

Wręczyłem mu pieniądze i bilety znalazły się w mojej dłoni.

– A przy okazji, gdzie znajduje się dom kultury? – zapytałem.

– Słucham?

- Miejsce, w którym odbędzie się koncert.
- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. On będzie grał na górze, w ogrodach Generalife.

Luis wrócił do szkoły tańca pod koniec kwietnia, bardziej niż gotów podjąć na nowo swoje obowiązki.

– Wiesz, co ci powiem? – szepnął. – Ta heca z chorowaniem nie była taka zła. – Szturchnął mnie w bok. – Teraz robi dla mnie wszystko. Wiesz, co mam na myśli? – Mrugnął porozumiewawczo. – O każdej porze, w dzień i w nocy. Fantastyczne!

Nadal grałem u Juany na specjalnych lekcjach późnym wieczorem, ale to Luis był głównym gitarzystą, wróciłem więc do towarzyszenia mu podczas zwykłych zajęć. Nie wymagało to wielkiego wysiłku, w gruncie rzeczy zapewnialiśmy tancerkom dwa metronomy zamiast jednego. Od czasu do czasu dochodziło między nami do drobnej wymiany – na przykład w dialogującym *rasgueo* – ale przez większą część czasu po prostu wybijaliśmy *compás*. On koncentrował się na tancerkach i Juanie, mniej interesował go efekt artystyczny. Było jasne, że mój czas w szkole się kończy.

Tydzień później, kiedy wszyscy już wyszli, powiedziałem Juanie, że odchodzę. Na jej szerokiej, władczej twarzy pojawił się zrezygnowany uśmiech. Wiedziała, że tak się stanie. Prawdopodobnie oszczędziłem jej kłopotu poinformowania mnie o tym osobiście.

– Dziękuję – powiedziała, ucałowała mnie w oba policzki i odeszła. Nie lubiła pożegnań.

Wyszedłem z pustej sali na korytarz. W holu na dole natknąłem się na Emilia. Siedział w swojej budce i coś pisał.

– Niech pana pamięta, żeby obserwować zwierzęta – powiedział. – Niech pan bada, jak się poruszają, jak polują, jak żyją. Są mądre.

Odwróciłem się do wyjścia.

– Proszę zaczekać! – zawołał. Wyciągnął rękę, jakby chciał mnie zatrzymać. W górze zatrzepotał jakiś cień. Nie wiedziałem, co to takiego. Wyglądało jak liść. Powoli sfrunęło w dół, zrobiło jeszcze jedno kółko i wylądowało na jego ramieniu. To był motyl.

– *Colias croceus* – oznajmił Emilio. – Przylatują do miasta tylko o tej porze roku. Jednak niezbyt często. Ostatnio coraz rzadziej... zanieczyszczenie i te rzeczy. Ale siadają na człowieku tylko wtedy, gdy jest bardzo, bardzo spokojny. Łatwo się płoszą.

Spojrzałem na motyla i zobaczyłem, że siedzi na bawełnianym rękawie dozorca, opuszczając i składając powoli żółte skrzydełka. Wydawało się, że Emilio całą uwagę skupia na stworzeniu na swojej ręce, ale czułem, że patrzy prosto na mnie.

– Zaraz poleci. – Motyl wzbił się w powietrze i odleciał. – On jest jak *duende* – dodał Emilio.

Przez chwilę patrzyliśmy, jak szybuje nad jadącymi ulicą samochodami, a potem unosi się w porywie wiatru i znika w przejrzystym powietrzu.

Siedziałem z Grace w skąnym cieniu parasola kawiarni w dzielnicy Albaicin, próbując bez powodzenia zachować spokój i nie zwracać uwagi na kłótnię, jaka wywiązywała się między niemieckimi turystami przy sąsiednim stoliku.

– Ten upał jest nie do wytrzymania – westchnęła Grace. – Myślę, że powinnam udać się gdzieś na północ. Może do Maroka?

– To jest na południe.

– Arabowie znają się bardzo dobrze na budowaniu chłodnych domów – ciągnęła. – Kiedy mieszkałam w Tangerze, nigdy nie czułam upału. Czy to nie ciekawe? – Spojrzała na mnie błyszczącymi, niebieskimi oczami.

– Słyszałem, że igloo mogą być bardzo ciepłe i wygodne – powiedziałem.

– Tak. Myślę, że to podobny problem. Ale nie sądzę, żeby mi się spodobało w tamtych stronach. Bez względu na to, czy są tam igloo, czy ich nie ma. No i nie podobają mi się eskimoscy mężczyźni. – Pociągnęła łyk chłodnego piwa i znowu pogrążyliśmy się w milczeniu, zbyt wyczerpani, żeby ciągnąć rozmowę.

Podszedł kelner i zaproponował, żebyśmy spróbowali miejscowego specjału – omletu à la Sacromonte. Wymienił prędko składniki i zgodziłem się, nie wysłuchawszy go uważnie. Słyszałem już o tej potrawie i zastanawiałem się, co też to może być.

– Zrezygnowałem z pracy w szkole – oznajmiłem.

– A co z twoją grą na gitarze? Co z flamenco? Myślałam, że osiadłeś tu na dobre. – Urwała na chwilę. – A może nie sprawia ci to takiej satysfakcji jak kiedyś?

– Kocham flamenco. To jest...

Czekała, a ja szukałem słów, żeby wyrazić, co mam na myśli.

– Chciałbym, żeby flamenco było częścią mojego życia, a nie całym życiem.

Skinęła głową.

– Większość *flamencos*, których znam, wybrała takie życie, ponieważ uważają, że daje im wolność. Mogą prowadzić je na uboczu, z dala od głównego nurtu. Ale oni nie są wolni. Tworzą własne reguły, własne ograniczenia. I uważają, że urok, siła flamenco mogą istnieć tylko w ramach samego flamenco. Nigdzie indziej.

– Znałem starą Cyganekę, która powiedziała mi kiedyś z wielkim przekonaniem, że muzyka Bacha ma *duende*.

Nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o *duende*.

– Ja doświadczyłam *duende* tylko kilka razy – powiedziała Grace. – Ale za każdym razem działało się to w bardzo różnych okolicznościach. Nie zawsze dzięki muzyce. Ale ty oczywiście już to wszystko wiesz. Musiałeś przeżyć *duende* wiele razy.

Jak zwykle, była o krok przede mną. Zakładała, że to rozumiem, podczas gdy zrozumienie dopiero rodziło się w moim umyśle.

– Byłem opętany muzyką flamenco, próbowałem żyć życiem prawdziwego *flamenco*, jakiegokolwiek by ono było...

Przerwał mi kelner, który przyniósł zamówione danie, i nasza uwaga przeniosła się na jedzenie.

– Mówił, że co to jest? – zapytała Grace z kpiącym uśmiechem.

– To jakieś specjalne miejscowe dane. Wrzucają do niego wszystkiego po trochu.

Z wahaniem nadziała kawałek na widelec. Musiałem przyznać, że potrawa dziwnie pachniała. Zaczęliśmy jeść, zmuszając się do przełykania.

– Nie sądzisz, że to może być nieświeże? – roześmiała się, krzywiąc się z niesmakiem.

– Chyba nie. Byłem tu już wcześniej. Podają tu zawsze bardzo dobre jedzenie. – Musiałem jednak przyznać, że to, co stało przede mną, było obrzydliwe. Próbowałem przypomnieć sobie, co kelner mówił na temat składników tej potrawy. Groszek? Fasola? Nie mogłem sobie przypomnieć. Musiało być coś jeszcze. Ach, tak.

– Wiem już, dlaczego to ma taki śmieszny smak – powiedziałem. – Mózdzek. Dodają do tego owczy mózdzek.

Nasze żołądki skurczyły się w tym samym czasie. Grace odłożyła widelec.

– Myślę, że mam dość, dziękuję. Nie uważasz, że można by zamówić jeszcze trochę wody?

Próbowaliśmy splukać obrzydliwy smak; mózdzek i upał nie idą w parze. Przez następne dwie godziny siedzieliśmy przy stole, trawiąc powoli i popijając, niezdolni poruszyć się ani nawet myśleć, tak źle się czujemy.

– Nie sądzisz, że powinniśmy zmienić lokal? – zapytała w końcu Grace. Zbladła i nagle zaczęła wyglądać na swój wiek, jakby zgasło w niej jakieś światło. – Siedzimy tu już od jakiegoś czasu, nic nie zamawiając.

– Nie, tak jest dobrze – mruknąłem. – Nie będą się czepiali.

Popołudnie płynęło leniwie. Z pobliskiej szkoły wysypały się dzieci. Poruszyłem się na krześle, żeby sprawdzić, w jakim stanie znajduje się mój brzuch. Trochę lepiej. Być może przy końcu tego tunelu jest światło.

– Mam pomysł – powiedziałem. Grace wzdrygnęła się, jakby na chwilę zapadła w drzemkę. – Pojedźmy w góry.

Nie poruszyła się, jej twarz miała teraz szarawy odcień. Pochyliłem się, żeby wziąć ją za rękę. Może...

– Świetny pomysł! – wykrzyknęła nagle, otwierając szeroko oczy. Wyprostowała się, dopiła wodę i w chwilę potem się zerwała, a na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

– Proszę – powiedziała, wręczając mi kluczyki. – Ty prowadzisz.

Miałem nadzieję, że to właśnie usłyszę.

Wyjechaliśmy z miasta, kierując się w stronę gór. Po kilku minutach nasza ociężałość się ulotniła, przez okna samochodu napływało chłodniejsze powietrze.

Wzdłuż drogi rosły sosny, mijaliśmy samotne drewniane domy, pod ścianami których ułożone były drwa na zimę, i przydrożne kawiarnie ze spadzistymi dachami. Jak w Alpach, tylko bez mżawki.

– Zdaje się, że zimą przyjeżdża tu mnóstwo narciarzy – powiedziała Grace. – I król. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby go zobaczyć w narciarskim stroju.

Co jakiś czas ukazywał się Mulhacén, pokryty śniegiem szczyt ponad piętnem zielonych drzew i popielatoszarych skał.

– Dojedziemy na samą górę? – zapytała.

– Mam nadzieję. Chyba że zasypie nas śnieg.

– Śnieg? W czerwcu? Co ty wygadujesz!

– Pewien znajomy mówił mi, że tam na górze są orły – powiedziałem.

– Jakie to podniecające!

Droga była kręta, a powietrze robiło się coraz lżejsze i bardziej przejrzyste.

– Myślałem właśnie o wierszu Lorki – powiedziałem. – *A mi se me importa poco que un pajaró pase de un alamo a otro.*

– Ach!

– On nie przejmuje się drobiazgami – wyjaśniłem. – Tym, czy ptak przeleci z jednej topoli na drugą. Dla niego liczą się jedynie rzeczy wielkie. Życie, śmierć, krew, namiętność. Ale jest w błędzie. Ptak albo owad mają w sobie tyle życia. Wiele się traci, jeśli człowiek koncentruje się tylko na dramatach.

– Jak to rozumiesz?

– Hmm... wyobraźmy sobie, że jest mnóstwo różnych dźwięków, niektóre głośne, inne ciche, jeszcze inne takie sobie. Jeśli będziesz słuchała tylko głośnych, utracisz wszystkie inne, nie będziesz miała pełnego obrazu. A tamte mogą być bardziej interesujące, bardziej subtelne. A nawet ważniejsze.

– Rozumiem. Ale jak można się nauczyć słuchania cichszych dźwięków?

– Nie wiem. Być może rozwijając inne zainteresowania. Przez ostatnie lata nie myślałem o niczym innym, tylko o gitarach i o flamenco, starając się jak najprędzej wszystkiego nauczyć. To sprawiło, że poczułem się jakiś taki wykoślawiony.

– Tak, zawsze myślałam, że w życiu bardzo ważne jest mieć więcej niż jeden biegun.

Wciąż jechaliśmy pod górę. Grace nie zamierzała udzielać mi łatwych odpowiedzi.

Po dwudziestu minutach dojechaliśmy do ośrodka narciarskiego Sierra Nevada. Droga się skończyła. Było pusto. Tylko parę samochodów i bariera, zagrządzająca drogę do stacji przekaźnikowej stojącej wyżej na zboczu. Zaparkowaliśmy i wysiedliśmy. Powietrze było rześkie i chłodne, co za odmiana w porównaniu z Grenadą. Parę metrów przed nami leżał śnieg i instynktownie ruszyliśmy w jego kierunku. Był twardy, kruchy, niezbyt biały.

– Chodźmy – rzuciła Grace. – Podejdźmy do tamtych skał na górze. Zaczęliśmy się wspinać, ślizgając się na lodzie.

– Gdybym wiedziała, że tak to będzie wyglądać, nie wkładałabym tej cienkiej sukienki – powiedziała Grace.

Po kilku poślizgnięciach i przeniesieniu Grace na plecach przez większe stromizny, stanęliśmy na skalnym tarasie z widokiem na dolinę, którą tu przyjechaliśmy. Wydawało się, że zapada w niej mrok. Słońce wisiało nisko nad horyzontem i cienie zaczynały się wydłużać.

– To dziwne – mruknęła Grace. – Wydaje się niebieska.

Spojrzałem w dół, a potem do góry, w jaśniejsze błękitne niebo. Miało bogaty, głęboki kolor. Zdawało się tak bliskie, a przecież niedosięgłe.

– Myślę, że to jest czas na myślenie o potrzebie miłości i potrzebie bycia kochanym – powiedziała. – Tak, właśnie o to chodzi. Przez chwilę się to we mnie kłębiło, i dopiero teraz poczułam to wyraźnie. W tej chwili bardzo interesuje mnie miłość.

– Związki mogą pojawić się w twoim życiu, kiedy najmniej się tego spodziewasz, albo myślisz nie o nich, ale o innych sprawach, mogą też wyłonić się z zupełnie nieoczekiwanej strony.

– To zabawne, ponieważ ja przeżyłam wiele tysięcy lat więcej, niż ty, ha, ha, ale dopiero teraz to do mnie przyszło: „Powinnaś myśleć tylko o tym”. Oczywiście tylko dzisiaj. Jutro może to być zupełnie coś innego.

Stałem przez chwilę jak sparaliżowany. Grace miała zdolność mówienia dokładnie tego, co trzeba, i w najbardziej odpowiednim momencie, by potrącić we mnie właściwą strunę.

– Tam, wysoko – powiedziała cicho. – Orzeł.

Odwrociłem się. Krążąc poniżej nas, nad szeroką, otwartą przestrzenią doliny powoli i bez wysiłku szybował orzeł. Śledziliśmy jego lot, unosił się w górę, ponad górski grzbiet, w jednej chwili zdawał się wisieć nieruchomo, w następnej pikował w dół, krążąc, wznosząc się znowu i zbliżając do nas. Był wspaniały. Spokojny i czujny, wypatrywał zdobyczy na dnie

doliny. Widać było, że całkowicie panuje nad obszarem, jaki ogarnia wzrokiem, jakby ta ziemia należała do niego. „Niech pan obserwuje zwierzęta”, powiedział Emilio.

Grace zaczęła schodzić, drżąc z zimna, ale ja zostałem jeszcze minutę. Tu, na górze, panował taki spokój. Wydawało się, że wszelkie bariery między mną i światem zaczynają się zacierać. Orzeł wrócił, odprowadziłem go wzrokiem w dół zbocza, patrzyłem, jak krąży w ciemnoniebieskich cieniach i leci w górę, ponad wzniesienie. Wreszcie wleciał w zalaną złotymi potokami słońca przestrzeń w oddali i zniknął.

Coś uderzyło mnie w tył głowy. Było zimne, twarde i mokre. Odwróciłem się i zobaczyłem Grace, która stała z niewinną miną, trzymając ręce za plecami.

– Nie patrz tak na mnie. Ja nic nie zrobiłam.

Śnieżna kula topiła się i ściekała mi po plecach pod koszulą. Grace ulepiła jeszcze dwie i rzuciła nimi we mnie. Przykucnąłem, uchylając się, zebrałem trochę śniegu i zacząłem szykować się do kontrataku.

Carmen i ja poszliśmy na koncert w towarzystwie Luisa i jego narzeczonej, mistrzyni taekwondo.

– Nie ominąłbym tego nawet, gdybym był trupem – powiedział z emfazą, kiedy obchodziliśmy tyły Alhambry. – Powiadam ci, seks na zawołanie to wspaniała rzecz, ale nie umywa się do słuchania Paco.

Odniosłem wrażenie, że sprawy między nim i narzeczoną znowu nie układają się najlepiej.

– Ona uważa mnie za coś w rodzaju worka treningowego. A ja jej powiedziałem: trochę niedelikatności to żaden problem, ale w odpowiednim czasie. Mam na myśli to, popatrz. – I pokazał mi siniaki na ramieniu. – Nie mogę już tego wytrzymać. Sztuki walki i flamenco, te dwie rzeczy nie idą w parze.

Tymczasem Carmen wyrwała do przodu i zaczęła nas poganiać. Właśnie nadeszła wiadomość, że przyjęto ją do konserwatorium.

– Wszystko dzięki Juanie – powiedziała. – W końcu wydostanę się z tego miasta.

Znaleźliśmy nasze miejsca i usiedliśmy pod czystym nocnym niebem. Estrada została ustawiona w pięknych ogrodach, a mocny, słodki zapach *galán de noche* płynął nad naszymi głowami niczym alkoholowy opar. Słychać było gwar, czuło się podekscytowanie, unosił się dym z papierosów, błyszczały opalone ramiona. Poczułem, że muszę skoczyć na stronę.

– Nie możesz iść w takim momencie! On zaraz wyjdzie na scenę! – wykrzyknął Luis.

– Wracam piorunem.

Wyszedłem z widowni, na zwirową alejkę, i zacząłem szukać toalety. Wszędzie byli ludzie, strażnicy i kontrolerzy biletów, stały długie stoły, służące jako prowizoryczne bary, ale toalety nie było nigdzie. Stwierdziłem, że nie mam innego wyjścia i muszę schować się za jakimś drzewem. Wszedłem między krzewy i ruszyłem na przełaj. W parę chwil znalazłem się w miejscu, które wydało mi się odpowiednie, wyciągnąłem fujarę i odprężyłem się. Byłem pewien, że nikt mnie tu nie zobaczy. Ale starając się zrobić to jak najprędzej, usłyszałem w pobliżu szelest. Ktoś wpadł na taki sam pomysł. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem mężczyznę o długich ciemno-blond włosach, posępnej twarzy, zdziwionego tak samo jak ja. To był Paco.

– *¡Hombre, Paco!* – powiedziałem. Byłem tu, w Generalife, i sikałem tuż obok największego gitarzysty wszech czasów.

– *Hola* – odpowiedział nerwowo.

– Nie ma toalety za sceną?

– Tu jest za sceną.

– Och, przepraszam. Nie mogłem znaleźć...

– Nie przejmuj się. Nikt nie mógł. Na chwilę przed wyjściem na scenę wszyscy robią się nerwowi i wszystkie toalety były zajęte. Nie mogłem czekać.

Skończyliśmy równocześnie i zasunęliśmy suwaki.

- Miło było cię spotkać – powiedziałem.
- Ciebie też. – Uśmiechnął się i odwrócił, żeby odejść.
- Powodzenia dziś wieczorem.
- Dziękuję, że przyszedłeś. – I uścisnął mi rękę.

Odprowadziłem go wzrokiem. Wydawało się, że chodzenie sprawia mu jakąś trudność. Prawdopodobnie za dużo siedział, ćwicząc. Potem popatrzyłem na swoją dłoń. Był to uścisk ręki, który zdecydowanie należało zmyć. Wiedziałem dokładnie, gdzie była, zanim dotknęła mojej.

Wróciłem na miejsce w chwili, gdy Paco wychodził na scenę. Teraz wyglądał inaczej, miał na sobie tradycyjną białą koszulę i czarną kamizelkę. Gitara na kolanach odmieniła go. Więcej siły, lepsza prezencja.

- Niewiele brakowało, a byłbyś go nie usłyszał – syknęła Carmen.

Koncert rozpoczął się od *taranty*. Paco siedział sam na scenie, stopniowo wciągając w atmosferę koncertu słuchaczy, którzy jeszcze się wiercili. Gwar głosów cichł w gorącym, wonnym powietrzu ogrodu.

Do następnego utworu wyszło kilku innych członków zespołu i koncert nabrał rumieńców. Ale coś zaczęło się dziać dopiero wtedy, gdy zjawił się El Grilo – wysoki, potężny tancerz z przylizanymi czarnymi włosami. Siedział dotąd z boku, grając na perkusji, ale pod koniec *bulerii* wyskoczył na środek sceny i zaczął tańczyć, biorąc nas wszystkich przez zaskoczenie. Podobny panterze, imponował władczą, pełną wdzięku postawą, zahipnotyzował widownię czystymi eleganckimi ruchami. Z jego tańca emanowała absolutna niemal dziecięca radość. Ani śladu afektacji.

Poczułem, że unoszą mi się włoski na karku, a przez widownię przechodzi fala elektryzującej energii. Miał to, miał *duende*, zagarnął całą uwagę, unieruchomił nas na miejscach. Jak urzeczeni przyglądaliśmy się jego

wysokiej, zwierzęcej postaci, słuchaliśmy, jak z parującą od potu głową i odrzuconymi na boki rękami wystukuje o podłogę szybkie tremolando. Na moment ogarnęło nas szaleństwo, ochota, żeby odlecieć, pozostawiając po sobie huczące radosne echo.

Jego występ zainspirował innych. Widziałem wyraźnie, że Paco dotąd grał tylko na pół gwizdka. Teraz jednak musiał coś pokazać, podobnie zresztą jak inni członkowie zespołu. Wszyscy odpowiedzieli z większą energią, z większą pasją. Tamten występ był iskrą i teraz każdy starał się być lepszy od drugiego, a tymczasem słuchacze zatopili się w czystym zachwycie, muzyka płynęła nad nami i przez nas, niczym zapach kwiatów. Paco grał cudownie.

- Zastanawiam się, czy kiedyś tak zagram – mruknąłem do siebie.
- Dwadzieścia lat ćwiczenia, po osiem godzin dziennie – odrzekł Luis – i będziesz tak grał.
- Do tego trzeba jeszcze mieć talent – dodała Carmen.
- Ona ma rację. Dobrze mówi dziewczyna.

Talent i obsesyjna dyscyplina. Wydawało się, że to za wiele. Czy kiedykolwiek będę potrafił wywołać *duende*!

Po głowie chodziły mi całkiem inne rzeczy.

Epilog

Tak, taka-taka. Tak, taka-taka. Tak, taka-taka. TAK.

Z popołudniowej drzemki budzi mnie stukanie obcasów o podłogę w sąsiednim pokoju. Miejsce obok mnie jest puste. Sięgam nad głowę i otwieram okno na słoneczne styczniowe powietrze i odgłosy późnego popołudnia, wydawane przez cygańskich sprzedawców słodyczy i motorowery. Może stłumią ostre uderzenia jej butów. Wciąż mam głowę ciężką od ryżu i wina *verdejo* wypitego do lunchu, i potrzebuję jeszcze pięciu minut.

Z ulicy zaczynają dochodzić wybuchy sztucznych ogni, wielkie grzmiące crescendo, które odbija się echem od secesyjnych kamienic. Już się do tego przyzwyczaiłem – odkąd znowu jestem w Walencji, pirotechnicznej stolicy Hiszpanii, ale kiedyś brzmiało to w moich uszach jak początek bitwy. Jak echa wojny domowej.

Wstaję i idę pomóc Salud przygotować się do wieczornego występu, chociaż ona nigdy by mnie o to nie poprosiła. Jej nerwowe napięcie wypełnia korytarz i nie można go nie zauważyć. Spóźnimy się, jak zawsze. Szybki masaż rąk i stóp, i trzeba jechać. Jej torba jest już spakowana: czerwona sukienka, trykoty, ręcznik, przybory do makijażu, grzebień i buty. Do tańca wkłada pantofle od Gallarda. Mówi, że buty marki Coral, innej liczącej się firmy, nigdy nie służą jej długo. Spędziła połowę życia, tańcząc flamenco.

Po pięciu latach przeżytych z dala od tych miejsc wróciłem, bo zawsze wiedziałem, że to zrobię. Znowu na wschodnie wybrzeże, i także z powodu flamenco. Ale tym razem inaczej – to jakby kolejne ogniwo cyklu. Ciągłe jestem zafascynowany Hiszpanią, być może jedynym krajem, jak sugerował Hemingway. Przypomina labirynt, jest miejscem, które tylko częściowo uległo wpływom zmechanizowanego świata. Zawsze mam uczucie, że

kiedy znajdę się za najbliższym rogiem albo wejść do jakiegokolwiek wioski, wkroczę nieoczekiwanie do starożytnego baśniowego świata, w którym nadal rządzą duchy ziemi, albo spotkam starego człowieka przemawiającego prostymi mądrymi zdaniami, które przechodzą z pokolenia na pokolenie. Tragizm losu i magia *duende*, pieśni i krwawe rytuały, to w tej krainie zrodziło się flamenco i wciąż do niej należy.

Spis treści

Prolog	11
ROZDZIAŁ PIERWSZY <i>Por Fandangos</i>	15
ROZDZIAŁ DRUGI <i>Por Rumba</i>	45
ROZDZIAŁ TRZECI <i>Por Sevillanas</i>	67
ROZDZIAŁ CZWARTY <i>Por Alegrías</i>	91
ROZDZIAŁ PIĄTY <i>Por Tangos</i>	119
ROZDZIAŁ SZÓSTY <i>Por Soleá</i>	151
ROZDZIAŁ SIÓDMY <i>Por Bulerías</i>	191
ROZDZIAŁ ÓSMY <i>Por Soleá Por Buleria</i>	219
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY <i>Por Taranta</i>	235
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY <i>Por Granaina</i>	261
ROZDZIAŁ JEDENASTY <i>Por Guajira</i>	285
ROZDZIAŁ DWUNASTY <i>Por Seguiríya</i>	307
Epilog	334